

A movie poster for the film 'Piekiła'. The central image shows a man in a military uniform (Tomasz Betcher) embracing a woman from behind. The woman is wearing a blue and white striped shirt with a large white bow at the back. The background is a dramatic sky with silhouettes of military aircraft and a fiery, orange-red glow. The text 'TOMASZ BETCHER' is in the top left, and 'PO TAMTEJ STRONIE PIEKŁA' is at the bottom. A small logo 'w ydawnictwie ab' is in the bottom right corner.

TOMASZ
BETCHER

PO TAMTEJ STRONIE
PIEKŁA

w
ydawnictwie
ab

Tomasz Betcher

**PO TAMTEJ
STRONIE PIEKŁA**



W pokoju synowie grzebią swoich ojców, a na wojnie – ojcowie swoich synów.

Ryszard Kapuściński, *Podróże z Herodotem*



1

Monety z grzechotem wpadły do automatu, który po kilku sekundach ożył i zaczął wypluwać do tekturowego kubka strumień kawy. W tę niedzielę po szpitalu na gdańskiej Zaspie kręciło się niewiele osób i sprawiał on wrażenie opustoszałego. Paskudna pogoda skutecznie zniechęciła wielu odwiedzających, a dodatkowo za chwilę miał się rozpocząć wielki finał najpopularniejszego w Polsce telewizyjnego show. Idąc po kawę, widziała włączone telewizory, nastawione na ten sam kanał. Machina życia w tym wielkim szpitalu kręciła się jednak nieustannie i bez względu na bieżące wydarzenia. Ktoś właśnie przychodził na świat i ktoś go opuszczał, a nad wszystkim czuwała cała masa osób. W takich chwilach tęskniła za pracą.

Zazdrościła pielęgniarkom, które miały dziś spokojniejszy dyżur. Jedna z nich obchodziła urodziny i w korytarzu pachniało kawą, a na stole w dyżurce mignął Magdzie tort ozdobiony cukrowymi różami. Brakowało jej nie tylko pielęgniarskiej rutyny, po której wieczorami padała ze zmęczenia, ale także takich chwil, kiedy mogła być blisko współpracowników. Kiedy automat skończył nalewać kawę, zabrała kubek i wsiadła do windy, którą wjechała na drugie piętro.

„Szanowni państwo, na tę chwilę czekała cała Polska...” – Głos prowadzącego show usłyszała, jeszcze zanim weszła na oddział. Niektóre telewizory podgłośniono bardzo mocno. Zgromadzone w pomieszczeniu służbowym pielęgniarki trzymały w rękach talerzyki z tortem i jak zahipnotyzowane wpatrywały się w ekran.

Dziadek Edward leżał w sali na samym końcu korytarza. Oprócz niego był tam jeszcze jeden pacjent, siedemdziesięcioletni mężczyzna, który głównie spał. I chrapał przy tym okropnie.

„Wśród widzów, którzy w trakcie trwania programu wezmą udział w loterii, zostanie wylosowany samochód hybrydowy. Wystarczy wysłać SMS o treści GRAM pod numer...”

Magda zamknęła drzwi, odcinając się od telewizyjnej kakofonii. Nie interesowało jej to, choć gdyby nie splot ostatnich wydarzeń, pewnie siedziałaby teraz na kanapie z miską popcornu i z braku laku oglądała wielki finał.

Spojrzała na dziadka i poczuła się winna. Spał, posapując cicho. Wielki siniak na jego policzku zaczął zmieniać kolor, a opuchlizna się zmniejszyła. Przy boku leżała usztywniona opatrunkiem ręka. Magda stanęła przy wielkim oknie z widokiem na blokowisko. Deszcz siekł zawzięcie, a po szybie lały się strumienie wody, rozcinając świat w coraz to nowych konfiguracjach. Spojrzała na kulących się pod parasolami przechodniów, przemykających czym prędzej do domów. W wielu oknach paliło się światło. Z miejsca, gdzie stała, doskonale widziała telewizory w mieszkaniach, zsynchronizowane i podające ten sam obraz. „Szkłana pogoda, szyby niebieskie od telewizorów”, przypomniała sobie słowa piosenki Lombardu. Uśmiechnęła się pod nosem, bo już wiedziała, że teraz będzie siedziała jej w głowie. Upiła łyk gorącej kawy. Oparzyła język, a i tak dało się wyczuć, że była paskudna, jak niemal wszystkie kawy z automatów.

– Długo tak będziesz stała beczynnym, dziewczucho? – Głos za plecami oderwał ją od obserwacji blokowego życia. – Gardło wyschło mi na pieprz. Daj mi wody.

Postawiła kubek na parapecie i odwróciła się. Dziadek łykał na nią zirytowany.

– Nie lubię, gdy traktujesz mnie jak służącą, dziadku.

– Co? – Zmarszczył brwi i próbował się rozeznać w rzeczywistości. – A kim ty w ogóle jesteś?

– Magdą, twoją wnu...

– Ach, tak. Już pamiętam. Dasz mi tej wody czy będziesz tak sterczała, gdy ja tu umieram z pragnienia?

Podawała mu kubek ze słomką. Pociągnął kilka solidnych łyków i zakaszłał, kiedy ostatni trafił nie tam, gdzie trzeba. Kiedy skończył, Magda pomogła mu zająć wygodniejszą pozycję. Poprawiła poduszki i podniosła wezglowie łóżka.

– Potrzeba ci czegoś? Podać ci gazetę albo włączyć radio?

– Przez tego chrapacza i tak nie usłyszę. Daj mi gazetę.

Sięgnęła po ulubiony dziennik Edwarda Kamińskiego i okulary do czytania. Ponadstuletni mężczyzna wciąż jeszcze czytał samodzielnie i śledził uważnie wszystko, co działo się w Polsce i na

świecie. Zwykle psioczył przy tym jak nie na polityka, to na dziennikarza, który napisał artykuł. Nikt nie miał taryfy ulgowej. Kamiński z trudem otworzył jedną ręką gazetę, nie pozwalając sobie pomóc, i zatopił się w lekturze.

Przez jakiś czas Magda nasłuchiwała kroków na korytarzu, ale w końcu uświadomiła sobie bezcelowość tej czynności. Wszystkie odwiedziny, które miały się dziś odbyć, już się odbyły. Rano wpadła córka pacjenta zajmującego drugie łóżko. Siedziała ponad godzinę i opowiadała ojcu o tym, co wydarzyło się przez ostatnią dobę. Chcąc nie chcąc, Magda wszystko słyszała i zastanawiała się, ile rzeczy może się wydarzyć w ciągu dwudziestu czterech godzin. Jak się okazywało, wiele. Po prostu ona sama miała nudne i monotonne życie, a każdy swój dzień mogła streścić w kilku zdaniach.

Około południa wpadli w odwiedziny rodzice, a Magda miała kilka godzin dla siebie. Jej matka nalegała, by przy dziadku stale ktoś był. Magda wiedziała, że Barbara Wolska najchętniej posadziłaby ją przy swoim ojcu na całą dobę, ale nie pozwalał na to regulamin odwiedzin. Zluzowana przez rodziców poszła nad morze, korzystając z tego, że chmury się przerzedziły i przestało padać. Doszła plażą do Jelitkowa, zjadła zapiekankę i wróciła, kiedy znów się rozpadało. Po drodze w szpitalnym kiosku udało jej się kupić książkę Stephena Kinga.

Nikogo więcej raczej się nie spodziewała. Najstarsza córka dziadka, Janina, pewnie jak zwykle zadzwoni do niego wieczorem i będzie trąkotła do słuchawki, zamęczając staruszkę paplaniną. Druga z jego córek, Ewa, odwiedziła go wczoraj wraz z rodziną. Wprawdzie z Tczewa do Gdańska jechało się jakieś czterdzieści minut, a w weekend jeszcze krócej, ale najwyraźniej stanowiło to dla nich przeszkodę, skoro pojawili się u Kamińskiego tylko raz. Poza rodziną dziadek nie miał nikogo, kto mógłby go odwiedzić. Jeszcze kilka dni temu do tej listy dopisałaby być może Jakuba Gawrona, ale sprawy się skomplikowały. Pochyliła się na krzesło i ukryła twarz w dłoniach, czując, że przytłaczają ją zmęczenie i nadmiar wydarzeń.

Jakub Gawron. Jej myśli automatycznie powędrowały ku niemu. Na dobrą sprawę nie wiedziała nawet, kim teraz dla niej jest.

Kuba pojawił się dosyć niespodziewanie. Stał w drzwiach i przedstawił się jako lekarz jej dziadka. Poznała twarz, nie poznała nazwiska. Po aferze, w którą wplątał się jego ojciec, Jakub zdecydował, by przyjąć nazwisko matki, dzięki czemu mógł względnie anonimowo rozpocząć karierę lekarską w Trójmieście.

Był jej miłością z czasów studenckich i gdy przyszedł do dziadka, nie wiedziała, jak ma zareagować. Wciąż czuła żal o to, w jaki sposób się rozstali. Tyle że po pierwsze byli ze sobą wieki temu i przez ostatnią dekadę każde żyło swoim życiem, a po drugie – i ważniejsze – Kuba zainteresował się Wiktoria – młodszą siostrą Magdy, zaś ją traktował jak dawną koleżankę ze studiów.

Winna. Tak. Poczucie winy narastało w Magdzie z wielu powodów i zaczynało jej się wydawać, że już dominuje w jej życiu. Towarzyszyło Magdzie, gdy Kuba wyjaśnił, że do rozpadu ich związku doszło wskutek tragikomicznej pomyłki, a dokuczyło jeszcze bardziej, bo pozwoliła Wiktorii zauroczyć go, nie ostrzegając przy tym, jak młodszą siostrą traktuje mężczyzn.

– Wiki... – szepnęła do siebie, czując narastający ból głowy.

– Co tam mamrociesz, Basia? – Dziadek po raz kolejny pomylił Magdę ze swoją córką. Rzeczywiście były do siebie podobne, ale głównie fizycznie. Na pewno nie odziedziczyła po Barbarze Wolskiej temperamentu. Wiedziała, że całą pulę zgarnęła Wiktoria.

– Nic, dziadku. Jestem wkurzona na Wiktorię. Gdyby nie jej nagły wyjazd, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej.

– Wszystko, czyli co?

Magda westchnęła. Była raczej introwertyczką i nie lubiła rozgrzebywać swoich spraw przed innymi. Czy jednak była w jej życiu lepsza osoba do zwierzania się niż dziadek? Za kwadrans i tak nie będzie pamiętał, o czym rozmawiali.

– Gdyby nie szaleństwa Wiki, nie znalazłbyś się tutaj, a mama nie obwiniłaby mnie o to. Zawsze tak jest. Wiktoria wpadnie na jakiś głupi pomysł, a obrywa się mnie.

– Jak wtedy, gdy wpadłaś pod lód? Albo jak Wiktoria jeździła pociągami towarowymi?

– Tak, właśnie tak jak wtedy. Pamiętasz to wszystko? – Magda ze zdziwieniem uniosła brwi.

Od jakiegoś czasu obserwowała postępującą u dziadka demencję. Myliły mu się osoby i wydarzenia. Raz twierdził, że jest pracownikiem stoczni, innym razem, że nazywa się Bury-Steinke i jest pilotem. Nie tylko Magda, ale także pozostali członkowie rodziny mieli spore trudności, by połączyć się w tym, co dziadek opowiada. Bywały jednak momenty, gdy mówił do rzeczy i najwyraźniej to był właśnie jeden z nich.

– Jakby to było wczoraj. Gdybyś nie była dziewczuchą, to spuściłbym ci wtedy tęgie lanie.

– A co to za różnica? Zresztą nieważne. – Magda nie zamierzała z dziadkiem dyskutować o wychowywaniu dzieci. Z różnych powodów żadne z nich nie wiedziało o tym zbyt wiele. – Chodzi o to, że cokolwiek Wiki nabroi, bagatelizuje się i zrzuca na jej temperament. Nikt nie wyciąga z tego konsekwencji, a jak mnie się powinie noga, to przez następny rok słucham tylko o tym. To niesprawiedliwe.

– Życie takie właśnie jest. Najpierw daje, potem odbiera, potem znów daje i odbiera. A kiedy wydaje ci się, że wreszcie dostałaś to, czego pragnęłaś, okazuje się, że masz sto lat i chcesz już zupełnie czegoś innego.

Nie zapytała, czego chce dziadek, bo doskonale знаła odpowiedź. Chciał umrzeć. Mówił o tym dziesiątki razy, ale wszyscy sądzili, że to tylko zrzęczenie starego człowieka. Magda wiedziała, że tak nie jest.

– A teraz Wiki zniknęła i zostawiła mnie z tym całym bajzlem.

– Dlatego mówiłem ci już, żebyś mnie odłączyła od tego całego cholerstwa i będzie spokój. Daj mi jakiś zastrzyk. Jesteś przecież pielęgniarką, do diabła.

Kamiński lubił wyolbrzymiać. Zachowywał się tak, jakby walczył o życie na oddziale ratunkowym. Magda pomyślała sobie, że to takie typowe dla mężczyzn. Dziadek wychwycił jej uśmiech i obrzucił wnuczkę srogim spojrzeniem.

– Oj, dziadku! Nie to miałam na myśli. – Zawstydzila się swoich słów. Rzeczywiście senior mógł odebrać jej narzekania bardzo osobiście. – Nie chodzi mi o opiekę nad tobą, tylko całą tę sytuację z Jakubem.

– Z tym lekarzem?

– Tak, strasznie się wszystko pomieszało. Kuba zakochał się w Wiktorii, a ona nie uprzedziła go o swoim wyjeździe do Kolumbii, tylko przyszła spakowana i kazała się zawieźć na lotnisko. Tam czekali na nią znajomi i to wszystko wypadło strasznie żenująco. A w dodatku Kuba wściekł się na mnie, że go nie uprzedziłam, jaka jest Wikтория.

– A jaka jest?

– Zmienia facetów jak rękawiczki i traktuje ich strasznie przedmiotowo. Miała kilku fajnych chłopaków, ale każdego pręcej czy później kopnęła w tyłek. Zazwyczaj w brzydki sposób. Nie mam pojęcia, dlaczego ona wciąż tak robi. Nie ma już przecież dwudziestu lat. – Magda pokręciła z dezaprobatą głową, choć sama ze swoimi trzydziestoma paroma na karku była w jeszcze trudniejszej sytuacji. – O rany, co ja ci tu opowiadam. Wyszło z tego jakieś *M jak miłość*.

– A co to takiego?

– Taki serial. Coś jak *Niewolnica Isaura*, tylko dłuższy. – Na dźwięk znajomego tytułu dziadkowi rozbłysły oczy. Skinął głową, a Magda uznała, że skoro jest w dobrej formie, to może uda się go pociągnąć za język. – Czy ty pamiętasz wojnę, dziadku?

– Pamiętam *Wojnę domową*. Twoja babcia ją lubiła. Na odcinku o Dniu Matki zawsze rechotała jak pomyłona.

– Miałam na myśli prawdziwą wojnę.

Tęczówki dziadka na chwilę pociemniały, a on sam jakby na moment oddalił się o tysiące kilometrów od gdańskiego szpitala. Bezzębne szczęki zaciskały się i rozwierały. Dziadek Edward kilka razy zbierał się do powiedzenia czegoś i Magda zaczęła już wątpić, że to zrobi. W końcu odezwał się chropowatym głosem:

– Prawdziwa wojna jest czystym złem. Potrafi złamać człowieka jak zapałkę. Każda jest straszna, ale najstraszniejsza wojna toczy się w nas i to my jesteśmy dla siebie najgroźniejszym przeciwnikiem. Wróg może nas zranić, złamać i upokorzyć, ale nigdy tak bardzo, jak my sami siebie.

Posen, 1941 rok

*SS-Untersturmführer*¹ Hans Brückner skończył pisać i odłożył inkrustowane pióro – prezent z okazji awansu do obecnej rangi – na blat biurka. Mebel był imponujący i oficer dziwił się, że ciężkie dębowe biurko w gdańskim stylu znalazło się w poznańskim Domu Żołnierza, który od listopada 1939 roku stanowił siedzibę Urzędu Gestapo. Reszta sprzętów nie była godna uwagi, ale biurko stanowiło istne dzieło sztuki. Brückner powolnym gestem wyciągnął z kieszeni munduru składany grzebień i przeczesał wilgotną od brylantyny grzywkę, następnie wstał i obszedł mebel, przysiadając na przeciwległym rogu. Spojrzawszy na dwoje więźniów, cmoknął teatralnie i pokręcił głową.

– Myślę, że to nie będzie konieczne. – Wskazał na sznur krępujący nadgarstki Henryka Steinke i jego małżonki. Skinął na strażnika, który przyprowadził aresztowanych. Młody Niemiec poderwał się z krzesła jak oparzony i drżącymi rękoma zaczął mocować się z węzłami. – Użyjcie noża, żołnierzu. W końcu przyda się wam do czegoś innego niż szlachtowanie tego bydła.

– *Jawohl*², *Herr Untersturmführer*.

– *SS-Untersturmführer* – poprawił go Brückner, zniesmaczony nieporadnością młodzika. – Nie zapominajcie, w jakiej formacji służymy.

– Przepraszam, *Herr SS-Untersturmführer*. To się nie powtórzy.

Nie znał go zbyt dobrze, ale domyślał się, że chłopak musiał być pociotkiem kogoś ważnego. W innym wypadku nie byłoby dla niego miejsca w Gestapo. Nie z jego rozmemłaniem i nieudolnością. W najbliższej przyszłości będzie musiał poprosić doktora Helmuta Bischoffa, szefa Rejencji Posen, o przydzielenie mu kogoś innego. Nie brakowało wszakże młodych podoficerów, którzy przejawiali znacznie większe predyspozycje do sprawowania tej jakże istotnej funkcji. Przeniósł wzrok na dwoje więźniów, którzy siedzieli w milczeniu, z szeroko otwartymi ze strachu oczami. Brückner wsunął dłoń do kieszeni i wymacał ciepły metalowy przedmiot. To go zawsze uspokajało.

– Muszę przyznać, że potraktowano was niedelikatnie – powiedział, spoglądając to na Henryka, to na Klarę. – Ci brutalnie z Wehrmachtu potrafia być mało, hmm... finezyjni.

– Ja jestem obywatelem Rzeszy – odezwał się Steinke po niemiecku. Miał opuchnięte lewe oko, wokół którego rozlał się już okazałych rozmiarów siniak. – Domagam się...

Cios padł niespodziewanie. Uzbrojona w kastet pięść wystrzeliła z kieszeni *SS-Untersturmführera* i trafiła Henryka prosto w szczękę. Z rozbitych na miazgę warg trysnęła krew, ale to nie zraziło gestapowca. Uderzył jeszcze trzy razy, krusząc baronowi zęby. Jego żona zaczęła krzyczeć, ale umilkła, gdy tylko Brückner posłał jej spojrzenie.

– Jesteś, kurwa, kundlem! – ryknął oficer, wycierając kastet w ścierkę, na której pełno było zaschniętej krwi. – Zdradzieckim gównem, które splugawiło aryjską krew. Jak jeszcze raz odezwiesz się niepytany, to wyrwę ci ten parszywy jęzor. Rozumiemy się?

– Tak – wymamrotał Steinke i skinął głową. Wytarł dłonią usta i wypluł ślinę zmieszaną z krwią i kawałkami uzębienia. – Rozumiemy.

– Doskonale. Róbcie tak dalej, a może przeżyjecie przesłuchanie. – Uśmiechnął się sztucznie i schował kastet do kieszeni. Zupełnie jakby przed chwilą nic się nie wydarzyło. – Nasz znakomity śledczy, *SS-Obersturmführer* Hermann Kranz, powierzył mi waszą sprawę. Zapoznałem się już z aktami i wiem, czego się dopuściliście. Dlatego o to nie będę pytał. Ty, Polko, rozumiesz po niemiecku?

Odrętwiała z przerażenia Klara Bury-Steinke potwierdziła ruchem głowy, bojąc się odezwać. Wyglądała nieco lepiej niż jej mąż, choć łysy placek na skroni oraz poszarpane ubranie świadczyły, że i z nią żołnierze obeszlą się szorstko.

– Dobrze.

Brückner zapalił papierosa i zaczął przechadzać się po pomieszczeniu. Przez chwilę słychać było jedynie tykanie zegara i równomierny rytm jego kroków. Przysiadł ponownie i dopalił do połowy,

delektując się smakiem tytoniu.

– Karol Lebenbaum. Mówi wam coś to nazwisko?

Oboje pokręcili głowami. Oficer wstał i przeszedł za plecy więźniów. Wprawnym ruchem chwycił Klarę za włosy i odciągnął jej głowę do tyłu. Krzyknęła krótko, a Henryk wyszeptał po niemiecku jakieś błagalne słowa, które gestapowiec zignorował. Zbliżył twarz do jej policzka tak, że wyraźnie czuła zapach tytoniu i kawy, którą musiał niedawno wypić. Odsłonił delikatną skórę na szyi i zgasił na niej papierosa. Klara zawyła z bólu, a kiedy puścił jej włosy, rozszlochała się, chowając twarz w dłoniach.

– Zapytam ostatni raz. Lebenbaum Karol.

– Słyszałem chyba to nazwisko. Jest fabrykantem z Łodzi.

– O, to, to. Widzę, że przy odrobinie pomocy wraca wam pamięć. Tyle że, ściślej rzecz biorąc, był. Ale nie o niego mi chodzi, tylko o resztę Lebenbaumów. Podobno schronili się w waszej okolicy. Kto ich przygarnął?

SS-Untersturmführer wyciągnął z leżącej na biurku teczki fotografię przedstawiającą kilku członków rodziny ściśniętych na jednym kadrze. Bez wątplenia była to żydowska rodzina.

– Nie mam pojęcia, *Herr*...

Nie było mu dane dokończyć, cios w brzuch pozbawił go bowiem tchu. Brückner oparł wypastowany oficerski but na torsie barona Steinke i wraz z krzesłem przewrócił do tyłu. Z haka na ścianie zdjął nahajkę i zaczął okładać leżącego mężczyznę.

– Dość! Dość, błagam! – Klara podniosła się z krzesła, a esesman wziął zamach, by ją uderzyć.

– Ja ich chyba widziałam. Proszę tylko przestać go bić. Ma słabe serce.

– Ach, doskonale. *Madame* raczyła sobie przypomnieć. Gdzie?

Klara zawahała się przez chwilę, czując ciężar podejmowanej decyzji. Na szali leżały właśnie ludzkie życia i miało o nich zadecydować jedno słowo. Wahala się odrobinę za długo. Niemiec złapał ją za twarz i ścisnął policzki, aż paznokcie boleśnie wbiły się w jej skórę.

– Gadaj, ty polska szmato, bo moja cierpliwość się skończy. A wtedy zostanie z ciebie krwawy strzep. No już!

– W kościele ewangelickim w Miłosławiu. Przygarnęła ich chyba rodzina pastora.

– Żydki w kościele? – Brückner poluzował uścisk i wytarł dłoń o spodnie. – Czego te szczury nie wymyślą. – Potarł dłonią podbródek. – Ale to nawet sprytne. Kto by szukał Żydów w kościele...

Wrócił za biurko i zapisał coś w notatniku, co jakiś czas zerkając na podnoszącego się z podłogi barona.

– No, wystarczy na dzisiaj. Jeszcze kilka takich spotkań i czuję, że zostaniemy prawdziwymi przyjaciółmi. Ruben, zabierz te ścierwa do cel. Osobnych.

* * *

Przez trzy następne tygodnie *SS-Untersturmführer* Hans Brückner wydobywał z Henryka i Klary mniej lub bardziej istotne informacje, dotyczące tego, kto i jakie grzeszki miał na sumieniu. Czasami interesowały go błahe sprawy, jak liczba owiec czy świń u sąsiada, czasami sięgał po historie z alkowy, plotki i insynuacje. Po trzech dniach i niezliczonej liczbie uderzeń nahajką, wyrwanych obcęgami paznokci czy ran przypalanych papierosem lub nagrzanym do czerwoności ostrzem noża do listów oboje odpowiadali bez zająknięcia na każde pytanie.

– No, kundle – oficer uśmiechnął się cierpko, a im, choć przyzwyczaili się już do jego fałszywych grymasów, ten wydał się prawdziwy – wiem już nawet więcej, niż chciałem. – Esesman był najwyraźniej w doskonałym nastroju. – Okazaliście się naprawdę pomocni. W nagrodę za to ofiaruję wam wolność.

Małżonkowie spojrzeli po sobie, jakby chcąc się upewnić, czy dobrze usłyszeli. Po trzech tygodniach przesłuchań żadne z nich nie przypominało już osób, które aresztowano. Byli w opłakanym stanie, ale bardziej niż wygląd zewnętrzny bolało ich sumienie. Tam otworzyła się rana, której nie był w stanie zabić nawet czas.

– Jesteśmy wolni? – Henryk uniósł brew. Po drugiej pozostał tylko pokryty czarną skorupą łuk brwiowy. Brückner opalił mu to miejsce świecą, a potem wylał mężczyźnie na oko gorący воск.

– Oczywiście. – *SS-Untersturmführer* zaplątał dłonie na brzuchu i oparł się wygodnie. – *Arbeit macht frei*³.

* * *

– *Schließen!*⁴ – krzyknął esesman zawiadujący załadunkiem więźniów na wagony towarowe, a kiedy wielka furta zasunęła się ze zgrzytem, Klara pomyślała, że jeszcze chwila i pękną jej żebra.

Ścisk w wagonie był potworny. Na szczęście wpędzono ich do środka jako ostatnich i znajdowali się względnie blisko niewielkiego, zakratowanego otworu. Nawet nie była sobie w stanie wyobrazić sytuacji tych w samym środku. Co jakiś czas czuła uderzenie łokciem albo kolaniem, ale ledwie to do niej docierało. Miała za sobą trzy tygodnie przesłuchań przez Gestapo, ale sceny, które obserwowała na rampie kolejowej, przyprawiłyby o utratę zmysłów nawet Dantego. Na własne oczy widziała, jak Niemcy zastrzelili kilku ludzi, jeszcze zanim pociąg podjechał. Mózgowie z ich czaszek rozprysło się po podkładach kolejowych, a kiedy odciągnięto ciała, na betonie został krwawy ślad. Najgorszy moment nastąpił jednak tuż przed przyjazdem pociągu.

Niedaleko Henryka i Klary stała w tłumie młoda Żydówka z niemowlęciem na rękach. Choć na wszelkie sposoby próbowała uspokoić chłopca, jego płacz z każdą chwilą się wzmacniał. Nawet spokojne zazwyczaj owczarki niemieckie, karnie chodzące przy nogach żołnierzy Wehrmachtu, wydawały się rozdrażnione.

– Kto jedzie? – *Obergefreiter*⁵ z psem podszedł do jednego z podoficerów pilnujących tłumu. Ten poczęstował go papierosem i pogłaskał psa, który groźnie warknął. Żołnierz szybko cofnął dłoń.

– Bandyci, degeneraci, zdrajcy Rzeszy i Żydzi. Czyli w sumie na jedno wychodzi.

– Dowódca mówi, że macie uciszyć tego bachora – powiedział żołdak, wskazując papierosem w stronę Żydówki. Sierżant obejrzał się i splunął pod nogi. Najwyraźniej również miał dosyć płaczu niemowlęcia, od razu skierował się bowiem w stronę dziewczyny. Odbezpieczył broń i powiedział coś do stojących obok niej ludzi. Nagle tłum się rozstał.

– Nie! Nie! Proszę, nie! – Krzyk kobiety odbił się echem od ściany budynku na stacji kolejowej.
– Oddaj mi dziecko!

Krzyczała coś jeszcze, ale odgłos wjeżdżającego pociągu zagłuszył wszystko. Wielka parowa lokomotywa ciągnęła kilkanaście wagonów towarowych. Kiedy pociąg znalazł się na wysokości Klary, zobaczyła, jak żołnierz ciska niemowlę na tory. Ułamek sekundy później zmiażdżyły je wielkie koła. Płacz ucichł, Żydówka zawyła, a Klara wytarła łzy. Po raz kolejny pomyślała o swoich synach. Do tej pory te myśli działały krzepiąco i pocieszały ją w momentach, kiedy sama była kłębkim bólu, teraz jednak zdała sobie sprawę, że gdyby ją spotkało to, co tę dziewczynę, wołałaby zginąć razem z dzieckiem.

– No, dalej! Wchodzić!

– *Schneller! Schneller!*⁶

– Właż, bo cię zastrzelę, gnoju!

Żołnierze wydzierali się i zaganiali ludzi do wagonów niczym bydło. Opornych popędzali uderzeniami kolb, kluciem bagnietami lub w najlepszym razie kopniakami. Kilka razy huknął strzał, a czyjeś ciało wpadło pod pociąg. Henryk i Klara trzymali się mocno za ręce, więc gdy porwała ich rzeka ludzi, udało im się odnaleźć siebie w środku.

W potwornym ścisku tkwili już kilka godzin, a pociąg nie ruszał, czekając nie wiadomo na co. Mimo że Klara stała odwrócona twarzą do ściany wagonu, wyraźnie słyszała szlochanie Żydówki, której tak brutalnie odebrano i zamordowano dziecko. Musiała być dwie, może trzy osoby za nią.

Rozległ się przeciągły gwizd, a pociąg ruszył, wzbudzając ogólne poruszenie. Pomimo ścisku wkrótce wywiązały się pierwsze dyskusje.

– Zawiozł nas do Auschwitz. Do obozu koncentracyjnego.

– Nie pieprz pan, jak nie wiesz. Do Auschwitz pójdą tylko Żydzi. Nas wywiozł do roboty.

– A skąd będą wiedzieli, który to Żyd?

– Oni już mają swoje sposoby. Mają podobno psy, które bezbłędnie wykrywają starozakonnych. Zamknęła oczy i starała się nie słuchać tej gadaniny. Wsłuchiwała się w miarowy stukot kół

i pracy parowozu, który rozpędzał się coraz bardziej. Znow ktoś napierał, pchając ją w stronę ściany. Tym razem jej najbliższy sąsiad.

– Co się stało, Heniu? – Klara odwróciła głowę na tyle, ile mogła, ale i tak zobaczyła tylko ucho swojego męża.

– Już nie mogę.

– Słuchać ich? Ja też nie.

– Nie – zaprzeczył i usłyszała w jego głosie wstyd. – Chodzi o coś innego. Przepraszam, ale naprawdę nie dam rady.

Zanim domyśliła się, o co chodzi, poczuła, jak przez materiał jej zniszczonej sukni przesiąka ciepły moc. Ściekał po nodze i wlewał się do buta, powodując nieprzyjemne uczucie. Jednak to odciągnęło jej uwagę od przygnębiających rozmów. Jechali i zatrzymywali się, aż Klara straciła poczucie czasu. Nie wiedziała, czy postój trwał kwadrans, czy może kilka godzin.

– Pić! Dajcie wody! – Na każdym postoju kilka donośnych głosów krzyczało prośby w stronę zakratowanych otworów. – *Wasser! Bitte!*⁷

Gdy tylko pociąg ruszał, głosy milkły i znow było słyhać zawodzenie i szloch Żydówki.

– Zamkniesz się wreszcie? – warknął jakiś zirytowany mężczyzna. Nietrudno było zgadnąć, do kogo kieruje te pretensje. – Bo już nie mogę tego słuchać.

Chciała stanąć w obronie młodej kobiety, ale w ustach zaschło jej tak bardzo, że nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni napiła się wody. Chyba poprzedniego dnia rano, zanim zabrano ich z celi poznańskiego Gestapo. Teraz wargi były spierzchnięte i popękane niczym ziemia, która zbyt gwałtownie wyschła, a język przypominał drewniany kołek.

W wagonie zapanowało poruszenie, tłum napał na więźniów stojących przy ścianach. Ktoś przedzierał się do środka. Podniosło się kilka oburzonych głosów. Klara dostrzegła kątem oka, że pomiędzy stłoczonymi osobami przepycha się jakiś wysoki mężczyzna. Jego ciemna, potargana czupryna była coraz bliżej.

– Co pan robi? – wrzasnęła dziewczyna i po raz pierwszy od śmierci dziecka przestała płakać. Przez stukot kół i świst powietrza w otworach wentylacyjnych przedarł się dźwięk rozrywanego materiału. – Co pan, do cholery, robi? Aua!

Klara zamknęła oczy i żałowała, że nie jest w stanie zakryć uszu. Pomimo wrzasków dziewczyny, oburzenia sąsiadujących z nią współwięźniów i kuksańców, jakie leciały na głowę wysokiego, ten dopadł do jej obnażonej piersi i się do niej przyssał, oszalały z głodu i pragnienia.

– To boli! Przestań!

– Przestań natychmiast! – włączył się jakiś męski głos. Pomimo potwornego ścisku na środku doszło do szarpaniny.

Czyjeś ciało upadło głucho na deski. Klara zrozumiała, że musiała to być młoda Żydówka, jej zawodzenie bowiem ucichło. Zanim dotarli do celu, wagon wypełnił się ciałami tych, którzy nie przeżyli podróży, oraz potwornym smrodem odchodów.

Kiedy pociąg się zatrzymał, a drzwi wagonu zostały z łoskotem odsunięte, więźniowie wypadli z niego jak ziemniaki z rozprutego worka. Kilka osób spadło z pochylni, ktoś upadł i został zdeptany, a na podłodze wagonu zostały gęsto zaścielające ją trupy. Każdy ocalały łykał świeże powietrze jak tonący, który jakimś cudem wypłynął na powierzchnię.

– *Raus! Raus! Schneller!*⁸ – W ruch poszły pałki i kolby karabinów.

Ocalałych z transportu nie przywitał napis *Arbeit macht frei*. Zamiast niego nad bramą widniał inny: *Jedem das Seine*⁹. W przeciwieństwie do innych obozów koncentracyjnych był on jednak umieszczony tak, by więźniowie mogli go odczytać, tylko opuszczając *Konzentrationslager Buchenwald*¹⁰.

Otworzył oczy. Odór był nie do zniesienia. Szczególnie mocno przebijała się woń spirytusu. Nie był to alkohol, jakiego używają pielęgniarki, aptekarze czy nawet gorzelnicy. To było coś znacznie gorszego, powodującego natychmiastowe mdłości. Woń na wpół strawionego spirytusu mieszała się z jakąś mocno wędzoną kiełbasą.

– Ho, ho! Obudził się nasz śpiący królewicz. – Właściciel oddechu pochylił się nad nim, a smród stał się wręcz nie do zniesienia. – Żyjesz, kolego?

Teodor spróbował poruszyć członkami i jęknął. Ból przeszył jego ciało od koniuszków palców po samo wnętrze czaszki.

– Znaczy się żyje – dodał inny męski głos. – Ale nie wygląda na zdrowego.

– Też byś, kruca bomba, nie wyglądał na zdrowego, jakbyś tak rymsnął na ziemię.

Otworzył szerzej oczy, a wzrok zaczął się wyostriać. Dostrzegł nad sobą cztery zatroskane twarze. Nieogolone, ogorzałe od słońca. Dwie młodsze i dwie starsze, pobrużdżone zmarszczkami.

– Jak się czujecie, panie kolego? – spytał brunet w berecie z antenką. Miał podłużną twarz i duże brązowe oczy. – Widzicie nas?

– Widzę – wychrypiął przez suche gardło. Między stłoczonymi sylwetkami dostrzegał elementy wystroju pomieszczenia. – Wszystko się kołysze.

– Nie dziwota. Jesteśmy na statku.

– Co? – Podniósł się zbyt gwałtownie i zaraz aż wrzasnął z bólu. Zapięły go żebra i prawie wszystkie mięśnie. – Jakim statku?

– Z Rumunii do Francji. Dokładniej z Konstancy do Bejrutu i stamtąd do Marsylii. Uciekamy, zanim fryce opanują tę część Europy. I tak mają już prawie wszystko.

– Kanalie – warknął ten najbardziej cuchnący alkoholem. – Polejcie jeszcze, kolego, tej tynktury. Może nasz zmartwychwstały się napije?

Teodor pokręcił głową, czując pełną w górę czaszki ból głowy. Miał założony gruby opatrunek i szwy na łuku brwiowym. Kiedy przyzwyczał się do kołyszącego otoczenia, mógł skupić wzrok na towarzyszach podróży.

Było ich czterech. Dwóch starszych ubranych raczej skromnie, w przykrótkie spodnie i kraciaste koszule. Młodszy prezentowali się nieco lepiej, choć ich odzież także nosiła ślady trudów podróży. Na środku kajuty rozłożono niewielki stolik, oklejony taśmą tak, by podczas przechyłów nie spadały z niego karty, pieniądze i szklanki z alkoholem.

– Kazimierz Friedman. – Wyciągnął rękę ten starszy w berecie. Teodor uściśnął ją na tyle mocno, na ile pozwalał ból. – Aleś pan zadał bobu tym szkopom. Widzieliśmy, jakżeś pan fikał tym samolocikiem.

– Samolot! – Teo krzyknął, aż zahuczało mu w czaszce. – Leciałem z dwoma pasażerami. Co z nimi?

Mężczyźni spojrzeli po sobie, aż w końcu Friedman, wybrany w niemym głosowaniu, najpierw pokręcił głową, a potem przemówił:

– Niestety...

W długiej ciszy echo tego pojedynczego słowa wybrzmiało aż nadto. Teo zamknął oczy, czując, jak z bezsilności płyną mu po policzkach łzy. Był wściekły, był żądny krwi i najchętniej rozszarpałby wszystkich Niemców na kawałki, ale teraz zamienił się w kłębek bólu.

* * *

To, że uszedł z życiem z tak koszmarnej kraksy, wydawało się niezwykle szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ale fakt, że w końcu zaczął dochodzić do siebie, zakrawał na cud. Pierwszy oficer, Rumun

o zakazanej gębie, długo targował się w porcie z Polakami, nie chcąc zabierać na pokład człowieka wyglądającego jak trup. Dopiero wyciągnięta z portfela Teodora sowita łapówka przekonała marynarza.

Mechanicy z lotniska pod Warszawą najgorzej wspominali wypełnione jękami i krzykami noce. Teodor budził całą czwórkę, gdy próbował się poruszyć czy zmienić pozycję. Zanim opuścili Morze Czarne, dopadła go gorączka, którą zbijali tylko okresowo, robiąc mu zimne okłady.

– Wyzionie ducha jak nic – wieszczył Władek, najmłodszy z całej czwórki. Terminował u Kazimierza jako mechanik, bo jego marzenia o zostaniu pilotem przekreśliła skolioza. – Zobaczycie, jeszcze będzie miał pogrzeb na morzu.

– Nie kracz, młody. Nie widziałeś tych, co wracali z wielkiej wojny. Mój wuj spod Sommy przyjechał w kawałkach. To znaczy bez ręki i nogi, których kości leżą tam gdzieś do dzisiaj. Ten tu jest młody i silny, a wuj Alfons miał już swoje lata. Wykaraska się jak nic.

Słowa Friedmana okazały się prorocze. Gorączka minęła na wysokości cieśniny Dardanele, ale rany Teodora goiły się przez całą podróż do Francji. W połowie drogi stały się jednak na tyle znośne, że mógł zasiąść do stolika z kartami, by grać z towarzyszącymi na pieniądze. Pozwalał im się ogrywać, bo czuł, że w ten sposób może choć trochę odwdziżyć się za wszystko, co dla niego zrobili. Drugim powodem, dla którego nie mógł skupić się na grze, były obrazy sprzed wypadku, pojawiające się raz za razem w jego głowie.

Najbardziej wyrazista była śliczna twarz Małgorzaty, pogrzebanej zapewne gdzieś pod rosnącymi topolami. Zdolna, młoda aktorka z poznańskiego teatru na dobre zdążyła się rozgościć w jego sercu. Oświadczył się, gdy tylko wyszło na jaw, że dziewczyna jest w ciąży. Wciąż miał wrażenie, że czuje, jak Małgorzata ściska mu ramię, jak robiła to chwilę przed tym, zanim ich samolot się rozbił. I to wspomnienie bolało bardziej niż wszystkie odniesione rany. Kiedy tylko mógł, wychodził na pokład. Kuśtykał, podpierając się kulami, zrobionymi przez zręcznych mechaników z ukradzionych załozde mioteł i szczotek. Godzinami mógł opierać się o relingi i patrzeć na wzburzone morze. Często zerkał na północ, zastanawiając się, co dzieje się z jego rodziną, ale wysokie fale nigdy nie odpowiadały na zadawane przez niego w duchu pytania.

Powitanie Polaków w Bejrucie wypadło źle. Miejscowi zrobili, co mogli, by przyjąć godnie uchodźców, ale żaden z przybyszów nie miał ochoty na świętowanie. Pojawiły się kwiaty, udekorowany trap i francuska orkiestra wojskowa, otoczona wiwatującym tłumem. Zmęczeni trudami podróży, licho odziani i wymizerowani Polacy wyglądali w tym otoczeniu zupełnie nie na miejscu. Wprawdzie Teodor miał w walizce kilka lepszych ubrań, ale nie wiedział, jak długo będzie musiał z nich korzystać, zanim kupi nowe. Został więc w tym, co miał na sobie niemal przez całą podróż. Nie chciał kłuć w oczy towarzyszy podróży swoim dostatkami. Na ich tle wyglądał jak prawdziwy lord.

Wygnańcy nie chcieli na dłużej zakotwiczać się w Bejrucie. Wielu z nich kierowało spojrzenia w stronę Francji, licząc, że sojusznicy złączą tam formować polskie siły zbrojne. Wieczorami przy kartach i papierosach snuli wizje wzięcia odwetu na hitlerowcach. Zanim zeszli na francuską ziemię, zostali zaokrętowani na luksusowym parowcu, który wziął kurs prosto na Marsylię. Zaproszono ich na wystawną kolację, na której przemawiał wraz z attaché. Było elegancko, podniosłe i... żenująco. Polacy, wyglądający jak żebracy obsługiwani przez kelnerów w koszulach białych jak śnieg. Teodor w trakcie całej kolacji nie spojrzał żadnemu z nich w oczy, a po jej zakończeniu odetchnął z ulgą.

– Myślisz, że dadzą nam tu walczyć? – spytał Władka, z którym wyszedł na papierosa. – Widziałem plakaty na statku. Wydają się bojowo nastawieni.

– Też je widziałem, ale nie znam francuskiego. Tylko się domyślam, co jest na nich napisane.

Obrócił się i spojrzał na przyklejony do ściany afisz. Olbrzymie, zaznaczone na czerwono wyrazy „Anglia” i „Francja” wraz ze swoimi terytoriami zamorskimi kontra „Niemcy”, stanowiące jedynie niewielki czarny skrawek mapy. Przewaga wydawała się przytłaczająca.

– *Nous vaincrons, parce que nous sommes les plus forts.* – Teo słabo znał francuski, ale to był w stanie przetłumaczyć: – Zwycięzimy, bo jesteśmy najsilniejsi – mruknął i pstryknął petem do wody. W oddali było już widać światła Marsylii.

Wbrew oczekiwaniom Francuzi przyjęli ich chłodno i z rezerwą. Podstawiono autobusy, którymi przewieziono uchodźców do prowizorycznych koszar. Zawszone sienniki na rozpadających się łózkach,

okna bez szyb, przez które dał zimny wiatr, i odrażające latryny sprawiały wyjątkowo przygnębiające wrażenie. Dużą część koszar zajęli polscy lotnicy, którzy szybko zaczęli wyrażać swoje niezadowolenie. Teodor trzymał się nadziei, że bojowo nastawieni Francuzi dadzą odpór Niemcom, a jeszcze bardziej, że pozwolą im wsiąść za stery myśliwców i samym dokopać okupantom.

To, że dał się zwieść pozorom, Teodor pojął w ciągu tygodnia. Francuzi nie bardzo wiedzieli, co zrobić z Polakami. Wprawdzie krążyły plotki o planowanym sformowaniu polskich dywizjonów lotniczych, wyposażonych we francuskie maszyny, ale Teodor, oceniając organizację ich armii, szczerze w to wątpił. Na pobliskim lotnisku piloci pojawiali się najwcześniej o dziesiątej, na potężnym kacu, wciąż jeszcze cuchnąc alkoholem, i zwykle do południa schodziło im na doprowadzeniu się do porządku. W tym czasie maszyny stały w równych rzędach, zupełnie nieprzygotowane na ewentualny atak Niemców.

* * *

Początek 1940 roku przyniósł jedynie rozczarowania. Uchodźcy głodowali i marzli, a kilku z nich nabawiło się zapalenia płuc. Teodor miał serdecznie dosyć Francuzów i wszystkiego, co z nimi związane. Inaczej wyobrażał sobie ten kraj. Szczególnie że guwernantka, która uczyła francuskiego jego i Brunona, roztaczała wizje miejsca będącego istną kolebką europejskiej cywilizacji. Krainy mlekiem i miodem płynącej. Kiedy spoglądał na brudne sienniki i zardzewiałą rurę imitującą prysznic, ogarniał go pusty śmiech.

Nadzieja na zmiany pojawiła się, kiedy oficerowie zaczęli poszukiwać ochotników do szkolenia na pilotów myśliwców oraz do wstąpienia do francuskiej armii. Teodorowi nie podobała się ta perspektywa. Chodziły jednak słuchy, że wkrótce mają być sformowane polskie jednostki. Zgłosił się i choć jego francuski daleki był od tego, czego życzyliby sobie miejscowi, to znajdował się w tej nielicznej grupie szczęściarzy, którzy potrafili się z nimi dogadać.

– Przecież porusza się pan o kulach. – Oficer zbierający kandydatury do szkolenia na pilota Armée de l’air¹¹ nie krył zdziwienia. – Jak chce pan podołać ćwiczeniom?

– Poradzę sobie. – Teodor odrzucił kule i postarał się stanąć prosto, nie zważając na ból w lewym boku. Żebra wciąż jeszcze się goiły, ale czuł się już znacznie lepiej. – Za tydzień będę w pełni sił.

– Cóż, mam pewne wątpliwości, ale widzę, że jest pan zdeterminowany.

Ku swojemu zaskoczeniu został wciągnięty na listę kandydatów. Skierowano ich do Montpellier. Szkolenie, które miało potrwać dwa lub trzy miesiące, skrócono do czterech tygodni, okazało się bowiem, że Francuzi mają przed sobą oblatanych pilotów, z których każdy spędził w powietrzu wiele godzin. Choć Teodor nigdy nie latał wojskowym samolotem, to ćwiczenia z Jaśkiewiczem doskonale przygotowały go do walki w powietrzu, a obsługę broni pokładowej opanował wyjątkowo szybko. Po zakończeniu szkolenia wszystkich uczestników spotkało jednak srogie rozczarowanie.

Nie przydzielono ich do frontowej jednostki, lecz zakwaterowano w podrzędnym hotelu w Lyonie i wypłacono skromne kieszonkowe, które ledwie wystarczało na wyżywienie. Teodor rozpakował walizkę, a ostatnią rzeczą, którą z niej wyjął, była aksamitna kamizelka wyszywana prawdziwą złotą nicią. Dostał ją w prezencie urodzinowym, a w bagażu znalazła się całkowicie przypadkowo, kiedy w pośpiechu wrzucał do niej ubrania. Stanowiła obecnie jedyną cenną rzecz, jaką posiadał. Złożył ją starannie, wsunął za pazuchę i ruszył na ulice Lyonu.

Choć w całym mieście porozwieszano plakaty informujące o zagrożeniu wojną, mieszkańcy Lyonu zdawali się zupełnie nie dostrzegać zagrożenia. Kawiarnie i restauracje były pełne gości, dobiegały z nich bez troski śmiech, gwar rozmów i śpiew. Na ulicach czasami można było spotkać uzbrojony patrol francuskiej piechoty, ale Teo szybko przekonał się, że wojsko zamiast przygotowywać miasto do obrony przed coraz realniejszym zagrożeniem, skupiało się na uszczuplaniu zapasów alkoholu i poszukiwaniu burdeli.

– Cóż, kamizelka jest niezwykle piękna i w normalnych czasach byłbym gotowy zapłacić za nią godną sumę, ale wie pan, co się mówi. – Lyonski krawiec przesunął dłonią po aksamicie. Teodor wszedł do jego zakładu, przyciągnięty widokiem garniturów zdobiących manekiny na wystawie. – Nadciąga wojna i bardziej opłaca się teraz kupić belę wojskowego brezentu niż takie чудо.

– Ile mógłbym za nią dostać?
– Piętnaście franków, nie więcej.
– Piętnaście? – Teodor niemal krzyknął. Zza rzędu wieszaków, na których wisiały marynarki i płaszcze wychyliła się ciekawska głowa. – Przecież jest warta co najmniej pięćdziesiąt.

– Zgadza się, ale w normalnych czasach.
– Na pewno znajdzie pan na nią kupca.
– Mogę dać co najwyżej dwadzieścia.
– Czterdzieści.
– Przykro mi, ale nie. – Krawiec delikatnie przesunął kamizelkę w stronę Polaka, dając do zrozumienia, że negocjacje są zakończone.

– To twoja kamizelka, młodzieńcze? – Teodor usłyszał za plecami damski głos. Kiedy się obejrzał, zobaczył kobietę w średnim wieku. Była ze trzy razy starsza od niego, niezbyt urodziwa, lecz nosiła się elegancko i dumnie. Potwierdził skinieniem głowy. – Niech mi ją pan zapakuje, panie Clement.

Dama otaksowała Teodora spojrzeniem, a on miał świadomość, że pewnie zdążyła to już zrobić wcześniej, gdy był zajęty rozmową z krawcem. Wytrzymał jej świdrujące spojrzenie.

Położyła na blacie banknot pięćdziesięciofrankowy i dała Teodorowi znak, by poszedł za nią. Przed kamienicą, w której znajdował się zakład Clementa, stała zaparkowana limuzyna. Kierowca wyskoczył z niej, gdy tylko usłyszał szcęk otwieranych drzwi. Towarzyszący im krawiec zapakował do bagażnika zamówiony wcześniej garnitur oraz wyszywaną kamizelkę.

– Dokąd jedziemy, *madame* Fontaine? – Kierowca otworzył drzwi limuzyny i skłonił się lekko.
– Do domu. Zapraszam, młodzieńcze. – Kobieta wsiadła do samochodu i dłonią w rękawiczce poklepała siedzenie obok.

Zawahał się, ale spełnił jej polecenie. Słyszał o francuskich damach, które prowadziły coś na kształt działalności charytatywnej na rzecz poszkodowanych przez wojnę. Fundowały wyżywienie, odzież, czasami zapraszały do domów.

Limuzyna była obszerna, wygodna, a jej wnętrze przesiąknięte zapachem tytoniu. Pani Fontaine wyciągnęła długą lufkę i wsunęła do niej papierosa. Kierowca zapalił go, nie zatrzymując pojazdu. Zrobił to tak wyćwiczonym ruchem, że Teo nie miał wątpliwości, że ten rytuał odbywał się w samochodzie co najmniej kilka razy dziennie.

– Jak się nazywasz i skąd jesteś?
– Janek Kowalski – skłamał gładko, wyszukawszy w pamięci najbardziej pospolite polskie nazwisko. Nie ufał tej kobiecie i nie miał pojęcia, czego mogła od niego chcieć. Miał przeczucie, że może jednak na tym dobrze wyjść. – Jestem z Polski.

– Och, jesteś jednym z tych odważnych Polaków, którzy przyłączyli się do Marsylii? W takim razie wypijemy za twoje zdrowie i twój kraj.

Pokiwał głową i zapatrzył się w krajobraz za oknem. Opuścili centrum Lyonu i udali się do dzielnicy willowej na przedmieściach miasta. Limuzyna zajęła przed niewielki dworek otoczony dębowymi alejkami oraz starannie przystrzyżonymi krzewami.

– Pani pozwoli, że ja to wezmę. – Teodor odebrał bagaże od kierowcy i podążył za *madame* Fontaine do środka. Wnętrze dworku było dokładnie takie, jak sobie wyobrażał. Wykończone w ciemnym drewnie, pełne obrazów i innych dzieł sztuki. – To garnitur dla męża?

– Dla syna – powiedziała, zapalając kolejnego papierosa. – Mój mąż zginął podczas wielkiej wojny.

Wyciągnęła z barku butelkę koniaku i naleła im po kieliszku. Usiedli na wielkiej skórzanej kanapie, ogrzewając się przy ogniu buzującym w kominku.

– Dlaczego mnie pani tu zaprosiła?
– Powinieneś to wiedzieć. – Roześmiała się i dmuchnęła mu dymem w twarz. Posłała mu spojrzenie, które nie pozostawiało wątpliwości. – Twoi towarzysze byli bardziej domyślni.

– Chyba mnie pani z kimś pomyliła.

Zmierzyła go od stóp do głów, jakby oceniając, co kryje się pod tym nieco już podniszczonym ubraniem.

– Zapewniam, że nie będziesz żałował. Idę na górę i masz być tam za piętnaście minut. Pierwsze drzwi po lewej prowadzą do łazienki. Wykąp się. Tylko porządnie.

Odwróciła się i weszła na piętro, ciągnąc za sobą długą smugę dymu. Chwilę później usłyszał, jak nastawiła gramofon. Myśl o byciu utrzymankiem tej wysuszonej francuskiej wdowy napawała go obrzydzeniem. Wolał przymierać głodem, niż upodlić się w ten sposób. Dopił koniak, odstawił kieliszek na dębowy stół i skierował się do wyjścia. Zanim opuścił jej domostwo, ukradł sznur pereł zawieszony na popiersiu greckiej bogini. Wziął też swoją kamizelkę. Uznał, że to wystarczająca rekompensata za straty moralne.

* * *

Przez kilka kolejnych tygodni robił wszystko, by nie umrzeć z nudów i głodu. Czasem pracował, czasem kradł, czasem, z różnym skutkiem, grywał w karty. Wreszcie, wraz z kilkoma innymi Polakami, został przydzielony do francuskiego dywizjonu stacjonującego na lotnisku Lyon-Bron. Przyjmujący ich dowódca okazał się mniej przychylny niż instruktorzy w ośrodku szkoleniowym.

– Zajmiecie barak C i będziecie czekali na rozkazy. Za każde wykroczenie przeciwko regulaminowi obowiązują przewidziane w nim kary. Postarajcie się nie zdemolować waszego baraku. – Wąsaty pięćdziesięciolatek poprawił na nosie okulary w drucianej oprawce. – Żadnego pijaństwa, burd ani awantur, rozumiano?

– Tak jest. – Głos Teodora dołączył do pozostałych. – A kiedy wreszcie polecimy? Wciąż siedzimy w koszarach.

– Spiesz się wam gdzieś, drogi panie? – Ostatnie słowa oficer wymówił z przekąsem. – A może przywieźliście ze sobą własne samoloty? Zapominacie, że jesteście naszymi gośćmi, żeby nie powiedzieć przybłędami. Powinniście być wdzięczni za wszystko, co otrzymaliście od narodu francuskiego, a słyszę tylko narzekania. Czy macie jeszcze jakieś skargi lub zażalenia?

– My tylko chcemy walczyć z Niemcami, panie poruczniku.

– Najpierw rozpętaliście tę wojnę, a teraz chcecie ją zakończyć? Obawiam się, że to nie takie proste.

– Niech pan się liczy ze słowami, poruczniku. – Teodor zacisnął pięści. Przez szereg Polaków przeszedł pomruk niezadowolenia, jednak nikt, prócz niego, nie odezwał się głośno. – To nie my rozpoczęliśmy wojnę.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami – francuski oficer pełnym rozdrażnienia, zaś Teo wściekłości.

– Dobrze, wkrótce będziecie mogli dowieść swojej wartości. – Ton oficera złagodniał. Porucznik Armée de l’air najwyraźniej wyczuł, że zepchnął Polaka do narożnika, z którego jedyną ucieczką był atak. – A teraz udajcie się do baraku i czekajcie na rozwój wydarzeń.

Im dłużej Teodor przebywał w Lyon-Bron, tym gorsze zdanie miał o francuskiej armii, począwszy od podoficerów, którzy wciąż mentalnie tkwili w realiach wielkiej wojny, skończywszy na personelu naziemnym. Kiedy rozmawiał z pilotami Armée de l’air, czy to frontowymi, czy też ich dowódcami, i opowiadał o świetnie wyposażonej, bezwzględnej i zabójczej Luftwaffe, spotykał się z pełnymi niedowierzania uśmiechami. Mechanicy zaś nie dość, że nie potrafili szybko naprawić wciąż psujących się samolotów, to jeszcze robili wokół siebie niewyobrażalny bałagan, za który Teodor już wkrótce miał zapłacić.

W kwietniu nastąpił wreszcie długo wyczekiwany moment. Wraz z kilkoma innymi Polakami został przydzielony do dywizjonu, który miał patrolować okolice fabryk zlokalizowanych w centralnej części kraju. Zadanie było przeraźliwie nudne, a oni sami doczekali się prześmiewczego przewiska „kominarzy”, przez większość czasu latali bowiem wokół kominów wielkich factorii.

Dziesiątego maja czterdziestego roku Niemcy uderzyli na Francję, ale nie znaczyło to wiele ani dla jej obywateli, ani dla wojska. Teodor odbywał właśnie kolejny nudny, kominiański lot, gdy zobaczył nad sobą dwanaście maszyn ze swastyką na ogonie.

– Niemcy! Niemcy na trzeciej, wysoko! – wrzasnął do radia. Wprawdzie rozpętała się prawdziwa kakofonia głosów, ale nie padły żadne wyraźne rozkazy.

Nie zastanawiał się długo. Otworzył przepustnicę i ruszył w ich kierunku. Nikt z klucza nie podążył za nim. Francuzi lecieli dalej obranym kursem, zupełnie jakby to nie dotyczyło ich kraju.

– Cholerny grat – zaklął Teo, pomstując na niewystarczająco szybkie wznoszenie blocha MB.152¹², w które wyposażony był cały dywizjon. Wprawdzie francuski samolot był znacznie lepszy od tego, czym Teodor latał w Polsce, ale i tak nie był w stanie dopaść i zaskoczyć znajdującego się wysoko przeciwnika. Teodor jednak nie zwracał na to uwagi. W końcu i tak ich dojdzie! Miał cały bak paliwa, a Niemcy prędzej czy później będą musieli zawrócić. I na tę okoliczność czekały zamontowane na jego pokładzie dwa działka i dwa karabiny maszynowe. – Lećże, do diabła!

Na szczęście Niemcy nie spostrzegli go albo zwyczajnie zignorowali, uznając za niewielkie zagrożenie. Zanim ich dogonił, byli już nad Amiens. Ustawił się powyżej nich, od strony słońca. Z niepokojem obserwował, jak smukła sylwetka messerschmitta Bf-109¹³ rośnie w celowniku. Kiedy wreszcie zajął niemal całą jego powierzchnię, Teodor przesunął palec na spust i nacisnął go.

Klang – klang.

Nic się nie wydarzyło. Nie poczuł charakterystycznych wibracji, w jakie wprawiały płatowiec cztery plujące pociskami lufy. Albo po raz kolejny samolot miał usterkę, albo – co bardziej prawdopodobne – ci cholerni francuscy mechanicy nie uzbroili go należycie. Zrozumiał, że właśnie położyli jego życie Niemcom na tacy. Dwie skrajne stodziewiątki robiły teraz zwrot przez skrzydło, by wsiąść mu na ogon. Otworzył przepustnicę do maksimum i runął w dół, licząc, że maszyna wytrzyma i uda mu się dolecieć do najbliższych obłoków.

Dopadli go w połowie drogi. Pierwsza oddana seria podziurawiła blocha jak sito. Teodor był na to przygotowany i kiedy tylko samolot stracił sterowność, odpiął pas i wyskoczył. Pęd powietrza rzucił go w tył, a maszyny wroga przeleciały górą. Bał się, że zaczną do niego strzelać, gdy tylko otworzy spadochron, postanowił więc zrobić to, kiedy wleci w chmury. Po zmieniającym się dźwięku wywnioskował, że piloci Luftwaffe wracają do szyku, ale odetchnął z ulgą dopiero, gdy postawił stopy na ziemi.

Wojna we Francji była skończona. Wiedział to, zanim na dobre niemiecka machina rozpędziła się, prac na zachód. Musiał za wszelką cenę dostać się na drugą stronę kanału La Manche i po raz pierwszy pożałował straconego blocha.

Liczył, że w Wielkiej Brytanii znajdzie to, czego nie znalazł tutaj. Szansę na zemstę.

Choć dziadek Edek zwykle spędzał czas w swoim pokoju, to wypełniał dom dźwiękami. Jak nie wydmuchiowaniem nosa, to szeleszczeniem gazety, siorbaniem herbaty lub złorzczeniem pod nosem. Teraz, gdy zabrano go do szpitala, dom wydawał się Magdzie pusty i niekompletny. Zabrakło czegoś ważnego, co było tutaj, od kiedy pamiętała. Zabrakło jego obecności. Wciąż jeszcze mogła wyczuć zapach wody po goleniu i mydła, którego używał. Co chwilę miała wrażenie, że dziadek zawoła ze swojego pokoju i poprosi o coś. A jednak nie słychać było nic oprócz tykania zegara. Dom milczał. Choć bywała w szpitalu tak często i długo, jak mogła, to chciała, żeby dziadek już wrócił. Na szczęście w ciągu kilku dni miał zostać wypisany.

Zrobiła wszystko, co zaplanowała: odkurzyła dokładnie wszystkie pomieszczenia, zmieniła pościel na łóżku dziadka, wytarła kurze z mebli i nablyszczyla je specjalnym środkiem, umyła okna w salonie i kuchni. Na sam koniec zostawiła do posprzątania swój pokój. Układając książki, natrafiła na metalową skrzynkę, którą Jakub z Wiktoria, kierując się wskazówkami dziadka, wykopali w ogrodzie. Czula, że znajdują się w niej rodzinne tajemnice, i nie była do końca pewna, czy powinna w nich grzebać. Skoro ktoś chciał coś ukryć, to znaczy, że miał ku temu powód.

Pchana ciekawością otworzyła jednak skrzynkę i zaczęła przeglądać znajdujące się w niej rzeczy. Wyciągnęła nieduży medalion. Był w dobrym stanie, choć przez te lata zdążył pokryć się grubą warstwą brudu. Kiedy Magda wyczyściła go za pomocą ściereczki, ciepłej wody i odrobiny szarego mydła, jej oczom ukazał się wyryty w metalu wizerunek mężczyzny w aureoli.

– Święty Józef z Kupertynu – odczytała głośno napis okalający głowę postaci.

Na grzbiecie medalionu znajdował się zawias, wsunęła więc paznokieć z drugiej strony i rozchyliła blaszki, skrywające dwa zdjęcia. Były zdumiewająco dobrze zachowane. Medalion dobrze je zakonserwował. Z fotografii patrzyli na nią młody poważny mężczyzna i jego towarzyszka, brunetka o śmiałym spojrzeniu. Obracając biżuterię w palcach, zastanawiała się, kim byli.

Potem wyjęła ze skrzynki medal zapakowany w papierową kopertę ręcznej roboty. Była brudna i nosiła ślady wielokrotnego otwierania. Potrząsnęła pamiętką i drgnęła, kiedy skóra zetknęła się z chłodnym metalem. Na czarno-biało-czerwonej wstążce zawieszono Krzyż Żelazny. Na samym środku widniała wyraźna swastyka. Magda odblokowała ekran telefonu i szybko wyszukała informacje o odznaczeniu: Krzyż Żelazny I klasy nadawany za męstwo na polu walki i sukcesy dowódcze. A więc dziadek był żołnierzem Wehrmachtu. Wprawdzie wiedziała, że wielu Polaków zostało pod przymusem wcielonych do tej formacji, ale nie sądziła, że spotkało to także dziadka Edka. Nigdy nawet nie wspominał, że był za granicą, a o wojnie nie chciał mówić wcale. Magda czuła, że musi kryć się za tym niezwykłą historią.

Już sięgała po listy, kiedy zawibrował jej telefon. Kiedy okazało się, że to tylko informacja o jakiejś promocji, odłożyła kopertę. Nie mogła się już skupić. Nie znosiła niewyjaśnionych spraw, a ta ostatnia, z Kubą, nie dawała jej spokoju. Od dłuższego czasu liczyła na jakąś wiadomość od niego, ale milczał. Wyrzwała przez okno i z niechęcią pomyślała o wyjściu.

Poranek był chłodny i deszczowy, a jednak postanowiła się przejść. Wiedziała, w której przychodni pracuje Kuba i o której kończy dyżur. O ile go znała, była pewna, że opuści gabinet pewnie godzinę później, kiedy przyjmie wszystkich nadprogramowych pacjentów. Przeszła wzdłuż parku Oliwskiego, przecięła Grunwaldzką i skręciła w stronę Żabianki. Mijając znajdującego się nieopodal skrzyżowania McDonalda, skrzywiła się z niesmakiem. Nie miała o nim dobrych wspomnień. Przyspieszyła kroku, przeskakując kałuże.

Znała te okolice całkiem nieźle. Kiedy z Wiktoria były starsze i nie chciało im się siedzieć na rodzinnych imprezach, włóczyły się po całej Oliwie, Przymorzu i Żabiance. Wiosną i latem zaglądały do zoo, ale poza sezonem zamykano je wcześniej. Potem Wiktoria zmieniała się w zbuntowaną nastolatkę i towarzystwo starszej siostry przestało jej być na rękę.

Terenówkę Jakuba zobaczyła z daleka. Po chodniku kręciło się niewielu ludzi, bo większość mieszkańców Żabianki, w przeciwieństwie do niej, była w pracy. Wybrała jedną z ławek, położyła na

mokrych deskach egzemplarz darmowej gazety, który dostała po drodze, i usiadła. Naciągnęła na głowę kaptur i przeglądała informacje w telefonie.

Z Facebooka i Instagrama korzystała rzadko, bo po pierwsze nie miała za bardzo co pokazywać, a po drugie irytowały ją te wszystkie koleżanki chwalone się swoimi rodzinami, dopiero co narodzonymi dziećmi, starymi lub nowymi mężami, bogatym życiem towarzyskim, sukcesami zawodowymi albo podróżami w najdalsze zakątki świata. Magda zazdrościła im i otwarcie się do tego przed sobą przyznawała. Ona nie mogła się niczym takim pochwalić. To dlatego wołała Kinga niż Facebooka. Schowała telefon, gdy zaczęło mocnej kropić, i stanęła pod drzewem.

Przez następną godzinę obserwowała powstające na kałużach bąble. Tak jak się spodziewała, Jakub nie skończył zgodnie z czasem zapisanym w grafiku. Nie był tym typem lekarza, który zamykał gabinet, gdy tylko kończył się dyżur. Wreszcie drzwi przychodni się otworzyły i zobaczyła go. Niósł lekarską torbę, a tekturową teczką osłaniał głowę przed deszczem. Podeszedł do samochodu i zobaczył Magdę. Wstawił torbę do środka i zbliżył się.

– Jeśli koniecznie chcesz złapać coś paskudnego, to równie dobrze mogłaś wejść do środka. – Mężczyzna zmarszczył brwi i wskazał na budynek za swoimi plecami. – Grypa, angina, krztusiec: do wyboru, do koloru.

Magda wyszła spod drzewa i starła kroplę, która zawisała na samym czubku jej nosa. Zdawała sobie sprawę, że wygląda żałośnie, ale miała to gdzieś.

– Chciałam pogadać.

– To najgłupsza wymówka, jaką słyszałem.

– Nie mam innej. – Wzruszyła ramionami. Choć ubrała porządną kurtkę przeciwdeszczową, to ona też miała granice wytrzymałości. Godzinna ekspozycja na deszcz znacznie je przekroczyła. Chciała dodać coś jeszcze, ale kichnęła.

Tego było dla Jakuba zbyt wiele.

– Wsiadaj do samochodu. Pogadamy przy herbacie.

Bez słowa zrobiła, co kazał. Nie protestowała, gdy zawiózł ją do swojego mieszkania. Ściągnęła buty i poczłapała do pokoju, zostawiając na kaflach mokre ślady. Jakub zniknął na chwilę i wrócił z ręcznikiem, bluzą z kapturem, skarpetkami i spodniami dresowymi.

– Sorki, nic innego nie mam.

– Mogliśmy pojechać do mnie – powiedziała, susząc włosy. – To znaczy do dziadka. Do jego domu.

– Musiałem przyjechać najpierw do siebie. Mama zabiera Kaszla, kiedy mam takie długie dyżury. Umówiłem się, że przyprowadzi go, kiedy skończę. Zadzwoniłem do niej, zanim wyszedłem z przychodni, pewnie niedługo przyjdzie.

– Jak ona się ma? No wiesz, po rozstaniu z twoim ojcem?

Nie odpowiedział od razu. Podeszedł do otwartej kuchni i nastawił wodę na herbatę. Wyjął dzbanek z sitkiem i wsypał do środka zielone liście. Oparł się rękoma o blat i zatopił w myślach, które, sądząc po minie, chyba nie należały do przyjemnych.

– Jakoś daje sobie radę, choć na początku było jej bardzo ciężko. Przez długi czas brała winę ojca na siebie i czuła się jak jego współniczka. Bardzo to odchorowała. Na szczęście znalazłem dobrego terapeutę, który pomógł jej dojść do siebie.

– Przykro mi. Lubiłam ją, kiedy... – Urwała, zastanawiając się, czy na pewno chce do tego wracać. Kuba czekał jednak, aż dokończy myśl. Czajnik zagotował wodę, ale gospodarz nie ruszył się z miejsca. – Widziałam ją wprawdzie tylko kilka razy, ale wydała mi się sympatyczna.

– To dobra kobieta, która trafiła na nieodpowiedniego mężczyznę. Choć rozwód był dla niej szokiem, to od tego czasu może znowu być sobą i nie zastanawiać się, czego jeszcze nie wie o swoim mężu – stwierdził sucho.

Kiedy woda wystygła do odpowiedniej temperatury, zalał herbatę i postawił dzbanek na stole. Magda wzięła ubrania i zniknęła w łazience. Były o wiele za duże i wciąż pachniały kosmetykami Jakuba.

Kiedy wróciła, na stole stały kubki z herbatą i jedzenie: nachosy, pokrojone w słupki warzywa,

sos salsa, dwa rodzaje oliwek i kawałki chorizo, niedbale rozrzucone na talerzyku. Sięgnęła po łyżkę selera naciowego i ugryzła z głośnym chrupnięciem. Dłonie wciąż miała zimne, dlatego z ulgą oplotła palcami gorący kubek.

– Kuba, ja... Chciałam cię przeprosić – zaczęła, a głos uwiązł jej w gardle. Bała się, że zaraz się rozplacze, a tego nie chciała. Uświadomiła sobie, że nigdy nie wyleczyła się z uczucia do siedzącego naprzeciwko niej mężczyzny. – Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Przez cały ten czas, kiedy spotykaliście się z Wiki, ja walczyłam ze sobą.

– Jak to?

– Z jednej strony miałam poczucie, że powinnam cię ostrzec, bo wiedziałam, jak ona traktuje mężczyzn, z drugiej pielęgnowałam nadzieję, że może się zmieniła. Nie zawsze była taka...

– Zimna i wyrachowana?

– Mhm – mruknęła i upiła nieco herbaty. Przyjemne ciepło zaczęło rozlewać się po całym ciele.

– Było mi źle, kiedy widziałam ten sam błysk w twoich oczach, jak wtedy... wiesz. Przepraszam, głupio wyszło.

Spojrzał na nią z bólem i rozczarowaniem w oczach. Przez chwilę wyglądał jak mały chłopiec, który popsuł ulubioną zabawkę, i to w taki sposób, że nawet naprawiona nigdy nie będzie już tak samo fajna.

– Magda, tyle lat – westchnął – to kawał czasu. A jeśli przez ten czas twój świat wali się dwa razy, niełatwo złapać równowagę. Najpierw bezskutecznie próbowałam cię odzyskać, a potem zaczęło się psuć w mojej rodzinie. Ojciec przeczuwał, że coś wisi w powietrzu. Zaczął więcej pić, wszczynać awantury, kilka razy uderzył mamę, a mnie próbował wyrzucić z domu. Potem go aresztowali, a nasze życie zamieniło się w koszmar. W domu regularnie pojawiały się służby, które szukały dowodów w sprawie. Za płotem stały wozy transmisyjne, a dziennikarze nie dawali nam żyć. Ból po tobie został w ten sposób skutecznie zagłuszony.

Przez jakiś czas przyswajała to, co usłyszała. Kiedy ona w swoim egoizmie przeżywała zawód miłosny, w jego życiu rozpętało się piekło.

– Byłam taka głupia, Kuba. – Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać. – Pamiętam – podniosła na niego zażawione oczy – że cieszyłam się, że dopadła cię sprawiedliwość. Wciąż jeszcze wściekałam się za to, co myślałam, że zrobiłeś.

– W porządku, rozumiem. – Położył dłoń na jej ramieniu. Poczwała przepływające przez materiał ciepło. – Przez długi czas te wspomnienia z naszych wspólnych chwil trzymały mnie jakoś przy życiu. A wtedy ja mogłem trzymać przy życiu mamę. Możesz mi nie wierzyć, ale nie było dnia, w którym bym nie żałował, że nam się nie udało. A teraz spotkałem cię po latach i okazało się, że wciąż mi nie wybaczyłaś.

– Ale przyznaj, że dałam z siebie wszystko, żeby nie okazywać ci niechęci. – Magda zdobyła się na błądy uśmiech i wytarła łzy. – Nie zepchnęłam cię ze schodów, gdy przyszedłeś do dziadka, tylko dlatego że minęło tyle czasu.

– Przyznaję, miałaś ku temu podstawy. A potem jeszcze Wiktoria zawróciła mi w głowie.

– To mnie akurat w ogóle nie dziwi. Dziewięciu na dziesięciu facetów umówiłoby się z nią bez mrugnięcia okiem.

– A ten dziesiąty wolałby pozostałych dziewięciu?

Roześmiali się, czując, jak gęsta atmosfera zaczyna się rozluźniać. Magda nie mogła nie zauważyć, że wciąż bawiły ich te same rzeczy. Kiedyś było tego więcej. Lubili tę samą muzykę, pasjonowali się podobnymi historiami, czy to z książek, czy z kina. I mieli podobne pomysły na życie. Szkoda, że nie trafili na siebie później, kiedy oboje byli bardziej dojrzały. Może wtedy to ona byłaby na miejscu Wiktorii, która ewidentnie skradła serce Kuby.

– Żebyś wiedział. Nie masz pojęcia, ile razy wpakowałam się przez nią w kłopoty.

– Ty? Dlaczego?

– Kiedy już wyszła ze swojej skorupy, zaczęła być bardzo... towarzyska. Zwykle gustowała w tych niegrzecznych. Czasami musiałam kryć ją przed rodzicami, a kiedyś nawet udawać, że jej nowy chłopak jest mój.

– Jak to?

– Zapomniała zerwać z poprzednim chłopakiem i już przytuliła nowego. Tamten stary nie odpuszczał i kiedyś przyszedł bez zapowiedzi do nas do domu. Wika przybiegła do mnie i obiecała złote góry, jeśli tylko powiem tamtemu, że Michał to mój facet.

– A co się stało, że wyszła ze skorupy? Pamiętam ją jako pankówkę. Chodziła w glanach, skórzanej kurtce i rzucała wszystkim nieprzyjazne spojrzenia.

– Nikt nie wie. Jeszcze jako dziewczynki biegałyśmy po podwórku w sukienkach i sandałach. To prawda, zawsze lubiła nieco ryzykowne zabawy. A w liceum miała chłopaka, który był dla niej całym światem. Potem zerwali, a Wiki zamknęła się w sobie. To wtedy zaczęła nosić glany i słuchać punka.

– Przepoczwarzała się?

Magda sięgnęła po przekąskę i zaczęła ją powoli przeżuwać. Wiktoria była czystym chaosem i nawet poskładanie do kupy etapów jej młodości wiązało się ze wspomnieniami niezliczonych kłótni i wojenek, jakie ze sobą toczyły.

– To chyba dobre porównanie. Tylko że motyl, który wyfrunął z poczwarki, był dla mężczyzn tak samo piękny, jak i niebezpieczny. Zaczęła ich zmieniać jak rękawiczki, ale myślałam, że po prostu trafia na nieodpowiednich. To dlatego kiedy zaczęliście się spotykać, naprawdę sądziłam, że wam się uda. – Posłała mu niepewne spojrzenie. – Bo mimo wszystko uważałam, że trafiła wreszcie na porządnego faceta.

– Dzięki, że tak pomyślałaś. – Kuba uśmiechnął się ciepło. – Może za szybko skreśliłem Wiktorię.

Chciał dodać coś jeszcze, ale rozległ się dzwonek do drzwi, a zaraz po nim usłyszeli szczekanie, donośne i do złudzenia przypominające kaszel.

Anglia, 29 maja 1940 roku

– Nie może pan tak po prostu wstąpić do RAF¹⁴, *sir*. – Oczy urzędnika wyrażały skrajne zdziwienie. – Jest pan Polakiem.

Nie rozumiał, czego chce od niego ten mężczyzna, mówiący z silnym wschodnim akcentem. Co prawda po ewakuacji Dunkierki do Wielkiej Brytanii napłynęło także wielu uchodźców, w tym żołnierzy przeróżnych jednostek z całej Europy, ale RAF to elitarne wojsko, gdzie do tej pory służyli wyłącznie Brytyjczycy.

Anglik westchnął i sięgnął po telefon, z którego zadzwonił do swojego przełożonego, a potem jeszcze w kilka innych miejsc. Urzędnik czuł, że jeśli nie skieruje gdzieś przybysza z Polski, ten wróci i będzie znowu domagał się od niego czegoś niemożliwego. Znał ten typ. Ludzi, którzy nigdy nie odpuszczają. Wyrzucisz ich drzwiami, a oni wejdą oknem, a jeśli wyrzucisz ich oknem, znajdą wejście od piwnicy. To dlatego wolał pozbyć się go raz a dobrze.

– W porządku, myślę, że coś dla pana mam. Do Eastchurch skierowano polskich lotników, którzy przybyli tutaj przed panem. Ochotnicza Rezerwa RAF będzie być może szkoliła ich do latania w siłach powietrznych Wielkiej Brytanii. Sugeruję, żeby pojechał pan tam i złożył aplikację.

Teodor podziękował, udając, że nie widzi ulgi na twarzy urzędnika. Wziął swoją uszkodzoną w katastrofie samolotu walizkę, która jakimś cudem wypadła podczas zderzenia z ziemią, i udał się na przystanek, by wsiąść do autobusu do Eastchurch. Wiadomość, że na miejscu są już Polacy, napawała go nadzieją. Po czterogodzinnej podróży znalazł się u celu.

Miejscowi pokierowali go do bazy lotniczej. Kolejka chętnych do rozmowy z oficerem była długa. Teodor ściągnął z parapetu stare wydanie gazety, usiadł pod oknem i zaczął czytać. Po trzech godzinach nadeszła jego kolej. Biuro było duszne, przepełnione zapachem starego papieru i dymu tytoniowego. Fajka oficera leżała w popielniczce i dogasała.

– Ma pan jakieś dokumenty? – spytał, gdy upewnił się, że Teodor rozumie, co do niego mówi. Większość przybywających Polaków nie znała po angielsku ani słowa. Nieraz słyszał przez szparę w drzwiach poirytowany głos oficera. – Dokumenty?

– Ach, tak. Przepraszam, zamyśliłem się. – Teodor podał papier potwierdzający jego tożsamość. Wcześniej poświęcił sporo czasu na spreparowanie go. Wypalił zapałką dziurę w miejscu drugiego członu swojego nazwiska. Brzmiało zbyt niemiecko i mogło przekreślić szanse na zostanie pilotem. Widząc podejrzliwy wzrok żołnierza, zrobił zmartwioną minę. – Po drodze dopadli nas Niemcy. To wszystko, co mam.

– Bardzo mi przykro. Wiem, że nie było łatwo się tu dostać. Przynajmniej ma pan jakieś papiery. A doświadczenie?

– Potrafię latać. Ukończyłem kurs pilota myśliwskiego i zdałem egzaminy. Wojna zastała mnie tuż przed powołaniem do eskadry – skłamał gładko. W podróży miał wystarczająco dużo czasu, by móc przemyśleć wersję wydarzeń na każdą okoliczność. Anglik wydawał się nią usatysfakcjonowany. Podał mu plik formularzy do wypełnienia oraz Regulamin Królewski.

– Proszę to wypełnić i zacząć uczyć się regulaminu. W najbliższych dniach zostanie pan zbadany pod kątem przydatności w służbie RAF. Oficer kwaterunkowy zaprowadzi pana do koszar i wyda niezbędne rzeczy. Powodzenia.

Francuska prowizorka budziła jedynie śmiech politowania na tle tego, co zastał w brytyjskich koszarach. Murowane budynki były ciepłe i wyposażone we wszystkie niezbędne wygody. Dostał łóżko, pościel i mundur bez dystynkcji. Świeżo wyprany, wyprasowany i pachnący wojskowymi środkami czystości. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało znacznie lepiej niż we Francji. Irytowało jedynie to, że Brytyjczycy byli jeszcze bardziej opieszali. Po kilku dniach, w trakcie którego jedynym łamiącym schemat wydarzeniem było niezbyt przyjemne badanie lekarskie, Teodor zaczął się zwyczajnie nudzić.

Wraz z grupką Polaków snuł się po bazie, czym drażnił brytyjskich oficerów, ale i to zajęcie nie stanowiło dla niego rozrywki.

– Po co ci ten „bicykiel”? Chodź z nami do miasteczka – zagadnął jeden z polskich żołnierzy zakwaterowanych w jego budynku. Przyglądał się, jak Teodor metalową szczotką oczyszcza z rdzy rower kupiony od jednego z angielskich podoficerów za niemałe pieniądze.

– I co będę tam robił?

– No jak co? Podrywał panny na wydaniu!

– Jak wy chcecie podrywać panny, skoro nie znacie języka?

– My nie znamy? – zaperzył się Polak. Wyprężył się dumnie jak na apelu. – To zobacz: *ju wery bjutiful*. Albo to: *aj law ju!* Widzisz? Więcej nie potrzeba. Angielskie pannice chcą słuchać tylko tego.

Teo machnął ręką, uznając dalszą rozmowę za stratę czasu. Kiedy wyrzucił rower, zaczął objeżdżać okolicę, by choć trochę poznać jej topografię. Eastchurch było położone na wyspie Sheppey, nieopodal ujścia Tamizy. Przez godzinę można było objechać rowerem jeszcze kilka, równie nieciekawych jak Eastchurch, miejscowości. A jednak wycieczki po okolicy sprawiały Teodorowi przyjemność.

Podobały mu się łąki poprzecinane siecią kanałów, kościółki budowane z szarego kamienia, rude bydło, tak różne od tego hodowanego w ojczyźnie, oraz kamieniste plaże, choć te akurat ustępowały urokiem bałtyckim.

Teo był akurat w połowie drogi do Warden, gdzie podobno podawano najmocniejsze piwo na wyspie, gdy przez ciszę przedarł się kobiecy głos wzywający pomocy.

Stał na pedałach roweru i rozejrzał się. Dopiero gdy w zimowym słońcu osłonił ręką oczy, zobaczył stojącego dęba konia, którego starała się okiełznać jakaś kobieta. Klacz była młoda, pięknie zbudowana i najwyraźniej nie w smak było jej noszenie jeźdźca. Próbowalateraz pozbyć się ciężaru z grzbietu. Teodor rzucił rower i czym prędzej ruszył w ich stronę. Przesadził niewielki kamienny murek i dobiegł, zanim na dobre zdążył złapać zadyszkę. W folwarku rodziców nieraz miał do czynienia z wierzchowcem, którego poniosły emocje, i wiedział, jak postępować.

Pokazał się klaczy, by ta nie czuła zaskoczenia. Znow stała dęba, niemal zrzucając z siebie jeźdźca i próbując trafić Teodora przednimi kopytami.

– Rzuć mi sznur! – krzyknął po angielsku, starając się przebić przez głośnie rżenie. Zapomniał, a może nigdy nie wiedział, jak w tym języku nazywają się lejce. – No, dalej!

Kobieta przez chwilę wahała się, ale w końcu uległa jego zdecydowanemu głosowi. Klacz szarpnęła się, ale był przygotowany. Wprawdzie pociągnęła go kilka metrów po błocie, jednak utrzymał się na nogach. Nie z takimi narowistymi wierzchowcami miał do czynienia. Ot, choćby jego Grom. To był dopiero charakterny ogier.

Wyczekał moment i skrócił dystans do klaczy.

– Spokojnie, panienko – zaczął mówić stonowanym głosem i starał się nie wykonywać gwałtownych ruchów. – Tylko spokojnie.

Trwało to jeszcze dłuższą chwilę, ale z każdą sekundą koń coraz bardziej się uspokajał, aż w końcu pozwolił przybyszowi na podejście i poklepanie po szyi.

– Dzięki Bogu, że był pan tak niedaleko. – Kobieta zsiadła z wierzchowca i otarła spocone czoło. – Uratował mi pan życie.

– To nic takiego. Po prostu następnym razem proszę uważać. Takie młode konie bywają szczególnie straszne.

– Strachliwe? – poprawiła go, a Teo skinął głową. – Nie każdy ruszyłby na pomoc, widząc szalejącego konia. – Spojrzała na niego uważnie i wyciągnęła rękę do powitania. – Rosie Millward.

Teodor ujął jej dłoń, uklonił się i pocałował. Nie mógł się nie uśmiechnąć na widok rumieńca wypełniającego na jej twarz. Rosie nie była zbyt urodziwą dziewczyną. Miała piegowaną cerę i duże, nieco krzywe zęby, ale na pierwszy rzut oka Teo widział, że nie pochodziła z gminu. Dosiadała doskonałego konia, nosiła wyszywaną jedwabiem suknię, a jeden z palców zdobił pierścień z rubinem. Swoją zawsze wyczuwał swego, nawet jeśli należał do obcej narodowości.

– Teodor Bury. Oficer sił powietrznych Rzeczypospolitej Polskiej, a niedługo pilot w szeregach

lotnictwa Jej Królewskiej Mości.

– Oficer? To niech pan mnie odprowadzi, papa będzie koniecznie chciał pana poznać. Akurat jest w domu.

– Jeśli sprawi to paniencie przyjemność, bardzo chętnie.

Poszedł po swój rower, a Rosie wzięła klacz za uzdę. Przez jakiś czas wspinali się po łagodnym wzgórzu, a kiedy wreszcie doszli na szczyt, ujrzeni zachwycający widok. Z jednej strony widać było ciemne wody Morza Północnego, z drugiej zaś podzielone na parcele pola oraz łąki, wśród których ukrył się niewielki dworek. Był urokliwy, choć w niczym nie przypominał Dębienca. Teodor zatęsknił za lasami wokół niego, gdzie polował ze swoim sztucerem, za meandrującą Wartą i polami, przez które galopował na koniu. Najbardziej jednak tęsknił za bliskimi, których mógł nigdy już nie zobaczyć.

– O czym pan myśli? – spytała, widząc jego nachmurzoną twarz.

– O tym, co zostawiłem za sobą.

– Czy Niemcy naprawdę są tacy straszni? Są podobno arogancy, zabierają ludziom, co im się podoba, i wyjątkowo nie lubią Żydów.

Są o wiele gorsi, niż potrafisz sobie wyobrazić, angielska cipo, pomyślał rozeźlony jej ignorancją, ale nic nie powiedział. Skinął tylko głową. Zbliżali się do posesji przynależącej do dworku. Niedaleko ogrodzenia stał wysoki mężczyzna, który uważnie im się przypatrywał. Za jego plecami stał osiodłany koń.

– Rosie, kochanie, gdzie cię poniosło? Martwiłem się, że nie okiełznasz klaczy, i już miałem jechać za tobą.

– Och, papo, nic się nie stało. Windy wystraszyła się prześcieradła, które furkotało na wietrze. Na szczęście z pomocą przyszedł mi ten dżentelmen z Polski. To jest Teodor. – Zrobiła gest dłonią, którą wskazała na gościa.

– Howard Millward. – Ojciec dziewczyny wyciągnął rękę. Był potężnie zbudowanym mężczyzną o kwadratowej szczęce i okazałych wąsach. Nosił wojskowe spodnie na szelkach, ale i bez tego Teo domyśliłby się, że jest oficerem. Patrząc zaś po sposobie bycia, nawet wysoko postawionym. – Dziękuję za uratowanie mojej córki, młodzieńcze. Jestem niezmiernie zobowiązany.

– To drobiazg, sam nieraz byłem w podobnej sytuacji, *sir*.

– Doprawdy? Znasz się na koniach, synu?

– Mieszkałem na wsi, gdzie moi rodzice mieli majątek. Kiedyś dużo jeździłem konno.

– Jesteś z Polski, tak? – Millward spojrzał na Teodora z powagą. – Przykro mi z powodu tego, co zrobił wam ten cholerny Hitler. Skopiemy mu tyłek, jak tylko zbliży się do Kanału Angielskiego¹⁵. Jesteś żołnierzem, synu?

– Pilotem. Skończyłem kurs lotniczy w Polsce. Chciałbym wstąpić do RAF, *sir*.

– Popatrz, jaki ten świat mały... Zaprosiłbym cię na szklaneczkę czegoś mocniejszego, ale muszę jechać do sztabu generalnego. Rosie, matka chciałyby cię zobaczyć.

– Ale, papo, myślałam, że będę mogła zaprosić Teodora na herbatę...

– To nie przystoi damie w twoim wieku, Rosie. Na pewno będą ku temu bardziej sprzyjające okoliczności. Młodzieńcze, gdybym kiedyś mógł jakoś ci się odwdzięczyć, nie wahaj się prosić.

– Dziękuję, *sir*. Miłego dnia. Do widzenia, panienko Rosie.

Teodor wsiadł na rower i poskrzypując łańcuchem, odjechał, zostawiając oboje w obejściu.

* * *

Kiedy kilka dni później opowiedział o tym zdarzeniu jednemu z brytyjskich instruktorów, ten ze zdziwienia zakrztusił się herbatą.

– Córka Howarda Millwarda? Generała Millwarda? Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie, mówię prawdę. To ktoś ważny?

– Ważny? Jeden z najważniejszych oficerów w lotnictwie. Zaufany samego generała Dowdinga. Wiesz, że gdybyś chciał, to już latałbyś na jednym z hurricane'ów¹⁶?

– Mój błąd. – Teo wzruszył ramionami, udając obojętność, a jednak zrobiło mu się żal niewykorzystanej szansy.

Wrócił do nauki, której ogrom go dosłownie przytłaczał. Regulamin Królewski wydawał się gąszczem nieprzydatnych i przestarzałych przepisów. A nie był jedyny. Wyspiarze zdawali się kochać regulaminy, rozporządzenia i przepisy. Zdawały się one mnożyć. Kiedy myślał, że opanował już wszystko, okazywało się, że jest jeszcze kolejna instrukcja, regulamin i procedura. A jednak nie to przyprawiało Teodora o największy ból głowy. Znacznie trudniej było opanować to, co dla Brytyjczyków stanowiło codzienność. Najpierw na papierze, a potem w myślach przeliczał metry na stopy i jardy, kilometry na mile, a litry na galony.

Odsunął od siebie zeszyt z niekończącymi się ciągami obliczeń i sięgnął po arkusz czystego papieru. Zanurzył pióro w atramencie i zaczął pisać.

Drogi Wuju Konradzie,

zapewne będziesz zdziwiony, ale wybrałem się na wycieczkę z dala od domu. Zawędrowałem aż do Wielkiej Brytanii, ale jestem cały i zdrowy. Po drodze spotkało mnie wiele nieprzyjemnych przygód i – co napawa mnie ogromnym smutkiem – życie stracili moja narzeczona i przyjaciel. Ja zostałem ranny, ale przygarnęli mnie dobrzy ludzie i drogą morską z Rumunii dostałem się do Francji.

To kwestia czasu, kiedy niezwykłe wojska niemieckie zdobędą każdy skrawek tego dziwnego kraju. Trudno opisać bałagan i brak ducha walki, jaki tam zastałem. Wiem, że wprawdzie polskie lotnictwo chce się tam organizować, ale Francuzi to naród tchórzliwy i wojna im nie grozi, bowiem poddadzą swoje miasta, gdy tylko niemieckie wojsko będzie w zasięgu wzroku. Nie interesuje ich nic poza pić wina i rozprawami o polityce i kulturze.

Z wybrzeża Francji zabrała mnie mała angielska jednostka. Wolę nie opisywać tego, co widziałem na plażach Dunkierki. Do dziś mam te obrazy przed oczami i nie mogę spać, gdy słyszę dźwięk nadlatującego samolotu, a tutaj słyszę go niemal nieustannie. Myślałem, że to będzie wspaniała, wesoła podróż, a dostałem się w sam środek wojny.

Najpilniejsze zostawiam na koniec: czy masz jakieś wieści o Rodzicach i Brunonie? Nie chcę pisać do nich w obawie, że mój list wcale nie dotrze, a bardzo się martwię. Czy są cali? Czy Matka jest w dobrym zdrowiu? Czy Ojciec nadal ma faktorię? I co z tym moim nierozgarniętym bratem?

Jak dobrze pójdzie, to wkrótce zajmę się badaniami nad owadami. Wiesz, że zawsze pasjonowały mnie owady latające, ale jestem zdziwiony, jak wiele szkodników widziałem nad Kanałem Angielskim. Mam nadzieję, że dzięki pomocy tutejszych naukowców będę niedługo mógł skutecznie z nimi walczyć. Wierz mi, Brytyjczycy mają świetne samoloty do zwalczania szkodników.

Jeśli to nie kłopot, odpisz na adres, który podałem na kopercie. Ucałuj ode mnie ciocię.

Z wyrazami szacunku

Teo

Wyśłał list, mając nadzieję, że tym razem dotrze do adresata. Wszystkie pozostałe, powierzone dotychczas niezawodnej Royal Mail, zaginęły w wojennej zawierusze. Wychodząc z poczty, spojrzął na klucz hurricane'ów, które przeleciały z hukiem nad miasteczkiem.

Trzy tygodnie później po raz pierwszy wsiadł za stery jednego z nich.

Niebo nad hrabstwem Kent, sierpień 1940 roku

Radio zatrzeszczało i przemówiło ludzkim głosem.

– Dowódca grupy Blackhawk, obierzcie kurs 2-4-0 i wzniescie się na wysokość szesnastu tysięcy stóp.

– Tu dowódca Blackhawk, odebrałem i zrozumiałem – odpowiedział *wing commander*¹⁷ Ethan Clarke, dowódca Dywizjonu 111. Przekazał instrukcje lecącym w szyku pilotom i skierował maszynę na wyznaczony kurs.

– Choroba, kiedy nas rzucą do walki? Mam dosyć patrolowania wybrzeża – zżymał się Franciszek Kiljan, drugi z polskich pilotów przydzielonych do brytyjskiego dywizjonu.

– Wiem, Franek, mnie też to złości. Zamiast tłuc szkopów, latamy wokół bazy jak dziecięły.

– *No Polish chit-chat over the radio!*¹⁸ – Głos kapitana Clarka był pełen irytacji i dezaprobaty. Nie po raz pierwszy upominał upartych Polaków.

– *Yes, sir!*

– Niemcy! Nieprzyjaciel na drugiej! – krzyknął podekscytowany Teodor, gdy wypatrzył czarne punkty wychodzące z obłoków.

– Widzę. Trzymajcie się rozkazów. Przypominam, że mamy zadanie od dowództwa.

Teo rozpoznał masywne i rosnące z każdą chwilą sylwetki bombowców. Wzrok miał doskonały i choć byli jeszcze bardzo daleko, nawet z tej odległości potrafił rozróżnić czarne krzyże na skrzydłach i swastyki na statecznikach. Te ostatnie działały na niego jak płachta na byka.

Miał dosyć czekania i zbierania ciężarów od wrogów, którzy zabili jego narzeczoną i nienarodzone dziecko, przyjaciela, a teraz czyhali na życie członków jego rodziny.

– Sram na wasze rozkazy – wypalił po polsku do radia, po czym odłączył się od formacji. Kakofonię upomnień, rozkazów, a wreszcie krzyków dowódcy zwyczajnie zignorował.

Otworzył przepustnicę i zanurkował w stronę przeciwnika. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Przeciężenie było spore, ale pozwoliło nabrać równie dużej prędkości. Podwójne stateczniki bombowców stawały się coraz większe. Najwyraźniej maszyny wracały w kierunku Francji po zrzuconiu bomb na wybrane cele. Przesunął palec na spust i miał nadzieję, że tym razem broń pokładowa zadziała.

Kiedy jeden z bombowców wypełnił niemal cały celownik, Teodor nacisnął spust. Osiem luf plunęło ogniem, trafiając masywny samolot w sam środek kadłuba. Seria była tak celna, że rozerwała maszynę na dwie części. Jednemu ze strzelców udało się opuścić bombowiec. Resztę porwał morderczy korkociąg. Teodor zawrócił *hurricane*'a.

– I co teraz, szwabie? – wycedził przez zęby, zataczając wokół spadochroniarza krąg. Leciał tak blisko, że dokładnie widział przerażenie na jego twarzy. Niemiec wymachiwał rękoma i pokazywał jakiś papierek. – Już nie jesteś taki hardy.

Przypomniał sobie ostatnie chwile przed katastrofą, kiedy uciekał niczym zając spod luf myśliwych. Kiedy kluczył pomiędzy topolami, dokonując niemożliwego. Przypomniał sobie, jak Małgorzata boleśnie ścisnęła mu ramię, a Jaśkiewicz głośno się modlił. W głowie pojawiły się też obrazy z Dunkierki. Wolałby o nich nie pamiętać, ale one uparcie wracały. Jak te, gdy obryzgała go krew i wnętrzności żołnierzy zбитych w ciasną gromadę, w której środek uderzyła zrzucona przez stukasa¹⁹ bomba. Setki rozczłonkowanych ciał rozrzuconych po piasku. Brytyjczycy, Francuzi i jeszcze pewnie żołnierze tuzina innych narodowości, stłoczeni tysiącami na plaży, stanowili dla Luftwaffe łatwy cel i niemieccy piloci nie okazywali im litości. On teraz też nie zamierzał.

* * *

– Za taką niesubordynację zostajesz ukarany naganą. Pierwszą powinnością żołnierza jest wykonywanie rozkazów. – Twarz dowódcy skrzydła RAF nie zdradzała żadnych emocji. Był do bólu

brytyjski, ze swoimi nienagannymi manierami, powściągliwością, umiłowaniem do whisky i herbaty. – Oddaliłeś się od swojego dywizjonu, przez co naraziłeś na niebezpieczeństwo pozostałych pilotów. Czy to rozumiałe?

– Tak jest!

– Niemcy atakują coraz zajadlej i tylko działanie jako jedna wielka machina obronna pozwoli im dokopać. Wiem, że przeszedłeś przez piekło i pałasz żądzą zemsty, ale teraz każdy pilot jest na wagę złota. Nie możemy pozwolić na osłabianie dywizjonów, a przez taką samowolkę sam naraziłeś się na atak. Potraktuj tę rozmowę jako ostrzeżenie.

– Tak jest! – Teodor uznał, że najlepiej będzie nie mówić nic więcej. Zresztą niewiele było do dodania. Choć nie darzył dowódcy szczególną sympatią, musiał przyznać, że tym razem nie miał nic na swoje usprawiedliwienie.

Twarz dowódcy złagodniała.

– A skoro formalności stało się zadość, to chciałbym pogratulować zestrzelenia dwóch bombowców i myśliwca. Oby tak dalej, synu. – William T. Johnson uściśnął Polakowi rękę. Nalał whisky i podał mu szklankę.

– Dziękuję, *sir*.

– Twoje zdrowie. Dobra wiadomość jest taka, że wkrótce do służby mają wejść polskie dywizjony i wreszcie będziesz mógł dołączyć do swoich.

– Tu jest mi dobrze. Nie ma potrzeby, żebym zmieniał dywizjon – odparł Teo. W głębi duszy obawiał się, że prawdziwi lotnicy, którzy ukończyli szkoły lotnicze w Polsce, nie przyjmą go jako jednego ze swoich. Wielu z nich miało za sobą loty bojowe jeszcze podczas kampanii wrześniowej, a on usiadł za sterami myśliwca dopiero we Francji.

– Nie możesz patrzeć tylko na swój interes. Podobno wielu twoich rodaków słabo mówi po angielsku i są kłopoty z komunikacją. Nie mówiąc już o tym, że jesteś znakomitym pilotem. Ktoś taki jak ty na pewno będzie dla nich dużym wsparciem.

Teodor zmarszczył brwi i wypił doskonałą whisky jednym haustem, nie zwracając uwagi na pełne dezaprobaty spojrzenie przełożonego. To był cholernie dobry trunek. Wiedział, że Anglicy i tak zrobią, co będą uważali za najkorzystniejsze dla siebie.

Kolejne dni upłynęły pod znakiem ciągłej gotowości i niepokoju. Dywizjony podrywane były z lotniska przynajmniej kilka razy dziennie, a niebo nad południową Anglią pokrywało się smugami pozostawionymi przez walczące i trafione samoloty.

– Na ile ustawiony jest punkt zbieżności karabinów? – zapytał mechanika po kolejnym dniu zaciekłych walk. Udało mu się uszkodzić jeden z bombowców, ale został on zaliczony do „prawdopodobnie zestrzelonych”, zaś drugą maszynę zagonił na linię strzału dowódcy dywizjonu.

Karabiny hurricane’a nie strzelały prosto, lecz były ustawione pod lekkim kątem, tak by pociski przecięły się w jednym punkcie, zadając największe możliwe straty. Jeśli akurat w tym miejscu znalazł się samolot nieprzyjaciela, zwykle niewiele z niego zostawało.

– Sto dwadzieścia jardów, *sir* – odpowiedział mechanik szykujący jego maszynę do kolejnego startu.

– Za dużo. Przystawcie na osiemdziesiąt. – Teodor wydał polecenie, a pracownicy obsługi naziemnej spojrzeli po sobie.

– Jest pan pewien? Będzie trzeba podejść znacznie bliżej szwabów...

– Po prostu to zróbcie.

Spocony z wysiłku Walińczyk, którego Teo czasem nie rozumiał, skinął głową i wrócił do przerwanej zajęcia.

Zanim zdążył na dobre przyzwyczać się do nowego ustawienia karabinów, przyczajony za chmurą messerschmitt wypadł z niej nagle i plunął ogniem, dziurawiąc samolot Teodora na sito. Pociski trafiły także w silnik, ale ten na szczęście się nie zapalił.

Teodor puścił samolot w lot ślizgowy, mając nadzieję, że jakoś uda mu się dolecieć do lotniska. Minął The Swale, kanał pływowy Tamizy, którego wody oddzielały wyspę Sheppey od reszty hrabstwa Kent. Tuż za nim samolot złapał niekorzystny wiatr i Teodor zrozumiał, że nie doleci do lotniska.

Przesunął dźwignię otwierania podwozia, ale nic się nie wydarzyło. Nie było czasu, by użyć ręcznego systemu. Skierował maszynę na najobszerniejsze pole i wyrównał lot. Przyziemił łagodnie, a wysoka trawa zamortyzowała manewr, niosąc samolot kilkadziesiąt metrów.

– No to po zawodach – mruknął, odpinając klamrę pasa. Wyskoczył z kabiny i poklepał samolot po osłonie. Wątpił, by hurricane był do odratowania. Spojrzał na pokryte smugami niebo i westchnął. – A chłopcy się tam bawią.

Odwrócił się, słysząc tętent wierzchowca.

– A pan to się chyba za nami stęsknił, co? – Rosie Millward zatrzymała konia i zakreśliła kółko. Jej policzki były jeszcze bardziej czerwone, niż to zapamiętał. – A to przygoda. Papa mi nie uwierzy.

– Wybaczcie, panienko. Gdybym mógł skorzystać z telefonu, byłbym bardzo wdzięczny. Dam znać dowództwu, żeby przysłali kogoś, kto zabierze wrak z pola.

– Nic nie szkodzi. Papa na pewno się nie pogniewa. W końcu jest pan jednym z tych dzielnych polskich lotników, o których tyle się ostatnio mówi.

– Mam nadzieję, że dobrze?

Skinęła głową i roześmiała się, po czym zeszła z wierzchowca i zaprowadziła Teodora do domu. Tam został przyjęty tak, jak ostatnio niemal wszędzie przyjmowano polskich pilotów walczących w szeregach RAF. Był szampan, klepanie po plecach, zapewnianie o dożgonnej wdzięczności i pełne podziwu spojrzenia domowników.

* * *

Dywizjon 314, podobnie jak pozostałe polskie dywizjony w RAF, miał podwójne dowództwo. Brytyjczykom nie w smak było dawanie Polakom tak dużej samodzielności, tym bardziej że wielu angielskich oficerów na wysokich stanowiskach uważało przybyszów ze wschodu za nieobliczalnych dzikusów. Pozostali błędnie zakładali, że klęska Rzeczypospolitej spowodowała upadek morale i chęci walki. Szybko przekonali się, że jest dokładnie odwrotnie, a Polacy są zmotywowani do walki z Niemcami jak mało kto. Nie przekonało to jednak kierownictwa RAF do oddania steru dywizjonów wyłącznie w polskie ręce. W Dywizjonie 314 brytyjskim dowódcą został mianowany niejaki Richard King, a jego polskim odpowiednikiem został kapitan Jan Bieszke. Podobnie jak inne polskie dywizjony, 314 stacjonował na lotnisku w Northolt – niewielkiej wsi, położonej na zachód od Londynu.

Teodor zameldował się wartownikowi i udał do wskazanych przez niego baraków, w których kwatery mieli polscy piloci. Na lotnisku panował zadziwiający spokój. Mechanicy na swoich stanowiskach szykowali myśliwce do kolejnego wylotu, a kilka maszyn stało w gotowości w razie ogłoszenia alarmu.

Kapitan Jan Bieszke był niskim, krępy męczyzną po czterdziestce, z krzaczastymi brwiami i gładko ogolonymi policzkami. Przejął większość obowiązków Kinga, który wolał prowadzić wraz z innymi brytyjskimi oficerami zażarte wojenne dysputy w kasynie. Bieszke był zadowolony z tego układu. Nie lubił, gdy ktoś wchodził mu w paradę. Sporządzał właśnie raport, kiedy Teodor zapukał w futrynę otwartych drzwi.

– Jest i nasza Jeżynka. – Uśmiechnął się, ukazując żółte od tytoniu zęby.

– Słucham?

– Nie wiecie, że Angole tak na was mówią?

– Pierwsze słyszę – zdziwił się Teodor i uniosł pytająco brwi. – Co to niby ma oznaczać?

– Jesteście Bury, tak? – Bieszkemu wystarczyło skinienie głową, więc kontynuował. – Black-Bury brzmi prawie, jak *blackberry*²⁰. Najwyraźniej słusznie. W waszych dokumentach widzę, że wyprawiliście już pogrzeb kilku Niemiaszkom.

– Nigdy nie słyszałem, żeby tak o mnie mówili.

Bieszke wyjął torebkę tytoniu i bibułę. Skręcił papierosa, po czym zapalił go i wydmuchnął obłok dymu.

– Wiecie, o niektórych sprawach sam zainteresowany dowiaduje się ostatni – powiedział i zaciągnął się głęboko. – Żadnego chlania na terenie jednostki. Żadnego wprowadzania dziwek. Żadnych bójek z Angolami. Waszym skrzydłowym będzie Józek Piechocki. Dostaniecie też

doświadczonych mechaników. Naszych, a nie tych brytyjskich flegmatyków. Jakies pytania?

– Kiedy zacznę latać?

– Jak się pospieszycie, to jeszcze dzisiaj. Witamy w trzysta czteremnaście.

– Dziękuję, panie kapitanie. Będę gotowy za kwadras.

Odmeldował się, zastanawiając się, dlaczego nadano mu taki przydomek. To prawda, nie miał litości dla Niemców i nie zamierzał jej mieć. Od Polaków, których spotkał na swojej przymusowej emigracji, nasłuchał się wystarczająco dużo historii, by wiedzieć, że za sterami maszyn opatrzonych swastyką siedzą bestie. Piloci Luftwaffe mieli na sumieniu tysiące istnień, z czego wiele stanowili cywile. Zresztą nie musiał słuchać innych, by to wiedzieć. Wystarczyło, że sięgnął do wspomnień.

– Bury? – usłyszał znajomy głos, gdy po rozpakowaniu rzeczy osobistych skierował się do wyznaczonej maszyny. Zza samolotu wyszedł mechanik. – A niech mnie gęś kopnie! Patrz, Władek.

Kazimierz Friedman wytarł w ścierkę ubrudzone smarem dłonie i wyściskał Teodora. Po chwili Władek wyciągnął głowę z kabiny myśliwca i uśmiechnął się szeroko.

– Człowiek z człowiekiem, jak to mówią, się nie zejdą, prawda, panie Kaziu? A góra...

– Odwrotnie, Władek. Jest zupełnie odwrotnie. – Teodor poklepał młodszego Polaka po plecach. Obaj cuchnęli smarem i paliwem lotniczym. – Ale cieszę się, że widzę was w dobrym zdrowiu. To moja maszyna?

– Tak, dopiero co przyleciała. – Friedman poklepał pieszczotliwie skrzydło hurricane'a o oznaczeniach bocznych SX, właściwych dla całego Dywizjonu 314 i przypisanym mu indywidualnym oznaczeniu T. – T jak Teodor, co nie? Chyba wiedzieli, kto tu będzie latał.

– To jeden z tych nowych? – Pilot przyjrzał się uważnie myśliwcowi i szybko wychwycił kilka różnic w stosunku do maszyny, którą latał dotychczas.

– Tak, dali blachę na skrzydła i pancerny kokpit, żeby wam dupy nie odstrzelili. I silnik wreszcie porządny.

– Rolls-Royce Merlin III – wtrącił się Władek. Odsłonił pokrywę motoru, by Teo mógł go obejrzeć w pełnej okazałości. – Tysiąc trzysta dziesięć koni mechanicznych. Prawdziwy potwór.

– Dopiero się go uczymy – skarcił go Kazimierz. – To mocna, ale skomplikowana maszyna.

– Niezłe cudo. – Lotnik gwizdnął z uznaniem. Podeszedł do krawędzi natarcia skrzydła i pogłodził cztery wyloty luf, nieosmalone jeszcze strzelaniem. Odwrócił się i spojrzał na głównego mechanika. – Grzebał pan już przy ustawieniach karabinów?

– Jaki pan, jaki pan? Dla ciebie, synku, mogę być, co najwyżej wujkiem Kazikiem. – Friedman uśmiechnął się i szturchnął łokciem młodszego mężczyznę. Teodor lubił go za prostotę, bezpośredniość i poczucie humoru. – Nic nie ruszaj. Wszystko jest tak, jak fabryka dała.

– Dajcie zbieżność pocisków na pięćdziesiąt jardów.

– Ile? – odpowiedzieli jednogłośnie. – Może chociaż sto?

– Tyle już miałem. To za daleko. Pięćdziesiąt i ani jarda więcej. Chcę zobaczyć strach na gębach tych szkopów, zanim ich zrąbię.

– Jak sobie życzy. Tylko wiecie, że będziecie musieli podlecieć im pod same lufy?

Wiedział, ale była to cena, którą mógł zapłacić. Dzięki dotychczasowym lotom zdążył już poznać słabe punkty przeciwnika, a teraz, w nowej, lepiej opancerzonej i mocniejszej maszynie, miał zamiar stać się prawdziwym utrapieniem Niemców.

* * *

Przez kilka pierwszych dni nie mógł się wykazać. Niebo spowiły gęste chmury, które co chwila popłakiwały deszczem, a niemal przez cały dzień w powietrzu wisiła mgła. Wprawdzie piloci byli utrzymywani w stałej gotowości, ale warunki rzadko pozwalały na loty.

– Alarm!

Silniki zawarczały, wypluwając chmury siniego dymu. Piloci otworzyli przepustnice i „huragany”, jeden za drugim, zaczęły się odrywać od pasa startowego. Teodor poderwał maszynę, a po chwili „Piecha”, jego skrzydłowy, dołączył i skinął głową.

Najpierw dostrzegli nadlatujące bombowce. Leciały w trójkach, równymi kolumnami. Dopiero

potem wzrok zaczął wychwytywać znacznie mniejsze sylwetki myśliwców.

– Jesteśmy pierwsi, zdejmujemy osłonę – zatrzeszczał w radiu głos dowódcy. – Następne dywizjony są zaraz za nami.

– Może coś im zostawimy – odezwał się ktoś, kogo Teo nie rozpoznawał. Wprawdzie zaznajomił się z kilkoma pilotami, ale nie na tyle, by poznawać ich po głosie. – Jeśli się pospieszą.

Ruszył w stronę Niemców. Szybko dopadł pierwsze stodzieziatki i związał je walką. Wsiadł na ogon pierwszego i gdy tylko urósł w celowniku, Teodor nacisnął spust. Seria pocisków pomknęła w stronę messera i trafiła go w silnik, który rzygnął ogniem i czarnym dymem. Pilot najwyraźniej zdawał sobie sprawę ze swojego położenia i był przygotowany. Odrzucił osłonę kabiny i wyskoczył, otwierając spadochron.

– Mam cię, gnido! – Teodor zaśmiał się obłąkańczo i skierował myśliwiec wprost na Niemca. Dzięki ustawieniu karabinów mógł podlecieć tak blisko, że widział medale dyndające na piersi pilota Luftwaffe. Zdał sobie sprawę, że być może Niemiec otrzymał je za kampanię wrześniową. Być może strzelał już do Polaków. Do kobiet, dzieci i starców. Wreszcie... Kto wie, może się już spotkaliśmy, pomyślał. Wykonał ostatni nawrót i wziął na celownik wiszącego na linkach spadochronu lotnika. Ten krzyknął, wiedząc, że tym razem hurricane nie będzie wokół niego tylko krążył.

Ra-ta-ta-ta-ta-ta-ta.

Krótką serią trafiła w Niemca, przebijając go na wylot. Kawalki wnętrza i mózgu z roztrzaskanej głowy eksplodowały wszędzie. Wokół tego, co zostało z lotnika, pojawiły się na moment obłoczki krwawej mgły. Pociski trafiły go także w pachwinę i urwały prawą nogę, która oderwała się i spadła do wody. Z bezwładnie wiszącego ciała spływał strumień krwi. Teodor odprowadził je wzrokiem, dopóki nie plasnęło w wodę. Biały spadochron zajął zwłoki i szybko pokrył się szkarłatem.

– Nie strzelać do pilotów na spadochronie, do cholery! – rozległ się w hełmofonie wściekły głos dowódcy.

Teodor skrzywił się i ruszył w poszukiwaniu kolejnego celu. Zanim w myśliwcach skończyło się paliwo, zdążyli zestrzelić kilka bombowców. Trudno było stwierdzić, który z pilotów zadał ostateczny cios, toteż podzielili zwycięstwo pomiędzy siebie. Ceną za nie było życie dwóch Polaków. Jeden z nich dostał się wprost pod serię z broni pokładowej bombowca, drugiego zapalił ostatni z messerschmittów. Kiedy wylądowali na lotnisku, w ich żyłach wciąż buzowała adrenalina.

– Co to, do diabła, miało być?! – Bieszke nadal był wściekły. Twarz miał czerwoną i mokrą od potu, bo choć w powietrzu samolot szybko się schładzał, to wysiłek spowodowany walką i upał na lotnisku robiły swoje. – Nie strzelamy do skoczków.

– Oni podobno nie mają takich hamulców, kapitanie. Strzelali do cywilów, strzelają do spadochroniarzy i...

– Ale my nie jesteśmy jak oni, rozumiesz? – Oficer wyraźnie zaakcentował każdy wyraz. – Właśnie to nas różni. Nie emblematy na maszynach, ale godność i honor polskiego pilota. Nie mówiąc o tym, że Brytole dostają świra, gdy słyszą takie historie, i nie pomagają to w naszej, i tak trudnej, sytuacji. Dopóki szkop siedzi w maszynie, możecie do niego pruć, ile chcecie, ale kiedy z niej wyskoczy, macie zakaz strzelania. Czy to jasne?

– Tak jest, panie kapitanie. Nie będzie już strzelania do skoczków.

Tego dnia dywizjon wzbil się w powietrze jeszcze trzy razy, zanim dowództwo uznało, że doskonale wywiązał się ze swojego zadania. Do następnego ranka piloci dostali wolne. Wielu z nich ruszyło prosto do pubu The Orchard Inn, gdzie choć na chwilę mogli oderwać myśli od śmierci czyhającej na nich w przestworzach śmierci.

Ślina z kącika ust spłynęła Edwardowi Kamińskiemu po brodzie i zamieniła się w rozciągniętą nitkę. Magda wytarła mu ją, zanim kapnęła na śnieżnobiały obrus. Wolała skupić się na tym, niż wysłuchiwać przytyków, uwag i tyrad, jakie wygłaszali przy stole goście.

Scenariusz spotkań rodzinnych miał swój utarty schemat. Zwykle Magda po obiedzie lub kolacji wykręcała się jedną z wcześniej przygotowanych wymówek i zniknęła w swoim pokoju lub po prostu wychodziła z domu. Szła do oliwskiego parku, biblioteki lub gdziekolwiek, gdzie nie było jej rodziny. Jeśli zrobiła to, zanim goście zaczęli zasypywać ją gradem standardowych tekstów, uznawała spotkanie za udane. Masz chłopaka? Kiedy założysz rodzinę? Nie jesteś już taka młoda. Zegar biologiczny tyka. Jak w pracy? Te pielęgniarki to mają ciężko. Ale znów wywalczyły podwyżki.

Dziwne, że zwykle obrywało się jej. Nie potrafiła się bronić. Po którymś pytaniu wbijała wzrok w talerz i pozwalała gościom wygłaszać teorie na temat jej życia. Wiktorii nikt nie ruszał. Wszyscy wiedzieli, że ma cięty język i jest nieobliczalna. Zamiast wścibskich pytań pojawiały się te o karierę, medialność i plany na kolejne wyprawy. No i miała te kilka lat mniej. Wiki postrzegano jako celebrytkę, Magda była zaś łatwą ofiarą.

Na szczęście na razie innych tematów było pod dostatkiem. Sytuacja gospodarcza i polityczna oraz ostatni pobyt dziadka w szpitalu odsunęły Magdę na dalszy plan.

– Bo u nas, w Boston, nie do pomyslenia jest, żeby ktoś tyle czekał na przyjęcie do *hospital*. – Ciotka Janina wiodła prym w krytykowaniu wszystkiego, co polskie, i wychwalaniu tego, co amerykańskie. Wszystko było tam lepsze, większe i bardziej. Nawet jeśli w oczywisty sposób mijało się to z prawdą. – No, ale *insurance* też kosztuje немало, więc obywatele wymagają, żeby wszystko było na tip-top. Prawda, George?

– Prawda, *honey*.

– Przecież to Jurek, a nie George – mruknął dziadek i spojrzał na Magdę. Zrozumiała, że miał podobne myśli jak ona. Trajkotanie ciotki potrafiło wyprowadzić z równowagi każdego. Senior rodu był dziś w nawet niezłej formie i pozwolił sobie na kilka uszczypliwych komentarzy. Zaskakujące, że wyciągał fakty z pamięci niczym wędkarz amator ryby z wody. Przypadkowo i niemal na oślep, ale czasami zacinął we właściwym momencie, wyprowadzając jakąś celną ripostę. – Niedługo się okaże, że zapomniałaś języka polskiego. Nałóż mi sałatki.

– Oj, tato. Każdy tak do niego mówi w Boston. Siedzimy tam już tyle lat, że człowiek się odzwyczaja od tego Jurka. U nas...

Magda nie słuchała. W opowieściach ciotki o tym, jak jest „w Boston”, brakowało jedynie smoka i księżniczki. Wtedy bajka byłaby kompletna. Sięgnęła po czysty talerzyk i nałożyła dwie łyżki sałatki jarzynowej, które posypała pokrojonym w drobną kostkę solonym śledziem. Dokładnie tak, jak dziadek lubił najbardziej. Czasami czuła gorzką satysfakcję, że tak dobrze go zna. Wiedziała, jaką lubi herbatę, jak składa gazetę, by dobrze się czytała, i gdzie najczęściej zapodziewa okulary. Żadna z jego trzech córek nie miała takiej wiedzy.

Janina była najstarsza. Wyjechała do Stanów, kiedy Magda była bardzo mała, i szczerze mówiąc, kiepsko ją znała. Widywała ją góra raz w roku na jakiejś rodzinnej imprezie, którą organizowano specjalnie z okazji jej przyjazdu. Janina przechwalała się dostatkiem i statusem, jaki wraz z mężem osiągnęli w Bostonie, ale Magda wątpiła w prawdziwość tych opowieści. Ciotka od lat chodziła w tych samych ubraniach, wozila te same walizki, które czasy świetności miały już dawno za sobą, i jakoś niechętnie pokazywała zdjęcia z ich domu. Na tych nielicznych nie było przepychu, który pojawiał się w opowieściach. Z jej relacji wynikało, że wujek Jurek był rasowym biznesmenem, ale mężczyzna wypowiadał się raczej jak prosty budowlaniec niż właściciel firmy. Trójkę ich dzieci Magda widziała tylko raz na pogrzebie babci. Tylko że wtedy liczyli na spadek. Dziwnym trafem w ostatnich miesiącach życia babci zaczęło do niej przychodzić dużo listów z pieczęcią United States Postal Service. Srogo się zawiedli, zgodnie z życzeniem zmarłej wszystkie jej ruchomości zostały bowiem przekazane na cele dobroczynne. Od tego czasu nie widziała dzieci Jurka i Janiny. Przypuszczała, że chodziło głównie

o minimalizację kosztów przelotu, a nie o szalone tempo ich życia, co nieustannie podkreślała ciotka. Facebook odsłaniał wiele tajemnic, które Janina wolałaby zachować dla siebie.

Środkową córką była Ewa z Tczewa – Magda za nią nie przepadała i zawsze bawiła ją ta rymowanka – która na imprezy rodzinne przyjeżdżała z mężem Franciszkiem i córką Kamila, a od kilku lat również z wnukiem Jasiem. Choć pomiędzy kuzynkami była niewielka różnica wieku, nie było za to cienia sympatii, a teraz, kiedy Kamila była matką zakochaną po uszy w swoim pierworodnym, a Magda trzy lata starszą od niej bezdzietną panną, ta niechęć jeszcze się pogłębiła. Ewa i Franek uwielbiali porównywać obie kobiety i robili częste przytyki do sytuacji Magdy, za co ona sama obwiniała głównie swoją matkę. Barbara Wolska miała długi jęzor i uwielbiała plotkować z siostrami, chociaż ostatnio jakby mniej. Mniej miała bowiem powodów do dumy, za to więcej zmartwień. Wprawdzie ciotki wiedziały, że Magda straciła pracę, ale na szczęście nie znały powodu.

– A ty kiedy sobie kogoś znajdziesz, Magda? – Długo oczekiwany punkt kulminacyjny wreszcie nadszedł. Tym razem pierwsza do ataku ruszyła Kamila. Jasia przejęła babcia i kuzynka usiadła do stołu, by nałożyć sobie kopiasty talerz jedzenia i nadrobić zaległości. – Wiesz, zegar tyka. Młodsza już nie będziesz.

Kiedys z rozbawieniem pomyślała, że powinna mieć karteczkę z bingo, gdzie zamiast cyfr wpisałaby najczęściej rzucane na imprezie rodzinnej teksty, a potem odkreślałaby je po kolei. Za komplet skreśleń dostawałaby jakąś atrakcyjną nagrodę.

– Nie szukam nikogo. Może twój zegar tyka, Kama, ale mój nie. Dawno się popsuł, więc nie liczę czasu.

– Teraz, jak nie pracujesz, mogłabyś się rozejrzeć za jakimś kawalerem. Iść na parę imprez czy coś. – Wujek Franek śladem córki nałożył sobie na talerz wielką porcję jedzenia. Czasami zachowują się, jakby nie jedli tydzień, pomyślała Magda. – Planujesz w ogóle założyć rodzinę?

– Planujesz? To nie konto w banku, że jak chcę, to zakładam. Na razie jestem zadowolona z tego, co mam.

Ewa z Tczewa okrążyła stół z wnukiem na rękach, uważnie chłonąc każde słowo. Przeszła obok swojego ojca i ustawiła się dokładnie naprzeciwko Magdy.

– Zadowolona? A z czego tu być zadowolonym, Magda? Jesteś bez pracy, nie zamierzasz zakładać rodziny. Zobacz na Wiktorię, ile osiągnęła. Wprawdzie do dzieci jej niespieszno, ale za to jaka fantastyczna kariera. Wszędzie jest jej pełno. Jest gwiazdą. A nasza Kamilka, choć nie jest aż tak medialna, ale za to jaka z niej troskliwa matka.

– Szkoda, że samotna – burknęła Magda, grzebiąc smętnie w niedojedzonej sałatce. Towarzystwo przy stole zamarło. To jedno zdanie było iskrą, która wpadła nie do beczki, ale do całego składu prochu. Widziała wyraźnie, jak wujkowi Frankowi nabrzmiewa żyła na skroni. Nie powinna tego robić, ale nie mogła się oprzeć i dodała: – I do tego też bezrobotna.

Wuj przelknął kęs udka z kurczaka tak gwałtownie, że niemal się zakrztusił. Wytarł usta serwetką i nabrał powietrza w płuca.

– A to jej wina, że ten gamoń nie poczuwa się do odpowiedzialności? Gdyby każdy był taki obowiązkowy i pracowity jak Kamila, to ten kraj byłby w zupełnie innym miejscu. My się, Magda, ciężką pracą wszystkiego dorobiliśmy, nam nic z nieba nie spadło.

– Daj jej spokój, Franek. Każdy ciągnie swój wózek najlepiej, jak umie. – Ojciec Magdy połał po kieliszku wódki na uspokojenie nastrojów, ale to nic nie dało. Ojciec Kamili nawet nie spojrzał na alkohol. – Nie ma co się kłócić przy stole.

– Ty, Magda, myślisz, że łatwo jest samemu zajmować się takim żwawym dzieciakiem i pracować? Na szczęście my już jesteśmy na emeryturze i możemy jej trochę pomóc, ale i tak dziewczyna ma co robić. Ciekawe, jak ty...

– Zamkniesz wreszcie gębę? – odezwał się nagle dziadek i spojrzał prosto w oczy perorującego mężczyzny. Magda z satysfakcją zobaczyła, że nie tylko na niej widok blizn po oparzeniach i brak brwi i rzęs robią wrażenie. Wujek nabrał tchu, by coś odpowiedzieć, ale senior rodu nie dał mu dojść do słowa. – Ty się, Franek, dorobiłeś ciężką pracą i nic ci z nieba nie spadło? Muszę przypominać, że wszedłeś do tej rodziny jako gołodupiec? Ile ci kasy pożyczyłem?

– Tato! – fuknęła ciotka Ewa, ale Kamiński nie zwrócił na nią uwagi. Oskarżycielsko wymierzał palcem w każdego z członków tczewskiej rodziny.

– Chętnie zobaczę, jak Magda bierze ślub i rodzi mi prawnuki, pod warunkiem że ją zastąpisz przy wycieraniu mi tyłka, zmienianiu pieluch i wszystkim tym, czego żadne z was nie chciało się podjąć.

Przy stole zapadła cisza. Każdy nagle zainteresował się nóżkami w galarecie, sałatką z groszkiem, sernikiem na kruchym spodzie i alkoholem. Poszły w ruch sztućce i kieliszki.

– Nie ma co się kłócić – powtórzył ojciec Magdy, by przerwać niezręczną ciszę. – Każdy ma swoje życie.

Goście skwapliwie pokiwali głowami, ale atmosfera nie zrobiła się ani trochę swobodniejsza. Na szczęście Jasio zrobił się śpiący i marudny, więc tuż po dwudziestej dom opustoszał. Tczewianie odjechali, a ciotka Janina z mężem poszli zwiedzać wieczorny Gdańsk. Magda wiedziała, że wrócą po północy, zapewne lekko wstawieni.

Rodzice pomogli Magdzie posprzątać po gościnie i położyć dziadka do łóżka. Staruszek był zmęczony i rzucał kąśliwe uwagi w stronę przebierającej go wnuczki, ta jednak nie zwracała uwagi na jego utyskiwanie. Pochłaniały ją myśli o wszystkim, co zostało powiedziane przy stole. W przepełnionych jadłem słowach było niestety wiele prawdy.

– Lecimy, córuś. – Ojciec ucałował ją w czoło. – Nie przejmuj się Frankiem. To palant i frustrat. Wyżył się na tobie za to, że Jasio urządził im piekło w domu, podczas gdy Kamila baluje.

– Wiktor!

– No co? Mówię, jak jest. Wpadniemy jutro odwiedzić „Amerykanów” na lotnisko.

– Dzięki za pomoc. O rany, wszystko sprzątnęliście. Zapakujcie wam coś do domu. Zostało dużo jedzenia.

– Daj spokój. Może wpadnie Kuba, to będziesz miała go czym poczęstować. I się nie przejmuj.

– Barbara Wolska wyściskała córkę na pożegnanie. Nawet ona widziała, że Magda jest w kiepskim nastroju. Przez chwilę pomyślała nawet, że może powinni zostać, ale w końcu uznała, że to mogłoby jeszcze bardziej pogorszyć sytuację. – Do jutra, mała.

– Czy dziadek coś ci kiedyś mówił o wojnie? – Magda zatrzymała matkę w progu. Wolska odwróciła się i obrzuciła córkę zdziwionym spojrzeniem. – Cokolwiek? Co w tym czasie robił, gdzie walczył?

– Nie. U nas w domu to zawsze był temat tabu, a ojciec zbywał wszystkich, że podczas wojny ukrywał się na wsi.

– Miał przecież ze dwadzieścia lat, jak wybuchła. Był w wieku poborowym. Musiał gdzieś walczyć. Na pewno coś pamięta.

– Być może o wiele więcej, niż się nam wydaje – westchnęła matka i otuliła się szczelniej szalem. – Jeśli chcesz mojej rady, to lepiej nie wywołuj wilka z lasu. Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć. No, lecimy. Pa!

– Pa – mruknęła, zamykając za nimi drzwi.

Zanim wyszli, walczyła z pokusą, by powiedzieć im o skrzynce, Krzyżu Żelaznym ze swastyką i listach, ale stwierdziła, że to nie jest dobry moment. Zresztą na dobrą sprawę nie wiedziała, czy powinna się dzielić tym z kimkolwiek. A co, jeśli dziadek był esesmanem? Albo zbrodniarzem wojennym lub nadzorcą w obozie koncentracyjnym? Może matka miała rację i o pewnych rzeczach lepiej było nie wiedzieć. Przez jeden nieuważny ruch mogła zniszczyć życie wielu ludziom. Postanowiła, że na razie zachowa całą sprawę w tajemnicy, i miała nadzieję, że Wiktoria się nie wygada.

Wróciła do salonu i opadła na fotel. Rodzice rzeczywiście wysprząkali wszystko na błysk i po rodzinnej imprezie nie pozostał prawie żaden ślad. Zapomnieli tylko o jednej rzeczy. Butelka porto została odstawiona na parapet w taki sposób, że nie była widoczna z części salonu. Ojciec zabrał wszystkie butelki z alkoholem, ale tę jedną najwyraźniej pominął. Musiał jej nie zauważyć. Za to z miejsca, w którym siedziała Magda, było ją widać doskonale.

Miała wyjątkowo podły humor i uznała, że jedna lampka słodkiego wina dobrze jej zrobi. Wypije tylko tyle, a resztę zostawi, udowadniając, że nie jest alkoholiczką. Dołożyła polano do kominka i rozsiadła się wygodnie w salonie.

Porto było przyjemnie rozgrzewające i aromatyczne, ale w żaden sposób nie potrafiło skierować jej myśli na weselsze tory. Rozmowa przy stole rozgrzebała wiele spraw, o których Magda od pewnego czasu próbowała zapomnieć. Wszystkie porażki zdawały się wypływać na powierzchnię, a wspomnienia z każdym łykiem wina były coraz bardziej wyraziste.

Sięgnęła pamięcią do wydarzeń, od których zaczął się jej upadek. Wprawdzie minęło już sporo czasu, ale pewnych rzeczy nie dało się łatwo zapomnieć. Ledwo została pielęgniarką, a już przestała nią być. Zatopiła się we wspomnieniach sprzed paru lat.

* * *

– Czy wierzy pani w Boga? – Ola wpatrywała się w Magdę dużymi niebieskimi oczami. Pielęgniarka drgnęła, ale zanim odpowiedziała, skończyła zmieniać kroplówkę.

Uznała, że dziewczynka ma już wystarczająco dużo lat, by nie trzeba jej było mamić bajkami, lecz pozwolić sobie na szczerłość. W porównaniu z najdłużej pracującymi na oddziale pielęgniarkami staż Magdy wciąż był niewielki i w decyzji o tym, czy powinna w ten sposób rozmawiać z młodymi pacjentami, nie mogło jej pomóc doświadczenie. Tym razem postanowiła więc skorzystać ze wskazówki koleżanek, by w takich przypadkach kierować się intuicją.

– Tak, wierzę. Może nie do końca w brodatego pana zsyłającego kogoś do piekła, ale wierzę, że jest jakaś siła wyższa, która dała impuls do powstania świata.

– A w piekło i niebo?

– Chyba... chyba tak. Myślę, że tam, po drugiej stronie, dobrym duszom będzie dobrze, a złym źle. Chociaż nikt tego nie wie na pewno.

Mimo że pracowała już jakiś czas w klinice hematologii i onkologii dziecięcej największego gdańskiego szpitala, wciąż nie mogła się przyzwycząić do pewnych spraw. Pozbawione włosów głowy powodowały, że oczy wydawały się wielkie i okrągłe, proszące o mniej bólu i więcej nadziei. Lubiła, kiedy dzieci dostawały z domów wesole, kolorowe piżamy ozdobione bohaterami z popularnych kreskówek. Zdarzało się jednak, że dzieci przywoziły ze sobą pasiaste piżamy, które w połączeniu z ich mizernym wyglądem przywodziły na myśl najmłodszych więźniów obozów koncentracyjnych. Przez długi czas karciała się za te myśli, ale takie skojarzenia nasuwały się same. Jednak to nie wygląd dzieci powodował, że kończyła pracę z ciężkim kamieniem na sercu, lecz pytania, które zadawały. Czasami wprost, czasami naokoło. O życie i śmierć, Boga i diabła, piekło i niebo. O to, czy śmierć boli, co jest po drugiej stronie i czy widać światło w tunelu.

W chwilach słabości zastanawiała się, skąd jej pacjenci i ich rodzice czerpią siłę. Niewielu z nich się załamywało. To, ile drzemało w nich woli walki z chorobą, motywacji i pogody ducha, było wprost niewiarygodne. Podziwiała ich za to, bo sytuacja, w której znalazły się zarówno dzieci, jak i rodzice, nie była godna pozazdroszczenia.

Na swojej drodze zawodowej do tej pory spotkała tylko jedno miejsce, gdzie czuła się pokonana. Ale może była to wina zbyt młodego wieku i zbyt małej dojrzałości. Na praktykach w hospicjum świadomość, że to wszystko jest tylko na chwilę, ją pokonała. Tam nie było walki o życie ani o zdrowie. Każdego dnia trwała batalia o coś ważniejszego, choć wtedy tego nie rozumiała. Codziennie toczyła się walka o dobrą śmierć. Świadomość, że wszystko zmierza do mniej lub bardziej odsuniętego w czasie końca, była nie do zniesienia.

Na oddziale, w którym pracowała obecnie, było jednak inaczej. Tutaj toczono bój o życie najmłodszych pacjentów.

– Jak ty sobie z tym wszystkim radzisz? – spytała Agnieszkę, która stażem przewyższała ją o jakieś piętnaście lat.

– Z czym? – Koleżanka spojrzała na Magdę uważnie, choć domyślała się, o co może chodzić. Takie pytania padały często, szczególnie ze strony najmłodszych pielęgniarek. – Masz na myśli to, że część tych dzieciaków umrze?

– Mhm – odpowiedziała z pełnymi ustami. Jadła kanapkę pomimo związanego na supeł żołądka. Wiedziała, że jeśli nie zrobi tego teraz, potem może nie mieć czasu i będzie żałowała straconej przerwy śniadaniowej.

– Nie myślę o tym. To znaczy mam z tyłu głowy, że nowotwór często wygrywa. Ale staram się skupić, żeby jak najlepiej pomóc. Czasem to sumienne i skrupulatne obowiązki, czasem coś, co w sumie do nich nie należy: przytulenie, wytarcie łez, przytrzymanie za rękę, gdy ból jest tak silny, że można zwariować. – Szukała czegoś w szafkach, nie przerywając. – No i myśl, że jak się nam uda wyrwać z tego chociaż jedno, to mogę powiedzieć, że zrobiłam coś, czego większość ludzi nigdy nie doświadczy.

– Że uratowałaś komuś życie – powiedziała cicho Magda, a Agnieszka skinęła głową.

– A wierz mi, że tu niemal codziennie można zaznać takiego cudu.

To ją na chwilę uspokoiło i pozwoliło spokojnie dokończyć dyżur. Choć takie rozmowy pomagały i na jakiś czas stawiały Magdę do pionu, to ich efekt nie był wieczny. Najgorsze okazywały się samotne wieczory, kiedy po pracy kładła się spać i wracały do niej twarze dzieci w różnych stadiach choroby nowotworowej. Nie pomagały książki, zabierające ją w niezwykle barwne światy fantasy, odległe rubieże kosmosu czy do ciekawych czasów Ludwika XIV.

Przez kilka kolejnych tygodni pracowała z nadzieją, że przywyknie. Była wcześniej na kilku innych oddziałach, ale ktoś dostrzegł jej spokój, opanowanie i pogodę ducha, które warto wykorzystać jako atuty w pracy z małymi pacjentami. Kiedy zaproponowano jej przejście na onkologię dziecięcą, wahała się tylko chwilę, mimo że wiedziała, że to wymagająca praca, wyczerpująca emocjonalnie i psychicznie. Rzeczywistość przerosła jej oczekiwania.

– Fatalnie, co? – zagadnął Tomek, pielęgniarz, z którym łączyła ją nie tylko droga zawodowa, ale także studia. Też skończył dyżur, a kiedy wyszedł i zobaczył jej minę, nie musiał pytać o powód. – Nic nie można było poradzić.

Kwadrans wcześniej skończyli pracę. On palił przed wejściem papierosa, ona mocowała się z zamkiem kurtki. Na dworze wiatr szarpał ich ubraniami, ale był ciepły, zwiastujący szybkie nadejście wiosny. A może ona już nadeszła, a Magda to przegapiła pochłonięta pracą?

Objęła się ramionami i mrugała, żeby złagodzić nieznośne pieczenie oczu, po którym zawsze pojawiały się łzy. Białaczka limfoblastyczna, na którą zachorowała ośmioletnia Łucja, miała ostry przebieg i na ich oczach siała spustoszenie w organizmie dziewczynki. Dzieci chorowały inaczej niż dorośli. Nowotwory miały często gwałtowny i szybki przebieg. Równie szybko nadchodziła śmierć. Lusja, bo tak lubiła, gdy na nią mówiono, uśmiechała się przez cały czas. Nawet wtedy, gdy ból był już nie do zniesienia.

Zaledwie kilkanaście minut wcześniej była przy niej. Wciąż czuła na sobie dotyk chłodnych i drobnych palców Łucji.

– Czujesz? – spytała dziewczynka, choć wzrok miała już ledwie przytomny. Kiedy mówiła, jej usta poruszały się ledwie zauważalnie.

– Co takiego, kochanie? – Magda raz po raz zerkała na zegarek. Rodzice Łucji byli w drodze, zaalarmowani przez lekarza, że stan dziewczynki gwałtownie się pogorszył. Przez wiele tygodni starali się być u córeczki na zmianę, ale dwójka pozostałych w domu dzieci i praca zawodowa zmusiły ich do pozostawiania Łucji na pewien czas tylko pod opieką personelu. Choć miała różne myśli na temat Boga, to tym razem gorliwie się modliła, żeby zdążyli.

– Poziomki – szepnęła Łucja i poruszyła małym, piegowatym noskiem. – Lubię poziomki. Chciałabym jeszcze kiedyś je zjeść.

– Obiecuję, że jeśli... – Urwała, słysząc serię szybkich, świszczących oddechów. Zrozumiała, że żadna złożona teraz obietnica nie będzie już miała pokrycia.

Ucisk małych palców zelżał na jej nadgarstku. Na małej buzi wciąż malował się delikatny uśmiech. Wiedziała, że mała dusza ulatuje do nieba. Jeszcze żadne z dzieci nie odeszło tuż przy niej i czuła, że właśnie dotarła do granicy własnej odporności. Ile jeszcze mogła wytrzymać, zanim się podda?

– Tomek, ja chyba nie dam rady. – Magda wytarła łzy, ale kiedy kolega objął ją ramieniem, rozryczała się na dobre. – Nie dźwignę tego. Ile razy można patrzeć na śmierć dziecka?

– Wiem, sam czasami mam takie myśli. Niestety, na niektóre rzeczy nie mamy wpływu. Chodź, odwiezę cię do domu.

– Nie trzeba, masz pewnie swoje plany.

Pielęgniarka machnęła ręką, dopalił papierosa i wyciągnął kluczyki od wiekowego fiata.

Lubiła Tomka, od kiedy się poznali. Był spokojnym i ułożonym mężczyzną o ogromnych pokładach cierpliwości i poczuciu humoru, które jej odpowiadało. Świetnie sprawdzał się jako pielęgniarka, a dzieciaki go uwielbiały i najczęściej nazywały wujkiem. Był też całkiem przystojny i niejedna młoda pielęgniarka zawieszala oko na jego szerokich ramionach i trzydniowym zarostem, przydającym mu charakteru. Miał tylko jedną wadę, która skreśliła go jako potencjalnego chłopaka Magdy już na początku ich znajomości. Nazywała się Emilia. Była zaborcza, potwornie zazdrosna i potrafiła zająć za skórę każdej kobiecie, która tylko zbliżyła się do Tomka.

– Jestem umówiony za godzinę z Emilią i znajomymi w pubie. Idziemy pograć w planszówki i coś wypić. Może masz ochotę pójść?

– No nie wiem, nie chciałabym wam przeszkadzać i czuć się jak piąte koło u wozu.

– Daj spokój, na pewno nikt nie będzie miał nic przeciwko. Znajdziemy jakąś grę na więcej osób. To świetny sposób, żeby przewentylować głowę i nie zwariować.

Przez chwilę wahała się, ale w końcu uznała, że może spróbować. Nie poszłaby na imprezę, bo nie miała do tego nastroju, ale zaszybieć się w pubie i pograć w planszówki wydawało się dobrym pomysłem.

Tomek miał rację. Knajpa była przytulna, na dobrze oświetlonych stołach leżały plansze do gier, otoczone szklankami z piwem. Emilia zgodnie z jej oczekiwaniami nie była zachwycona, ale też nie okazywała Magdzie jawnej niechęci. Od czasu do czasu zaznaczała tylko swoją obecność i pozycję w grupie, a ją traktowała neutralnie. To znaczy jak powietrze. Reszta znajomych okazała się natomiast całkiem sympatyczna.

Poszła za przykładem Tomka i zamówiła portera, którego on nazywał „czarnym złotem”. Pociągnęła łyk i uznała, że gęste, ciemne piwo o aromacie kawy i czekolady jest doskonałe na tak deszczowy i zimny wieczór. O tej porze zima lubiła przypomnieć wszystkim, że nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa, a ciepły dzień był tylko chwilą jej słabości. Tym większą przyjemność sprawił Magdzie porter. Tomek zaczął już nawet wykład na jego temat, ale Emilia szybko ucięła jego wywody. Po dwóch szklankach Magda poczuła, że świat wokół niej lekko wiruje, a zmęczenie dyżurem tylko spotęgowało to doznanie. Podziękowała za fajnie spędzony czas i zamówiła taksówkę. Po wejściu do domu poszła najpierw pod prysznic, a potem prosto do łóżka.

Po raz pierwszy od dawna spała twardo, nieniekajona przez sny. Wprawdzie obudziła się z bólem głowy, ale uznała, że to niewielka cena za przespaną noc.

* * *

– Nie możesz po prostu zmienić oddziału? – Wiktor Wolski zaparzył kawę i usiadł z Magdą do śniadania.

Lubiła te poranki z ojcem, kiedy mogli spokojnie porozmawiać, choć ostatnio nie mówiła mu o wszystkim, co ją trapi. Nie chciała go obarczać swoimi problemami. Przejście na inny oddział było możliwe, lecz po raz kolejny musiałaby się przyznać do słabości. Nie poradziła sobie na medycynie, teraz nie radziła sobie na oddziale. Nie chciała, by jej życie było pasmem porażek.

– Nie chcę. Pracuję w świetnym zespole, mam wspierających przełożonych i niezły grafik. Może to kwestia przyzwyczajenia, nabrania pewnego dystansu i odporności. Sama nie wiem.

– No, może... Widziałaś Wike? – Mężczyzna zmienił temat i ruchem głowy wskazał na leżący obok telefon, na którym uruchomiony był serwis YouTube. – Znów pakuje się w jakieś szaleństwo. Chce nurkować w najgłębszej jaskini w Azji.

– A to jest w ogóle legalne?

– Nie mam pojęcia. Nigdy tam nie byłem, a Wiki twierdzi, że łapówka załatwi wszystko.

– No tak, cała ona. – Magda spojrzała na ojca wymownie. – Ale jest dorosła i wie, co robi.

– Może jeszcze zmieni swoje... hobby.

Magda upiła łyk kawy, parząc język. Gdyby nie to, pewnie prychnęłaby z rozbawienia.

– Myślisz, że zaczniesz zbierać znaczki? To nie ten typ człowieka. Ona nie może żyć bez adrenaliny. Żeby tylko robiła takie rzeczy, a nie gorsze.

– Madzia! Weź ty mnie nie strasz. I tak już mam wysokie ciśnienie.

– A właśnie. Dobrze, że przypominasz.

Zanim wyszła, wyciągnęła ciśnieniomierz i zbadła ojca. Nie było tak źle, jak próbował jej wmówić. Pożegnała się i ruszyła do pracy.

Ten dyżur nie należał do najcięższych, ale tak zwykle bywało w weekendy, kiedy pacjentów było mniej. W drodze powrotnej wstąpiła do sklepu i zrobiła niewielkie zakupy. Kiedy mijała półkę z piwem, zatrzymała się, a jej wzrok spoczął na butelce z czarną zawartością. Kupiła dwie. Tym razem nie miała ochoty wychodzić z Tomkiem i jego znajomymi na planszówki, więc postanowiła spędzić ten wieczór z Grahamem Mastertonem i porterem. Przyjemne odprężenie spływało na nią wraz z każdym łykiem ciemnego trunku. Zatopiła się w lekturze, choć nie była to najlepsza książka mistrza horroru, jaką czytała. Zanim się zorientowała, wypiła obydwa piwa.

Alkohol był zdradzieckim sojusznikiem, ale o tym przekonała się znacznie później. Najpierw oferował swoją pomoc, odprężał, pozwalał zapomnieć, odzyskać dobry humor, a wreszcie spokojnie przespać noc. Z czasem stawał się coraz bardziej podstępny, coraz bardziej dominował życie Magdy, aż zaczął jej odbierać kontrolę.

Po jakimś czasie dla odmiany sięgnęła po czerwone wino (na trawienie i miążdżycę), zwykłe piwo (na nerki i obniżenie ciśnienia), wreszcie różnego rodzaju nalewki na wszelakie dolegliwości, poza tą jedną – zwykłym uzależnieniem – która z czasem potrzebowała coraz większych dawek. I nowych powodów. Na swoje nieszczęście Magda miała ich pod dostatkiem: samotność, stresująca praca, kłopoty ze snem.

– O Boże – jęknęła, kiedy któregoś dnia obudziła się z potwornym bólem głowy. Nie on był jednak najgorszy. Znacznie bardziej dokuczało jej pragnienie. Jak na złość w pokoju nie miała wody, bo wypiła całą w nocy.

Jej wzrok padł na prawie nienaruszoną butelkę piwa. Musiała zasnąć tuż po tym, jak otworzyła kolejne. Była piąta rano. Najwyraźniej obudził ją hałas przejeżdżającego tramwaju albo dźwięk spuszczonej wody. Jej ojciec miał ostatnio kłopoty z pęcherzem i często chodził do toalety w środku nocy. Miała dopiero na siódmą i uznała, że nic złego się nie stanie, jeśli rano pokrzepi się szklanką. Porter był treściwy i na dobrą sprawę mógł służyć za śniadanie, a do wyjścia alkohol dawno zdąży z niej ulecieć.

Przełała płyn do szklanki i wypiła połowę duszkiem. Piwo było całkowicie pozbawione gazu i ciepłe, ale nie przeszkadzało jej to szczególnie. Najważniejsze, że złagodziło nieznośną suchość w ustach. Od razu poczuła się lepiej. Spokojnie wyszykowała się do pracy, zrobiła delikatny makijaż i na wszelki wypadek obficie się wyperfumowała. Nie budząc rodziców, wymknęła się z mieszkania i przeganiając resztki snu, ruszyła do szpitala.

Dwunastogodzinny dzień pracy zaczynał się raportem pielęgniarskim, kwadrans przed siódmą. Intensywny zapach kawy maskował wszystkie inne. Pół godziny później przystąpiła do rutynowych czynności, które pomimo niedługiego stażu pracy wykonywała niemal automatycznie. Sprawdziła sprzęt do reanimacji, przejrzała plan zabiegów operacyjnych i zaczęła, aż rozpocznie się obchód lekarski.

– Magda, dyrektor Michalski prosi cię do siebie – powiedziała Agnieszka. Młoda pielęgniarka bardzo lubiła z nią pracować. – To chyba coś ważnego.

Czekała na tę rozmowę od pewnego czasu. Michalski kiedyś zaczepił ją na korytarzu i pochwalił za punktualność, sumiennność i serdeczność, jaką obdarzała pacjentów. Miała nadzieję, że rozmowa będzie dotyczyła podwyżki, o której również wspomniał. Sięgnęła do kieszeni po dwie gumy do żucia. Tak na wszelki wypadek, choć była pewna, że alkohol dawno wywietrzał.

Kiedy przekroczyła próg gabinetu, poczuła niepokój. Dyrektor Michalski miał zatroskaną minę. Przez chwilę wystraszyła się, że coś złego spotkało jej bliskich.

– Pani Magdo, proszę usiąść. Przejdę od razu do rzeczy. – Dyrektor do spraw pielęgniarstwa zaplótł ręce na biurku i westchnął ciężko. – Zgłoszono mi, że czuć od pani alkohol.

– Co też pan mówi? – Magda obruszyła się. – Kto zgłosił?

– To przecież nieistotne. Nawet stąd czuję, że jest pani wczorajsza. A może nawet... dzisiejsza? Spuściła oczy i zaczerwieniła się.

– Zjadłam dziś dwa cukierki z alkoholem, zanim weszłam na oddział. Zostały po imieninach matki i włożyła mi je do torebki. Na pewno już wywietrzały.

– Niech pani da spokój. To przecież nie pierwszy raz. Już przecież dostała pani upomnienie od pielęgniarki oddziałowej, choć moim zdaniem powinna była nadać sprawie bieg służbowy. Nie będę do tego wracał. Jeśli sądzi pani, że jest trzeźwa, proszę poddać się badaniu alkometem.

– Jeśli mi pan dyrektor nie wierzy...

– Tu nie chodzi o wiarę, tylko o fakty, pani Magdo. – Mężczyzna wyjął z szuflady plastikowe pudełko i wyciągnął z niego alkomet. Włączył urządzenie i poczekał, aż przejdzie w tryb gotowości. – Proszę dmuchać w otwór, dopóki nie zapiszczy. Jeszcze trochę. Dziękuję.

Ucieszyła się, gdy alkomet pokazał 0,19. Miała nadzieję, że z takiej ilości uda się jej jakoś wyłgać. W najgorszym razie przeciągnie sprawę tak długo, jak będzie mogła, a wtedy odczyt będzie jeszcze niższy.

– Zero dziewiętnaście promila – powiedziała triumfalnym głosem. – Widzi pan, nawet mogłabym prowadzić.

– Myli się pani. To alkomet policyjny, wskazuje wartość w miligramach na litr powietrza, co w przeliczeniu na promile daje circa zero przecinek czterdzieści dwa. Czyli prawdopodobnie kwadrans temu, kiedy sprawa została zgłoszona, miała pani dobre pół promila alkoholu, pani Magdo.

– To niemożliwe! Przecież nie jestem alkoholiczką!

– A jednak jakiś problem najwyraźniej pani ma. Jeśli potrzeba dokładnego badania, możemy wezwać policję, pobrać próbkę krwi i wysłać do laboratorium.

Magda poczuła, jak uginają się pod nią nogi, a gorąco napływa falami. Jak mogła nie zauważyć, że zrobił się z tego problem? Przecież nie była typem imprezowiczki, nie wracała na czworakach do domu, nie wpadała w kilkudniowe ciągi, nie urywał się jej film. Jak ten podstępny sukinyś w szkole mógł doprowadzić ją do tego, że wyleci za chwilę z pracy? Co prawda ostatnio kolekcja pustych butelek za jej łóżkiem urosła do całkiem pokaźnych rozmiarów, a obok piwa znalazły się tam gin, likier karmelowy i amaretto, ale przecież nie należała do marginesu społecznego, z którym powszechnie kojarzono problem nadużywania alkoholu.

– Pani Magdo, jest pani świetną pielęgniarką. Wrażliwą, troskliwą i sumienną. Ja wiem, że to jeden z najtrudniejszych zawodów na świecie, a już na takim oddziale praca jest szczególnie obciążająca. Ale proszę zrozumieć, że tutaj najmniejszy błąd może kosztować pacjenta życie, a ja nie mogę do tego dopuścić. Niestety, ale jestem zmuszony zwolnić panią dyscyplinarnie.

Słowa dyrektora Michalskiego jeszcze długo brzmiały jej w uszach i pamiętała dokładnie każde z nich. Jeszcze nigdy nie czuła się tak upokorzona, jak wtedy, gdy koleżanki z oddziału odprowadzały ją wzrokiem do wyjścia.

Postanowiła, że to ostatni raz, kiedy alkohol przejął kontrolę nad jej życiem.

Wytrzymała do wieczora.

Anglia, 1940 rok

Piegowate plecy i wachlarz rudych, rozrzuconych po poduszce włosów były pierwszymi rzeczami, jakie Teodor zobaczył po obudzeniu. Znad krawędzi kołdry wystawała naga pierś z małym różowym sutkiem i wspomnienia powoli wracały. Nie pamiętał nawet, jak miała na imię. Opijali z chłopakami z dywizjonu kolejny dzień, który udało im się przetrwać, kiedy chwilę po dziewiątej wieczorem do pubu weszły cztery WAAF-ki²¹. Dwie z nich kojarzył z lotniska, dwie były mu zupełnie obce.

Reszta wspomnień tonęła w oparach przeciętnej whisky, ciepłego piwa, do którego nadal nie mógł się przyzwycząć, i dotyczyła zacieśniania przyjaźni międzynarodowej.

– *Fuck!* – zaklął, kiedy spojrzął na zegarek. O tej porze już dawno powinien być na lotnisku.

Wypadł z pokoju i zajrzał do sąsiedniego, z którego dobiegało chrapanie Piechockiego. Zbudził go brutalnie i nie zważając na protesty skrzydłowego, wyciągnął go z łóżka. Razem z trzema innymi pilotami uprosili właściciela The Orchard Inn, by pożyczył im samochód.

Leciwy rover 10 już dawno nie był zmuszony do tak szaleńczej jazdy. „Piecha” wciskał gaz do dechy i pokonywał zakręty, prowadząc auto zaledwie kilka centymetrów od kamiennych murków, zbudowanych wzdłuż drogi.

Kiedy wpadli na lotnisko, część samolotów była już w gotowości bojowej. Piloci z Dywizjonu 303 i kilku innych, stacjonujących w Northolt, smażyli się w swoich maszynach. To, że Niemcy przypuszczą atak w tak słoneczny i bezwietrzny dzień, było niemal pewne. Zagadką pozostawało, kiedy i z jakiego kierunku nadlecą równe kolumny bombowców, eskortowane przez stodziewiątki, dlatego od samego świtu siły RAF utrzymywały gotowość operacyjną.

King miał niezadowoloną minę, ale dopiero Bieszke wyglądał jak gradowa chmura nadlatująca nad *dispersal*²². Nigdy nie słyszeli z jego ust tylu przekleństw naraz.

– I co tak sterczycie, wy, bando łajdaków i pijaków? – warknął, kiedy na jego tyradę odpowiedziała cisza, a reakcją był spuszczone wzrok wszystkich. Teodor uznał za zabawne, że grupa mężczyzn, którzy codziennie stawiają czoła śmierci, daje się łajać jak dzieci. Ale musiał przyznać, że zasłużyli. – Przypominam wam, że jest wojna i powinniście być w niezawodnej kondycji.

– Przecież jesteśmy – zażartował Teo i w tym samym momencie pożałował swoich słów. Kapitan zbliżył się do niego i posłał mu pełne złości spojrzenie.

– Bury, mam dosyć twoich wybryków. Jak nie w powietrzu, to na ziemi. Wiecznie coś. Jeszcze raz mi podpadniecie i wywalę z dywizjonu na zbity pysk. Rozumiesz?

– Tak jest, panie kapitanie!

Bieszke powiódł wzrokiem po reszcie pilotów i westchnął, uznając, że wystarczająco się nagadał.

– Bierzcie dupy w troki i pakujcie się do maszyn.

– Tak jest, *sir!*

Nie na darmo mówiło się, że polski pilot to i na drzwiach od stodoły polecą, ale to była tylko część prawdy. Z niewielkimi wyjątkami Polacy byli gotowi do boju o każdej porze dnia i nocy i mogli godzinami tkwić w kokpitach stojących na słońcu maszyn. Nieważne, w jak złym stanie byli, kiedy nadarzała się okazja, by dokopać Niemcom, każdy rwał się do swojego myśliwca.

Godzinę później byli w powietrzu. Dowództwo skierowało ich w rejon Dover, gdzie napotkali formacje nacierających bombowców. Było ich tak wiele, że niebo nad kanałem La Manche pociemniało. Pierwsi do ataku ruszyli piloci z 303.

Teodor kojarzył ich z widzenia, choć nigdy nie miał okazji, by któregoś poznać bliżej. Czasami widywał kilku z nich w The Orchard Inn, ale zwykle siadali w innej części lokalu.

– Pamiętajcie, żadnego strzelania do spadochroniarzy! – Brytyjczyk upomniał ich, a Bieszke przetłumaczył, by do wszystkich dotarło. – Nasz wywiad chce ich przejmować, by wyciągnąć jakieś

informacje. Szczególnie dotyczy to ciebie, Blackbury. Zrozumiano?

– Tak jest, nie będzie strzelania.

Puścili się w dół ostrym pikowaniem pomiędzy wrogie maszyny. Polak co chwilę wykonywał nieprzewidywalne i dzikie manewry, w których przeciążenie oscyloowało na granicy pozbawienia go przytomności. Ostatnia noc odcisnęła mocne piętno na jego koncentracji i skuteczności. Pomimo podawanego z maski tlenu oddech miał krótki i urywany, a ustnik urządzenia wypełnił się potem śliną.

Tym razem nie miał szczęścia i już wydawało mu się, że wróci na lotnisko z zerowym dorobkiem, kiedy osamotniony messer sam nawinął się mu na celownik. Wypuścił długą serię, która poharatała samolot nieprzyjaciela. Strzelał do wyczerpania amunicji. Niemiecki pilot odrzucił osłonę kabiny i wyskoczył z maszyny, zanim ta weszła w korkociąg uniemożliwiający wydostanie się.

Biała czasza spadochronu otworzyła się znacznie poniżej wysokości, na której walczyła większość samolotów. Widocznie wśród niemieckich pilotów rozniosła się już wieść o tym, co Teo zrobił z jednym z nich. A może nie tylko on.

Zakazano mu strzelać do spadochroniarzy i zamierzał się podporządkować rozkazowi.

Zniżył wysokość i skierował maszynę wprost na spadochron. Otworzył przepustnicę i w pełnym pędzie przeleciał tak blisko, że pęd powietrza skręcił czaszę niczym wytrawny palacz bibułkę do papierosa. Wydawało mu się, że nawet przez ryk silnika słyszał wrzask Niemca, który zapikował w dół jak kamień. Teodor nie zdążył jednak zobaczyć, jak ciało wrogiego pilota uderza w kamieniste pole, a jego krzyk urywa się w połowie.

Grzechot pocisków o blachę wyrwał go z transu. Hurricane zarobił od nadlatującego messerschmitta potężną serię, która podziurawiła skrzydła i tylną część kadłuba.

Teo zadziałał instynktownie. Kiedy tylko udało mu się odpiąć pasy i odsunąć osłonę kabiny, wyskoczył. Pęd powietrza zerwał mu pilotkę i zaczął szarpać za poły kamizelki ratunkowej, ale Teodor nie otworzył spadochronu. Jeśli Niemiec, który go trafił, widział, jak potraktował jego towarzysza broni, to na pewno będzie chciał wziąć odwet.

Ziemia zbliżała się szybko, a pola, pocięte drogami i kamiennymi murkami, rosły w oczach. Messerschmitt przeleciał mu nad głową, ale na szczęście miał już na ogonie dwie brytyjskie maszyny. Teo był bezpieczny. Otworzył spadochron i poczuł gwałtowne szarpnięcie. Zniosło go w miejsce, z którego mógł zobaczyć targaną wiatrem czaszę spadochronu martwego Niemca.

Wylądował na polu, boleśnie obtłukując kostkę i kolana. Spadochron ciągnął go jeszcze przez kilka metrów, zanim udało mu się odpiąć uprząż. Wiedziony ciekawością pokuśtykał w stronę swojej ofiary. Na widok zmasakrowanego ciała, którego członki były nienaturalnie powyginane, czaszka zmiażdżona, a mundur poprzebijany ostrymi odłamkami kości, poczuł satysfakcję.

– Nawet masz dla mnie prezent, szkopie – powiedział, wyciągając z kabury lugera. Pistolet był ciężki, zimny i pomazany krwią. Wyrwał też z munduru Krzyż Żelazny, który Niemiec dostał za męstwo na polu walki. Albo, co bardziej prawdopodobne, za strzelanie do cywilów, pomyślał z goryczą.

Splunął na zwłoki i odszedł.

* * *

– Mówiłem, nie zabijać skoczków! – Bieszke huknął pięścią w stół, aż zadzwoniły wszystkie szklanki.

– Mówiliście, by do nich nie strzelać, panie kapitanie. – Teodor stał wyprostowany i ze spokojem patrzył na miotającego się dowódcę. – Nie strzeliłem do niego.

– Wiesz, o co mi chodzi, Bury, i nie rźnij głupa. Masz szczęście, że RAF potrzebuje pilotów. W normalnych czasach wywaliłbym cię na zбитy pysk.

– A wy, kapitanie? Nie straciliście nikogo w Polsce, że tak ich żałujecie? – Wzrok Teodora stwardniał, gdy przypomniał sobie twarze tych, którzy zostali w domu, i tych, których śmierć widział po drodze. – Ci sami piloci mogli pruć do cywilów, którzy uciekali z kraju, i walić bombami w Warszawę.

Gdy przez twarz Bieszkego przemknął grymas, Teo wiedział, że trafił w sedno. Starszy oficer szybko się jednak opanował.

– W powietrzu macie słuchać rozkazów. To jest pierwsza powinność żołnierza, a nie prywatne

porachunki z wrogiem. Poślecie do piachu jednego szkopa, a oni zrąbią nam trzech chłopaków. Dywizjon jest jak jedno uzbrojone ramię. Najmocniej siecze miecz trzymany wszystkimi palcami. Rozumiesz?

– Rozumiem, panie kapitanie. – Teodor westchnął i uznał, że dalszy spór jest bezcelowy.

– Jeszcze będziesz miał okazję się zemścić – powiedział Bieszke pojednawczo i dodał w zadumie: – Jeszcze polecimy nad Rzeszę, zobaczysz, Jeżyńko.

Lubił Bieszkego. Polski dowódca starał się być twardy i zasadniczy, ale było w nim coś ciepłego i ojcowskiego. Tuż obok wyrastały prawdziwe myśliwskie asy z Dywizjonu 303, których wielkie sukcesy odbijały się już echem po całej Europie, ale Bieszke zawsze chwalił swoich podwładnych i kilka razy utarł nosa innym lotnikom w The Orchard Inn. Dywizjon 314 nie osiągał takich wyników, ale nie było w nim tylu doświadczonych polskich pilotów, co w 303.

W czasie kilku następnych lotów Teo trzymał nerwy na wodzy. Latał w szyku, nie strzelał do skoczków, a nawet przyuczył nieco swojego nowego skrzydłowego, choć Winnicki – rodowity warszawiak – był zarozumiały i podkreślał swoje szlachecko-inteligenckie pochodzenie przy każdej okazji. Teo wiedział, że to od umiejętności nowego pilota zależy jego własne życie, przemógł więc niechęć i przeciwiczył z nim kilka manewrów. Dokładnie tak, jak kiedyś ćwiczył z Jaśkiewiczem. Ten czas nagle wydał mu się taki odległy.

Niewielu Niemcom udawało się ująć z życiem z potyczki z Burym. Skrócony dystans w jego karabinach wymagał, co prawda, bardzo bliskiego podejścia do przeciwnika, jednak kiedy Polak wypracował dogodną pozycję do strzału, serie pocisków siekały wrogie samoloty na miążgę. Zdarzało się, że przez ułamki sekund widywał rozbryzgi krwi na osłonach kabin, a rzadko który pilot opuszczał swoją maszynę.

Przyzwyczał się do tego, że każdego dnia kogoś ubywało, a zamiast niego pojawiał się inny. Tam, gdzie zwykle się gromadzili – w kasynie lub w The Orchard Inn – wolne miejsca straszyły niczym szczyrby w komplecie zębów. Teodor szybko przestał przywiązywać się do ludzi. Nie chciał znać ich pochodzenia, historii z dzieciństwa, opowieści o wojsku czy ich drodze do Wielkiej Brytanii. W miarę jak zajadłość Niemców malała, Teo gorzkniał i stawał się odludkiem, a wolny czas wołał spędzać w towarzystwie przygodnie poznanych kobiet niż z kolegami z dywizjonu.

Pod koniec października ataki Niemców wyraźnie słabły, a siły RAF zdobywały przewagę w powietrzu. Luftwaffe mocno się wykrwawiała, choć niewątpliwie wielu doświadczonych pilotów wciąż jeszcze siadało za sterami myśliwców.

Ostatniego dnia października Dywizjon 314 został poderwany o świcie. Dowództwo podało koordynaty, a grupa samolotów wzbiła się w powietrze i szybko zniknęła w mlecznych, nisko wiszących chmurach. Kiedy wyszli z nich na chwilę, Teo zorientował się, że dywizjon znajduje się na wysokości Dover. Białe klify szczyrzyły się do nich niczym szczęki, czekające na Niemców, by ich pochwycić i rozszarpać. Starli się z dużą grupą messorów, które niespodziewanie wyszły z chmur pod nimi. Brytyjskie maszyny rzuciły się w pogoń z rykiem silników i chwilę później pierwsze messerschmitty zaczęły pikować ku ziemi, ciągnąc za sobą ogony dymu.

Razem z kapitanem Bieszke wzięli się za jedną z niemieckich maszyn i wsiedli na jej ogon, sypiąc krótkimi seriami. Pilot Luftwaffe szybko zorientował się, że nie ma szans, i zaczął uciekać.

Wlecieli w chmury. On, Niemiec i Bieszke. Teo wykonał gwałtowny zwrot. Napiął mięśnie brzucha, by krew nie odpłynęła z głowy do niższych partii ciała. Utrata przytomności była ostatnim, czego potrzebował. Zaczepnął łąpczywie łyk tlenu. Powietrze na tej wysokości było już rzadkie, a maska dawno wypełniła się wilgocią, ale nie zwracał na to uwagi. Niemiecki pilot, a pewnie jego śladem i Bieszke także zaczęli krążyć w chmurze. Co jakiś czas w mlecznej mgłę pojawiał się ciemny kształt, a Teodor za każdym razem się wahał. Dopiero gdy chmura się przerzedziła, zobaczył samolot nieprzyjaciela wyraźniej.

Ra-ta-ta-ta-ta-ta!

Hurricane splonął ogniem, a wtedy kątem oka dostrzegł, że z prawej strony nadlatuje rozpędzony messerschmitt. Zanim zrozumiał, co zrobił, było za późno. Wystrzelona przez Teodora potężna seria pocisków trafiła prosto w maszynę dowódcy. Z komory silnika buchnął ogień i czarny dym, a radio

wypełnił przerażający wrzask płonącego żywca człowieka. Hurricane pociągnął za sobą wstęgę dymu i rozbił się o ciemne wody Kanału Angielskiego.

Przez jakiś czas krążył wokół wielkiego cumulusa, ale Niemcowi w jakiś sposób udało się wymknąć. Wykorzystał resztę paliwa i w drodze powrotnej stracił jeszcze jeden nieprzyjacielski myśliwiec, ale nie poprawiło to jego samopoczucia.

Choć dywizjon spisał się świetnie i wielu pilotów miało powody do radości, Teodor był w minorowym nastroju. Czuł, jak zbierają się nad nim czarne chmury. Dręczyły go wyrzuty sumienia, ale jeszcze bardziej wizja niepewnej przyszłości.

– Co jesteś taki zasromany, Jeżynko? – Karaś, jeden z pilotów trzysta czternastego, który był w nim od początku, klepnął go po ramieniu. – Martwisz się starym? On wróci, to twardy zawodnik. Kto z nim był?

– Ja – odezwał się Winnicki. – I Bury. Razem poszli w chmury za dwoma szkopami.

– Walka w chmurach to nie żarty. – Karaś wytarł twarz rękawikiem i zaczął ściągać poszczególne elementy kombinezonu. – Widziałeś, jak stary dostał?

– Nie, zniknął mi z oczu, gdy tylko wlecieliśmy w mleko. Ja siedziałem na ogonie swojemu Niemcowi i starałem się wyjść z tego cało.

– Jasne, to nie twoja wina.

Poklepał Teodora po ramieniu, ale nie przyniosło mu to ulgi. Zamiast świętować z pozostałymi pilotami w *dispersalu*, udał się do baraku mieszkalnego. Wziął prysznic, przebrał się w czyste rzeczy i zasnął, gdy tylko położył się na łóżku.

Snił mu się Bruno. Młodszy brat jak zwykle miał nieodgadniony wyraz twarzy, a błękitne oczy były skupione. Spoglądał na niego, siedząc w kabinie samolotu, którego Teodor nie rozpoznał. Bruno pomachał do niego i uśmiechnął się nieśmiało. Jego jasne włosy powiewały na wietrze. Swoim zwyczajem nic nie mówił, ale w oczach miał to ciepło, którego Teo zawsze mu zazdrościł. Potem zniknął, podobnie jak całe otoczenie.

Wznosili się pod chmury. Teodor w swoim samolocie, a Bruno w swoim. Teraz rozpoznał maszynę. To był ten mały samolot na zlecenie brata zaadaptowany do celów rolniczych. Białe cumulusy rosły w oczach. Teodor próbował wywołać Brunona przez radio, ale odpowiadała mu cisza. W końcu obaj wpadli w obłok. Zawieszista i gęsta biel otoczyła samolot ze wszystkich stron. Nagle zrobiło się w nim niezwykle duszno.

– Bruno! – Teodor krzyknął, choć wiedział, że to bez sensu.

Co jakiś czas cień samolotu brata pojawiał się to z lewej, to z prawej strony. Teo podążał za nim, ale ten znikał. Próbował szukać wyjścia z chmury, lecz ona nie miała końca. Zdawała się ciągnąć setkami kilometrów w górę, w dół i na boki. Kiedy wreszcie stracił nadzieję, ujrzał maszynę Brunona. Nadleciała wprost na niego, zderzając się i wzniesając warkocz ognia.

Spadali obaj, a ogień trawił ich kombinezony i dobierał się do skóry.

Teodor ocknął się gwałtownie. Mokre włosy przykleiły się do jego spoconego czoła, a ostatnim, co zapamiętał ze snu, był rozdzierający krzyk jego brata. Teo dyszał ciężko, a jego serce kołatało i dopiero po długiej chwili zaczął się uspokajać.

To tylko sen. Bruno żyje. Nie chciał myśleć inaczej, ale obiegowa opinia, że bliźnięta wiedzą, kiedy drugiemu stanie się coś złego, nagle wydała mu się bardzo bliska. Wprawdzie czuł, że bratu wiedzie się nie najlepiej, ale żył.

– Nie daj się zabić, głuptaku – mruknął, łudząc się, że w jakiś niepojęty sposób Bruno go usłyszy.

To prawda, że nigdy nie mieli takich relacji, jakie powinno mieć ze sobą rodzeństwo, a bliźnięta w szczególności. Być może dlatego, że byli jak ogień i woda, a być może ze względu na to, że w pierwszych latach swojego życia Bruno był... trudny.

Teodor wciąż jeszcze pamiętał swoją złość na brata, kiedy mieli osiem, może dziesięć lat. Bruno był zamknięty w swojej skorupie jak żółw i tylko z rzadka wystawiał z niej głowę. Nawet gdy Teodor mu dokuczał, ten znosił to ze stoickim spokojem, co starszego z braci irytowało jeszcze bardziej. Kiedy jednak został doprowadzony do ostateczności, potrafił się wściec. Był wtedy jak rozjuszony byk. Kiedy adrenalina uderzała mu do głowy, stawał się nieobliczalny i niewiarygodnie silny. I potrafił bronić tego,

na czym mu zależało. Kociąt, pszczół, książek czy wreszcie tej małej Żydówki, z którą tak się przyjaźnił.

Wojna zmieniła wszystko. Teraz zatęsknił za każdą bójką i każdą utarczką z bratem. To, co wtedy złościło Teodora, teraz wydawało się błahostką. Oddałby wiele, by zobaczyć się z bratem i natrzeć mu uszu.

– Bury, masz się zameldować w dowództwie. – Do sali zajązwał oficer dyżurny. – Za kwadrans.

Kiedy został wezwany, przeczuwał, że rozmowa z Anglikami nie skończy się dobrze. W zadymionym pomieszczeniu zebrało się kilku wysokich oficerów RAF. Wszyscy pochylali się nad mapami, które przykryto, gdy tylko wszedł do pomieszczenia.

– W raporcie napisaliście, że zestrzeliliście wczoraj stodziewiątkę w chmurach – powiedział King, gasząc papierosa w popielniczce na biurku.

– Tak jest, *sir*.

– Nie mieliście wątpliwości, że to któraś z naszych maszyn?

– Nie miałem, *sir*.

– To wytłumaczcie nam, do cholery, to! – Oficer rzucił na blat biurka kilka czarno-białych zdjęć.

Dopiero teraz Teodor uświadomił sobie, w jak niekorzystnej sytuacji się znalazł. Zupełnie zapomniał o aparacie, który był montowany w nowych samolotach. Uruchamiał się podczas strzelania. Na wywołanych zdjęciach zadziwiająco wyraźnie widać było sylwetkę hurricane'a kapitana Bieszke.

– Podobno nie mieliście dobrych relacji z waszym dowódcą? – odezwał się inny brytyjski oficer w randze Air Commodore²³. Kilku innych pokiwało zgodnie głowami.

– To nie tak...

– Kilku lotników powiedziało nam, że często się ostatnio kłóciliście i kapitan Bieszke zagroził, że wyrzuci was z dywizjonu. Nie wspominając już o raportach, w których on sam opisywał waszą niesubordynację.

Teo spojrział na twarze brytyjskich oficerów, ale nie znalazł w nich zrozumienia. Wszystkie dowody świadczyły przeciwko niemu i cokolwiek by powiedział, stał na straconej pozycji. Wiedział, że jego kariera pilota myśliwca właśnie się zakończyła.

Niewyraźna wielobarwna plama zaczęła się wyostrzać i Magda nie musiała się już domyślać, co widzi na podłodze. Perski dywan został zabrudzony plamą wymiocin. Wzdrygnęła się na myśl o czyszczeniu go, ale jeszcze bardziej na to, że pewnie będzie cuchnął całymi miesiącami. A dziadek na pewno nie zgodzi się, by go wyrzucić. Był zbyt przywiązany do swoich rzeczy. Jak to się mogło, do cholery, stać?

W pokoju było duszno, a zapach przyprawiał ją o kolejne mdłości. Podniosła się z pościeli, którą także pobrudziła, i natychmiast otworzyła okno. Do pomieszczenia wpadło zimne powietrze, które odrobinę ją orzeźwiło, ale nie otrzeźwiło. Magda zachwiała się na nogach i przytrzymała ściany.

– O cholera – sapnęła i przetarła twarz dłonią.

Potrzebowała prysznic, świeżych ubrań oraz posprzątania bałaganu, który sama narobiła, ale przede wszystkim potrzebowała kawy. Dużej i piekielnie mocnej.

Przytrzymując się poręczy, zeszła na dół. Z każdym stopniem pulsujący ból głowy zdawał się narastać i wwiercać głęboko w mózg. W połowie schodów poczuła zapach smażonego jedzenia, którego nie powinno tu być. Pomimo bólu przyspieszyła kroku.

– Dziadku, co ty tu robisz?

– A nie widać? Śniadanie. – Staruszek wskazał na patelnię, na której smażyły się jajka. Niestety ze skorupkami. – Jakoś się nie kwapiłaś, żeby mnie nakarmić.

– Daj, zrobię to. – Ujęła go pod ramię i odprowadziła do stołu. – Połamiemy sobie zęby na tej twojej jajecznicy.

– Uuu... – Pociągnął nosem, a Magda zawstydzila się i zamknęła usta. – Odziedziczyłaś w spadku gorzelnię czy jak? Śmierdzisz jak Staszko Chamela.

– Kto?

– Pomocnik piwowara, co go ojciec batem pogonił, jak się dowiedział, że okrada mu piwnicę.

– Twój ojciec miał piwowara? To kim on był?

– Chamela? – zdziwił się staruszek, sądząc, że dosyć jasno to wyłożył. – Pomocnikiem.

– Nie, twój ojciec. – Magdzie jeszcze trudniej było skupić myśli niż dziadkowi. – Pamiętasz go?

– Pewnie. To był gbur i pijus. Chędożył nam wszystkie służki, ale ojciec wyгнаł go dopiero, jak przeliczył zapasy w piwniczce. Staszko więcej chlał, niż produkował.

Magda machnęła ręką. Jak zwykle rozmowa z dziadkiem prowadziła donikąd. Jego pamięć była niczym puzzle, tyle że z kilku opakowań. Fragmenty wiejskiego pejzażu mieszały się z elementami samolotu, końskim zadem, londyńskim Tower Bridge i prачką myjącą stopy w strumieniu. Zainteresowanych dziadek obdzielał nimi zupełnie losowo i przypadkowo.

Zrobiła im kawy i usmażyła porządną jajecznicę na boczku. Potrzebowała tego, by jak najszybciej doprowadzić się do porządku. Jedli ze wzrokiem utkwionym w swoich talerzach. W połowie posiłku czknęła, odłożyła sztućce i rozplakała się. Po jej opuchniętej, czerwonej twarzy płynęły łzy, kapiąc prosto do talerza. Wydmuchała nos, a kiedy odkładała chusteczkę na stół, poczuła chłodną dłoń dziadka. Skóra na niej była cienka jak pergamin i poznaczona plamami wątrobowymi, ale uścisk był pewny i dodający otuchy.

– To się znowu stało, dziadku – powiedziała, wycierając rękawem łzy. Od pamiętnej rodzinnej kolacji, po której upiła się butelką porto, starała się zachować abstynencję. Przerazało ją, że nie potrafiła wytrzymać tygodnia bez alkoholu. – Nie umiem nad tym zapanować. Jestem taka słaba...

– Przestań się mazać, dziewczucho. Jeśli nadal nie potrafisz odmówić sobie kielicha, to znaczy, że nie dotarłaś jeszcze do dna. Sam, jak byłem młody, nie wylewałem za kołnierz i jakoś żyję.

– No tak, ale ty, dziadku, przynajmniej miałeś powód. Wszystkie te straszne rzeczy, które widziałeś na wojnie. A ja, co? Piję, bo jestem samotna.

– A ten konował? Jak mu tam? Wróbel?

Magdzie wydawało się, że już odbyli taką rozmowę, kiedy dziadek był w szpitalu, ale ostatnio spędzała z nim tyle czasu, że mogło to być tylko złudzenie. Potrafił zadawać te same pytania po kilka

razy dziennie i Magda często miewała *déjà vu*.

– Gawron, dziadku. – Uśmiechnęła się mimo wszystko. Dziadek przypisał już Jakubowi chyba wszystkie możliwe ptasie nazwiska, z wyjątkiem właściwego.

– Ach, tak, tak. Nie smali czasami do ciebie cholewek?

– Nie wiem. To skomplikowane i chyba sama nie wiem, czego chcę. Zresztą może on też nie. Na razie mam problem, z którym muszę się uporać, ale nie mam na to siły.

– Najtrudniej uwierzyć w siebie samą, co?

– Żebyś wiedział, dziadku. – Westchnęła i zaczęła sprzątać. Czuła, że tylko zajęcie czymś rąk uwolni jej głowę od ponurych myśli. – Żebyś wiedział.

– Potrzebujesz pieniędzy, dziewczyno? Mam schowaną dużą sumę, mogę ci powiedzieć gdzie. Mnie już potrzeba tylko na trumnę.

Zamarła ze zmywakiem w dłoni. Stała tak przez chwilę z głową pełną kłębiących się myśli. Potrzebowała pieniędzy. Cholernie ich potrzebowała. A jednak wiedziała, że gdyby odziedziczyła po dziadku fortunę, nie umiałaby z niej korzystać. Gadanie o trumnie zwyczajnie zignorowała. Słyszała je kilka, jeśli nie kilkanaście razy dziennie.

– Nie, dziadku. Nie jestem gotowa, by mieć pieniądze.

– Mądre słowa. Wielu ludzi nie jest gotowych i później wynikają z tego tylko nieszczęścia. Kiedyś powiem ci, gdzie są ukryte, bo jesteś najporządniejszą z moich córek.

– Wnuczek – poprawiła go, choć po prawdzie to przyzwyczaiła się, że czasami nazywał ją Basienką, córką, córuchną. – Jestem Magda.

– Przecież tak powiedziałem, córcia. Pamiętaj, że największy skarb kryje się w korzeniach. A twoje są w Dębieńcu.

– Tak, dziadku. W Dębieńcu, zapisałam.

Dokończyła sprzątanie, odprowadziła dziadka do salonu i dopiero wtedy mogła zadbać o siebie. Gorący prysznic zawarł sojusz z kawą i jajecznicą, pomagając Magdzie doprowadzić się do porządku. Około południa była w pełni sił.

* * *

– Medellin to drugie pod względem wielkości miasto w Kolumbii i powiem wam, że chyba nigdy nie zasypia. Dochodzi pierwsza w nocy, a z pobliskich pubów i dyskotek rozlega się prawdziwa kakofonia przebojów z ostatnich kilku lat. Salsa miesza się z techno, wszystkie gatunki latino z rockiem i disco. Po prostu szaleństwo. – Twarz Wiktorii zajmowała niemal cały ekran, a kamera trzęsła się w rytm jej kroków. Była opalona tak bardzo, że bardziej przypominała Latynoskę niż Europejkę. Jedyne jej jasne włosy zdradzały, że może być inaczej. – Idziemy z ekipą do jednej z tych knajp, gdzie można spróbować...

Barbara Wolska wyciągnęła rękę i wcisnęła klawisz zatrzymujący film. Pochłonięta swoimi myślami Magda nie zarejestrowała, kiedy matka weszła do pokoju i stanęła za jej plecami. Pachniała swoimi perfumami oraz płynem do płukania, którego wbrew instrukcji lała trzy razy więcej, o co zresztą nieraz się pokłócili.

– Co ty robisz? – Magda obrzuciła rodzicielkę zdziwionym i pełnym przygany spojrzeniem.

– Po co się zadręczasz jej filmami?

– Zadręczam? Po prostu chcę wiedzieć, co robi moja siostra na innym kontynencie. Zresztą ciekawią mnie jej relacje.

– I właśnie dlatego płaczesz, kiedy je oglądasz?

– Nie płaczę. – Sięgnęła po chusteczkę i wydmuchała nos. – Ostatnio chyba nabawiłam się jakiejś alergii.

– To dobrze się składa, bo twój kolega jest na dole. Może od razu cię zbada.

– Kuba przyszedł? Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Przecież mówię. Nie zejdiesz do niego?

Wzruszyła ramionami. Miała dzisiaj chandrę, a resztki kaca nie poprawiały jej samopoczucia. A co, jeśli faktycznie była alkoholizką i jedyne, co mogło ją teraz uratować, to terapia w ośrodku

uzależnień i abstynencja do końca życia? Nigdy nie przypuszczałyby, że mogło się to przytrafić właśnie jej. Chociaż, dlaczego by nie? W końcu miała predyspozycje – dziadek dawniej nie stronił od alkoholu i od pewnego czasu cała rodzina chroniła przed nim Edwarda, jak mogła, bo kiedy już zdarzyło mu się wypić, stawał się wybuchowy i agresywny. Magda czytała kiedyś, że skłonności do uzależnień są dziedziczne, i ta informacja powróciła dziś do niej z całą mocą. Poza tym było jeszcze kilka innych czynników predysponujących ją do wstąpienia w szeregi alkoholików: niepowodzenia życiowe, samotność, brak perspektyw.

– Halo, Ziemia do Magdy.

– Nie wiem, nie przyjechał przecież do mnie. – Magda otrząsnęła się z rozmyślań i podniosła wzrok na rodzicielkę. – Co on tu w ogóle robi?

– Przywiózł leki dla dziadka. Te, które tak ciężko zdobyć. To naprawdę złoty człowiek. Kto ma tam z nim siedzieć, jak nie ty? No, dalej. Rusz tyłek.

Barbara Wolska sięgnęła do koszyka po szczotkę do włosów i spojrzała na włosy Magdy okiem profesjonalnej fryzjerki. Sięgnęła po pasmo włosów i zaczęła je rozczesywać.

– Auuu... Co ty, do cholery, robisz? – Popatrzyła na matkę ze złością. Barbara Wolska zamachnęła się szczotką i po raz kolejny zatopiła ją we włosach córki. – Wyrwiesz mi wszystkie!

– Cicho, muszę cię doprowadzić do porządku. Bo na razie wyglądasz jak ósme dziecko stróża i trzynaste Baby Jagi. Jakby piorun w skunka strzelił.

– Ty i te twoje powiedzenia. – Magda wyrwała matce szczotkę i niedbałym ruchem odrzuciła ją na biurko. – Myślałam, że daliście mi dzień wolny i mogę z nim zrobić, co chcę. Tym bardziej że jest sobota.

– Ale nie obejmuje to łążenia w piżamie do jedenastej. Zakładaj coś na siebie, najlepiej jakąś kieckę.

Barbara Wolska wyjęła z szafy pierwszą lepszą sukienkę i wyciągnęła wieszak w stronę córki, ale Magda prychnęła i założyła legginsy i wyciągniętą bluzę. Nie miała zamiaru się stroić, tym bardziej że wciąż drżała o to, czy dziadek nie wygada się o jej pijaństwie. Wprawdzie mogła coś zgonić na jego demencję, ale w takich sytuacjach jej matka zawsze drażyła do końca.

Chwyliła za uszy trzy kubki po kawie i zesłała na dół, podzwaniając nimi na schodach. Barbara Wolska ruszyła tuż za nią. W sieni Kuba rozmawiał z jej ojcem o zaletach samochodu terenowego. Kiedy usłyszeli skrzypienie stopni, umilkli, kierując spojrzenia w stronę schodzących kobiet.

– Cześć, córcia. – Wolski odezwał się pierwszy. – Nie spałaś? Mówiłem mamie, żeby cię nie budziła.

– Oczywiście, że nie spała! Przecież dochodzi południe.

– Hej – powiedziała i minęła ich, nie zatrzymując się. Zignorowała uwagę matki, która jak zwykle lubiła przesadzać. Dla niej kwadrans po jedenastej był już południem.

Szybkim spojrzeniem obrzuciła Jakuba, który wyglądał inaczej, niż przywykła. Zwykle widywała go w niebieskiej koszuli, granatowych spodniach i eleganckich skórzanych półbutach, ale tym razem miał na sobie wojskowe spodnie na szelkach, wystających spod rozpiętego polaru w kolorze khaki. Wysokie wojskowe buty sięgały niemal do połowy łydki.

– Wstaw więcej wody, pan Kuba na pewno wypije z nami kawę.

– Właściwie to jestem w drodze. Mam herbatę w termosie, więc...

– Ale szarlotki to pan na pewno nie ma. – Wolska weszła mu w słowo i pociągnęła za rękaw polaru do kuchni. – A daleko pan jedzie?

– Na Kaszuby. Mam takie swoje miejsce na biwak, niedaleko Bytowa. Jadę trochę połowić ryby, pomieszkać w szałasie, posiedzieć przy ognisku.

– W taki ziąb? Przecież pan tam zamarźnie.

– Nie jest tak źle, jak wygląda z okna. – Kuba roześmiał się i poprawił szelki. – Mam porządny szałas, a jak rozpali się w nim ognisko, to jest ciepło jak w górskiej chacie.

– Brzmi cudownie! – Barbara Wolska potrafiła zarażać swoim entuzjazmem, ale w tej chwili jej natarczywość irytowała Magdę. – A może zabrałby pan Madzię ze sobą? Ona uwielbia biwakowanie!

– Mamo! Daj Kubie spokój.

– No co? Nie mam racji? Mamy działkę na Kaszubach i od małości Madzia lubiła tam z nami jeździć. Teraz, po sezonie, to wszystko zamknięte na trzy spusty. Kiedyś to nie można było dziewczyn stamtąd wyciągnąć. Na pewno nie będzie panu przeszkadzała, umie rozpaść ognisko i rozbić namiot. Kiedyś była w harcerstwie.

– Mamo, daj spokój, prosiłam cię. Kuba chce pewnie trochę побыć sam.

– Magda, jeśli masz ochotę pojechać, to zapraszam. Tylko wiesz, nie ma tam żadnych wygod, jedynie szalaś, jezioro i kawał lasu.

Zmierzyła go spojrzeniem, próbując rozszyfrować, czy rzeczywiście proponuje jej wyjazd na biwak, czy tylko chce mieć spokój od gderania jej matki.

– Sugerujesz, że sobie nie poradzę w dziczy? Że umrę bez wygod?

– Nie, ja tylko...

– Myślisz, że ja jestem taka ciepła klucha, co to tylko książki i Netflix? – spytała kąśliwie, zalewając cztery kubki herbatą.

– Nie, no coś ty. Po prostu tam nie ma nawet bieżącej wody ani toalety.

Posłał rodzicom Magdy porozumiewawcze spojrzenie i to była kropla, która przelała czarę goryczy. Poczwała, jak gotują się w niej emocje, a na wierzch wypłynęła chęć udowodnienia sobie i światu, że potrafi.

– Dobrze, przekonasz się, że umiem bawić się w biwak.

Wytarła ręce i poszła na górę, skąd dało się słyszeć rumor, przerywany rzucanymi co jakiś czas przekleństwami.

– Mówię panu, kobiety w tej rodzinie mają raczej trudne charaktery. – Tata Magdy szturchnął Jakuba w bok i gestem zaprosił do stołu. – Nie nadążysz za nimi, a najgorsze, co możesz zrobić, to zacząć się z nimi spierać.

Pół godziny później Magda była gotowa do wyprawy. Choć daleko jej było do profesjonalnego sprzętu biwakowego, jakim dysponował Kuba, to i tak był pod wrażeniem. Do niewielkiego plecaka spakowała tyle ciepłych ubrań, ile się dało, włożyła buty trekkingowe, ocieplaną kurtkę przeciwdeszczową i wełniane skarpety. Nie zrobiłaby kariery na wybiegu, ale wydawała się wystarczająco przygotowana do trudnych warunków.

Wsiedli do samochodu i przez jakiś czas jechali w milczeniu.

– Możesz mnie wysadzić w Chmielnie. Pod jednym z kamieni schowane są zapasowe klucze do działki. Przepalę w piecu i wrócę pekaesem. – Spojrzała na prowadzącego samochód Kubę. Na kolanach trzymała Kaszla, który powoli zasypiał i emanował rozkosznym ciepłem, przenikającym przez warstwy jej ubrań. – Będiesz miał spokój i ciszę.

– Rozmyślałaś się? – Spojrzał na Magdę z ukosa. – W porządku. Jak chcesz, to powiem twoim rodzicom, że byliśmy na biwaku razem.

– Chciałam cię po prostu uwolnić od uciążliwego zobowiązania – prychnęła.

Uśmiechnął się tylko i dodał gazu. Nie była pewna, co to oznacza, ale wydawało się jej, że to rodzaj milczącego zaproszenia.

Krajobraz szybko się zmieniał. Zabudowania Gdańska zniknęły wkrótce po tym, jak minęli obwodnicę. Kaszubskie lasy, ogołocone z liści, miejscowości pozbawione turystów i jeziora, na których nie było widać nawet pojedynczego kajaka, wyglądały zupełnie inaczej, niż do tego przywykła. Rzadko jeździła w te okolice jesienią i zimą. Zatrzymali się w Kościerzynie, gdzie Kuba uzupełnił paliwo, a Kaszel ucieszył się z krótkiego postoju, bo mógł rozprostować kości i załatwić swoje potrzeby.

Magda skończyła jeść hot doga i dopiero wtedy poczuła, że ekscytuje ją myśl o biwakowaniu w nieznanym miejscu. Nawet jeśli została na siłę wciśnięta Kubie. To co prawda nie przypominało podróżniczych szaleństw Wiktorii, ale i tak było przygodą.

Za Kościerzyną krajobraz stał się jeszcze bardziej wyludniony, choć pogoda nie była najgorsza. Szare chmury sunęły po niebie, z rzadka pozwalając przebić się słońcu, ale nie zanosilo się na deszcz. Parę kilometrów przed Bytowem Kuba odbił z głównej drogi. Jechali kilkanaście minut wyboistą i połataną asfaltówką, z której skręcili w leśny trakt. Pomimo głębokich kolein i błota jeep radził sobie znakomicie.

Las skończył się niespodziewanie i wyjechali na szczyt cypla, wypuszczającego się w pomarszczone falami jezioro. Wiatr kołysał dywanami trzciny, a dookoła nich rozciągał się widok na okolicę. Kuba pojechał śladem kół w wygniecionej trawie. Widać było, że odwiedzał to miejsce i znał doskonale każdy zakamarek. Zatrzymał samochód przy ścianie lasu i zgasił silnik.

– No to jesteśmy. – Uśmiechnął się ciepło. – Witaj w mojej samotni.

– Pięknie tutaj jest – powiedziała i spuściła wzrok. Zakręciła młynka palcami, aż strzeliło w stawach. – Kuba, wiem, że zgodziłeś się mnie zabrać, żeby moja matka dała ci spokój.

– Nie, nawet ona nie byłaby mnie w stanie do tego zmusić. Pomyślałem, że przyda ci się odskocznia od codzienności.

– Cóż, dziękuję, naprawdę. Ale jeśli uznasz, że ci wadzę, to powiedz. Złapię sobie autobus z Bytowa.

– Daj spokój, to tylko niecałe dwa dni. Jakoś się dogadamy. Chodź, pokażę ci wszystko.

Otworzyli drzwi, a zimny wiatr wdarł się do środka. Magda po raz pierwszy pożałowała, że nie zabrała zimowych ubrań. Przez ułamek sekundy nawet pożałowała, że dała się namówić. Mogła teraz siedzieć przy herbacie z imbirem i pomarańczą, zaczytywać się w Kingu i grzać przy ogniu trzaskającym w kominku. Zamiast tego znalazła się na końcu świata, wystawiona na podmuchy lodowatego wiatru, a w perspektywie była jeszcze noc, zapewne o wiele zimniejsza.

Zaprowadził ją w las, gdzie w otoczeniu małych choinek stał szałas. Duży i solidny. Kaszel biegał wokół nich jak szalony, obsikiwał okoliczne drzewa i wyszukiwał patyki.

– O rany, inaczej wyobrażałam sobie szałas. – Magda zatrzymała się, zaskoczona widokiem budowli. – To przecież prawdziwy pałac.

Przed nimi stał szałas w wersji *de luxe*. Grube jak męska ręka sosnowe pale, związane sznurem, stanowiły szkielet konstrukcji. Ściany i dach zbudowano z ciasno ułożonych kijów i gałęzi, a wszystko obłożone zostało igliwem i mchem. Do wejścia prowadziły schodki w dół, bowiem podłoga szałasów znajdowała się jakieś pół metra pod ziemią. Całość wyglądała solidniej niż niejeden budynek mieszkalny w Gdańsku.

– Dzięki, musiałem się jakoś tu urządzić, skoro często przyjeżdżam. Śmiało, wchodź do środka.

Zapalił latarkę i odsłonił gruby koc, który przesłaniał wejście. Wewnątrz było chłodno, ale przytulnie, a ściany i dach doskonale chroniły przed wiatrem. Zobaczyła miejsce na palenisko, umieszczone pod niewielkim dymnikiem w dachu, kilka prostych sprzętów i wyłożone słomą miejsce do spania.

– Spokojnie, z tyłu jest cały balot słomy, wystarczy na dwa postania.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Rozpal ognisko. W rogu masz chrust, zapalki i kawałek gazety.

Kilka chwil później szałas wypełnił gryzący dym, a wewnątrz rozświetliło się od ognia. Kuba przyniósł część bagaży z samochodu i przykucnął nad ogniem, by ogrzać zmarznięte dłonie. Obserwowała, jak dorzuca kilka grubych polan. Języki ognia zaczęły je powoli oblizywać, a w szałasie powoli robiło się ciepło i przytulnie.

– Wędkowałeś kiedyś?

– Dawno temu z dziadkiem.

– A masz ochotę? Będziesz musiała co prawda nieco zmarznąć, ale za to kolacja będzie tego warta. Obiecuję.

Zgodziła się i kwadrans później poczuła mocne branie. Zacięła wędkę i zaczęła nawijać żyłkę na kołowrotek. Świadomość, że na jej końcu szarpie się ryba, wprawiła ją w ekscytację. Choć nigdy nie widziała w wędkowaniu niczego interesującego, to teraz zrozumiała, co pociąga w tym hobby tak wielu mężczyzn. Wyciągnęła dorodnego sandacza. Złowili jeszcze kilka okoni i dwa duże leszcze. Połów był okazały, ale przy tym zmarzli okrutnie. Na szczęście wewnątrz szałasów rozgrzało się już na dobre. Jakub podłożył dwa kolejne polana i ustawił nad ogniskiem niewielki ruszt.

– Dobra robota – powiedział, wyciągając nóż i gazetę, na której położył ryby. Zabrał się do ich oprawiania. – Czasami łowię kilka godzin i nie mam nawet połowy tego, co teraz.

– Może ryby też nie chcą siedzieć w wodzie w taką zimnicę? – zażartowała, a on się roześmiał.

Z gwoździa na ścianie ściągnął starą patelnię, umieścił na ruszcie i wylał na jej powierzchnię nieco oleju. Pozwolił mu się rozgrzać i położył kawałki sandacza. Zaskwierczało, a po chwili wnętrze szafasu wypełniło się zapachem smażonych ryb.

Wyciągnął z plecaka termos i rozlał herbatę do metalowych kubków. Podał Magdzie, która usiadła w pobliżu ogniska.

– Masz, rozgrzej się.

Wzięła łyk i zakrztusiła się. Herbata była mocna i zaprawiona czymś, czego się tutaj nie spodziewała. Rozkaszła się i chwilę trwało, zanim mogła coś powiedzieć.

– Kuba, czy tu jest alkohol?

– Tak, rum – odpowiedział z chytrym uśmiechem. – Za mało?

– Nie... – westchnęła i odstawiła kubek na klepisko. – Nie powiedziałam ci, ale mam ostatnio kłopoty z alkoholem i nie wiem, czy nie powinnam iść na terapię.

– Serio? Nie podejrzewałbym cię o to. Zawsze byłaś taka porządna, to znaczy nadal jesteś, ale nigdy bym nie pomyślał, że możesz mieć problem z uzależnieniem. Od dawna?

– Od jakiegoś czasu. Straciłam przez to pracę i w ogóle moje życie pochrzało się. – Magda ukryła twarz w dłoniach i przez chwilę tak trwała. Kuba nie ponaglał jej, ale wolała nie ciągnąć tematu. Bała się łez i tego, że popsuje mu wyjazd. – Naprawdę nie gniewasz się, że moja matka wcisnęła ci mnie do bagażu?

– Pewnie, że nie. Na pewno chce cię odciążyć od opieki nad dziadkiem. Swoją drogą, to podziwiam twoje poświęcenie.

Nałożył ryby na talerze i przez chwilę jedli w milczeniu. Musiała przyznać, że smak świeżo złowionego sandacza, przyprawionego zaledwie odrobiną pieprzu i soli, był rewelacyjny.

– Nie jestem taką bohaterką, za jaką mnie masz, Kuba – powiedziała, gdy skończyli. Przez chwilę rysowała patykami po klepisku, kreśląc symbol nieskończoności. – Kiedy straciłam pracę, jeszcze przez jakiś czas miałam zdolność kredytową. Gdy kończyła mi się forsa, zadłużałam się w drugim banku, gdzie miałam zapasowe konto, u znajomych, wreszcie sięgnęłam po tak zwane chwilówki. Szło na bieżące wydatki, na kawiarnie i puby, w których spędzałam czas, udając, że szukam pracy. No i na alkohol. Spirala długów szybko zaczęła się nakręcać i wystrzeliła z pełną mocą, gdy do domu zaczęli pukać ludzie domagający się – w mniej lub bardziej uprzejmy sposób – zwrotu pożyczonych pieniędzy. Wtedy zrozumiałam, że wpadłam po uszy.

– Bardzo się zadłużyłaś?

– Prawie na sto tysięcy złotych, których nie miałam jak oddać. Jakby tego było mało, moi rodzice wzięli tę sprawę na siebie, sięgając po oszczędności, które mieli przygotowane na starość. Protestowałam, ale nie miałam wyjścia. Po raz kolejny ich zawiodłam i zastanawiałam się, jak wiele porażek są jeszcze w stanie znieść. Nadużyłam ich zaufania, pokazując, że nie potrafię korzystać nawet z tej odrobiny wolności, jaką miałam.

Opowiedziała Kubie o swojej pracy na oddziale onkologii dziecięcej. O wszystkich pożegnaniach, przy których była. O tym, ile dzieci udało się uratować, a ile musiała odprowadzić na drugą stronę. O bezgranicznym bólu, jaki widziała na twarzach rodziców, którzy właśnie stracili swoje dzieci. I o tym, jak alkohol pozwalał jej zapomnieć.

Słuchał uważnie. Zawsze to potrafił.

Z każdym wypowiedzanym zdaniem stawali się swobodniejsi i oboje poczuli, że wraca to, co kiedyś ich połączyło. On słuchał, dopytywał, ona opowiadała tak, jak lubiła. Bez ponagrania, zgadywania, co ma na myśli, czy bycia ocenianą. Wiedziała, że ją rozumie, i po raz pierwszy od dawna czuła w kimś prawdziwe wsparcie.

– To nie twoja wina – powiedział, gdy skończyła. Wypił herbatę z obu kubków i jeszcze trzeciego, a jego ciało przyjemnie się rozgrzało. W szafasie było już ciepło i oboje ściągnęli kurtki. – Przynajmniej nie cała. To wina systemu, który nie dba o pracowników na pierwszej linii frontu. I nie mówię tylko o finansach, ale przede wszystkim o wsparciu psychologicznym, które jest już standardem w cywilizowanym świecie. Jeśli mogę ci jakoś pomóc, Magda, to mów śmiało.

– Rozczarowany?

– Czym? – Spojrzał na nią zaskoczony.

– Tym, że nie jestem taką bohaterką, za jaką mnie miałeś. Nie opiekuję się dziadkiem z dobrego serca, ale dlatego że rodzice postawili mi ultimatum. Nie wiem, czy zgodziłabym się na takie poświęcenie, gdybym nie musiała.

– Widocznie tak miało być. – Usiadł obok niej, a ich ramiona się zetknęły. Nawet przez grubego sweter czuł ciepło Magdy. – Gdybyś nie straciła pracy, dziadek skończyłby w domu opieki.

– Możliwe, że tak by było. Co nie zmienia faktu, że i tak czuję się jak życiowy nieudacznik.

– Daj spokój, jeszcze wszystko przed tobą. – Objął ją ramieniem i lekko potrząsnął w geście pocieszenia.

Na ułamek sekundy musnęli się policzkami i to była iskra, która wpadła do beczki z prochem. Ich usta spotkały się, na początku delikatnie i ledwie wyczuwalnie, a kiedy przekonali się, że to nie przypadek, przywarli do siebie mocniej. Magda całowała doskonale, zmysłowo, lecz coraz bardziej zachłannie. Tutaj też dostrzegł podobieństwo pomiędzy siostrami, choć Wiktoria była jeszcze bardziej namiętna, wręcz dzika. Przez chwilę w jego pamięci powracały obrazy z szalonej nocy. Było coś, co sprawiało, że Magda nawet smakowała podobnie jak młodsza siostra. Czar Wiktorii działał, nawet jeśli była dziesiątki tysięcy kilometrów dalej.

– Och, Wiki... – szepnął i w tej samej chwili zrozumiał, jak koszmarny popełnił błąd. To dlatego, że zbyt dużo ostatnio myślał o Wiktorii.

Magda oderwała się od jego ust i odsunęła pod ścianę szafasu. Nie odezwała się ani słowem, ale jej oczy błyszczały od zbierających się łez.

– Magda, przepraszam. Ja...

– Wciąż coś do niej czujesz... – powiedziała i zaczerwieniła się. W tej chwili nie było istotne, czy ze wstydu, czy ze złości. Najprawdopodobniej z obu tych przyczyn. W pierwszym odruchu chciał zaprzeczyć, ale wiedział, że wypadłoby to nieszczerze. Sam nie był pewien, co czuje, a teraz, gdy Magda była tak blisko, zupełnie zgłupiał. Nie odpowiedział, bo nie było dobrej odpowiedzi. – Nigdy nie przestałeś, prawda?

Atmosfera prysła jak bańka mydlana. Gdyby Jakub nie pił alkoholu, bez wahania poprosiłaby go, żeby ją odwiózł do domu, ale w tej sytuacji nie miała wyjścia. Nie chciała słuchać jego wyjaśnień, choć próbował. Za każdym razem gdy otwierał usta, ona zamykała mu je kąśliwą uwagą. W końcu dał za wygraną. Wziął śpiwór i poszedł spać do samochodu, podczas gdy Magda ułożyła się na posłaniu i przez długi czas wpatrywała się w ogień, wycierając łzy. Ostatnie z nich zlizął Kaszel, którego rozkoszne ciepło przenikało przez jej śpiwór.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że znów przegrała.

Obudziła się niewyspana, zziębnięta i obolała, choć zasnęła dopiero nad ranem. Najwyraźniej wyrosła z biwakowania już dawno temu. Ognisko zgasło, a Kaszel gdzieś zniknął, zabierając ze sobą rozkoszne ciepło. Od wejścia wiał zimny wiatr, który przedostawał się nawet do śpiwora. Uniosła się na łokciach i sięgnęła po telefon. Jakimś cudem urządzenie złapało sieć i oszalało: informacje o próbach połączenia i wiadomości tekstowe przychodziły jedna po drugiej. Domyślała się, że Jakub zasypał ją wyjaśnieniami i przeprosinami, których nie chciała słuchać, ale kiedy otworzyła pierwszą, zrozumiała, że jest w błędzie.

Trzy słowa, które widniały na ekranie, wryły się głęboko w jej umysł:

„Wiktoria została aresztowana!!!”

Kwadrans później byli w drodze do Gdańska, a Magda próbowała dowiedzieć się, co, do cholery, zaszło w Ekwadorze. Jakub milczał, pogrążony w myślach. Nie chciał przeszkadzać Magdzie w dociekaniu prawdy, a jeszcze bardziej rozpamiętywał to, co wydarzyło się minionej nocy.

Hamburg, wrzesień 1942 roku

– Wiem, że to boli. Proszę, wytrzymaj.

Choć aniołów, które wyciągały go ze szponów śmierci, było wiele, ten głos Bruno zapamiętał szczególnie. Był miękki, serdeczny i przepelniony troską. Nie mógł odpowiedzieć. Obolałe płuca wciąż zdawały się płonąć żywym ogniem. W trakcie niekończących się dni, wypełnionych ciemnością i bólem, jego organizm się nie poddawał. Na przekór ranom i rozległym poparzeniom postanowił żyć, zupełnie jak wtedy, kiedy przychodził na świat. Wtedy także nikt nie wróżył mu długiego życia.

Jakimś cudem wyciągnięto go z płonącego samolotu. Żołnierze piechoty zrobili to w momencie, kiedy sądził, że upomniała się o niego śmierć. Jego kombinezon zdążył się już przepalić, a płonące paliwo dobrało się do skóry i włosów. Żołnierze położyli dymiące ciało na mokrej trawie i długo debatowali, co należy zrobić z rannym pilotem. Większość przekonywała, że umrze, zanim zdołają go donieść do szpitala. Nie dziwił się im, sam bowiem czuł, że balansuje na cienkiej granicy pomiędzy życiem i śmiercią. W końcu niewielki patrol ochotników doniósł go na prowizorycznych noszach do obozowiska, a stamtąd trafił do szpitala polowego.

– Nic z niego nie będzie – zawyrokował felczer, który obejrzał rozległe rany i posłuchał rżenia wydobywającego się z ust Brunona. – Ale jeśli dożyje do rana, puścimy go transportem do domu.

Ku zdziwieniu wszystkich przeżył, choć niewiele z tej nocy pamiętał. Jakiś litościwy sanitariusz dał mu po północy zastrzyk z morfiny. Obudził się w samolocie. Nawet na skraju życia i śmierci potrafił rozpoznać charakterystyczny pomruk silników i turbulencje rzucające transportowcem.

Z kolejnych godzin nie zapamiętał wiele. Niemal wszystkie receptory, którymi do tej pory odbierał świat, zostały uszkodzone przez ogień. W nosie i ustach czuł drażniący swąd spalenizny. Zapewne cały tak cuchnął. Jak mięso, które zsunęło się z rusztu i wpadło prosto w płomienie. Czasami słyszał pokrzykiwania lekarzy, wydających polecenia pielęgniarkom, ale najwięcej informacji dostarczała mu jego skóra. Przynajmniej ta jej część, do której nie dobrały się płomienie. Reszta była gorącym, pulsującym węzłem bólu. Kiedy ten stawał się nieznośny, a z ust Brunona wydobywał się jęk, ktoś podawał mu zastrzyk, który pozwalał nie czuć.

– Dzień dobry, Bruno.

Znów ten sam miękki głos, który zwiastował ból połączony z ulgą. Głos jednego z jego aniołów.

Zręczne dłonie pielęgniarki codziennie zmieniały opatrunki. Rytuał był zawsze ten sam. Najpierw czuł dotyk ostrza nożyczek rozcinającego bandaż, potem zdejmowano gazę nasączoną środkami przeciwzapalnymi, wreszcie przykładano nowy opatrunek, którego przyjemny chłód uśmierzał jego ból. Nie widział swojej wybawczyni, bo oczy wciąż jeszcze znajdowały się pod osłoną bandażu. One też ucierpiały od ognia i dymu.

– Hrrrr... – wycharczał w odpowiedzi. Miał poparzone drogi oddechowe, płuca i krtań. Mógł oddychać tylko dzięki aparatowi tlenowemu, którego syk towarzyszył mu w dzień i w nocy.

Nie miał pojęcia, jak trafił do Hamburga, pod opiekę najlepszych specjalistów od poparzeń. Domyślał się, że maczał w tym palce von Berensdorff.

– Proszę się napić. – Pielęgniarka podała mu rurkę z wodą. Była jedną z jego ulubionych. W przeciwieństwie do kilku innych zawsze starała się być delikatna, ściągała opatrunki ostrożnie i nie wiązała ich zbyt mocno. Ale przede wszystkim była miła. Miała ciepły głos i zawsze starała się go rozbawić. Z rozmów na oddziale wiedział, że ma na imię Greta. – Niech się pan uśmiechnie. Jak stanę z prawej strony, to nawet ładnie pan wygląda.

Wydał z siebie chrapliwą namiastkę śmiechu i postarał się rozciągnąć usta. Lewy kącik zapiekł bólem, ale Bruno nie dał po sobie nic poznać.

– Od razu lepiej. Doktor Lange mówi, że niedługo będziemy mogli ściągnąć opatrunki z oczu. Dostało się tam paliwo, ale jest nadzieja, że będzie pan coś widział.

COŚ widział. Bruno zacisnął zęby. Te słowa grzebały jego karierę pilota myśliwskiego. Prawdopodobnie w ogóle będzie musiał zapomnieć o jakimkolwiek lataniu. Nie miał zamiaru łąać miłej pielęgniarki za to, że jednym zdaniem przekreśliła wszystkie szanse na uratowanie Sary i rodziców.

Choć był pod dobrą opieką, to cały czas nie mógł zaznać spokoju. Śnił przedziwne sny o getcie pełnym martwych Żydów leżących na chodnikach i ulicach, o podniebnej walce, która nigdy nie kończyła się zwycięstwem, i o pożarze budynku, z którego nie mógł się wydostać. Kiedy płomienie zajmowały jego ciało, budził się zlany potem. Przypuszczał, że to przez ból niezdołnego do krzyku gardła. Próbował krzyczeć, lecz nie mógł. Jego dusza wrzeszczała za to wniebogłosy.

Długie i przesycone koszmarami noce ciągnęły się w nieskończoność. Wiele zależało od tego, kto miał nocną zmianę. Niektóre pielęgniarki dawały zastrzyk, po którym spał głęboko, by ranki okupić pulsowaniem w skroniach i trudnością w skupieniu myśli. Były też inne, miłe. Kiedy charczał przerażony złym snem, siadały na skraju łóżka i trzymały go za rękę, opowiadały zabawne historie z życia codziennego lub śpiewały cicho popularne niemieckie piosenki. Bruno powoli odzyskiwał spokój, a z czasem i głos.

– Dzień? – spytał, kiedy Greta odsłoniła kotarę w jego sali. Każda głoska zdawała się zrobiona z drutu kolczastego i tak samo boleśnie przechodziła przez gardło.

– Tak, dzień dobry, panie Bruno.

– Jaki?

– Zadziwiająco zimny. Prawie jak w grudniu. Chyba że masz na myśli datę. W tym wypadku to pierwszy października.

– Ile... tu... jestem? – Słowa nadal ciężko przechodziły przez gardło, choć i tak był zadowolony, że może w ogóle wydobyć z siebie głos.

– Prawie miesiąc. Dziś ściągniemy bandaż z głowy i opatrunki z oczu. To wielki dzień.

Zjadł śniadanie. Miało konsystencję rzadkiego kisielu i samo ześlizgiwało się po gardle. Ledwie skończył, a usłyszał, jak do sali wchodzi lekarz w asyście dwóch studentów i pielęgniarki. Zadziwiające, ile może „zobaczyć” pozbawiony wzroku człowiek. Zanim przystąpiono do czynności, zaciągnięto zasłonę, by ostre światło nie zrobiło mu krzywdy. Poczł na głowie znajomy dotyk. Palce Grety zawsze były ciepłe i delikatne. Odwijala kolejne warstwy bandaża, zmniejszając ucisk na skórę głowy. Wreszcie ściągnęła z oczu gazę, a Bruno zamrugał i spróbował otworzyć powieki. Poczł pieczenie.

– No, *Herr Steinke*, jak tam? Czy coś pan widzi?

Przez chwilę nie był pewien. Wszystko było rozmazane i stanowiło raczej mieszaninę pastelowych plam niż konkretne kształty. Zamrugał ostrożnie.

– Tylko plamy.

– Siostró, proszę zakropić tymi kroplami – polecił doktor Lange, a po chwili Bruno poczł, jak chłodny, nieco piekący płyn dostaje mu się pod skórę. – Czy teraz lepiej?

Zacisnął kilka razy powieki. Na szczęście bolało coraz mniej. Kiedy je otworzył, dostrzegł zarys białych lekarskich kitli, fartuch i szarą sukienkę Grety, na której rękawie w końcu zaczął pojawiać się kształt opaski z kontrastowym, czerwonym krzyżem.

– Jest trochę lepiej. Widzę niektóre kształty.

– Panie Winkler, proszę uchylić zasłony.

Kiedy do pomieszczenia wpadło nieco więcej światła, jego oczy zareagowały bólem, ale w końcu się przyzwyczały. Im częściej mrugał, tym więcej kształtów mógł rozróżnić, choć do widzenia sprzed zestrzelenia było jeszcze bardzo daleko. Doktor Lange miał siwą brodę, a Greta włosy koloru dojrzałej pszenicy, częściowo schowane pod pielęgniarskim czepkiem. Bruno poczł, jak z podrażnionych światłem i wysiłkiem oczu zaczynają płynąć łzy. Pielęgniarka chciała je wytrzeć, ale odtrącił jej rękę i sam otarł policzki.

Lekarz przysiadł na podstawionym przez asystenta krześle i otworzył kajet. Przez chwilę jedynymi dźwiękami w pomieszczeniu były chrobot ołówka na papierze oraz ciężki oddech Brunona.

– Zostanie pan z nami jeszcze jakiś czas, *Herr Steinke*. Zrobimy co w naszej mocy, aby odzyskał pan wzrok. – Lange poprawił okulary na nosie. – Przynajmniej na tyle, na ile to możliwe.

– Kiedy... – Bruno odchrząknął i przełknął ślinę. Podrażnione gardło bolało coraz bardziej. –

Kiedy będę mógł wrócić do latania?

– Do latania? – powtórzył lekarz, jakby upewniając się, czy dobrze usłyszał. – Nie wiem, czy kiedykolwiek. Wzrok to tylko ułamek tego, co trzeba wyleczyć, by doszedł pan do pełnej sprawności. Ma pan poparzone duże partie ciała, złamane żebra i jeszcze kilka innych, nie mniej poważnych urazów. Czekają pana długotrwała rehabilitacja.

Z każdym słowem młody lotnik czuł, że coraz bardziej pochłania go czarna rozpacz. Choć odpowiadał na pytania lekarza, robił to mechanicznie, a jego myśli krążyły wokół Sary i rodziców. Wiedział, że swoją nieudolnością podpisał na nich wyrok śmierci.

Kiedy wreszcie pytania się skończyły, Bruno był wyczerpany. Doktor Lange polecił, by odpoczywał, a przed wyjściem asystent zasunął nieco zasłony, by nie przemęczać oczu rekonwalescenta.

– Będzie miał pan towarzystwo – powiedziała Greta, ścieląc sąsiednie łóżko, które do tej pory było puste. – Właśnie przyjmują jakiegoś oficera, którego oślepił wybuch pocisku artyleryjskiego.

Nie odpowiedział. Nie miał ochoty na rozmowę, pogrążony w niewesołych myślach.

– Przykryję pana, bo chcę wywietrzyć salę.

Wszluchiwał się w odgłos krzątania i po chwili poczuł powiew zimnego powietrza, który studził gojącą się skórę. Powietrze było rześkie, niesło ze sobą zapach wypiekanego nieopodal pieczywa i zwyczajne hałasy miasta.

– Czy wiadomo, kiedy skończy się wojna? – zapytał, gdy pielęgniarka zamknęła okno. Zamarła z ręką na uchwycie i głośno wciągnęła powietrze.

– Dla niektórych skończyła się już dawno.

– Straciła pani kogoś?

– Moich dwóch braci poszło na wojnę. Nie – poprawiła się. – Nie poszli, tylko kazano im pójść. Kurt stracił życie w Polsce, na początku wojny, a Uwe zaginął gdzieś na wschód od Kijowa. Cały czas czekamy na wiadomości o nim.

– Przykro mi.

Kiedy się odwróciła, jej oczy były zaszkłone, a usta zaciśnięte w wąską kreskę. Wygladziła dłonią fałdy fartucha i wyszła z sali. Przez kilka następnych dni nie widział jej. Zastanawiał się, czy jego pytania uraziły siostrę Gretę, czy może jej nieobecność wynikała z innych przyczyn.

Nowy towarzysz, którego położono do jego sali, nie był skory do rozmów. Miał obandażowaną głowę i straszliwie poparzoną twarz. Pocisk urwał mu lewą rękę w łokciu, a co kryło się pod grubymi bandażami prawej stopy, wołał nie wiedzieć. Patrząc na niego, Bruno mógł uważać się za szczęściarza. Kiedy środki przeciwbólowe przestawały działać, oficer jęczał i wył, dopóki nie dostał zastrzyku. Pilot nie narzekał, domyślał się bowiem, że robił to samo, nie dając spać po nocach innym pacjentom oddziału.

– Dzień dobry, panowie. – Głos siostry Grety obudził Brunona. Nawet po tygodniu drugi pacjent wciąż otrzymywał leki tak silne, że nie zbudziłby go nawet kubeł zimnej wody. – Dzień dobry, panie Bruno.

Ucieszył się, kiedy ją zobaczył. Tak, zobaczył! Wreszcie wzrok w jego prawym oku wrócił na tyle, by mógł się uważnie przyjrzeć pielęgniarce, której głos tak dobrze znał. Miała ładną, lekko zaokrągloną twarz, a kiedy się uśmiechała, na policzkach pojawiały się urocze dołeczki. Jasne, kręcone włosy upinała ciasno pod czepkiem, ale czasami niesforny kosmyk wysuwał się spod niego i podskakiwał w rytm jej kroków. Zupełnie jak tego ranka. Pielęgniarka pogwizdywała znaną melodię.

Bruno przez chwilę musiał pomyśleć, zanim trafił na właściwy trop. To była szalenie popularna piosenka. Przywędrowała z Ameryki i w szybkim czasie zdobyła serca Niemców. Krążyła plotka, że spodobała się nawet samemu Hitlerowi. Wszystkie stacje radiowe grały ją na potęgę. Dopiero potem ktoś dociekliwy odkrył, że została skomponowana przez Żyda, i natychmiast zakazano jej rozpowszechniania. Ale wśród ludzi zakorzeniła się na dobre.

Bei mir bist du schön, please let me explain

Bei mir bist du schön, means you're grand

Bei mir bist du schön, again I'll explain

*It means you're the fairest in the land.*²⁴

Wychrypiał tekst, który tylko przy dużej dozie wyobraźni mógł przypominać piosenkę. A jednak siostra Greta skojarzyła od razu. Uciekła oczami i zaczerwieniła się. Bruno nie wiedział, czy to na słowa „przy mnie jesteś piękna”, czy też dlatego, że to była zakazana piosenka. Tak czy inaczej rozbawiła go ta myśl.

– Siostra dziś cała w skowronkach – zauważył, gdy przystąpiła do rutynowych czynności, których rozkład znał już na pamięć. – Dobre wieści?

– A skąd pan wie? – Nachyliła się nad nim, a luźny kosmyk połaskotał go w nos. – Siostra przełożona już wygadała?

– Nie, nic nie wiem. Zgaduję tylko, bo widzę, że siostra nie chodzi, ale fruwa nad ziemią.

– Odnaleziono Uwe! Jest ranny, ale jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Leży w szpitalu polowym na wschodzie. Wczoraj dostaliśmy od niego list.

Uśmiechnęła się, co dodało jej twarzy jeszcze większego uroku niż zwykle.

– Co z nim będzie? Wróci do domu?

– No właśnie nie wiadomo. – Westchnęła i zajęła się leżącym obok oficerem. – Jeśli jego rany szybko się zagoją, może wrócić na front.

– Mam nadzieję, że tak będzie. Tak, jak siostra marzy – poprawił się szybko. W myślach przeklinał to, że jak zwykle przy kobiecie płatał mu się język.

– Och, niech ta przekłeta wojna wreszcie się skończy! Nie wiem, po jaką cho... – Urwała i zaczerwieniła się, obrzucając obu pacjentów strwożonym spojrzeniem, jakby przypomniawszy sobie, że obaj to żołnierze. Chciał ją uspokoić, upewnić, że z jego strony nic jej nie grozi. Wyciągnął rękę, ale ból przeszył mu bok, a twarz wykrzywiła się w grymasie. Osiągnął efekt zupełnie odwrotny do tego, który zamierzał. Pielęgniarka szybko pozbierała skrawki pociętych opatrunków i niemal wybiegła z sali.

– To nie tak – szepnął, nie mając siły krzyknąć, lecz było za późno.

Nie odezwała się więcej. Od tej pory widywał ją rzadziej, a na swoich kolejnych dyżurach Greta była znacznie bardziej powściągliwa, przez co zdaniem Brunona straciła wiele ze swojego naturalnego uroku. Nie prowadzili już tak swobodnych rozmów jak dotychczas.

Trzy tygodnie później, gdy Bruno wydobrzeał na tyle, by stanąć na własnych nogach, przeniesiono go na oddział dla rekonwalescentów.

* * *

Hamburg go onieśmiał. Był wielkim portowym i przemysłowym miastem, w którym nowoczesność mieszała się z niemieckimi tradycjami, sięgającymi jeszcze czasów średniowiecznych. Zobaczył wprawdzie do tej pory jego niewielki fragment, ale i tak robił on olbrzymie wrażenie. Kiedy rekonwalescencja dobiegła końca, Bruno otrzymał przydział na pobliskie lotnisko. Podpierając się otrzymaną w szpitalu kulą, udał się do kwatery dowództwa.

– Jak to latać? – Oficer Luftwaffe, *Oberst*²⁵ Friedrich König, spojrzał na Brunona, starając się wysondować, czy świeżo przybyły żołnierz próbuje kpić.

Stojący przed nim młody mężczyzna miał, co prawda, stopień sierżanta i doświadczenie frontowe za sterami myśliwca, ale nie wyglądało na to, by był gotowy do służby. *Oberst* obrzucił go raz jeszcze dyskretnym spojrzeniem. Świeżo zagojone blizny były różowe, wypalone brwi i rzęsy nadawały twarzy dziwny wygląd, a kiedy Bury-Steinke wszedł do pomieszczenia, nie dało się nie zauważyć, że mocno kuleje. Choć usilnie próbował przyjąć regulaminową postawę, to stał przed dowódcą pochylony, niczym wykoślawiona latami i wiatrem wierzba.

– Chciałbym znów móc walczyć w powietrzu, *Herr Oberst*. Na froncie wschodnim radziłem sobie całkiem nieźle pod dowództwem majora von Berensdorffa.

– Von Berensdorffa, mówicie? – König wytrzepał popiół z fajki i nabił ją na nowo. Przez jego twarz, pobrużdżoną dziobami po ospie, przemknął grymas. – Zginął nie dalej niż dwa tygodnie temu od kuli bolszewickiego snajpera.

– Major... – Bruno przełknął ślinę i poczuł, jak robi mu się ciężko na duszy. Von Berensdorff był jego mentorem i miał nadzieję, że będzie okazja, by podziękować dowódcy za całe dobro, którego doświadczył. Za odnalezienie rodziców i Sary, za skierowanie go w okolice Litzmannstadt²⁶ i za pokazanie, że pilot Luftwaffe może być nie tylko bezmyślnym rzeźnikiem, strzelającym do przerażonych cywilów, jak to się działo podczas kampanii wrześniowej w Polsce. – Major von Berensdorff nie żyje?

– Paskudna śmierć. Dostał w tętnicę i prawie doczołgał się do obozowiska. Zabrakło mu może kilku metrów.

„Zaczynaj strzelać do spadochroniarzy albo bezbronnych ludzi, a osobiście wsadzę ci kulę w łeb” – słowa majora von Berensdorffa wciąż wyraźnie brzmiały w głowie Brunona. „Zaczynaj strącać nieprzyjacielskie samoloty, a osobiście przypnę ci medal”.

Tak właśnie go zapamiętał. Jako sprawiedliwego i uczciwego dowódcę, który za uchybienia karał surowo, a za zasługi nagradzał hojnie.

– No cóż, taka jest wojna. Nie nadajecie się do latania, żołnierzu. Pilot Luftwaffe musi być nienagannego zdrowia. Doceniam wasze poświęcenie i doświadczenie frontowe, ale będę z wami szczery. W tej chwili każdy samolot jest cenny i nie zaryzykuję jego utraty, wsadzając do środka kalekę. Rozumiecie?

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Nie znaczy to jednak, że nie znajdę dla was zajęcia. Przydzielam was do personelu naziemnego. Wasze doświadczenie na pewno przyda się mechanikom.

Dowódca nabazgrał coś na kawałku papieru i podał podwładnemu. Jego bezpośrednim przełożonym miał zostać *Hauptmann*²⁷ Ulrich Warnke. Gdy Bruno opuścił kwaterę Obersta, udał się wprost do Warnkego. Kuśtykając, mijali rzędy równo ustawionych myśliwców dziennych i nocnych. Grupa stodziewiątek kołowała właśnie do startu i zanim dotarł do wielkiego hangaru, który od tej pory miał być miejscem jego służby, zobaczył, jak maszyny z rykiem silników wzbijają się w powietrze.

– To ty jesteś ten nowy? *Feldwebel*²⁸ Kulas, tak? – Warnke obejrzał się na swoich podkomendnych, którzy ryknęli śmiechem, aż odbiło go od ścian hangaru. Żołnierze z ciekawością przyglądali się nowemu podoficerowi. Kilku z nich wymieniło się po cichu uwagami na temat przybysza, ale *Hauptmann* nie zwrócił na to uwagi.

– Bruno Bury-Steinke. *Jagdflieger*²⁹ Luftwaffe w stopniu sierżanta – zameldował się, starając się przyjąć regulaminową postawę. Świeżo zagojone rany i zrastające żebra zapłonęły ogniem, więc szybko wrócił do pokracznej i krzywej postury, przy której ból stawał się znośny.

– Niech będzie, Steinke. Zameldujesz się w koszarach i zaczniesz dzisiaj od nocnej służby. Na przyuczenie weźmie cię Rudi... to jest *Feldwebel* Mauer.

Warnke udzielił jeszcze kilku instrukcji, wtrącając przy tym kpiące uwagi, ale Bruno nie dał się sprowokować. Wiedział, że aby wrócić do służby lotnika Luftwaffe, musi wykazać się hartem ducha, nienaganną opinią, a przede wszystkim doskonałym stanem zdrowia. To ostatnie martwiło go najbardziej. Wciąż jeszcze dokuczały mu blizny po poparzeniach, a lewe oko uparcie nie chciało widzieć ostrych obrazów.

Odmeldował się i udał do koszar, gdzie przydzielono mu prycę w czteroosobowej sali dla podoficerów. Jedno z łóżek było zajęte przez nakrytego kocem żołnierza, zaś pozostałe trzy regulaminowo zasłane. Rozpakował swój niewielki dobytek, zgromadzony w szpitalu, zastanawiając się, gdzie podziewają się jego rzeczy. Wprawdzie Lange obiecał, że postara się je ściągnąć do Hamburga, ale Bruno domyślał się, że mogła to być obietnica bez pokrycia. Niemal słyszał żołnierzy na froncie śmiejących się z tej prośby. Przed wyjściem przespał się krótko, każąc obudzić się godzinę przed służbą, ogolił i przebrał w śmierdzący naftaliną roboczy kombinezon.

Feldwebel Mauer już na niego czekał. Młody żołnierz ze strachem spoglądał na blizny Brunona. Był jednym ze szczęściarzy, którzy zostali powołani do jednostki blisko miejsca zamieszkania, i o froncie słuchał jedynie w radiu.

– Co będę robił?

– To, co wszyscy. Obsługiwał samoloty w zależności od potrzeb. Maszyny przed wylotem trzeba przygotować do startu. Te, które wrócą z zadań, zatankować i uzupełnić im amunicję. Uszkodzone trzeba

odholować do hangaru, gdzie zabiorą się do nich nasi mechanicy. Latałeś, więc pewnie znasz wszystko od drugiej strony. Szybko przywykniesz.

– Do czego?

– Sam zobaczysz – odpowiedział Mauer zagadkowo.

Po tygodniu Bruno już wiedział, o czym mówił *Feldwebel*. Służba była ciężka zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Załogi naziemne pracowały w ciągłym pośpiechu, by jak najwięcej maszyn było przygotowanych do startu. Alianckie zwiady i naloty robiły się coraz częstsze, a Hamburg jako miasto portowe, przemysłowe, a przede wszystkim ośrodek produkcji u-bootów, był szczególnie mocno narażony na te ataki.

Od cuchnących smarów, rozpuszczalników i oparów lotniczego paliwa wiecznie bolała go głowa, ręce zawsze miał po łokcie utyłane, a kilka razy coś ciężkiego uderzyło go zniecka. Ładowanie ciężkich taśm z amunicją stanowiło nie lada wysiłek fizyczny, który nie pomagał w gojeniu się ran.

– Kulas, przywieź wózek! – krzyknął ktoś z głębi hangaru. – Rusz się, do cholery! Nie będę czekał cały dzień.

To było najgorsze. Przewisko przylgnęło do Brunona na dobre, nawet niżsi stopniem żołnierze pozwalali sobie tak do niego mówić. Nie mógł się poskarżyć Warnkemu, choćby dlatego, że to przecież on był autorem obraźliwego określenia. To, że jeszcze do niedawna Bruno był pilotem, ściągało ciekawskie spojrzenia i budziło uśmiech politowania. Choć awans na sierżanta otrzymał jeszcze w szpitalu, tutaj nikt się nim nie przejmował, a wręcz dawano mu odczuć, że przez swoje kalectwo nie jest już lotnikiem, nie jest nawet pełnoprawnym członkiem obsługi naziemnej. Hangar numer IX stanowił jednak mikroświat, który rządził się swoimi prawami i nie pozostawało nic innego, jak się dostosować.

* * *

Zimowe powietrze nie było ani rześkie, ani wonne, jak zapamiętał je w Dębieniu. Niebo przykrywał dywan szarych chmur, z których co jakiś czas sypał drobny śnieg. Przemysłowe wyziewy mieszały się z dymem tysięcy kominów. W większości domów, jeśli palono węglem, to bardzo podłej jakości. Najczęściej do pieca szły mało używane meble, zalegające piwnice i strychy, a także to, co ludzie wydobywali z gruzowisk po bombardowaniach. Powietrze przesycił gryzący w oczy dym, a śnieg szybko pokrywał się sadzą.

Kiedy Bruno nie był na służbie, włóczył się bez celu, wydając żołąd na drobne przyjemności. Nie chciał pozostawać beczynny i miał nadzieję, że ruch pomoże w dojściu do pełnej sprawności. Co prawda ból w znacznej mierze ustąpił, ale ciało wciąż było sztywne, a pokryta bliznami skóra wydawała się twarda jak skorupa, co utrudniało mu poruszanie się.

Przechodził właśnie jedną z zatłoczonych handlowych ulic Hamburga, kiedy potrącił kobietę w szarym płaszczu. Wiklinowy koszyk wypadł jej z rąk, a ziemniaki rozsypały się po chodniku. Zamiast zacząć je zbierać, przystanął zdziwiony.

– Siostra Greta?

Poznała go dopiero po chwili. Miał na sobie połataną kurtkę, którą dostał od jednego z kwatermistrzów, i grubą wełnianą czapkę, która ciągle zsuwała mu się na oczy. Gdyby nie blizny na twarzy, pewnie by go nie poznała.

Kobieta schyliła się i w pośpiechu pobierała ziemniaki, po czym chciała uciec. Złapał ją za rękaw w chwili, gdy z dużą prędkością przejechała przed nimi wojskowa ciężarówka.

– Co pani wyprawia? Zachowuje się pani niemądrze – powiedział i odciągnął ją na bok.

– Przepraszam, spieszę się.

– Nieprawda. Potrąciłem siostrę, kiedy wymijałem ją na chodniku. A jeśli ktoś w tym mieście chodzi wolniej niż ja, to znaczy, że nigdzie się nie spieszy.

Westchnęła i wsunęła niesforny kosmyk za ucho. Rozejrzała się niepewnie. Bruno zorientował się, że nawet rodowici obywatele Trzeciej Rzeszy nie czują się bezpiecznie. Wiele osób oglądało się przez ramię i podskakiwało na dźwięk niespodziewanego pukania do drzwi.

– No tak, przepraszam. Nie powinnam pana okłamywać.

– Proszę w takim razie jako rekompensatę przyjąć zaproszenie na kawę.

Przez chwilę milczała, jakby wahała się, co powinna zrobić. W końcu ledwie zauważalnie skinęła głową. Przeszli przez pobliski park i usiedli w niewielkiej kawiarni, w której zamówili kawę. Była słaba, z wyraźną domieszką cykorii. Ciasta nie było.

– Nie musi się mnie siostra obawiać – powiedział, aby od razu wyjaśnić sprawę, która zbudowała między nimi mur. Ściszył głos. – Mam dokładnie takie samo zdanie o wojnie, jak pani.

Opowiedział jej o wszystkim, co zdarzyło się od początku wojny. W niewytłumaczalny sposób czuł, że może jej zaufać. Rozumiała nawet to, o czym nie mógł głośno mówić. Kiedy skończyli rozmawiać, odprowadził ją do domu, niosąc koszyk z warzywami. Mieszkała w obdrapanym budynku w robotniczej dzielnicy Hamburga. Z bramy cuchnęło moczem, a drogę na podwórze zagradzała kałuża wielkości małego jeziora.

– Moi rodzice nigdy nie popierali Hitlera – powiedziała cicho, rozglądając się na boki, czy aby nikt nie podsłuchuje. Na ulicach wciąż roilo się od donosicieli i oficerów Gestapo. – Kiedyś mieliśmy piękny dom na obrzeżach miasta. Ojciec odmówił wstąpienia do NSDAP³⁰, więc wyrzucono nas z niego i przeniesiono tutaj.

Zamilkła, gdy zza rogu wyszedł mężczyzna w wojskowej kurtce. Poruszał się o kulach, a w miejscu jego lewej nogi wisiała pusta, zawiązana w supeł nogawka spodni. Miał szarą, wymizerowaną twarz, a przerzucony przez ramię worek kołysał się w rytm jego kuśtykania.

– Uwe? – Greta zatknęła usta dłońmi i pobiegła w jego stronę. – O Boże, Uwe!

– Gretchen! – Uściskał siostrę, wycierając jej łzy. Chciała się rzucić mu na szyję, ale jeden rzut oka na kule wybił jej ten pomysł z głowy. – Nic się nie zmieniłaś.

– Za to ty bardzo. Chodź, przedstawię ci kogoś.

Uwe Paulsen okazał się sympatyczny i zachował dobry humor pomimo odniesionych ran. Obdarzył Brunona mocnym uściskiem dłoni i poklepał go po ramieniu. Był wyższy niemal o głowę, nawet teraz, kiedy wojenna zawierucha nieco przygięła go do ziemi.

– Chodźcie, ojciec trzyma schnappsa specjalnie na takie okazje. – Greta pociągnęła obu mężczyzn do bramy. – Bruno służy w Luftwaffe. Jest... był pilotem.

– Ach, tak? – zainteresował się Uwe. Przyjrzał się uważnie Brunonowi i przez chwilę myślał, co odpowiedzieć. – Wiele razy marzyłem, żeby latać samolotem, podczas gdy kryliśmy się przed mrozem i kulami. Ale teraz widzę, że to niebezpieczne marzenie.

Bruno przytaknął ruchem głowy i nic nie powiedział, zatopiony we własnych myślach.

Weszli do cuchnącej stęchlizną klatki schodowej. Trzeszczące stopnie uginały się pod nogami i zdawało się, że zaraz pękną pod ciężarem ich kroków. W przeciwieństwie do całej kamienicy i klatki schodowej mieszkanie Paulsenów lśniło czystością. Wylewne rodzinne przywitanie Uwe zawstydziło Brunona. Usunął się w cień, niemal do samych drzwi wejściowych, do momentu kiedy nie zauważyła go matka Grety.

– Niech pan wejdzie, proszę. – Spojrzała na Brunona i uciekła wzrokiem, widząc blizny na jego twarzy. – Jest pan towarzyszem Uwe?

– Nie. Państwa córka opiekowała się mną, gdy byłem w szpitalu. Nie chciałbym przeszkadzać...

– Ależ, nie, proszę. To dla nas bardzo radosny dzień.

Mieszkanie państwa Paulsen było nieduże i skromne, a meble pamiętały prawdopodobnie kilku poprzednich lokatorów. Z wyjątkiem kredensu, który był masywny, rzeźbiony i wypolerowany na wysoki połysk. Ewidentnie odznaczał się na tle pozostałych sprzętów w mieszkaniu. Ojciec rodzeństwa zaprosił wszystkich do stołu. Pojawił się obiecany schnapps, a z kuchni dobiegł zapach smażonej kielbasy z cebulą.

– Opowiadaj, synu. Gdzie to cię rzuciła ta wojna?

– Zostałem ranny pod Kijowem. Zaatakowały nas sowieckie czołgi, do naszego okopu wpadł pocisk. Wybuchł ledwie parę metrów ode mnie. Nie pamiętam, jak mnie wyciągnięto.

– We wrześniu pisałeś, że było spokojnie. Szkoda, że nie zostawili waszej jednostki w Polsce.

– Walczyłeś w Polsce? – zainteresował się Bruno.

– Trudno to nazwać walką. Służyłem w dywizji drugiego rzutu. Kiedy przerzucono nas do Polski, to front był już o wiele dalej. – Uwe potarł szorstki od zarostu podbródek. – Przez jakiś czas miałem

spokojną służbę, dopóki nie przyszedł rozkaz o wysłaniu nas na wschód. Już jedną nogą byliśmy w pociągu, kiedy zagnano nas do oczyszczania getta i nadzorowania transportu Żydów do obozów.

Bruno pomyślał, że to niemożliwe, a przynajmniej nieprawdopodobne. W wielu miastach powstały przecież żydowskie getta. Nagle zaschło mu w ustach, a dłonie zaczęły się pocić. Zaczął nerwowo przebierać palcami i kręcić nimi młynka.

– Żydów – powtórzył głucho. – A z którego getta?

– Z Litzmannstadt.

Poczuł, jak jego ciało wiotczeje i osuwa się z krzesła, a w głowie rośnie wielka, czarna dziura.

Freising (data nieczytelna)

Najdroższy Teodorze,

Nawet nie wiesz, ile radości sprawił mi Twój list! Żyjesz, co jest ogromnie miłą niespodzianką. Cieszę się, wiedząc, że jesteś w dobrym zdrowiu i na póki co bezpiecznej ziemi, choć kto wie, jak długo. Zasmuciłem się jednak z tego powodu, że najwyraźniej nie wiesz o niczym, co się stało po Twoim wylocie. To, co przeczytasz poniżej, zapewne zepsuje Twoją interesującą podróż. Nie lubię być posłańcem przynoszącym czarne wieści, ale uznałem, że powinieneś wiedzieć. Nie bierz jednak tego dosłownie.

Zarówno losy Twoich rodziców, jak i brata nie potoczyły się pomyślnie. Klarę i Heinricha aresztowano za nielegalną hodowlę świń (na pewno wiesz, o czym piszę) i przez długi czas byli na wczasach w Poznaniu, potem zaś znaleźli pracę na terenie Rzeszy. Nie ma dnia, bym nie próbował ich stamtąd wydostać, ale moje możliwości powoli się kończą. Wasi rodzice zostali pozbawieni majątku, a w Dębnieńcu zamieszkali nowi lokatorzy. To porządni ludzie, jak większość Niemców.

Los, jaki spotkał Brunona, smuci mnie jeszcze bardziej. Wraz z grupą niemieckich naukowców został wysłany na wschód, by walczyć z pasożytami nękającymi armię Wielkiego Wodza. Niestety słuch o Brunonie zaginął i jego dalsze losy nie są mi znane, ale mam nadzieję, że dzięki moim znajomościom wkrótce będę mógł napisać Ci coś więcej.

Nie wiem, jak długo jeszcze potrwa ta wojna, ale wygląda, że musimy przygotować się na to, że nie zakończy się szybko. Trzecia Rzesza potrzebuje nowych terenów. Polska to tylko przystawka, początek poszerzania przestrzeni życiowej. Moja fabryka również musiała przestawić się na produkcję wojenną, zatem ja także stałem się trybikiem w tej jakże istotnej machinie.

Dbaj o siebie, Teodorze, i pod żadnym pozorem nie opuszczaj Wysp. Wielka Brytania ma klimat korzystny dla Twojej astmy. Nie ustawaj w swoich badaniach nad skutecznym środkiem na szkodniki. W ostatnim czasie namnożyło się ich strasznie dużo, przy czym większość jest bardzo niebezpieczna. W okolicy co chwilę widzę nowe gatunki. Podobno ołów działa na nie znakomicie, szczególnie na „krzyżaki”. Rób, co do Ciebie należy, a wierzę, że kiedyś to wszystko dobrze się skończy, a my odnajdziemy się w nowej Europie.

Przesyłamy wraz z ciocią serdeczności.

Konrad Steinke

Kent, Anglia, grudzień 1943 roku

Zawiązał krawat do galowego munduru i przejrzał się w lustrze. Choć brytyjska kuchnia, pełna sosów, tłuczonych ziemniaków i przeraźliwie słodkich deserów, zaokrągliła go tu i ówdzie, wciąż jeszcze prezentował się dobrze. Pociągnięte brylantyną włosy były gęste i lśniące, uśmiech zawadiacki, a błysk w oku intrygujący. Resztę załatwiał mundur lotnika. Ze wszystkich tych atutów Teodor miał zamiar skorzystać dzisiaj.

Odwrócił się od zawieszzonego w sypialni lustra, kiedy zobaczył ruch w pościeli. Rosie Millward-Bury przeciągnęła się, a koszula nocna odsłoniła więcej, niż Teodor miał ochotę oglądać.

– Ależ z ciebie maciora – powiedział po polsku. Spojrzał na pulchną, owłosioną nogę swojej żony i skrzywił się z obrzydzeniem.

– *Mature?*³¹ – Rosie uniosła się w pościeli i zmarszczyła brwi. – Nie przesadzaj, mam dopiero dwadzieścia siedem lat.

Spotkał ją w Londynie, kiedy po wyrzuceniu ze służby w Dywizjonie 314 zapijał smutki, snując się od pubu do pubu. Poznała go od razu. Miał na sobie ten sam galowy mundur i liczył, że uda mu się wyrwać jakąś pannę o nie najcięższych obyczajach. Z początku chciał się pozbyć natrętnej dziewczyny, która nie grzeszyła ani urodą, ani intelektem. Szybko przypomniał sobie jednak, kim jest jej ojciec, i zrozumiał, że droga powrotna do lotnictwa wiedzie przez łóżko panny Millward.

Choć rodzice Rosie nie byli temu związkowi zbyt przychylni, ulegli córce i presji otoczenia. Nie była już najmłodsza i choć stanowiła dobrą partię, to okoliczni kawalerzy nie garnęli się do wzięcia jej za żonę. Teo wiedział, skąd wzięła się niechęć przyszłych teściów. Generał Millward musiał zasięgnąć języka co do służby Polaka w RAF. Teodor domyślał się, co mu naopowiadano. Mimo to Millwardowie wiedzieli, że być może jest to ostatnia szansa dla ich córki na zamążpójście, dlatego jakoś przełknęli gorzką pigułkę. Wydawanie córek za polskich pilotów było teraz szalenie modne i może to przeważało szalę.

Wzięli ślub w katedrze w Canterbury, a rodzice Rosie kupili im niewielki, ale przytulny dom na przedmieściach Maidstone. W garażu czekał pachnący fabryką morris oxford. Wydawałoby się, że młodzi małżonkowie mają wszystko, czego potrzebują, a jednak kilka razy w tygodniu wybuchały gwałtowne kłótnie. Rosie cieszyła się, że rodzice wybrali dom na uboczu i sąsiedzi nie mogli słyszeć jej impulsywnego męża.

– Dokąd jedziesz?

– Do Londynu. Mam tam kilka rzeczy do załatwienia.

Sięgnął po buty, pastę oraz szczotkę i zaczął je pastować.

– Mogę jechać z tobą?

– To nie są sprawy dla ciebie – mruknął, nie odrywając wzroku od obuwia. – Zrobiłaś to, o co prosiłem?

– Nie było okazji. Papa wrócił ostatnio w złym humorze i na pewno nie zgodziłby się. Zrobię to, kiedy następnym razem...

– Ja też jestem w złym humorze. I co? I nic, bo nikt się w tym domu nie przejmuje takimi rzeczami. Dałem ci jedno zadanie, do cholery. Jedno! – Teodor założył wypastowane buty i przeszedł się po sypialni. – Masz zadzwonić do niego dzisiaj, rozumiesz?

– Tak, skarbie – powiedziała, wiedząc, że tym razem obejdzie się bez awantury. Teodor spieszył się i nie miał zamiaru poświęcić jej więcej uwagi, niż to było konieczne. Po kilku miesiącach małżeństwa potrafiła już wyczuwać jego nastroje.

– No, dobra dziewczynka.

– Kiedy wrócisz? – spytała cicho. – Pojedziesz ze mną w niedzielę do rodziców?

– Nie wiem. Wrócę, gdy załatwię wszystko, co muszę. Nie czekaj na mnie.

Nie pytała o więcej. Nie potrzebowała i nie chciała wiedzieć. Niedługo po ślubie przekonała się, że jej polski mąż nie zawsze jest czarującym i szarmanckim mężczyzną, za jakiego chciał uchodzić. Kiedy nie sięgał po alkohol, chodził przybity i drażliwy. W takie dni spędzali popołudnia samotnie, każde w innym pokoju. On słuchał radia albo dłużał przy starym motocyklu, kupionym za grosze od sąsiada, ona szydełkowała lub rozwiązywała krzyżówki. Znacznie gorzej było, gdy Teodor sięgał po szklankę whisky.

Gdyby tylko umiała go potępić, wszystko byłoby prostsze. Nie potrafiła jednak tego zrobić. Nie po tym, jak opowiedział jej, co spotkało go w Polsce i jak wojna obeszała się z jego rodziną. Zabita przez Niemców narzeczona. Brat, który zaginął, a może i zginął na froncie wschodnim, rodzice aresztowani przez Gestapo. Nie mogła też nie pamiętać, jak wiele zrobił dla jej ojczystego kraju. W końcu niezliczoną ilość razy narażał się na śmierć, broniąc brytyjskiego wybrzeża.

Tak, Rosie była pewna, że wszystkiemu winna jest ta cholerna wojna. I kiedy ona się skończy, a będzie to zapewne niedługo, wtedy wróci ten mężczyzna, który wybawił ją z opresji, gdy zmarował się jej koń. Ten, który spadł jej z nieba, lądując awaryjnie na polu należącym do rodziców. Wiedziała, że jest jej przeznaczony, i wierzyła, że wkrótce zła passa się od nich odwróci.

Sięgnęła po telefon i zdeterminowana jak nigdy, zadzwoniła do ojca.

* * *

Londyn go upajał, jeszcze zanim sięgnął po pierwszą szkoekę. Nawet przytłoczona grozą wojny metropolia wciąż jeszcze tętniła życiem, i to takim, które Teodor uwielbiał. Zwykle swoją przygodę zaczynał w jednym z licznych kasyn, gdzie często udawało mu się wygrać spore sumy. W przeciwieństwie do tych wszystkich biedaków, którzy wychodzili splukani, on wiedział, kiedy przestać. Rękę do kart miał niemal od zawsze, a dodatkowo ostatnio sprzyjało mu szczęście.

Zwykle przesiadywał w kasynie do dwudziestej drugiej, po czym zamawiał taksówkę, która wiozła go pod wskazany adres. Już w drodze czuł przyjemne łaskotanie w podbrzuszu i narastającą ekscytację na to, co będzie się działo przez najbliższe godziny. Taksówka powoli opuszczała przedmieścia Londynu.

– Szefie, jesteśmy na miejscu – powiedział taksówkarz, patrząc nieufnie na pasażera. O tej porze mało kto zamawiał tak dalekie kursy. Kiedy jednak zobaczył w dłoni Teodora banknot, który aż z nadatkiem regulował rachunek za kurs, wyraźnie się odprężył. Nieufnym wzrokiem obrzucił skrzyżowanie w szczerym polu. – To na pewno tutaj?

– Tak, dziękuję. – Teo wygramolił się z samochodu i poczekał, aż jego światła znikną.

Wyjął niewielką latarkę i odnalazł ścieżkę w wysokiej trawie. Kwadrans później nadał krótki sygnał alfabetem Morse'a, a kilkaset metrów dalej błysnęła odpowiedź. Skierował tam swoje kroki, krzywiąc się na rosę, która zmoczyła nogawki jego spodni. Chwilę później stanął przed niewielkim samolotem transportowym. Ktoś otworzył od środka drzwi i wpuścił go.

– Spóźniłeś się.

– Tylko odrobinę. Karta szła mi dziś wyjątkowo dobrze. Nadrobimy w drodze.

Umościł się na fotelu pilota i uruchomił wszystkie systemy niezbędne do startu. Dopiero w świetle lampek kontrolnych zobaczył swojego towarzysza. Pan Glasgow miał na sobie tę samą tweedową marynarkę i wełniany golf, co zwykle. Teo nie był pewien, czy jest to jego prawdziwe nazwisko, czy tylko pseudonim. Nie musiał i nie chciał tego wiedzieć.

Uruchomił silnik i samolot leniwie potoczył się po wyboistej łące. Chwilę później wzbili się w powietrze, a Glasgow wyciągnął mapę i świecącą na czerwono latarkę. Teodor ich nie potrzebował, ale pasażer stawał się spokojniejszy, gdy miał je na kolanach. Polski pilot wielokrotnie latał nad południową Anglią o różnych porach dnia i nocy. Doskonale rozróżniał poszczególne punkty orientacyjne. Tym razem jednak wybierał najbardziej odludne okolice. Leciał nisko i bez wymaganego oświetlenia, w dużej mierze polegając na oprzyrządowaniu. Wkrótce minęli Dover i wlecieli nad ciemne wody kanału La Manche.

– Nie boisz się Niemców, co? – Glasgow niespokojnie poruszył się na fotelu.

– Nie. Nie ma powodu, abyśmy teraz się ich bali. Jesteśmy jak nietoperz, który zabłąkał się nad

kanalem. Jeśli twoi przyjaciele przyłożą się tak samo, jak ostatnio, to nic nam nie grozi.

Skierował samolot na wybrzeże Francji, na północ od Bologne-sur-Mer, gdzie miał na nich czekać kontakt. Wprawdzie latanie pod samym nosem Niemców wydawało się szaleństwem, ale za to opłacalnym. Teo doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Zgodził się dlatego, że był niezłym pilotem i znał taktykę wroga, ale przede wszystkim lubił ryzyko.

Spojrzał na zegarek i zrobił niewielkie koło nad okolicznymi wioskami. Zostały trzy minuty. Nie powinni byli krążyć zbyt długo. O umówionym czasie na jednej z obszernych łąk zapłonęło kilka ognisk. Teodor ustawił samolot na kursie i wyłączył silnik, co zawsze przyprawiało Glasgowa o nerwowy skurcz w żołądku. Choć wiedział, że polski lotnik wie, co robi, to na widok zatrzymującego się śmigła czuł niepokój. Teo lotem ślizgowym podchodził do lądowania. Teraz ciemny, bezszelestnie sunący po niebie kształt rzeczywiście przypominał nietoperza.

Wylądowali gładko, a zanim zdążyli wysiąść, podjechała rozklekotana ciężarówka z wyłączonymi światłami. Z kabiny wygramoliło się trzech mężczyzn, z których Teodor kojarzył jednego. Ta część wyprawy należała do pana Glasgowa. Ścisłym głosem dobijał targu z Francuzem. Mówili zbyt szybko, by pilot był w stanie zrozumieć cokolwiek więcej niż pojedyncze słowa. W końcu się dogadali.

Do ładowni samolotu powędrowały skrzynki koniaku, szampana i wiele innych towarów luksusowych, niedostępnych w Londynie. Pomimo wojny wciąż był na nie popyt. Tak jak Teodor się spodziewał, na pokład wsiadło też dwóch nieznajomych, którzy do tej pory się nie odzywali. Po sposobie, w jaki patrzyli na urządzenia pokładowe, wywnioskował, że muszą być brytyjskimi lotnikami. Najpewniej zostali zestrzeleni nad kanałem i trafili do niemieckiej niewoli, z której jakimś cudem wydostał ich ruch oporu. Nie pytał. Nie zależało mu na tej wiedzy.

Kilka minut później ogniska wygaszono, a samolot oderwał się od ziemi i rozpląnął w ciemnościach.

* * *

Pub The Scottish Prince pękał w szwach nawet po północy. Tej nocy zaniechano zwyczajowego uderzenia w dzwonek, którym barman oznajmiał, że czas dopijać swoje piwo, bo lokal zamierzano zamknąć, kiedy wyjdzie ostatni gość. Andrzejki były szczególnie celebrowane przez Szkotów, święty Andrzej uznawany był bowiem za patrona tego kraju. Pub zaś prowadził rodowity Szkot i zamierzał z klientów wycisnąć ostatniego pensa. Tłok we wnętrzu, który sprzyjał robieniu interesów, był tak duży, że niemal każde słowo ginęło w gwarze. Wojna czy nie – pewne rzeczy pozostawały niezmiennie.

Wspólnik pana Glasgowa przepchnął się do stolika z trzema szklankami piwa i ciężko opadł na krzesło. Niełatwo było dopchać się do baru, a powrót stanowił prawdziwe mistrzostwo ekwilibrystyki.

– Oby zawsze szło tak gładko. – Teo wznosił szklankę i poczekał na stuknięcie z pozostałymi dwiema. – Szwabym nawet się nie zorientowały, że byliśmy u nich z wizytą.

Wypił łączywie do połowy i odstawił szklankę na stół.

– Niech pan nie wywołuje wilka z lasu – powiedział Glasgow, a trzeci z mężczyzn, który przedstawił się po prostu jako John, pokiwał głową, przyznając mu rację. – Nie zawsze będzie tak łatwo.

– Mam nadzieję. Wtedy ta zabawa zacznie mnie nudzić.

– To na pewno się panu nie znudzi. – Rozmówca sięgnął do wewnętrznej kieszeni tweedowej marynarki i wyjął kopertę. Przesunął ją po stole. Teo zajrzał i schował do torby. – Śmiało, niech pan przeliczy.

– Nie muszę. Ufam panu. To już taki biznes, że trzeba sobie ufać, prawda? – Wychylił duszkiem resztę piwa. – A teraz panowie wybaczą, ale muszę wracać.

Poprosił obsługę, by ktoś zamówił mu taksówkę. Pożegnał się ze swoimi towarzyszami i wyszedł przed pub, by zapalić papierosa. W oczekiwaniu na transport przechadzał się wzdłuż chodnika.

– Ty jesteś Blackbury? – usłyszał za plecami ojczysty język. Dawno nie słyszał przezwiska, które nadano mu jeszcze w czasach, gdy był w czynnej służbie.

Odwrócił się i zobaczył trzech lotników z polskimi dystynkcjami. Zawadiacko przekrzywione czapki i poluzowane krawaty wskazywały, że mieli już w czubie.

– To zależy, kto pyta. Znamy się?

– Ty pewnie nas nie, ale my o tobie słyszeliśmy to i owo.

Zanim zdążył coś powiedzieć, wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Dostał mocny cios w szczękę, który powalił go na chodnik. W ustach poczuł metaliczny smak krwi, a przed oczami zatańczyły mu mroczki. Zaraz potem nastąpiła seria kopniaków.

– Pozdrowienia od chłopaków z dywizjonu, łachudro. – Któryś z napastników splunął na niego. Teraz Teodor przypomniał sobie tę twarz. Lotnik z Warszawy, przyszedł na krótko przed zwolnieniem go ze służby. Warszawiak wyciągnął składany nóż. – Potraktuj to jako ostrzeżenie. Jak jeszcze raz zobaczymy cię w polskim mundurze, to inaczej pogadamy.

Nadjeżdżająca taksówka spłoszyła napastników. Poturbowany pilot podniósł się z chodnika, otrzepał ubranie i wytarł rękawem krew. Na szczęście zawartość jego skórzanej torby nie uległa uszkodzeniu. Taksówkarz nie był rozmowny, więc niemal całą drogę przejechali w milczeniu.

– Halo, jesteśmy na miejscu. – Teodor poczuł, jak ktoś poszturčuje go w ramię. Rozejrzał się niespokojnie. Tylko w jednym oknie paliło się światło. Firana poruszyła się, a za nią przemknął cień. Kierowca taksówki również to zauważył. – Co, spóźniony?

– Na to wygląda.

– Mówię panu, najgorsze, co może człowieka spotkać, to czekająca, zniecierpliwiona baba.

Skinął głową i uregulował za kurs.

Otworzyła mu pachnąca i wystrojona w elegancką bieliznę. Lubił ten figlarny uśmiech i błysk w oku, który zwiastował, że tej nocy nie będą się kochać, lecz pieprzyć. Objął ją w pasie i poczuł, jaka jest gorąca. Nie miała na sobie majtek, a koronkowa koszulka pokazywała wszystko, co mógł mieć tej nocy.

– Cześć, skarbie – powiedziała i wciągnęła go do środka.

– Witaj, Gloria. – Odstawił torbę na podłogę. Brzęknęło cicho. Otworzył zapięcie i wyjął butelkę szampana, który jeszcze kilka godzin temu chłodził się we francuskiej piwnicy. Drugą miał dla żony. Pocałował kochankę w pomalowane krwistoczerwoną szminką usta. – Nie mamy zbyt wiele czasu. Jutro po południu muszę być w domu.

Bilans randek z ostatniej dekady życia Magdy prezentował się zenująco. Była na kilku spotkaniach, z czego do kolejnego doszło tylko w czterech przypadkach. Po trzydziestce zaczęła się zastanawiać, czy coś jest z nią nie tak, a kiedy zdmuchnęła świeczkę na torcie z okazji trzydziestych piątych urodzin, była tego pewna.

Obiektywnie rzecz biorąc, należała do ładnych dziewcząt, ale to w rodzinie Wolskich i Kamińskich było powszechne. Wprawdzie z Wiktoria nie mogła się równać i Magda sądziła, że siostra oszukiwała podczas loterii genowej (co było do niej podobne), ale ona sama na tle innych kobiet wyróżniała się mocną, proporcjonalną budową ciała – nie była przesadnie chuda, ale nie należała też do kobiet z nadwagą – oraz przyciągającą uwagę twarzą. Duże oczy i ładnie wykrojone usta współgrały ze sobą, a kiedy Magda się uśmiechała, odsłaniając białe i równe zęby, mało kto mógł się temu oprzeć. Tyle że w żaden sposób nie przekładało się to na powodzenie u mężczyzn.

Być może winny temu był brak pewności siebie i przebojowości. Przy pierwszym spotkaniu sprawiała wrażenie osoby nieśmiałej i wycofanej. Mało mówiła, dużo słuchała, dopóki nie przekonała się, że może zaufać swojemu rozmówcy. Kiedy poczuła się bezpiecznie, rozkwitała jak róża, prezentując w całej okazałości swoje bogate wnętrze. Bo miała się czym pochwalić.

Kiedy zerwała z Kubą, postanowiła całkowicie oddać się swoim zainteresowaniom. W połowie roku akademickiego została skreślona z listy studentów i miała pod dostatkiem czasu, by zastanowić się, co chce zrobić dalej ze swoim życiem. Po dwóch tygodniach chandry uznała, że tak właśnie miało być i kierunek lekarski nie był jej pisany. Zdecydowała, że pójdzie na pielęgniarstwo, a te kilka miesięcy, które pozostały do rozpoczęcia nowych studiów, przeznaczy na realizację swoich pasji. Gdy inne dziewczęta spędzały czas na imprezach, zakupach i randkowaniu, Magda zwiedzała wszystkie możliwe muzea i penetrowała okolicę w poszukiwaniu perełek architektury. Był czas, kiedy całkowicie pochłaniało ją malarstwo. Z uwagą śledziła życiorysy Picassa, Maneta, Dalego, Witkacego, a już szczególnie fascynowały ją malarki pokroju Kahlo czy Łempickiej.

Gdy Magda nasyciła swoją ciekawość malarstwem, przyszła kolej na literaturę. W ciągu roku przeczytała wszystkie książki ze słynnej listy BBC – 100 książek, które trzeba przeczytać przed śmiercią. Kiedy skończyła ostatnią (a właściwie pierwszą, gdyż zaczęła od końca listy), poczuła pustkę. Na szczęście miłość do literatury pozostała.

W tamtym czasie nie zapominała także o swoim ciele. Basen, sauna, joga i pilates przeplatały się z joggingiem, nordic walkingiem i treningami na siłowni. Przynajmniej raz w tygodniu starała się zrobić długi spacer wzdłuż plaży, a kiedy upowszechniły się audiobooki, mogła połączyć przyjemne z pożytecznym. Najczęściej w niedzielę rano można było zobaczyć Magdę przemierzającą trójmiejskie plaże z dużymi słuchawkami na uszach.

Tyle że to wszystko nie przekładało się na powodzenie u mężczyzn. Zupełnie inaczej miała się sprawa z Wiktoria. Młodsza z sióstr przebierała w nich jak w ulęgałkach. To jeszcze bardziej pogarszało sprawę. Po burzliwym okresie dorastania, kiedy darły koty o wszystko, Magda zaczęła się dystansować od siostry i starała się nie być taka jak ona. Dopiero kiedy Wiki odkryła w sobie pasję do podróżowania i prowadzenia kanału na YouTube, Magda wyszła ze swojej skorupy.

Zacząła dosyć staromodnie, umieszczając anons na największym trójmiejskim portalu internetowym, w dziale ogłoszeń towarzyskich. Przez długi czas z ciekawością, a czasami wypiekami na twarzy przeglądała te, które zamieścili mężczyźni. „Płatny seks i sponsoring”, „masaż i taniec erotyczny”, „seks bez zobowiązań”, a wreszcie „szukam drugiej połowy”. Dysproporcja ogłoszeń o treści seksualnej w stosunku do emocjonalnej mocno ją zdziwiła. Z tej ostatniej kategorii wybrała kilka interesujących wpisów i wysłała e-maile do ich autorów.

„Niebanalny, z dużym poczuciem humoru, szerokimi zainteresowaniami. Lubiący dalekie podróże i lokalne włości. Rozważny i romantyczny”. To był jej faworyt, jeśli chodziło o ogłoszenia matrymonialne, i ku radości Magdy odpisał pierwszy.

Nie wierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia przez internet, dlatego podeszła do tego z dużą

rezerwą. Wymienili kilka e-maili, a Krzysiek wydawał się interesującym facetem. Minął rok od jego rozstania po długim i obiecującym związku, miał stabilną pracę i bardzo podobne zainteresowania do Magdy. Czytał, co mu wpadło w ręce, raz w miesiącu starał się być w operze, teatrze muzycznym lub kinie, a na urlop zamiast hiszpańskich plaż wybierał klimatyczne uliczki Pragi i muzeum Franza Kafki.

Umówili się przed McDonaldem, niedaleko parku Oliwskiego. Magda miała nadzieję, że będzie czuła się przy Krzysztofie swobodnie, dokładnie tak, jak podczas czytania jego maili. Po cichu liczyła na romantyczny spacer pomiędzy szpalerami drzew, który zakończy się w jednej z licznych kawiarni w okolicy.

– Cześć, Krzysiek jestem – powiedział, kiedy wysiadł ze służbowego samochodu z emblematem firmy. Miał na sobie białą koszulę, krawat i marynarkę. – Sorki za spóźnienie.

Choć umówili się na osiemną, przyjechał kwadrans później. Magda nie miała do niego pretensji, w końcu korki o tej porze wciąż nie odpuszczały.

– To co, idziemy coś zjeść? – spytał, przesuwając palcem po ekranie telefonu. Pomyślała, że sprawdza, jakie ciekawe restauracje znajdują się w okolicy. Było z czego wybierać. Szczególnie że w ostatnim czasie nowe lokale wyrastały jak grzyby po deszczu. Klimatyczne kawiarenki, kameralne restauracje z ciekawym menu. Wszystko w zasięgu ręki, maksymalnie kwadrans od miejsca, gdzie się umówili.

– Jasne, masz jakiś pomysł?

– Ja klasycznie, zestawik z big makiem. – Otworzył drzwi do restauracji, przed którą się umówili, a Magda oniemiała ze zdziwienia. – A ty szalej do woli. Mają teraz jakieś sezonowe kanapki.

Ruszył przodem, wybrał wolny stolik pod oknem i przewiesił marynarkę przez oparcie krzesła.

– To co dla ciebie?

– Kawa wystarczy – powiedziała, zajmując miejsce naprzeciwko. Marzenia o randce w romantycznej kawiarence przysły jak bańka mydlana, ale Magda postanowiła dać mu szansę.

– Na pewno?

– Tak, na pewno.

Pomyślała, że może ocenia go zbyt surowo. Pewnie przepracował cały dzień i przyjechał tu prosto z biura. Mógł być głodny, rozumiała to, podobnie jak jedzenie fast foodów w takich okolicznościach. Rosło w niej jednak poczucie żalu.

– Słuchaj, nie mam dużo czasu, bo o dziewiętnastej mam spotkanie z klientami. – Krzysztof postawił tacę z jedzeniem i kawą na stole. Podał Magdzie kubek i opadł na krzesło z westchnieniem. – Ja będę jadł, a ty opowiadaj o sobie. To nam zaoszczędzi czasu.

– Nie wiedziałam, że przychodzisz na spotkanie w przerwie. Mogłeś powiedzieć, że ci nie pasuje. Umówilibyśmy się w innym terminie.

– Nie, spoko, wszystko pasuje. Taka szybka randka pokazuje, czy warto w tę relację inwestować czas. Wiesz, taki *speed dating* bez całej tej żenującej otoczki. To czym się zajmujesz?

– Jestem pielęgniarką. Pracuję w szpitalu...

Telefon zawibrował na blacie, a Krzysztof wepchnął resztę burgera do ust i sprawnym ruchem odebrał połączenie.

– No, co tam? – spytał z pełnymi ustami. Kropla sosu kapnęła mu z brody na tacę. – Streszczaj się, bo mam randkę. Tak, wydrukuj. Dwanaście egzemplarzy. Pospinaj je, żeby nie latały jak głupie. I zaparz dzbanek kawy. *See ya.*

Rozłączył się i sięgnął po frytki. Magda z niedowierzaniem spoglądała, jak pakuje połowę opakowania do ust. Opera, teatr muzyczny, wernisaże. Akurat.

– Sorki – powiedział z przeproszącą miną. – Moja sekretarka jest totalnie nieogarnięta. Mówiłaś, że jesteś lekarką, tak?

– Nieważne. – Wstała od stolika i założyła płaszcz. Żal, który jeszcze chwilę wcześniej był zaledwie ziarenkiem, teraz urósł do gigantycznych rozmiarów. – Dzięki za kawę.

– Ej, poczekaj...

Nie słuchała go. Pchnęła ciężkie drzwi i wyszła, szczerzej otulając się szalem. Niby zdawała sobie sprawę, że pierwsze śliwki robaczywki, ale jej rozczarowanie było ogromne. Domyślała się, że

prawdopodobnie nic z tego, co zamieścił w ogłoszeniu, nie było prawdziwe. Wszystko wymyślił, żeby ją podejść.

Wtedy sądziła, że to najgorsza randka jej życia, ale okazało się, że otworzyła puszkę Pandory.

Sympatyczny i misiowaty Wojtek był wprawdzie starszy od niej, ale za to kulturalny, obyty w świecie oraz szalenie dżentelmeński. Wskoczyli kilka razy do teatru w Warszawie, spędzili weekend w Krakowie i drugi, już bardzo namiętny, we Wrocławiu. Problem pojawił się wtedy, kiedy wyznał, że ma żonę i dzieci, ale nie omieszkał zaznaczyć, że jego prawnik właśnie przygotowuje papiery rozwodowe. Ta historia aż za bardzo pachniała klasyką gatunku, a Magda nie miała zamiaru przykładać ręki do rozpadu czyjejś rodziny, choć wątpiła, by cokolwiek z tego, co mówił Wojciech, rzeczywiście miało nastąpić. Wiedziała, że najprawdopodobniej żaden rozwód nie wchodzi w grę, a ona miała odegrać rolę tej drugiej. Młodej kochanki dla pana w kryzysie wieku średniego.

Michał był najprzystojniejszy ze wszystkich facetów, z którymi się spotykała. Brunet o gęstych włosach i mocnym trzydniowym zarostem, z ładnie zarysowaną szczęką i iskrzącymi oczami. Na wszelki wypadek, zanim Magda zdecydowała się umówić na randkę, przegadali sporo godzin na Gadu-Gadu i zlokalizowali się na Naszej Klasie. Odbyli też kilka rozmów telefonicznych. Po trzeciej była zakochana po uszy. Michał miał podobne poczucie humoru, wołał wieczory z książką niż imprezy, a przede wszystkim czuła się w jego towarzystwie swobodnie. Zastanawiała się, gdzie jest haczyk. Taki przystojniak musiał mieć jakiś feler, skoro na jego palcu jeszcze nie błyszczała obrączka. Zrozumiała, gdy umówili się na kolację. Wybrali przytulną knajpkę z widokiem na Motławę. Rozmawiało się im jeszcze lepiej niż przez internet. Michał sypał anegdotami, potrafił barwnie opowiadać, ale także uważnie słuchać i był przemiłym człowiekiem. Odsunęła się gwałtownie, gdy nachylił się, by ściszone głosem opowiedzieć jej puentę pikantnej historii. Miał potwornie nieświeży oddech. Początkowo pomyślała, że wiatr zawiął w ich stronę, przynosząc woń rzeki, która latem potrafiła pachnieć naprawdę nieprzyjemnie, ale szybko zrozumiała, że to nie Motława. Nie skreśliła Michała. Nie mogła tego zrobić tylko dlatego, że ma problemy z nieprzyjemnym oddechem. Halitoza, na którą najprawdopodobniej cierpiał, nie była końcem świata. Na kolejnej randce tak delikatnie, jak potrafiła, zasugerowała mu sięgnięcie po leki eliminujące problem nieświeżego oddechu. Więcej nie zobaczyła Michała. Zablokował jej numer, skasował konto na portalu społecznościowym i zniknął. Magda przez długi czas nie była w stanie uwierzyć, że jedna jej uwaga mogła spowodować taki obrót sprawy. To było tak absurdalnie nieprawdopodobne, że aż zabawne, choć potrafiła się śmiać z tego dopiero, gdy minęło kilka lat.

Potem był jeszcze Krystian, ale po kilku spotkaniach wiedziała, że prędzej czy później przegra z jego największą miłością – siłownią. Facet godzinami rozprawiał o cardio, interwałach i suplementacji. Był miły i początkowo bardzo Magdą zainteresowany, ale to szybko minęło.

Na dobitnie i utwierdzenie Magdy w przekonaniu, że albo współcześni faceci są beznadziejni, albo jej nie jest przeznaczone życie rodzinne, trafił jej się epizod z Miłozsem. Wydawał się najnormalniejszy ze wszystkich, z którymi się spotykała, miał tylko nietypową pracę – przez pół roku pracował za granicą, a kolejne pół spędzał w Polsce. Magda nie do końca rozumiała, dlaczego informatyk musi spędzać sześć miesięcy poza domem, ale jego obszerne techniczne wyjaśnienia przyjęła za dobrą monetę. Zupełnym przypadkiem wydało się, że zagraniczna delegacja jest tak naprawdę drugą rodziną, a Miłosz może pracować z domu. Żonie mówił dokładnie to samo, co Magdzie.

Kiedy tamtego dnia na ganku domu dziadka zobaczyła ponownie Jakuba, uznała, że nie spotkało jej nic lepszego w relacji z facetami niż krótki związek z nim.

Hamburg, grudzień 1942 roku

Bruno był zdruzgotany. Dosłownie jakby skurczył się w sobie na dźwięk słów: *Allgemeine Gehesperre*³². Wielka Szpera. Zamknięcie w domach połączone z oczyszczaniem getta. Informacje, które Bruno zdobył, były niewystarczająco szczegółowe i nie napawały nadzieją. Getto w Łodzi zamieniono w wielki obóz pracy, wcześniej zaś usunięto z niego wszystkich, którzy z perspektywy Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy byli zbędni: dzieci, starcy, osoby chore i z różnych powodów niezdolne do pracy. Wprawdzie Sara była młoda, zdolna do pracy i prawdopodobnie zdrowa, ale mogło wydarzyć się wszystko. Uwe z zażenowaniem opowiadał, jak mieszkańców getta wywieziono w bydlęcych wagonach do obozu zagłady w Chełmnie. Choć propaganda robiła, co mogła, to wieści o tym, co robi się z ludźmi w takich miejscach, niosły się szybko. Wielu Niemców nie chciało w to wierzyć, ale Bruno wiedział, że prawda może być o wiele straszniejsza. Jaka była szansa, że Sara nie znalazła się w jednym z transportów śmierci? Nie wiedział, ale teraz, kiedy był tak daleko od frontu, a wypadek zdegradował go do pozycji pomocnika mechanika, uratowanie jej z tego piekła graniczyło z cudem. Nie. Było daleko poza jego pojęciem cudu.

Czuł, jak zapada się w otchłań rozpaczy. Zbyt często i natarczywie pytał o getto w Litzmannstadt, o rodziców, o wujostwo, aż wreszcie Gestapo zaczęło się nim interesować. Wiedział, że byli u jego dowódcy, rozpytywali w koszarach, gdzie i z kim wychodzi. Cały czas miał wrażenie, że widzi za sobą mężczyzn w długich skórzanych płaszczach. Bał się, że swoim nieostrożnym zachowaniem sprowadzi kłopoty na rodzinę Paulsenów.

– Musisz się uspokoić – powiedziała pewnego wieczora Greta, kiedy ojciec i Uwe wyszli na papierosa po skończonej partii brydża. Pani Paulsen była w tym czasie na nocnej zmianie w fabryce. – Tak nie pomożesz Sarze.

Drgnął na dźwięk tego imienia, jakby wypowiedzenie go stanowiło zagrożenie. A przecież wiedział, że w domu Paulsenów jest bezpieczny. Zanim zdążył coś powiedzieć, podjęła wątek.

– Robisz zbyt dużo szumu i pytasz niewłaściwe osoby. W ten sposób nie pomożesz ani jej, ani swoim rodzicom.

– To co ja mam zrobić? – zapytał. Zbierało mu się na płacz. Nie chciał okazywać swojej słabości przy Grecie. – Co mam zrobić, Gretchen?

– Nie chcieliśmy ci wcześniej mówić, ale brat naszego ojca jest oficerem SS. Byli ze sobą bardzo życzliwi, dopóki nie poróżniły ich poglądy. Domyślam się, że tylko dzięki interwencji wujka nie wsadzono nas do obozu.

– Co to ma wspólnego ze mną?

– Rozmawialiśmy z tatą, zanim przyszedłeś. Obiecał, że skontaktuje się z Kurtem i poprosi go o pomoc. Myślę, że wuj zgodzi się przez wzgląd na dawne czasy. W końcu jesteśmy rodziną.

Poczuł, jak obudziła się w nim nadzieja. Być może właśnie los dawał mu ostatnią szansę, by uratować Sarę. Tyle że to mogło sprowadzić niebezpieczeństwo na jedyne bliskie osoby, jakie w tej chwili w życiu miał.

– Nie mogę was o to prosić, Gretchen. Podziękuj...

– Nie. To już postanowione – przerwała mu. Taką twardość i zdecydowanie w jej głosie słyszał po raz pierwszy. – Wiemy, jakie jest ryzyko, i skoro proponujemy ci pomoc, to znaczy, że się na nie godzimy. Idą Święta Bożego Narodzenia, to czas cudów. Może i tobie się jeden przydarzy?

Uśmiechnął się i odwrócił do okna, by nie widziała jego łez. Tyle że kiedy popłynęła pierwsza, nie mógł zatrzymać kolejnych. Oparł się o parapet i szlochał po cichu. Stała za nim i położyła mu na ramionach swoje ciepłe dłonie. Mimowolnie odwrócił się i wtulił w jej ramię. Szorstki wełniany sweter Greta drapał w policzek i wchłaniał łzy.

– Przepraszam – powiedział, kiedy usłyszał kroki na skrzypiących schodach. Spadł pierwszy

w tym roku śnieg i wracający mężczyźni długo otrzepywali buty, co dało mu czas na doprowadzenie się do porządku. Greta uśmiechnęła się i nic nie odpowiedziała.

Grudzień był w tym roku mroźny i śnieżny. Wiele maszyn na lotnisku musiano wciągać do hangarów i ogrzewać, by silniki w ogóle ruszyły. Dało się także odczuć braki w zaopatrzeniu. Bruno przywykł do ciężkich warunków pracy, a jego stan zdrowia poprawił się. Greta nalegała, by przychodził, kiedy tylko będzie mógł, i ćwiczył pod okiem jej lub Uwe, który przed wojną był nauczycielem wychowania fizycznego. Rodzeństwo Paulsenów nieustannie motywowało go do regularnej aktywności i choć niektóre rany zostawiły na nim trwałe piętno, to przynajmniej ból ustąpił.

Nie miał służby w Boże Narodzenie i skorzystał z zaproszenia od rodziców Grety. Po kilku miesiącach znajomości nie czuł już takiego zażenowania i skrępowania, jak na początku, kiedy trudno było mu się odezwać choć słowem. Nie wiedział, ile powiedziała im Greta, ale doceniał, że nie zadawali pytań, które stawiałyby go w niezręcznej sytuacji.

Obiad był przyjemny, choć skromny. W odróżnieniu od polskich tradycji tutaj wieczerza wigilijna była zaledwie cieniem tego, co znał z rodzinnego domu, choć zdawał sobie sprawę, że jest to również wina czasów, w jakich przyszło im żyć. Na świąteczny obiad Bruno przyniósł pieczoną gęś, która kosztowała go niemal cały miesięczny żołd, jednak po pierwszym kęsie mięsa musiał przyznać, że była tego warta. Pani Paulsen przyrządziła kilka tradycyjnych niemieckich potraw świątecznych, a całość została uwieczniona nalewką korzenną, przygotowaną przez ojca Grety jeszcze przed wojną.

Dostał w prezencie ciepłą wełnianą kamizelkę i kalesony zrobione na drutach przez Gretę i jej mamę. Ucieszył się, bo lodowaty wiatr wiejący od morza zawsze przeciskał się przez ubranie. Zawstydził się, że nie przyniósł prezentów dla domowników, ale zakup gęsi zwyczajnie go zrujnował. Nikt nie miał jednak do niego pretensji. Cała czwórka doskonale wiedziała, jakim wyczynem było zdobycie tego świątecznego przysmaku. Ostatnio do sklepów docierało coraz mniej towarów. Pomyślał o Teodorze, który był największym smakoszem gęsiny, jakiego znał.

Pożegnał się przed północą i wrócił do koszar. Choć atmosfera była serdeczna, to twarze domowników spowiadał cień, którego Bruno nie był w stanie rozszyfrować.

* * *

Pierwszy tydzień 1943 roku upłynął pod znakiem nieustannych służb. Coraz więcej maszyn wymagało naprawy, a mechanicy uwijali się dzień i noc. Po raz kolejny odrzucono prośbę Brunona o przywrócenie do czynnej służby lotniczej.

– Stało się coś? – spytał, kiedy przekroczył próg domu Paulsenów. Obawiał się, że chodzi o Gretę albo Uwe, ale kiedy wszedł do pokoju, przekonał się, że siedzą przy stole.

– Usiądź, musimy porozmawiać. – Georg, ojciec Grety, podstawił mu krzesło. – W święta widziałem się z bratem. Dostał urlop i wrócił do Bremy, do rodziny. Poprosiłem go o przysługę, o której rozmawialiśmy. Zdziwił się, że chodzi o Żydówkę, ale ku mojemu zaskoczeniu się zgodził.

– To dobra wiadomość. – Bruno powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych domowników, ale nie zobaczył na nich radości.

– Niestety, kolejne nie są już tak pomyślne. Wczoraj otrzymaliśmy list, z którego jasno wynika, że Sary nie ma w łódzkim getcie.

– Co? – spytał cicho, jakby nie docierało do niego, co właśnie usłyszał. – To pewne?

– Mógłbym wiele zarzucić swojemu bratu, ale nie to, że rzuca słowa na wiatr. Sprawdził spis ludności getta po *Allgemeine Gehesperre*, a kiedy nie znalazł na nim Sary Rozenberg, wysłał ludzi pod wskazany adres. To jakiś pustostan, w którym od dawna hula wiatr. Sąsiad z kamienicy naprzeciwko wspominał, jak wynoszono ciała ludzi, którzy pomarli tam z głodu.

– Może się pomylił? Może ja pomyliłem adres...

– Przykro mi, chłopcze. – Paulsen położył mu rękę na ramieniu i poklepał po ojcowsku. – Naprawdę mi przykro.

– To niemożliwe. – Bruno schował twarz w dłoniach i na długą chwilę świat wokół niego przestał istnieć.

Przez kolejne dni funkcjonował jak w transie. Służby odbywał mechanicznie, powtarzając

czynności, których nauczył się przez ostatnie miesiące. Po powrocie do koszar długo leżał w łóżku, gapiąc się w sufit, z którego łuszczyła się farba. Cały czas zastanawiał się, jak zginęła Sara. Czy była to kula wściekłego esesmana? A może umarła wcześniej z głodu lub chorób. Najbardziej nieznośna była jednak myśl, że podzieliła los swoich rodziców, trafiając do obozu zagłady. To, co mogło się z nią tam stać, było tak okropne, że łyzy same ciekły po policzkach.

– Nie poddawaj się, Bruno. – Greta była przy nim, gdy tylko mogła. Zawsze wiedziała, co powiedzieć. – Każdy z nas stracił kogoś w tej okropnej wojnie. Każdy. Masz jeszcze rodziców, którzy prawdopodobnie żyją. Tu w fabrykach nie jest tak źle.

– Tak, pewnie tak – odpowiadał machinalnie i zanurzał się w swoich myślach.

Nie zrażała się. Tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu trwała przy nim. Przekonał się, że pod delikatną powierzchownością Grety krył się niezłomny charakter. W końcu zaczął rozumieć, że jego przyjaciółka może mieć rację. Nieważne, kto i po co wywołał tę wojnę, ona raniła każdego. Być może w całej Europie nie było rodziny, która nie straciłaby jednego ze swoich ukochanych synów, męża czy ojca. Matki, żony czy córki.

W ciemnościach własnego serca przeżył całą wiosnę i dopiero kiedy słońce zaczęło mocno grzać, zobaczył, ile upłynęło czasu. Czasu, przez który zaczął tracić nadzieję. Pogodził się z myślą, że Sara nie żyje. Z tego, czego dowiedział się o getcie łódzkim i panujących tam warunkach wywnioskował, że istniało wielkie prawdopodobieństwo, że umarła tam z głodu, wycieńczenia lub wskutek choroby. Lepiej było sobie nie wyobrażać, jak wyglądała przed śmiercią. Wolał o niej myśleć tak, jak ją zapamiętał z Dębienca – uśmiechniętą i pełną życia.

Pod koniec lipca zabrał Gretę na wieczorny spacer do parku Planten un Blomen. Powietrze przesycone było zapachem kwiatów i ciepłem, które natura oddawała po całym dniu spiekoty. Ostatnie upały wszystkim dały się we znaki. Każdy, nawet najdelikatniejszy podmuch wiatru spacerowicze przyjmowali z ulgą. Dopiero godzinę przed północą zrobiło się przyjemnie. W drodze powrotnej wypili po szklance piwa i postanowili wracać przez centrum, gdzie wreszcie dało się oddychać.

– Słyszysz? Burza idzie – powiedziała Greta, prowadząc go pod rękę przez uliczki starego miasta.

– Mam nadzieję, że przyniesie deszcz. Dużo deszczu. Jak byliśmy dziećmi, to uwielbialiśmy skakać z Uwe po kałużach. On wybierał te najgłębsze i czasami wpadał aż po kolana. Ja nosiłam jasne sukienki i rodzice trochę bardziej surowo patrzyli na moje wybryki.

Odwrócili się w stronę źródła dźwięku. Od zachodu niebo pobłyskiwało i niosło ze sobą jednostajny, odległy grzmot, przetaczający się pomiędzy hamburskimi kamienicami. Z każdą chwilą narastał.

– To nie burza – powiedział, starając się zlokalizować kierunek, z którego dobiega dźwięk. Było to o tyle trudne, że odbijał się echem od ścian budynków. – To coś znacznie gorszego.

Bruno zdał sobie sprawę, jak ogromny błąd popełnili. Na zachodnim niebie nie było widać błyskawic, ale eksplozje artylerii przeciwlotniczej. Razem z innymi ludźmi spoglądali w niebo i dopiero po chwili zobaczyli, jak przesuwają się po nim ryczące cienie. Widok nocnych samolotów nad Hamburgiem nie był czymś niezwykłym, ale oboje wiedzieli, że tym razem to coś innego. Bombowce leciały w równych formacjach na dużej wysokości. Tych niewielu spacerowiczów również przystanęło, zadzierając głowy do góry. Wszyscy stali jak zahipnotyzowani, dopóki do ogłuszającego ryku samolotów nie dołączył gwizd spadających bomb.

– W nogi! – krzyknął i pociągnął Gretę za sobą.

Nie widzieli, jak pierwsze alianckie bomby spadły na zabytkowe kamienice, obracając je w kupę gruzu. Nagle świat wypełnił się ogniem, dymem i pyłem, a ulica pod ich stopami zdawała się tańczyć i podskakiwać. Jedna z bomb trafiła w budynek przed nimi, który zawalił się, tarasując przejście. Olbrzymi płomień, spowodowany zapłonem gazu ziemnego, buchnął, osmalając fasady stojących naprzeciwko kamienic. Bruno, nie puszczając ręki Grety, odbił w boczną uliczkę i dopadł do bramy, szarpiąc za drzwi do klatki schodowej. Dopiero te w trzeciej bramie okazały się otwarte. Puścili się w dół, do piwnicy. Było ciemno, a żaden z mieszkańców nie zdążył jeszcze zejść. Kiedy ścianami i stropem wstrząsnęła potężna eksplozja, a schody zawaliły się, wiedzieli, że już nikt nie przyjdzie. Wybuch rzucił ich na ścianę i przysypał gruzem.

* * *

Mogli tylko zgadywać, ile czasu tu spędzili. Odgłosy wybuchów słyhać i czuć było jeszcze długo. Podłoga i ściany piwnicy wibrowały, oddając echo spadających bomb i walących się budynków. Potem nastąpiła cisza.

Byli w pułapce, uwięzieni pod zawaloną kamienicą. Greta wyjęła z torebki pudełko zapalek, które zawsze miała przy sobie. Zwykle zapalała nimi znicze na grobach dziadków i brata, którego symboliczną mogiłę usypano przy rodzinnym grobowcu.

Zapaliła jedną, modląc się, by nie eksplodował pył węglowy lub gaz, którego podrażnione dymem nozdrza mogły nie wyczuć. Oprócz odrobiny światła nic się nie stało. Piwnica była obszerna, podzielona na komórki. Kilka z nich było otwartych, wypełnionych opałem na zimę. Widać mieszkańcy kamienicy mieli do siebie sporo zaufania. Z niewielkich otworów okiennych wysypywał się gruz, a strzaskane schody wyglądały jak patyki połamane przez wściekłe dziecko.

– Pomocy! – wrzasnęła, zbliżając się do schodów.

– Pomocy! Tu jesteśmy! – krzyczał Bruno, podchodząc po kolei do zawalonych gruzem okienek.

Brodzili w ciemnościach, rozświetlanych nikłym blaskiem zapalniczki, i krzyczeli dopóty, dopóki nie ochrypli. Kiedy zgasł płomień, przez chwilę słyhać było jedynie ich przyspieszone oddechy.

– Bruno, nie wydostaniemy się stąd – szepnęła, oświetlając zapalniczką wnętrze piwnicy. Trzymała ją tak długo, aż ogień oparzył jej opuszki i zgasł. Zużyła już połowę opakowania, ale nie mogła się przemóc, by zatopić się w całkowitych ciemnościach.

– Wydostaniemy. Żyjemy i nie jesteśmy ranni. To najważniejsze.

Wiedzieli, że nad piwnicą leży cała zawalona kamienica, a dźwięki, które słyszą, to nic innego jak obsuwający się gruz. Mimo wszystko musieli spróbować.

Bruno po omacku dostał się do jednego z okien. Nie chciał marnować zapalek, które jeszcze mogły się im przydać. Poluzował i wyciągnął kilka cegieł. Przez okienko wysypał się gruz i wypełnił piwnicę pyłem. Oboje zaczęli kaszleć. Kiedy odłamek szyby zranił Brunona w dłoń, zrozumiał, że to nie ma sensu.

– Musimy poczekać na ratunek.

Zapalili kolejną zapalniczkę, by znaleźć miejsce, gdzie mogą odpocząć. Jedna z komórek nie była tak zagracona jak pozostałe. Znaleźli w niej stary, podziurawiony przez szczury materac, cuchnący wilgocią i odchodami, jednak nie mieli nic lepszego. Ułożyli go pod ścianą i oparli się o nią. Była przyjemnie chłodna.

– Słyszysz? – spytał, nachylając się do Grety. Poczul jej miękkie włosy na policzku. – To kapie woda. Jeśli przedostaje się tutaj, może uratować nam życie.

– Możemy zapalić jedną z tych drzazg i poszukać soków albo kompotów. – Greta zachowała zdrowy rozsądek, a Bruno zawstydział się, że na to nie wpadł.

Uznał, że to dobry pomysł, i kiedy tylko odpoczęli, znalazł kawałek strzaskanej deski i zapalił ją od zapalniczki. Dała znacznie więcej światła i pozwoliła przeszukać piwnicę. Znaleźli kilkanaście słoików ogórków, trochę dżemu i peklowaną słoninę.

– Patrz, jesteśmy uratowani! – krzyknął, budząc w Grecie nadzieję, że być może strażakom udało się do nich przebić. Zamiast tego zobaczyła, że Bruno trzyma w rękach dwie butelki wina.

– Głuptas! – Mimo wszystko roześmiała się. – Kto wie, może to ostatnie wino w naszym życiu. Lepiej, żeby było dobre.

Nie mieli korkociągu, więc kawałkiem drewna wepchnęli korek do środka. Wiśniowe wino było słodkie i mocne. Nie stanowiło dobrego połączenia z piklami. Podawali sobie butelkę, a kiedy zrobiła się prawie pusta, poczuli, że szumi im w głowach. Oparli się o siebie i nasłuchiwali. Kapiąca woda działała hipnotyzująco. Po Bóg wie jak długim czasie zapadli w płytki sen.

Brunonowi śnił się ogień i dym. Raz był w kabinie płonącego samolotu, kiedy indziej w trafionej bombą kamienicy. Ocknął się i gwałtownie podniósł.

– Już dobrze, Bruno – usłyszał znajomy, kojący głos. – Już dobrze. Wciąż tu jesteśmy.

W niepojęty sposób jego głowa znalazła się na jej udach. Musiał się zsunąć, gdy zasnął. Poczul

jej palce, odgarniające mu włosy ze spoconego czoła.

– Znów śniłem straszne rzeczy. Czy kiedyś nadejdą czasy, gdy będę śnił te piękne?

Nie odpowiedziała. Nie знаła odpowiedzi, a jedyne, co miała, to nadzieja, że tak kiedyś będzie. Przesiedzieli w milczeniu lub rozmawiając jeszcze kilka godzin, zanim przez zwały gruzu znów nie usłyszeli ryku setek silników samolotów, od którego drżały ściany. Basowy dźwięk przebijał się nawet przez rumowisko. Wiedzieli, co stanie się za chwilę.

Eksplozje znów wstrząsnęły światem, i to wielokrotnie, a z sufitu nieustannie sypał się pył. Huk wybuchów przetaczał się przez piwnicę raz po raz. Niemal czuli, jak wałą się sąsiednie kamienice. Po godzinie wszystko ucichło.

– Bruno?

– Tak?

– Chcę, żebyś coś wiedział. I muszę powiedzieć to teraz, zanim spotka nas... Po prostu teraz. Wiem, że w twoim sercu wciąż jest miejsce dla Sary, że wciąż masz nadzieję...

– Nie, Gretchen, moja nadzieja umarła dawno temu.

– Po prostu chcę, żebyś wiedział, że cię kocham. Od dawna.

Przez chwilę jedynymi odgłosami w piwnicy były kapiąca woda i ich przyspieszone oddechy, choć Greta miała wrażenie, że wszystko to jest zagłuszane przez bicie jej serca. Bruno nie odpowiadał i wystraszyła się, że źle zrobiła, ujawniając swoje uczucia. A potem poczuła jego dłoń na swoim policzku. Choć miesiące pracy fizycznej sprawiły, że skóra stała się twarda i szorstka, to jego dotyk był delikatny jak muśnięcie wiatru.

– Gretchen... – szepnął, a jego wargi odnalazły jej usta. – Och, Gretchen.

Przywarli do siebie, na początku ostrożnie, potem coraz bardziej łapczywie. Rozpięła koszulę Brunona, czując, jak drgnął, kiedy dotknęła jego zabliźnionych oparzeń. Nie protestował, gdy zasypała jego tors pocałunkami.

W tej dusznej, ciemnej piwnicy kochali się, mając świadomość, że mogą robić to po raz ostatni. Powoli, ciesząc się każdym kawałkiem swojego ciała, a za chwilę gwałtownie, namiętnie i dziko, łapczywie chłonąc każdy moment.

Kiedy po trzech dniach straż pożarna uwolniła ich z gruzów, wrócili do miasta, którego nie znali. Puste przestrzenie w rzędach hamburskich kamienic wyglądały niczym miejsca po wyrwanych zębach. Te, których mury ocalały, straszyły pustymi oknami, osmalonymi ścianami i zawałonymi dachami. Strażacy i służby sanitarne wynosili z piwnic i schronów ciała zaczadzonych mieszkańców. Dopiero kilka dni później Bruno i Greta dowiedzieli się, że bombardowanie spowodowało burzę ogniową, która przyczyniła się do śmierci kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców Hamburga. Tylko dzięki temu, że byli szczelnie przykryci gruzem, a w piwnicy znajdowało się dość powietrza dla nich obojga, uniknęli uduszenia.

Choć wracali do domu Grety z ciężkim sercem, bojąc się tego, co zastaną, to w głębi serca czuli, że w tej dusznej piwnicy zrodziło się między nimi coś, co zmieni ich życie na zawsze.

Ekwadorskie więzienie nie było takie, jakim przedstawiano je na filmach i w programach dokumentalnych. Było znacznie gorsze.

Na początku Wiktoria śmiała się ze swojej głupoty. Już jako nastolatka oglądała filmy o naiwnych turystach, którym ktoś proponował kurs z tajemniczą przesyłką. Oczywiście już na początku każdy oglądający wiedział, jak taka przygoda się skończy. Kwestią czasu było przyłapanie przez policjantów, celników bądź agentów antynarkotykowych. Bohaterowie tych filmów mniej lub bardziej świadomie podejmowali ryzyko w zamian za wynagrodzenia, które przechodziły najśmielsze oczekiwania. Tyle tylko, że ona nie pisała się na podobną przygodę.

– Pierdolony skurwysyn – zakłęła pod nosem i po raz setny tego dnia dotknęła ruszającego się zęba. Ból przywrócił Wiktorię do rzeczywistości.

– Zacznij się przyzwyczajać i nie okazuj, że to robi na tobie wrażenie. – Maria, odsiadująca wyrok za morderstwo, podała Wiktorii kubek. Polka podziękowała skinieniem i przyłożyła chłodną ceramikę do policzka. – Oni są jak psy, które wyczuwają twoje emocje. Karmią się twoim strachem. *Malditas perras!*³³

– Ale ja nic nie zrobiłam! Nie powinnam tu być. To niesprawiedliwe! – Wiktoria ukryła twarz w dłoniach. Nie płakała, ale była tego bliska.

– Życie nie jest sprawiedliwe. Do tego też się przyzwyczajaj.

Wiktoria wiedziała, że Maria ma rację, choć przez długi czas swojemu życiu nie miała nic do zarzucenia. A teraz wpakowała się w aferę tak grubą, że mogła nie wyjść z niej cało.

Nie spodziewała się, że ktoś może wywinąć jej taki numer. Wprawdzie Psycho znała pobieżnie i głównie z jego filmów na YouTube, ale cała ekipa wzbudziła jej zaufanie. Żyli w małej komunie, czasami zamieszkiwali jakieś pustostany lub zagraniczne squoty. To, że nie robili tego z biedy, wywnioskowała dosyć szybko. Mieli profesjonalny sprzęt do skoków spadochronowych z wysokich obiektów, niezłej klasy urządzenia do nagrywania i montowania filmów i lubili raczej drogie używki. To nie bieda zmusiła ich do takiego stylu życia, lecz uzależnienie od adrenaliny i przygód.

Drzwi sześciuosobowej celi otworzyły się i stanęła w nich otyła strażniczka. Na sznurku umocowanym do nadgarstka kołysała się czarna pałka teleskopowa, której Wiktoria miała już okazję zasmakować.

– Poland, wychodź – powiedziała po hiszpańsku i usunęła się z przejścia.

Gdy Wiktoria znalazła się na korytarzu, dwie pary silnych rąk rzuciły ją na ścianę i skuły ręce za plecami. Została dokładnie przeszukana, choć bardziej przypominało to obmacywanie. Strażnicy zaprowadzili ją korytarzami do gabinetu zabiegowego i rozkuli. W środku był lekarz, odziany w kitel noszący ślady intensywnego użytkowania, i dwie pielęgniarki. Na gabinet przeznaczono obskurne pomieszczenie z odpadającym tynkiem. Przeszkłone gabloty, w których poukładano sprzęt medyczny, sprawiały upiorne wrażenie, tym bardziej że ich zawartość pamiętała czasy, kiedy Wiktoria była małą dziewczynką. Jednak najbardziej przerażająco wyglądał wielki fotel ginekologiczny, ustawiony niemal na środku pomieszczenia.

– Rozbieraj się – rzucił lekarz i wciągnął lateksowe rękawiczki. Wiktoria zawahała się przez chwilę i to był błąd. Uderzenie pałką w łydki przez jednego z mężczyzn zwaliło ją z nóg.

– Rozbieraj się, kurwa! – wrzasnęła otyła strażniczka i zamarkowała zamach. Nie uderzyła Wiktorii, ale dała do zrozumienia, że zaraz to zrobi.

Polka pozbierała się z kolan i ściągnęła koszulkę i spodnie, zostając w samej bieliźnie.

– No, dalej. – Medyk wskazał ruchem głowy na jej majtki. Ściągnęła je, nie patrząc nikomu w oczy.

Strażnicy zaprowadzili ją do fotela ginekologicznego i popchnęli na siedzisko.

– Nie możecie... – zaczęła, ale jeden z mężczyzn wyprowadził cios płaską dłonią, uderzając Wiktorię w potylicę. Zabolało i pociemniało jej w oczach. Już nie liczyła, ile razy od aresztowania została uderzona. Zgubiłaby się w rachunkach. Weszła na fotel, a personel więzienia zapiął wokół jej

nadgarstków i nad kostkami skórzane pasy. – Co wy chcecie zrobić? Proszę o powiadomienie polskiego ambasadora o mojej sytuacji. Chcę rozmawiać z prawnikiem!

Nikt jej nie słuchał. Strażnicy ustawili się za plecami lekarza. Mieli doskonały widok na jej oświetlone lampą krocze. Badanie się jeszcze nie rozpoczęło, a już czuła się zbrukana. Otworzyły się niewielkie boczne drzwi, których do tej pory nie widziała, a jedna z pielęgniarek wyprowadziła z pomieszczenia obok jakąś aparaturę medyczną. Dopiero po podłączeniu Wiktoria domyśliła się, że jest to archaiczny sprzęt do badań USG.

– No, kotku, zobaczmy, co tam chowasz. – Lekarz odstłonił krzywe zęby i chwycił w dłoń głowicę aparatu.

Wiedziała, po co to robi. Zdarzało się, że narkotyki przemycano w żołądkach. Umieszczone w prezerwatywach paczuski połykało się, przewoziło przez granicę, a następnie wydalalo po jakimś czasie. Niektóre kobiety decydowały się na ukrywanie narkotyków w pochwach. Tak czy inaczej, to była niebezpieczna metoda. Zdarzało się, że prezerwatywy pękały, powodując wydostanie się kokainy, heroiny lub innego równie śmiertelnie specyficznego.

Poczuła dotknięcie głowicy tępo sunącej po skórze. Lekarz nie silił się na delikatność. Sondował jamę brzuszną, boleśnie dociskając aparat do skóry.

– Nic nie ma – powiedział, odwracając się do strażników. Uderzył kilka razy o główny moduł urządzenia. – Albo ten cholerny grat znów nawalił.

– Jest pan pewien? – Otyła patrzyła na niego z nieufnością. Zapewne widywała już tutaj niejedno. – Proszę w takim razie przeprowadzić zwykłe badanie.

– Tak, tak. Taki mam zamiar.

Oddał pielęgniarsce głowicę i poprosił o zestaw narzędzi. Sięgnął po wziernik i zniknął między nogami Wiktorii.

– Aaaa! To boli, bydlaku! – Wiktoria wyprężyła się, ale pasy mocno trzymały jej nadgarstki i kostki.

Poczuła piekący ból i zimno promieniujące od narzędzia. Choć była przyzwyczajona do wizyt ginekologicznych, ta nie przypominała żadnej z nich. Zaciśnęła powieki, ignorując spływające po policzkach łzy. Słyszała, że strażnicy wymienili między sobą kilka uwag i roześmiali się, jednak głos ich koleżanki uciał rechot. Badanie trwało długo i było bardzo bolesne. Domyślała się, że ginekolog – o ile w ogóle nim był – specjalnie wymienia narzędzia na coraz to inne. Każde kolejne było zimniejsze i powodowało większy ból.

– No dobrze, w tej skrzyneczce nie ma skarbów. – Mężczyzna wynurzył się spomiędzy nóg Wiktorii, a ona opadła ciężko na fotel. Czuła się, jakby dopiero co urodziła dziecko. Lekarz zapisał coś w karcie i sięgnął po żel, którym posmarował dłoń.

Zanim się zorientowała, wsunął palec do jej odbytu. Przez chwilę obracał go i zginał, a kiedy uznał, że efekt jest niezadowolający, włożył drugi, a potem trzeci palec.

– To boli! Co ty, kurwa, robisz? Nie masz prawa!

– Zamknij się, dziwko. – Otyła strażniczka podeszła i zdzieliła Wiktorię dłonią w usta. Poczuła smak krwi z rozciętej wargi.

– Aaa... – jęknęła, gdy lekarz wsadził jej do odbytu jakieś narzędzie. Strażniczka zasłaniała jej niemal cały widok, nie wiedziała więc, co to jest. Zresztą to było w tej chwili najmniej ważne. Wiktoria miała wrażenie, że rozrywa jej trzewia. Wyobrażała sobie, jak narzędzie przebija jej jelito i dostaje krwotoku wewnętrznego. Wymarzony sposób, by odejść z tego świata.

Wydawało się, że badanie trwa w nieskończoność. Znów słyszała komentarze i śmiech strażników, którzy najwyraźniej dobrze się bawili jej kosztem. Tym razem nawet strażniczka się śmiała. Jeśli Wiktoria myślała, że w Polsce są łamane prawa człowieka, to spędziwszy dobę w zakładzie karnym w Quito, wiedziała, że bardzo się myliła. Ekwadorski system karny prawa człowieka stawiał na równi z bajkami o krasnoludkach.

Do celi wracała na miękkich nogach. Współosadzone, które wcześniej również zdążyły dać Wiktorii w kość, teraz spoglądały na nią ze współczuciem. Opadła ciężko na łóżko i rozplakała się jak dziecko. Po raz pierwszy od dawna poczuła się bezbronna i zagrożona. Najgorsza jednak była

świadomość, że jej droga przez piekło dopiero się rozpoczęła.

* * *

Musiała być dzielna. Nie chciała, aby przez jedno nieodpowiedzialne słowo lub emocje, które wymkną się spod kontroli, ktoś ucierpiał. Bała się, że któregoś z jej rodziców dostało zawału albo czegoś jeszcze gorszego, spowodowanego nadmiarem emocji, a te pojawią się, gdy tylko rodzina usłyszy głos Wiktorii w słuchawce.

Poprosiła Marię o skontaktowanie się z Magdą. Nie знаła jej numeru telefonu na pamięć, ale wiedziała, jak wygląda fotografia profilowa siostry na Facebooku. Opisała Marii wszystko najdokładniej, jak potrafiła. Po trzech godzinach Meksykanka wróciła z telefonem i niewielką karteczką, na której koślawymi literami ktoś napisał numer telefonu.

– Masz kwadrans – powiedziała i porozumiewawczo spojrzała na wnękę, w której znajdowała się toaleta. Nie było tam wprawdzie drzwi, ale dawała odrobinę prywatności. – Rozmowa do Polski kosztuje.

– Wiem, odwdzięczę się.

Zanim wybrała numer, wzięła kilka głębokich wdechów. Poczowała mdłości i nie wiedziała, czy to za sprawą smrodu, czy narastających emocji.

Po raz pierwszy od dawna zdała sobie sprawę, jak bliska jest jej siostra. Szkoda, że była tak głupia i przez te wszystkie lata tego nie zauważała. Nie szczydziła jej uszczypliwości i lubiła Magdzie dogryzać, a teraz poczuła olbrzymie wyrzuty sumienia. Bo tak naprawdę, z oczywistych względów, pomijając rodziców, siostra była jej najbliższą osobą i jedyną, która nigdy jej nie zawiodła. W jakiegokolwiek kłopoty Wiktoria popadała, Magda zawsze potrafiła wyciągnąć pomocną dłoń.

Wybrała numer i z napięciem wsłuchiwała się w głuchą ciszę. Wreszcie słuchawka zatrzeszczała, ale przyniosła głównie rozczarowanie.

– *Cześć, tu Magda. Po sygnale...*

Nagrała wiadomość. Krótką i pełną emocji. Zupełnie odwrotnie, niż zakładała. Po kilkunastu sekundach łkała do słuchawki i żałowała, że Magda nie odebrała.

* * *

– Masz, przypal. – Maria podała jej brudną firkę nabitą crackiem.

Wiktoria nie protestowała. Kokaina przynajmniej na jakiś czas poprawiała jej samopoczucie. Minął tydzień od feralnego badania i była pewna, że wywołało ono jakiś rodzaj infekcji. Po dwóch dniach poczuła pieczenie, ból w podbrzuszu, a po kolejnych kilku pojawiła się gorączka, która nie ustępowała. Miała świadomość, że narkotyk jej nie wyleczy, ale przynosił ulgę i to w tej chwili liczyło się najbardziej. Tyle że w ekwadorskim więzieniu nic nie było za darmo.

Wpadła Marii w oko dosyć szybko. Blondynki były tu towarem luksusowym i oznaką statusu przywódczyni gangu. Nie trafiały się często, więc kiedy tylko Maria, członkini gangu *Circulo de la muerte*³⁴, wróciła z karceru, roztoczyła nad Wiktorią parasol ochronny. Polka żałowała, że nie stało się to wcześniej, kiedy pozostałe więźniarki dały jej prawdziwą szkołę życia i walki o przetrwanie.

– Jak wpadłaś?

– Przyjechałam do Kolumbii z paczką znajomych na BASE jumping. Wiesz, skakanie z wysokich obiektów ze specjalnym skafandrem do lotu. Potem przyjechaliśmy tutaj, do Ekwadoru, żeby zrobić jeszcze kilka skoków. W drodze powrotnej na lotnisku zatrzymano mnie. Okazało się, że zamiast spadochronu zapasowego miałam zapakowane narkotyki.

– Dużo?

– Kilogram.

– W takim razie cię wystawili – zawyrokowała Maria. – Byłaś wabikiem.

– Co? Skąd wiesz?

Maria wzruszyła ramionami, jak gdyby musiała tłumaczyć najoczywistszą rzecz na świecie.

– To normalne. Wypuszczają kogoś, kogo mogą poświęcić, z niewielką ilością narkotyków, aby zająć czymś służby na lotnisku. Specjalnie słabo pakują towar, żeby psy od razu go znalazły. W czasie

kiedy ciebie zatrzymano, przez kontrolę przeszli pewnie prawdziwi kurierzy. Ci, co przemycają dużo.

– Więc kilogram to według ciebie niedużo? – Wiktoria uniosła się na łokciach i spojrzała w ciemne oczy Ekwadorki, obwiedzone tatuażami w kształcie okręgów. Był to symbol przynależności do *Circulo*. Maria roześmiała się.

– Pewnie, że nie. Tyle towaru mogą poświęcić, by służby nabiły sobie statystyki. Zawodowcy wieźli osiem, może dziesięć kilogramów ukrytych znacznie sprytniej niż w twoim przypadku.

– Skurwiele – zaklęła po polsku, ale wydawało się, że Maria zrozumiała to doskonale.

Dzięki niej dostała pracę w kuchni, przy wydawaniu posiłków. Zwykle była to ohydna zupa, przypominająca rzygowiny, zarówno jeśli chodziło o wygląd, jak i zapach. Nalewanie jej do metalowych misek nie należało do wymagających zadań, ale Wiktoria przy okazji musiała spłacić swój dług wobec gangu. Do każdej miski, oznaczonej wybitą w metalu kropką, musiała dorzucić na dno niewielką zafoliowaną przesyłkę, którą później zalewała zupą. Maria odbierała pełne naczynia i wydawała właściwym osobom. Wiktoria zdawała sobie sprawę, że w razie wpadki to ona będzie uznana za winną. Ukrywane w kieszeniach fartucha torebki ciążyły okrutnie, dopóki nie pozbyła się ostatniej z nich. Na szczęście dopóki była posłuszna, nikt nie wymagał od niej spłacania długu w inny sposób.

– Chcesz telefon? – spytała Maria, kiedy usłyszała rozmowę Wiktorii ze strażniczką. Wiedziała, jak to się skończy, jeszcze zanim usłyszała rechot klawiszki. Zrobiło się jej żal zagubionej Polki. Dziewczyna i tak nieźle się trzymała. – Da radę załatwić, ale to potrwa.

– Muszę skontaktować się z rodziną. – Wiktoria przysiadła na pryczy zrezygnowana. – Oszukali mnie. Mówili, że jak będę współpracowała, to pozwolą mi zadzwonić do ambasady albo do rodziny.

– Zawsze tak robią, a kiedy tylko wyciągną z kogoś zeznania, zapominają o swoich obietnicach. Dlatego *Circulo* rozmawia z gliniarzami tylko za pomocą kul i noży. Załatwię ci telefon, ale musisz dla nas jeszcze popracować. Na razie dobrze sobie radzisz.

– Dzięki. Masz zapalić? – spytała Polka, czując neodpartą pokusę, by znieczulić swoje emocje choć na chwilę.

Maria wyciągnęła firkę i nabiła ją crackiem. Miał go tu praktycznie każdy członek gangu, a pozostali mogli go dostać za niewielkie pieniądze. Choć Wiktoria plasowała się dokładnie pomiędzy tymi grupami, to jej opiekunka nigdy nie odmawiała poczęstowania narkotykiem. Inwestycja w przysługi zawsze zwracała się tu z nadstatkiem.

Litzmannstadt, getto, wrzesień 1942 roku

– Pieprzeni oszuści. – Józef Bauner trzasnął drzwiami, wpuszczając do mieszkania jesienny chłód. Rzucił na podłogę swoje rzeczy i zaczął kręcić się po kuchni. – Pieprzeni niemieccy oszuści. Myślą, że nic nie wiem.

Sara podniosła się z materaca i oparła plecami o ścianę. Była słaba, z każdym dniem coraz słabsza, ale nie chciała o tym myśleć. Nie teraz, kiedy szczególnie mocno potrzebowała siły.

– Kto, Józek?

– Wszyscy – warknął i nalał sobie wódki do brudnej szklanki. W mieszkaniu Józefa mogło nie być wody, ale wódka musiała być zawsze. – Te nazistowskie szmaty coś knują. Coś dużego. Pewnie wywiozą nas wszystkich do Kulmhofu³⁵ lub Auschwitz i zagazują. Albo przynajmniej będą próbowali.

Usiadł na plecionym krześle w kuchni, skąd dobrze widział swoją kobietę. Tylko czy aby na pewno jeszcze była jego kobietą? Już od jakiegoś czasu z nią nie sypiał. Ostatnio mocno schudła, jak wszyscy zresztą, i nie miała warunków, żeby o siebie zadbać. Niemyte od tygodni włosy zlepily się w kołtun, a w dodatku gdzieś złapała wszy. To akurat nie obchodziło Józefa za bardzo, bowiem w jego przeredzonych włosach nie uchowałyby się nawet najmniejsza wesz, ale czuł dyskomfort, patrząc, jak dziewczyna się drapie. Denaturat był teraz praktycznie nie do zdobycia, a on nie zamierzał pozbywać się połowy swojego majątku w tej właśnie intencji.

Trzymał Sarę z przyzwyczajenia, nie pociągała go już bowiem ani trochę. Znacznie bardziej wolał dobrze odżywione Żydówki, które kurwiły się za przyzwoleniem Niemców. Były pachnące, zadbane i regularnie badane przez niemieckich lekarzy, więc miał również pewność, że nie przywlecze od nich żadnej francy. Bauner z obrzydzeniem, ale i nutą podziwu myślał o tym, jak Niemcy potrafią manipulować ludźmi. Doskonale wiedział, że przyzwolenie na prostytutkę dla uprzywilejowanych klientów to kolejna forma pozyskania lojalności żydowskiej policji. Kurewki nie wyglądały na nieszczęśliwe, a jemu zupełnie nie przeszkadzało, że chwilę wcześniej chędożył ktoś inny.

– Ale jak to wszystkich?

– Normalnie, całe getto wywiozą. Już się do tego szykują.

– Skąd wiesz?

– Znajomy kolejarz mówił. – Mężczyzna wychylił szklankę do dna, chuchnął i nalał kolejną. – Niemcy szykują składy z wagonów towarowych. Ostatnio przyjechało więcej żołnierzy, a oficerowie stali się bardziej nerwowi. Coś się kroi, mówię ci.

Ściągnął kaszkiet i podrapał się po głowie, wygrzebując spomiędzy włosów płatki łupieżu. Sara wiedziała, że Józef myśli i nie należało mu przeszkadzać. Nie był najostrzejszym nożem w szufladzie, ale na swój sposób był przebiegły i potrafił załatwić różne rzeczy. Wprawdzie nie miał też kręgosłupa moralnego, ale dopóki potrafił go zamienić na czerstwy chleb i słoik dżemu, nie przeszkadzało to Sarze. Cokolwiek by myślała o Józefie, to zawdzięczała mu życie i nie zamierzała o tym zapominać.

– Wrócę wieczorem – powiedział i wstał. Najwyraźniej podjął jakąś decyzję. – Idź do Mordechaja. Ma odłożone dla nas warzywa i kaszę. Tylko schowaj dobrze, żeby nikt nie ukradł.

– Dobrze, Józek. Tak zrobię. A co z drewnem? Nie mamy już opału.

– Połam krzesła i napal nimi w piecu.

– Wszystkie? – spytała, patrząc wymownie na ulubione siedzisko Józefa.

– Jak trzeba, to wszystkie. To już przecież nieważne.

Wyszedł, zostawiając po sobie zapach wódki i potu. Choć początek września był chłodny, to Józef Bauner zawsze śmierdział potem. Nie trudził się zmienianiem bielizny czy ubrań, nie wymagał też tego od Sary. Cieszyła się, bo nie miała na to siły.

Podniosła się z materaca i poczępowała do kuchni. Ostatnio była taka słaba, że myśl o przyniesieniu zakupów ją paraliżowała. Była zaledwie kilka minut poza łóżkiem, a już dopadło ją przeraźliwe zimno.

Nalozyla piaszcz i wyszla z mieszkania.

Szla ulicami getta, otulajac sie ciasno polami okrycia. Wiatr hulal i przeganiał liście, które powoli zaczynały opadać z drzew. Było jej przeraźliwie zimno, choć dzień nie wyglądał na taki. Sara domyślała się, że to jeden ze skutków niedożywienia, a może choroby, która ją toczyła. Zatrzymała się dopiero na obrzeżach placu Strażackiego, gdzie zgromadził się tłum ludzi. Na zaimprovizowaną mównicę wszedł właśnie Chaim Rumkowski, nazywany przez mieszkańców „królem getta”. Przed nim falowało morze gęsto usianych czapek, beretów i kapeluszy, a w powietrzu czuło się napięcie.

Rumkowski odchrząknął kilka razy, a kiedy zgromadzeni ucichli, zaczął mówić. Jego głos odbijał się od ścian okolicznych budynków, a Sara słyszała wyraźnie każde słowo.

– Ponury podmuch uderzył w getto. Żądają od nas, abyśmy zrezygnowali z tego, co mamy najlepsze – naszych dzieci i starszych. Nie mogłem mieć własnych dzieci, więc oddałem swoje najlepsze lata cudzym dzieciom. Żyłem, oddychałem z nimi i nigdy nie wyobrażałem sobie, że będę musiał uczynić tę ofiarę na ołtarzu własnymi dłońmi. W moim wieku muszę rozłożyć ręce i błagać: bracia i siostry! Oddajcie mi je! Ojcowie i matki – dajcie mi swoje dzieci!

Tłum zafalował, a z piersi tysięcy ludzi wydobył się przejmujący jęk. Z każdą sekundą szlochających rodziców przybywało, a Sara czuła, jak pęka jej serce. Przełknęła ślinę i objęła się ramionami. Teraz było jej jeszcze zimniej niż przed chwilą.

Rumkowski mówił dalej, ale przez chwilę nie słuchała. Myślała o swojej rodzinie. Być może straszny los, który ich spotkał, nie był tak okrutny, jak mógł być. To, co przeżywali teraz rodzice żydowskich dzieci z łódzkiego getta, było niewyobrażalnym cierpieniem. Pomyślała sobie, że gdyby miała swoje dzieci, nie pozwoliłaby ich zabrać, nawet jeśli miałyby własnoręcznie udusić je we śnie. Ta myśl przeraziła ją bardziej niż wszystko, co do tej pory przeżyła.

– Muszę przygotować tę trudną i krwawą operację, muszę odciąć gałęzie, aby ocalić pień. Muszę zabrać dzieci, ponieważ jeżeli tego nie zrobię, inni mogą być także zabrani – broń Boże. Nie mam dla was dzisiaj żadnego pocieszenia. Ani nie życzę sobie, aby was uspokoić. Muszę przyjąć na siebie całą złość i ból. Przyszedłem do was jak złoczyńca, by zabrać wam to, co hołubicie najbardziej w waszych sercach.

– Jak możesz prosić o coś takiego?! Jak mamy to zrobić swoim dzieciom?! – wrzasnął ktoś z tłumu, wzbudzając powszechne poparcie.

Łzy płynęły po policzkach Sary i wielu zgromadzonych na placu osób. Ktoś krzyknął, ktoś stracił przytomność, czyjeś serce nie wytrzymało i dwóch mężczyzn wyniosło świeże zwłoki poza tłum. Chaim Rumkowski mówił jednak dalej.

– Rozumiem was, matki, widzę wasze łzy. I tak samo czuję, co wy czujecie w waszych sercach wy, ojcowie, którzy musicie wstawać do pracy następnego dnia po tym, kiedy wasze dzieci będą wam zabrane, kiedy jeszcze wczoraj bawiliście ze swoimi drogimi maluchami. To wszystko wiem i czuję. Od czwartej po południu wczoraj, kiedy pierwszy raz dowiedziałem się o rozkazie, jestem zupełnie zdruzgotany. Dzielę wasz ból. Cierpię z powodu waszej bolesti i nie wiem, jak to przeżyję, ale muszę znaleźć siły, aby to uczynić.

Pomyślała o tym, jak straszne cierpienie zadali temu staremu Żydowi Niemcy. Józef go nie lubił, co nie przeszkadzało mu niemal zakatować na śmierć jednego z sąsiadów, kiedy podsłuchał, jak ten mówi, że Rumkowski to kolaborant i zdrajca. Bauner wiedział o tym doskonale i nieraz mówił o „Prezesie” jeszcze gorsze rzeczy. Tyle że uważał, że jemu wolno. Józef wiedział, że pozostając przy „królu Chaimie”, może czuć się w getcie względnie bezpieczny, jeśli tylko będzie wykonywał swoją robotę.

– Obiecali mi, że jeżeli dostarczymy ofiary naszymi rękoma, będzie pokój!

– Wolę pójść z nimi do obozu, niż puścić samotnie! – krzyknęła z tłumu jakaś kobieta i rozszołała się głośno.

– I tak nas wszystkich zagazują! – dodał inny głos.

– Możecie to ocenić tak, jak chcecie, moja rola to zachować pozostałych Żydów. – Głos powoli odmawiał Rumkowskiemu posłuszeństwa, ale on nie przestawał. – Nie mówię do gorących głów. Mówię do waszego rozsądku i sumienia. Robiłem wszystko i nadal będę robił wszystko, co jest możliwe, żeby

trzymać przemoc z dala od ulicy i nie dopuścić do rozlewu krwi. Rozkaz nie może być niewykonany, może być tylko zredukowany. Trzeba mieć serce złoczyńcy, by prosić o to, o co proszę. Ale spróbujcie postawić się na moim miejscu i dojść do konkluzji, do jakiej doszedłem w jakikolwiek inny sposób. Część, która może być ocalona, jest o wiele większa niż ta, która musi być oddana!³⁶

Stary Żyd wyglądał na złamanego, a zadanie, które postawili przed nim Niemcy, ustawiało go dokładnie między młotem a kowadłem. Sara uważała, że nikt nie zasłużył na taki los. Cokolwiek by myśleć o Rumkowskim, to już nie było okrutne, tylko zwyczajnie nieludzkie i bestialskie.

Choć w getcie wrzało jak w ulu, ona wciąż miała swoje obowiązki. Nie została skierowana do pracy przymusowej tylko dlatego, że pełniła funkcje kucharki, sprzątaczk i nałożnicy Józefa. Przynajmniej do pewnego czasu. Sklepiarz Mordechaj wręczył jej wiklinowy kosz, w którym znajdowało się kilka pomarszczonych warzyw i zawiniątka, do których nie zaglądała. Wiedziała, co w nich jest. Nakryła kosz szalem, by żaden oszalały z głodu człowiek nie zabrał jej zakupów, i ruszyła w drogę powrotną. Wracała do mieszkania Baunera wolnym krokiem, pogrążona w myślach. Największe wyzwanie stanowiła klatka schodowa. Po schodach szła jeszcze wolniej, robiąc przystanki na każdym piętrze. Gdy tylko weszła do domu, pozwoliła sobie na długo wstrzymywany kaszel. Wcześniej bała się, że ściągnie na siebie czyjąś uwagę, a tego nie chciała.

Nie znała się na medycynie, ale i bez tego domyślała się, że to musi być gruźlica. O każdej porze dnia i nocy pojawiały się napady kaszlu, który czasami zmuszał do odkrztuszenia gęstej wydzieliny. Łatwo się męczyła i cały czas było jej zimno, nawet wtedy, gdy stała przy piecyku i gotowała obiad. Ostatnio bardzo mocno schudła, a brzuch się uwydatnił. To jednak akurat nie był skutek gruźlicy. Wiele wychudzonych do granic możliwości żydowskich dzieci miało takie wydęte brzuchy.

Połamanie krzesła kosztowało ją mnóstwo siły, ale wiedziała, że jeśli do powrotu Józefa w garnku nie znajdzie się gorący obiad, nie będzie miała czego szukać w jego domu. Dziwiła się, że wciąż pozwalał jej tutaj mieszkać. Oczekała, aż atak kaszlu minie, i rozpałała ogień w piecyku. Z kosza wyjęła kilka cebul, ziemniaków, seler i miarkę kaszy. Godzinę później po mieszkaniu rozchodził się mocny zapach krupniku, a przynajmniej czegoś, co bardzo go przypominało. Podgotowała jeszcze chwilę i zestawiła z ognia. Wszystko to wyczerpało ją tak bardzo, że zakręciło się jej w głowie. Zwymiotowała gęstą wydzieliną i resztką chleba, który zjadła na śniadanie. Opadła na materac i zasnęła w ułamku sekundy.

– Obudź się, kobieto. – Poczowała szturchanie i otworzyła oczy. Za oknem panowała ciemność, ale zarys sylwetki Józefa widziała wyraźnie. Za nim stał ktoś jeszcze. – No już, wstawaj.

Posłusznie zwlokła się z materaca i natychmiast się rozkaszała, czując, jak ból rozrywa jej suche gardło. Stojący za Józefem człowiek podszedł do okna i zaciągnął zasłony. Dopiero wtedy zapalili świeczkę, która dała nieco światła.

– Gdzie to masz? – Drugim mężczyzną był Aaron, brat Józefa.

Gospodarz nie odpowiedział. Odsunął materac, na którym spała Sara, a zza pazuchy wyciągnął nóż. Nigdy się z nim nie rozstawał. Końcem ostrza podważył jedną z desek i wyjął ją, opierając o ścianę. Pod spodem znajdował się schowek, z którego Józef wyciągnął dwa grube pliki pieniędzy i trzy woreczki, w których coś pobrzękiwało. Jeden wsunął do kieszeni, a dwa podał bratu.

– Schowaj dobrze, Aaron. Więcej nie ma i nie będzie. Jest obiad?

– Ugotowałam z tego, co dostałam od Mordechaja, ale może już być zimny. Podgrzeję, jak chcecie.

– Nie trzeba. Nie ma czasu. – Bauner wszedł do kuchni i zaczął po kolei otwierać szafki. Wyrzucał z nich naczynia, dopóki nie znalazł tego, czego szukał. Postawił na stole dwie menażki i wlał do nich krupnik. – Będziesz jadła?

Skinęła głową. Sięgnął po talerz i nałożył jej porcję, po czym podał łyżkę Aaronowi i zjedli resztę prosto z garnka. Zimna zupa od razu przyprawiła ją o mdłości, choć jadła w życiu gorsze rzeczy.

Kiedy mężczyźni skończyli, Józef wrzucił garnek do miski na brudne naczynia i wytarł usta rękawem. Przez chwilę stał nad Sarą i przyglądał się jej w milczeniu. Wiedziała, że na nią patrzy, ale wolała nie podnosić wzroku.

– Czujesz się na siłach, żeby iść, kobieto? – spytał, zamykając menażki i pakując je do plecaka.

– Musimy uciekać.

– Józek, no coś ty. – Aaron odezwał się po raz pierwszy, od kiedy wszedł do mieszkania. Miał nieprzyjemny, zachrypnięty głos. – Przecież widać, że ona się nie nadaje. Kipnie, zanim dojdziemy do płotu.

– Możesz iść? – Zignorował uwagi brata.

– Tak. – Sara odstawiła talerz i wstała. – Przejdę tyle, ile trzeba. Dlaczego musimy uciekać?

– Jutro szwaby naprawdę zrobią tu *Gehsperre*. Nikt stąd nie wyjdzie. Nie żywy. Ubierz na siebie wszystko, co możesz – polecił Józef i dokończył pakowanie plecaka.

Mieli tylko jedną szansę. Józef Bauner wszystko dokładnie przemyślał, ale lista rzeczy, które mogły pójść nie tak, była bardzo długa. Też słyszał, jak Rumkowski w swoim przemówieniu nakłaniał ludzi do oddania dzieci, osób starszych, chorych i niezdolnych do pracy. Nikt nie musiał Józefowi tłumaczyć, co się miało z nimi stać. Zastanawiał się, czy następna wywózka nie będzie dotyczyła zdrowych mężczyzn i kobiet w kwiecie wieku. Ich przywódcy jednym podpisem likwidowali całe żydowskie osiedla. Dziś łódzkie getto było im potrzebne, a jutro? Tego nikt nie wiedział. Właśnie dlatego Bauner uważał, że to jedyna szansa, by stąd uciec.

– Co planujesz? Uciekać przez płot? – spytał Aaron, zanim opuścili mieszkanie.

– Nie bądź głupi. Przecież wiesz, że to niemożliwe.

Cała trójka wiedziała, o czym mówi. Łódzkie getto było znacznie „szczelniejsze” niż inne takie miejsca. Niemcy wyburzyli wokół niego pas zabudowań, by każdy uciekinier był widoczny jak na dłoni. Getto umyślnie zlokalizowano na Bałutach, gdzie nie było kanałów kanalizacyjnych, którymi można było podjąć się ucieczki. „Aryjską” część Łodzi zamieszkiwała lojalna wobec okupantów mniejszość niemiecka i ewentualni zbiegowie nie mogli myśleć o przychylności okolicznej ludności. W obliczu tego wszystkiego, co powodowało, że ucieczka z łódzkiego getta była praktycznie niewykonalna, pozostawało odwołać się do jedynej słabej strony. Ludzkiej chciwości.

– Mniej wiesz, mniej powiesz – rzucił sentencjonalnie Józef i otworzył drzwi na klatkę schodową. Był najwyższy czas, by iść.

Poprowadził towarzyszy sobie tylko znanymi ścieżkami, biegnącymi przez ciasne uliczki getta, podwórza i oficyny. Wychylił się zza rogu i spojrzał na pilnowaną przez Niemców bramę. Była strzeżona, dokładnie tak, jak się spodziewał. Wzdłuż płotu maszerował patrol, oddalając się od bramy. Przez chwilę obserwował, po czym zrobił krok w stronę otwartej przestrzeni.

– Co ty robisz, do cholery? – Aaron pociągnął go za plecak i cofnął za róg. – Chcesz iść prosto pod lufę?

– Jak chcesz żyć, to się zamknij i nie odzywaj, dopóki nie wyjdziemy z miasta.

Wyszarpnął się bratu i ponownie wyszedł za róg. Aaron się wahał, jakby kalkulował, czy Józef nie postradał zmysłów od nadmiaru alkoholu, niedostatku jedzenia bądź jeszcze czegoś innego. Sara wyminęła go i podążyła za Baunerem. Tak naprawdę było jej wszystko jedno. Nie miała nic do stracenia. Kula z karabinu strażnika mogła jedynie zakończyć jej cierpienia. W końcu usłyszała kroki Aarona.

– *Halt!* – Stojący na warcie strażnik odbezpieczył broń i wycelował. – Stój, bo strzelam.

– To ja, Bauner – odpowiedział cicho Józef, ale wartownik go usłyszał. Opuścił broń i rozejrzał się nerwowo.

– Troje? Miało być dwóch.

Józef skinął głową i wyciągnął z kieszeni woreczek. Doskonale orientował się nie tylko w życiu getta, ale także w organizacji Niemców. Wiedział, który z żołnierzy jest najbardziej pazerny, w końcu nieraz obserwował, jak Krüger wyrywał Żydom złote zęby, niezależnie od tego, czy byli żywi, czy martwi. W kieszeni munduru nosił nawet cęgi na tę okoliczność. Robił też mnóstwo innych rzeczy, by nie wrócić z wojny poszkodowanym: wymuszał oddanie kosztowności i pieniędzy, zrywał kobietom z uszu kolczyki, a człowiekowi, który nie chciał oddać mu złotego sygnetu, obciął palec razem z nim. Dlatego wieść, że Krüger będzie tej nocy na warcie, Józef uznał za pomyślny zbieg okoliczności.

– Masz w środku wyrównanie – powiedział i wręczył Niemcowi woreczek z czarnego aksamitu.

Kiedy Krüger rozsznurował go i wysypał zawartość na skórzaną rękawicę, Sara zobaczyła błysk światła odbitego od diamentów. Najwyraźniej wartownik wydawał się usatysfakcjonowany, wysypał je

bowiem z powrotem do woreczka i schował za pazuchę.

– Niech będzie. Ona i tak ledwie żyje.

Józef odetchnął z ulgą. Zaryzykował życie całej trójki tylko dlatego, że wiedział, jak bardzo Krüger jest do niego podobny. On też zrobiłby wiele za garść diamentów. Właściwie to zrobiłby wszystko.

Żołnierz zamknął drzwi wartowni i skinął głową całej trójce. Otworzył kluczem furtkę i rozejrzał się, czy po drugiej stronie nie dzieje się nic, co by go wydało.

Chwilę później trzy szare cienie przekroczyły granicę getta i rozplynęły się w mroku.

Byli po drugiej stronie piekła.

* * *

Nie opuścili Litzmannstadt od razu. Poruszanie się po mieście w świetle dnia było co najmniej nierozważne. Choć ściągnęli opaski z gwiazdami Dawida, gdy tylko przeszli przez furtkę, nadal czuli ich palące piętno. Tak jakby bycie Żydem było wryte na czole i dobrze widoczne dla każdego przechodnia.

Józef i Aaron dobrze znali Łódź, choć z niej nie pochodzili. Sara miała wrażenie, że wiedzą, gdzie znajdują się najbardziej zaniedbane podwórza kamienic, zavalone starymi meblami, pełne cuchnących śmietników i piwnic, w których koty walczyły o byt z równie wielkimi jak one szczurami. To właśnie w nich kryli się, na długo przed świtem. Poruszali się tylko późno w nocy, kiedy na ulicach było najmniej patroli, przypadkowych przechodniów i ciekawskich oczu, które mogłyby im naptyać biedy.

Sara podziwiała zaradność swoich kompanów. Szybko zorganizowali cieplejsze odzienie, którym zastąpili brudną, mokrą i zniszczoną odzież. Ubrania ukradzione mieszkającym w Łodzi Niemcom były miękkie i przyjemnie pachniały. Teraz odrobinę bardziej przypominali mieszkańców aryjskiej części Litzmannstadt, ale zdradzić mogło ich niedożywienie, które wyostrzyło ich rysy, nadając im nieco upiorny wygląd. Z jedzeniem nie było już tak łatwo. Dzielili się solidarnie i Sara nieraz zastanawiała się, dlaczego Józef to robi. Wiedziała, czym zajmował się w getcie i jaką miał opinię.

– Pójdziemy na Kielce – powiedział Aaron, który lepiej od Józefa znał dalsze okolice Łodzi. – Tam jest dużo lasów i łatwiej się ukryć przed szwabami. Może uda się dołączyć do partyzantów, a jak nie, to pójdziemy dalej na południe.

– A co jest dalej na południu?

Aaron wzruszył ramionami i podrapał się po głowie w identyczny sposób jak Józef.

– Nie wiem. Tarnów i Rzeszów chyba. Jak tam nie będzie spokojniej, to pójdziemy na Słowację, a jak będzie trzeba, to i do Rumunii. Byle dalej od szkopów.

Minął tydzień, zanim ostatnie zabudowania Łodzi zniknęły im z oczu. Pogoda pogorszyła się, co miało swoje dobre i złe strony. Siekący deszcz rozmiękczył grunt i często grzęźli w błocie po kostki, za to dzięki gęstej jak mleko mgłę mogli wędrować również w dzień. Mgła opadła tuż przed granicą Generalnego Gubernatorstwa, a przynajmniej tak utrzymywał Józef. Przez jakiś czas ukrywali się w lesie, gdzie zjedli skromny posiłek. Kiedy upewnili się, że przejdą przez granicę niezauważeni, wyszli z zarośli i podążyli za Józefem. Ominęli szerokim łukiem Piotrków Trybunalski, którego zabudowania widzieli z daleka. Woleli nie ryzykować i nie kusić losu, choć każde z nich marzyło o ciepłym łóżku i posiłku. Tereny Generalnej Guberni wciąż stanowiły zagadkę. Co jakiś czas do getta docierały wieści o grabieżach i represjach, jakich na tym terenie dopuszczało się wojsko niemieckie. Dla Sary niewiele się zmieniło, ale bracia stali się jeszcze bardziej ostrożni niż dotychczas. Wędrowali kolejne trzy noce, zanim zagłębili się w gęste lasy pomiędzy Końskimi a Włoszczową. Dopiero wtedy przestali co kilka kroków oglądać się przez ramię, obawiając się niemieckiego patrolu.

Nie podobały się im te lasy. Były gęste, ponure, a wszechobecna mgła nadawała im grozę. Po kilku kolejnych dniach marszu byli już z dala od gęsto zabudowanych terenów.

– Słyszycie to? – Aaron przystanął i gestem nakazał, by byli cicho. Do ich uszu dobiegło jednostajne buczenie, którego źródła nie potrafili zlokalizować. Ruszyli, kierując się dźwiękiem, który narastał z każdą chwilą. Po kilkudziesięciu metrach zobaczyli, co go powodowało, jednak zanim to się stało, w nozdrza całej trójki uderzył potworny smród.

Wzdłuż leśnej drogi biegło naturalne zagłębienie. Teraz było wypełnione zwłokami w różnym

stadium rozkładu.

– O Boże. – Sara oparła się o drzewo i zwymiotowała. W ślad za nią poszedł młodszy z braci. Tylko Józef zakrył nos chusteczką i patrzył dalej. Bzyczały miliony much żerujących na ciałach. Zwłoki nosiły ślady rozstrzelania, ale sądząc po rozmiarach dziur w głowach i torsach ofiar, musiała to być broń dużego kalibru. Przerazająco wyglądały wyciągnięte w górę ręce, które teraz zastygły w pośmiertnej pozie. Część ofiar musiała jeszcze żyć, kiedy spadli na nich kolejni rozstrzelani. Sara pomodliła się za ich dusze.

– Świnie – powiedziała, po czym powtórzyła głośniejszym, prawie krzyjącym głosem. – Świnie! Niemieckie świnie!

– Już, już. – Józef objął ją ramieniem. Nie był to czuły i delikatny gest, lecz uspokajał ją mimo wszystko. Przez długi czas szli w milczeniu. Widok rozstrzelanych ludzi, wśród których były również kobiety i dzieci, wyrwał się w ich pamięci.

– Musimy wejść gdzieś do wsi, żeby zdobyć coś do jedzenia. – Józef wyjął z plecaka to, co im zostało. Zapasy nie wyglądały imponująco. Dawniej byłoby na jedno śniadanie dla dorosłego mężczyzny. Teraz musieli się tym zadowolić we trójkę. – Tego wystarczy może do jutra.

Aaron chciał coś powiedzieć, ale rozkaszał się, aż echo poniosło.

– Ta franca mnie zaraziła. – Wyciągnął oskarżycielsko palec w stronę Sary. – Mówiłem ci, żeby jej nie zabierać? Mówiłem?

– Zamknij się, Aaron. Mam już dosyć twojego biadolenia i waszego kaszlu. Co ci jest, kobieto?

Sara siedziała skulona i rękami obejmowała brzuch. Ostatnio jedli byle co, i to w skromnych ilościach, i bóle brzucha nie były niczym dziwnym, ale dopiero teraz zwrócił uwagę, że płaszcz, który ukradli jeszcze w Łodzi, ledwie ją opina.

– Nie wiem, strasznie boli. – Przechyliła się i upadła na kolana, a potworny ból po raz kolejny przeszył jej podbrzusze. Zawyla, a mężczyźni rozejrzeli się w popłochu. – Józek, ja... Ja jestem...

– Wiem – przerwał jej w pół zdania. – Nie jestem głupi.

Aaron podszedł do brata i odciągnął go na bok. Przez dłuższą chwilę naradzali się, co zrobić. Choć starali się mówić cicho, słyszała wszystko. Było jej obojętne, że nazywali ją kurwą. Ból przyćmiewał wszystko. Wrócili, wymieniając między sobą znaczące spojrzenia.

Usłyszeli, jak gdzieś niedaleko zrywają się do lotu ptaki. Zastygli jak ścięci lodem, ale oprócz deszczu siekającego korony drzew nie słyszeli już nic. Zaczynało zmierzchać i musieli poszukać kryjówki na noc.

– Lepiej ci? Możesz iść? – spytał, podchodząc bliżej. Choć nie pił wódki od dwóch dni, jakimś cudem jego oddech wciąż nią cuchnął.

– Nie wiem, może za chwilę ból zelżeje.

Gałązka trzasnęła cicho, a jednak cała trójka to usłyszała. Wokół gęsto rosły strzeliste sosny, a od ich wielkich pni odbijało się echo. Józef poczuł niepokój. Nie lubił lasów i czuł się w nich nieswojo. Miasto było jego żywiołem, i to w nim odnajdywał się najlepiej.

– Weź ją pod ramię – zakomenderował i sam chwycił za mokry płaszcz. Dźwignęli Sarę, która jęknęła przez zaciśnięte zęby. – Musimy iść.

Ruszyli, zapadając się po kostki w nasiąkniętym wodą mchu. Co jakiś czas przystawali, nasłuchując, ale wzmagający się deszcz zagłuszał wszystko. Sara pojękiwała cicho, ale starała się iść, choć ból w podbrzuszu nawracał.

Las urwał się niespodziewanie, dochodząc do szosy pokrytej wielkimi kałużami. Przez chwilę obserwowali, a kiedy uznali, że nie ma niebezpieczeństwa, przebiegli na drugą stronę. Zanim ponownie zagłębili się w leśnych ostępach, Aaron obejrzał się przez ramię. Strach ścisnął mu żołądek. Wydawało mu się, że kilka cieni przecięło szosę kilkadziesiąt metrów od nich.

– O kurwa, Niemce! – Jeśli można było krzyczeć szeptem, to Aaron właśnie to robił. – Idą za nami!

Szarpnęli Sarę i przyspieszyli, nie zwracając uwagi na wydawane przez nią dźwięki. Dopóki szli szybkim marszem, nadażała stawiać nogi, ale kiedy za ich plecami trzasnęła kolejna gałązka, zaczęły biec. To wtedy nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Wlekli ciężarną za sobą, dopóki Józef nie upadł,

potknąwszy się o spróchniały konar. Zaklął szpetnie.

– Nie damy rady, więcej. – Aaron podniósł się pierwszy i dźwignął Józefa, nie zwracając uwagi na Sarę.

Starszy z braci przystanął w pół kroku, jakby wciąż się wahał. Potem podjął decyzję.

Hamburg, wrzesień 1943 roku

Zaplanowali ślub, gdy tylko się zorientowali, że podczas tych długich nocy i dni spędzonych w piwnicy zbombardowanego budynku zrodziło się między nimi nie tylko uczucie. Greta była skrupulatna i dokładnie notowała swój cykl miesięczkowy, a ten prawie nigdy się nie spóźniał.

– Możemy wstrzymać się jeszcze trochę, zanim powiemy twoim rodzicom? – Bruno ściągnął brwi, a na czole pokazała się zmarszczka nadająca jego twarzy powagi.

– Cóż, chyba możemy. Co prawda umieram ze strachu przed tą rozmową, ale wolałabym mieć ją już za sobą. Dlaczego chcesz zwlekać?

Przez chwilę wahał się, czy powinien jej powiedzieć. W końcu uznał, że skoro ma wziąć odpowiedzialność za to, co było skutkiem ich zbliżenia, to nie było powodu, aby coś zatajał przed swoją przyszłą żoną. Bo to, że musi ją poślubić, nie ulegało wątpliwości. Nie był to może najlepszy czas, ale nikt go nie pytał o zdanie. Bruno wciąż nosił w sercu wielką ranę po Sarze i choć powoli godził się z myślą o jej stracie, to na miłość nie był jeszcze gotowy. A jednak zostawienie Grety samej sobie, i to teraz, kiedy trwała wojna, byłoby okrucieństwem. Bruno uważał się za porządnego człowieka i wiedział, co należy zrobić. Przynajmniej tak mu się wydawało.

– Mam zamiar po raz ostatni spróbować powrócić do czynnej służby. Chcę latać, Gretchen.

– Ale to niebezpieczne, Bruno! Nie, nie, nie. Nie zgadzam się.

– Posłuchaj. – Przysiadł na ławce i ujął ją za ręce. O tej porze park był niemal pusty i nie musieli obawiać się ciekawskich uszu. – Na front mnie pewnie nie wyślą, bo front lada chwila robi się tutaj. Bombardowania to tylko początek. Jako pilot znów będę coś znaczył i będzie nam łatwiej przekonać twoich rodziców.

– Ależ oni i tak cię lubią.

– Ale poślubienie ich jedynej córki to coś innego. Może nawet dostanę awans i wyślą mnie na kurs oficerski. Wierz mi, że woleliby cię wydać za oficera Luftwaffe niż ubabranego smarem mechanika. Poza tym Rzesza zadba o was lepiej, jeśli... coś mi się stanie.

– Bruno! – Odwróciła się od niego, nie chcąc, by widział, jak zbiera się jej na płacz. – Nawet nie chcę o tym myśleć.

– Gretchen, ja przecież nie wiem, czy to się uda. Ale muszę spróbować.

Z ciężkim sercem zgodziła się. Na dobrą okazję czekał dwa tygodnie. Cały Hamburg stosunkowo szybko otrząsnął się z szoku wywołanego bombardowaniem. Już na początku września niemal wszystkie zakłady wznowiły produkcję, choć jej poziom jeszcze długo nie wrócił do tego sprzed nalotów. Miasto lizało rany, co najbardziej odbijało się na cywilach, priorytetem władz Rzeszy była bowiem produkcja przemysłowa. Szczególnie znaczenie miały wielkie stocznie wytwarzające u-booty oraz zakłady zbrojeniowe. Odbudowa domów, kamienic i miejsc użyteczności publicznej schodziła na dalszy plan.

Bruno widział swoją szansę w tym, że miasto przygotowywało się do dalszej obrony przed nalotami. W wielu miejscach pojawiła się artyleria przeciwlotnicza oraz ogromne reflektory, mające na celu oświetlenie nadlatujących bombowców, ale punktem zwrotnym miało być wzmocnienie sił Luftwaffe. Na lotnisku lądowały kolejne sekcje myśliwców dziennych i nocnych. Wprawdzie wielu pilotów dopiero co ukończyło kurs i nie mogło się mierzyć z doświadczonymi lotnikami, ale w tym akurat Bruno upatrywał swojej szansy. On bojowe szlify zdobył już dawno i okupił je ciężkimi ranami.

– Załoga, bacność! *Herr Oberst* idzie na inspekcję! – ryknął Warnke, a jego głos poniósł się po hangarze. Żołnierze stuknęli obcasami i wyprężyli się jak struny.

Przez cały poprzedni dzień szykowano się do wizyty dowódcy. Naprawiane samoloty przetoczono i ustawiono w równych rzędach. Brudne na co dzień narzędzia wyczyszczono na błysk, a plamy po paliwie, smarach i olejach zasypano piaskiem. Hangar został otwarty na oścież, aby wywietrzyć wylotowy chemikaliów i wpuścić świeże powietrze oraz światło. Kiedy bramy ogromnej hali,

wysokiej jak kamienica, zatrzymały się, Bruno musiał przyznać, że wszystko to robiło ogromne wrażenie.

Za pułkownikiem, który był odziany w galowy mundur, szło dwóch majorów i kilku kapitanów. Najwyraźniej oficerowie mieli już za sobą zakrapiany obiad, byli bowiem w doskonałych humorach. Obsługa naziemna była wystrojona w świeżo wyprane kombinezony, a na polecenie Warnkego uruchomiono dwa wyremontowane messerschmitty.

Dowódca najwyraźniej chciał pokazać swoim gościom, jak doskonale zna nie tylko pilotów, ale także pracowników obsługi naziemnej, zamieniał bowiem zdanie lub dwa z niektórymi z nich. Czasem nawet żartował, a wszyscy zgromadzeni wybuchali gromkim śmiechem, nawet jeśli żart był słaby.

– Steinke, tak? To wy zostaliście ranni pod Leningradem, prawda?

– Tak jest, *Herr Oberst*. – Bruno wyprężył się jeszcze bardziej. Nadal stał jednak nieco krzywo, a jego blizny przyciągały spojrzenia.

– Widzę, że doszliście już do jako takiej formy.

– Tak jest, *Herr Oberst*. Melduję, że jestem całkowicie zdrowy. – Zebrał się w sobie i powiedział to, co tak długo układał i powtarzał w myślach. Chyba nie odważyłby się na to, gdyby nie doskonały humor pułkownika. – Przy tej okazji chciałem poprosić o możliwość powrotu do czynnej służby. Chciałbym pomóc w obronie miasta.

Z twarzy dowódcy zniknął uśmiech, a pojawił się wyraz, którego Bruno nie był w stanie odczytać.

– Żartujecie, Steinke? Przecież wiecie, że pilot Luftwaffe musi być wzorowego zdrowia i kondycji. Wprawdzie wyglądacie lepiej, ale zapewne nadal daleko wam do sprawności naszych pilotów.

– Jestem pewien, że sobie poradzę, panie pułkowniku. Mam doświadczenie i znam ten samolot lepiej niż wielu młodych pilotów.

– Jesteście bardzo pewni siebie, żołnierzu. Swoim doświadczeniem możecie służyć personelowi naziemnemu. *Hauptmann* Warnke bardzo dobrze wypowiadał się o waszej pracy.

– Mogę udowodnić swoją przydatność do czynnej służby lotniczej, panie pułkowniku. Proszę o pozwolenie skorzystania z jednej z maszyn.

Oberst obejrzał się na swoich gości i ujrzał zaciekawienie na ich twarzach. Przez rząd pracowników obsługi naziemnej przeszedł szmer.

– Niech będzie, Steinke. Ale jeśli uszkodzicie ten samolot i wyjdziecie z tego żywi, to nie doczekacie sądu polowego. Własnoręcznie obedrę was ze skóry.

– Tak jest, *Herr Oberst*!

Bruno zaszalował i szybkim krokiem poszedł w stronę czekającego na niego messera, którego uruchomiono na polecenie pułkownika. Silnik samolotu myśliwskiego dudnił basowo, a śmigło obracało się równomiernie. Bruno wskoczył na skrzydło i umościł się na siedzeniu pilota. Poczuł, jakby spotkał dawno niewidzianego przyjaciela. Choć maszyna była nowsza niż ta, którą latał do tej pory, to w środku wszystko było znajome. Zamknął osłonę kabiny i rozpoczął kołowanie na pas. Zanim dotarł do punktu startu, zauważył, że *Oberst* wraz z całą świtą i obsługą naziemną wylegli z hangaru.

Zwiększył obroty silnika i poczuł, jak przyjemne wibracje przechodzą przez jego ciało. Znowu stawał się jednością z tą śmiercionośną maszyną. Kiedy dostał sygnał do startu, ruszył gwałtownie. Wkrótce maszyna oderwała się od ziemi. Złożył podwozie i dokonał oblotu wokół lotniska, by sprawdzić, czy wszystkie systemy działają poprawnie. Kilka razy gwałtownie zakołysał samolotem, zwiększył ciąg i mruknął zadowolony. Messerschmitt zdał egzamin celująco. Teraz przyszła pora na niego.

Przez następny kwadrans zgromadzeni przed hangarem żołnierze, dowództwo oraz piloci i mechanicy krzątający się przy szykowanych do startu myśliwcach mogli obserwować niezwykły pokaz na szarym hamburskim niebie. Messerschmitt Bf 109 znakomicie nadawał się do powietrznych akrobacji, a w rękach tego pilota stał się zwinny niczym jaskółka.

Samolot tańczył na niebie. Bruno wykonał szereg akrobacji, w tym najbardziej widowiskowe pętle, korkociągi, spirale, becзки. Zawrócił przez plecy w stronę hangaru i skierował maszynę wprost

pomiędzy rozsunięte skrzydła bramy. Leciał kabiną do dołu i dokładnie widział, jak pęd powietrza zdmuchnął nakrycia głowy zgromadzonych. Choć hangar był wysoki, to przy tej prędkości zdawał się być szczeliną, w której samolot ledwie się mieścił. Bruno był pewien, że jeśli przeżyje ten szaleńczy pokaz, to stanie się on tematem do plotek na długie miesiące. Wyrównał lot i zrobił nawrót do lądowiska.

Oberst śledził maszyną aż do momentu, kiedy zatrzymała się przed hangarem, jakieś dziesięć metrów od zgromadzonych. Pilot otworzył kabinę i wyszedł z niej, wzbudzając pomruk niedowierzania. Zeskoczył ze skrzydła i stanął obok samolotu, salutując dowódcy.

– Co, do diabła? – Warnke podrapał się po policzku, zastanawiając się, jak to w ogóle możliwe. Mógł się założyć o wszystko, że reszta obserwatorów miała dokładnie takie same myśli.

Nie licząc białych majtek, Bruno Bury-Steinke był zupełnie rozebrany. Złożony w kostkę kombinezon roboczy wraz z koszulą i kurtką trzymał w wolnej ręce.

* * *

Na ślubie przekonał się, że Niemcy nie odwrócili się od Hitlera i jego popleczników. Przez miesiące przebywania z rodziną Paulsenów niemal zapomniał, że większość narodu wciąż roi sny o potędze i panowaniu w Europie. Dopiero kiedy zobaczył urząd, w którym na każdej ścianie powiewała wielka flaga ze swastyką pośrodku, kiedy mijał zaproszonych na ślub gości i widział opaski z hitlerowskim symbolem na ich ramionach, zrozumiał, że to rodzina jego przyszłej żony jest jedną z tych samotnych wysp pośród morza nazistów.

Łatwo było się zapomnieć. Kiedy jeszcze służył w obsłudze naziemnej, na ideologię nie starczało czasu. Poza zwyczajowym *Heil Hitler*, które było tak częste, że jego umysł to ignorował, nikt nie prawił peanów na cześć Wodza i jego zasług dla narodu niemieckiego. Spływający po czole pot, rany na dłoniach i oczy piekące od wyciewów nie zostawiały oficerom miejsca na krzewienie ideologii.

Trzy dni po pokazie akrobacji Bruno został wezwany do pułkownika. *Oberst* trzymał go w niepewności, zapewne po to, by ukarać za zbyt dużą zuchwałość. Bruno nie miał mu tego za złe. Osiągnął najważniejszy cel – został przywrócony do czynnej służby w lotnictwie. *Oberst* zaproponował nawet, by Steinke został dowódcą eskadry nowych samolotów Focke-Wulf Fw 190, uchodzących za lepsze od messerów, ale Bruno grzecznie odmówił. Był przyzwyczajony do messerschmittów i wsiadając do kabiny, czuł się jak jeden z elementów samolotu. Jak umysł żelaznego ptaka. Miesiąc po przywróceniu do służby dostał urlop okolicznościowy i gratulacje z powodu ślubu.

Zaplanowali go skromnie, w jednym z podhamburskich kościołów. Zgodnie ze zwyczajem, oprócz najbliższej rodziny, w ceremonii uczestniczył dowódca jednostki, który po zaślubinach wygłosił długie i pełne patosu przemówienie będące raczej peanem na cześć Naczelnego Wodza niż pary młodej. Nie omieszkał przypomnieć także o obowiązkach żony i matki, a także męża, a przede wszystkim podoficera Luftwaffe.

– *Sieg Heil!*³⁷ – *Oberst* stuknął obcasami i wyprężył się regulaminowo. – Za Führera i młodą parę!

Kiedy zszedł z mównicy, złożył świeżo poślubionym gratulacje. Przekazał również życzenia od kolegów z jednostki. Gdy zza ramienia dowódcy wyłonił się wuj Grety, Bruno drgnął niespokojnie. Czarny mundur SS kontrastował z białą suknią jego świeżo poślubionej żony.

– Gratulacje, chłopcze. – Kurt Paulsen uściśnął Brunonowi dłoń i poklepał go po ramieniu. Wuj Grety, w przeciwieństwie do jej ojca, nie wyglądał na miłego i przyjaznego człowieka. Coś w jego wyglądzie niepokoiło Brunona. – Dbaj o moją bratanicę, bo jeśli nie, to będę musiał się z tobą policzyć.

Oficer roześmiał się, ale nie przekonało to Brunona. Czuł, że zawołowana groźba jest prawdziwa. Wuj jego nowo poślubionej żony wręczył im prezent: zestaw porcelany, pięknie oprawione wydanie *Mein Kampf* oraz pamiątkowy talerz Jullteller mający przynieść nowożeńcom szczęście i płodność. Bruno wiedział, że był to zwyczajowy upominek, jaki otrzymywali podczas zaślubin oficerowie SS. TYLKO oni. Nie wierzył, by był to przypadek. Wuj Kurt wysyłał mu wyraźny sygnał, po której stronie powinien się opowiedzieć.

– Dziękuję bardzo. Będzie żyła jak królowa – odpowiedział z uśmiechem i potrząsnął ręką wuja Grety. Wielka swastyka na ramieniu oficera zafalowała.

Mundur galowy Kurta Paulsena prezentował się wzorowo, jednak dobre wrażenie psuła czaszka umieszczona na otoku czapki. Bruno zauważył, że Greta również niespokojnie przygląda się tej niestosownej ozdobie.

– Mam nadzieję. Niech ten hojny dar wskazuje wam kierunek na nowej drodze życia. Liczę, że znajdziecie jeszcze później chwilę czasu na rozmowę z wujkiem?

– Och, oczywiście. – Greta uśmiechnęła się i Bruno musiał przyznać, że ten uśmiech działał cuda. Napięcie, które jeszcze przed chwilą odczuwał, zdawało się rozpląwać. – Zapraszamy do stołu, wujku.

Nie było wesela, a jedynie skromny poczęstunek dla najbliższych. Wprawdzie Bruno nie miał nic przeciwko temu, aby się odbyło, jednak Greta postawiła na swoim. Wiedziała, że widok jej gości sprawiłby mu przykrość. Pomimo starań Kurta Paulsena nie udało się odnaleźć rodziców Brunona. A przynajmniej tak twierdził.

– Przejdźmy się – zaproponował oficer SS Brunonowi, kiedy wypili kawę i wino. Z krzesła podniósł się także ojciec Grety, jednak esesman dał mu znać, by został na miejscu. – Sami.

Wyszli do ogrodu, a Paulsen wyciągnął srebrną papierośnicę i poczęstował nowego członka rodziny. Bruno odmówił ruchem głowy.

– Powiem bez ogródek. Ta cała sytuacja mi się nie podoba. – Paulsen zaciągnął się głęboko papierosem i wydmuchnął dym.

– Co pan ma na myśli?

– Zasięgnąłem języka o waszej rodzinie. Nie byliście wzorowymi nazistami. Wprawdzie od kiedy ciebie powołano do wojska, cieszysz się bardzo dobrą opinią i wiem o twoich sukcesach, jednak twoi rodzice nie zostali skazani bez powodu.

– To nieprawda. Moi rodzice są dobrymi ludźmi.

– Cóż, nie oczekiwałem, że powiesz coś innego, jednak trudno mi się z tym zgodzić. Twój ojciec splugawił aryjską krew, wiążąc się z Polką.

– Niech pan przestanie! – Bruno zatrzymał się i zacisnął pięści. Czuł, jak wściekłość podchodzi mu do gardła, ale bał się, że wybuchem zaszkodzi nie tylko sobie, ale przede wszystkim Grecie. – Proszę z szacunkiem wyrażać się o moich rodzicach.

Kurt Paulsen spojrział mu głęboko w oczy i roześmiał się szyderczo.

– Nie lubię cię i ci nie ufam. Przez takich jak ty i twoi rodzice wojna zaczyna iść gorzej, niż zaplanowaliśmy. Ale to chwilowe trudności. Kwestię żydowską właśnie rozwiązujemy, a na inne też przyjdzie czas. A właśnie. Zastanawiałeś się, dlaczego zgodziłem się poszukać tej Żydówki? Rozenberg, tak?

– Bo brat pana o to poprosił?

– On tu nie ma nic do gadania. Jesteście po jednych pieniądzach. Kiedy usłyszałem, czego ode mnie chce, myślałem, że do końca zgłupiał. Później uznałem, że cała sprawa ma sens. Miałem nadzieję, że kiedy znajdę Żydówkę, wrócisz do niej i odczepisz się od mojej bratanicy. Ona ma jeszcze szansę, żeby wyjść na ludzi. A brzucha zawsze można się pozbyć.

– To nasze dziecko! A Gretchen jest szczęśliwa.

– Jest chwilowo zaślepiona czymś, co pomyliła z miłością. Gdyby nie to, że spodziewa się twojego dziecka, a ty jakimś cudem ogłupiłeś mojego brata, nigdy nie dopuściłbym do tego ślubu. Ale wojna nieprędko się skończy. Greta będzie miała zapewne jeszcze wiele okazji, aby zostać wdową. Piloci żyją krótko.

Paulsen zgasił papierosa na ścianie i pstryknął nim w dal. Zanim niedopałek spadł na trawnik, wuj panny młodej zniknął wewnątrz, zostawiając Brunona ze ściśniętym żołądkiem. Ta rozmowa go otrzeźwiła – Niemcy nadal były pełne nazistów, ludzi zaślepionych chorą ideologią. I musiał o tym pamiętać przed każdym wypowiedzanym zdaniem.

To nie była prawda, że siostry Wolskie jedynie się kłóciły, ale ktokolwiek spojrzalby z boku na ich relację, takie właśnie mógł odnieść wrażenie.

Choć kłótnie wybuchały często i miały dynamikę erupcji wulkanicznej, to w przerwach między nimi trzynastoletnia Wiktoria i szesnastoletnia Magda potrafiły znaleźć wspólny język. Z wypiekami na twarzy śledziły odcinki *Beverly Hills 90210*, *Jeziora Marzeń* czy *Słonecznego patrolu*. Z otrzymywanego od rodziców kieszonkowego kupowały „Bravo” i „Popcorn”. Ostrożnie rozginając spinacze, wydostawały plakaty, które potem mocowały taśmą klejącą do ścian i drzwi. Magda uwielbiała Backstreet Boys i N’Sync, Wiktoria zakochała się w Britney Spears. Na magnetowidzie, przywiezionym przez ich ojca z jednego z licznych rejsów, nagrywały teledyski z MTV i VIVY.

– Gdzie jest mój plakat z Backstreetami?! – wrzasnęła Magda, kiedy zrzuciła po szkole plecak i wpadła do pokoju. Zmiana od razu rzuciła się jej w oczy.

– Zdjęłam go, bo nikt już ich nie słucha – odpowiedziała jej siostra ze złośliwym uśmiechem.

– Powiesiłam nowe Spice Girls.

– Ja ich słucham i nie obchodzą mnie twoje głupie piosenkarki. Gdzie jest ten plakat? – Magda nasrożyła się i przybrała groźną minę. Próbowала ratować resztki swojego autorytetu, ale najwyraźniej na niewiele się to zdało. – Oddawaj go, bo...

– Bo co? Poskarżysz się mamie?

Może jeszcze kilka lat temu by to zrobiła, ale teraz wstydziła skarżyć. Musiała poradzić sobie sama, co nie było łatwe. Młodsza siostra była sprawna i zaskakująco silna. Ruszała się jak kocica, potrafiła się wspinać na najwyższe meble, a kiedy dochodziło do bezpośredniego zwarcia, umiała znaleźć jej słabe punkty.

– Bo Britney skończy w śmietniku. – Magda położyła ostrzegawczo dłoń na plakacie idolki Wiktorii. Na czarnym tle zostało kilka wyraźnych odcisków palców, co nie uszło jej uwadze. Oczy młodszej siostry zwężyły się w szparki.

– Nie zrobisz tego!

– Zrobię! Dawaj plakat!

– Dobra, dam ci go. – Wiktoria zeskoczyła z łóżka i podeszła do młodszej siostry. – Ale po moim trupie!

Chwyliła zniecierpliwioną rękę Magdy i odciągnęła ją od plakatu, by ten nie doznał większego uszczerbku niż ślady po jej spoconych palcach. Zaskoczenie trwało ułamek sekundy. Magda zaczęła się szarpać i wrywać, a kiedy to okazało się bezskuteczne, chwyciła Wiktorię za włosy i pociągnęła.

– Aaaa! – Dziewczęta weszły w zwarcie i trudno było powiedzieć, która zwycięża, a która wydaje z siebie pełne bólu okrzyki. Na szczęście rodziców nie było w domu i mogły sobie pozwolić na taki – jak to nazywał ich ojciec – wrestling.

– Stop! Stop! – Tym razem Wiktoria znalazła się na przegranej pozycji. – Dobra, niech ci będzie. Oddam ci ten plakat, ale Spajsetki zostają, okej?

Magda przez chwilę zastanawiała się, a wspólny pokój wypełniały ich przyspieszone oddechy i zapach dziewczęcego potu. To była patowa sytuacja – jeszcze odrobina siły i Magda wyrwałaby siostrze pukiel włosów, ale za to gdyby Wiktoria mocniej napała, mogłaby zwichnąć Magdzie nadgarstek. Już i tak bolało wystarczająco mocno. Magda uznała, że nic więcej nie ugra.

– A gdzie go powiesimy? Na dawnym miejscu?

– Jak chcesz. Puszczamy na trzy?

– Mhm. Raz, dwa, trzy...

Po takim starciu zwykle następował okres współpracy i topór wojenny był zakopywany. Jeśli do awantury włączali się rodzice, to w zależności od werdyktu byli zniechęceni przez jedną lub drugą

córkę. Jeśli osąd krzywdził je obie, zawierały tajemny pakt wymierzony przeciwko obojgu dorosłym. Potrafiły kochać się i nienawidzić równie mocno.

W okresach zawieszenia broni chodziły na plażę, do kina, jeździły na rowerach na bliższe i dalsze wycieczki, a czasami Magda dawała się namówić bardziej temperamentnej i potrzebującej ruchu siostrze na coś z jej bajki: leśną huśtawkę ze strażackiego węża, wspinaczkę po drzewach lub zagładanie do okolicznych pustostanów. Zimą jeździły na Morenę, gdzie znajdowało się kilka wartych uwagigórek do szaleństw na sankach. Tak było jeszcze dwa lata wcześniej, ale tym razem stwierdziły, że są na to za stare, jednak prawda była taka, że obie szykowały się na wyjazd do Zakopanego i bały się złapać kontuzję. Latem czy zimą Magda i Wiktoria potrafiły się dobrze razem bawić. Kiedy nie wojowały, znajdowały wspólny język, a w najlepszym czasie nie miały przed sobą żadnych tajemnic.

Tak przynajmniej było do pewnego momentu.

– Wiki, zbieraj się, jedziemy na plażę. – Magda potrząsnęła ramieniem siostry, która w wakacje lubiła pospać znacznie dłużej niż podczas roku szkolnego. – Mama mówi, że kupimy lody z tej budki w Brzeźnie.

– Daj mi spokój. – Wiktoria odwróciła się na drugi bok i nakryła głowę poduszką. – Chcę się wyspać.

– Chodź, bo za pół godziny mamy autobus. Wiesz, jaki później jest tłok na plaży.

– Jedźcie beze mnie – dobiegł głos spod poduszki.

Magda stanęła jak wryta. Siostra nie przepuszczała okazji, by wyżyć się w wodzie, pobiegać po piasku czy pograć w siatkówkę, dołączając do jakiejkolwiek organizującej się drużyny. Szczególnie w tak gorące, wakacyjne dni. Magda wolała popływać, i to tam, gdzie miała grunt pod nogami, poczytać czasopisma albo zwyczajnie się poopalać. Niemniej rodzinne wyjazdy na plażę stanowiły jeden z ważniejszych punktów wakacji. Kiedy tata był w rejsie, Barbara Wolska z córkami spędzały czas w Gdańsku, a jeśli miał akurat być w domu, wtedy planowali bliższe i dalsze wyjazdy lub pobyt na działce letniskowej w Chmielnie.

– Źle się czujesz, Wika?

– Po prostu nie mam ochoty. Czego nie rozumiesz?

Magda próbowała jeszcze kilka razy, ale odpowiedziała jej cisza. Wzruszyła ramionami i przekazała mamie, czego się dowiedziała. Barbara Wolska uznała, że to jeden z tych dni, kiedy lepiej nie zadzierać z młodszą córką, i pojechały na plażę tylko we dwie.

Kiedy Wiktoria zrezygnowała z trzech kolejnych wyjazdów, Magda nabrała podejrzeń, że niechęć do wspólnego plażowania ma jakąś szczególną przyczynę. Nie pomyliła się.

Przyczyna miała na imię Mateusz.

* * *

– Wiki, sukienka! – zawołała Magda i tylko dzięki temu uchroniła piękną sukienkę Wiktorii przed rozerwaniem. Siostra zatrzymała się w pół kroku, a Magda podeszła do starej jabłoni rosnącej w ogrodzie dziadka i zdjęła rąbek materiału, który zahaczył się o uciętą gałąź. Gdyby Wiki nie zatrzymała się, niechybnie rozerwałaby materiał. – Po co tam wchodzisz? Ile ty masz lat?

– Zawszę to robię. – Wiktoria nie przejęła się zupełnie i kontynuowała wspinaczkę. Stara jabłoń była krucha i Magda obawiała się, że lada chwila gałąź, na której stoi siostra, trzaśnie, a dziewczyna runie kilka metrów w dół. – To taki zwyczaj.

– Zwyczaj dla piętnastolatki? – prychnęła Magda. – Wątpię.

– Nie jojcz. – Młodsza siostra stanęła na najwyższej gałęzi zdolnej utrzymać jej ciężar i wychyliła tak bardzo, że Magda była pewna nadciągającej katastrofy.

Wiktoria zdawała się czegoś wypatrywać. Oślaniała oczy od słońca, a kiedy dojrzała to, co chciała, zsunęła się po szorstkiej korze drzewa, niszcząc zamszowe pantofle. Zupełnie nowe zamszowe pantofle.

– Idę na spacer – powiedziała, otrzepując ręce. – Powtórz mamie, gdyby mnie szukała.

Magda wsłuchiwała się w gwar dochodzący z wnętrza domu. Wiedziała, że impreza urodzinowa nie skończy się szybko, a oprócz kuzynostwa, za którym nie przepadała, nie było nikogo, z kim mogłaby

wyjsć. Uznała, że pomysł Wiktorii jest całkiem niezły.

– Poczekaj, też chcę się przejść. Mogłybyśmy pójść do Doliny Radości...

– Nie, idę sama – ucieła krótko Wiki.

– Jesteś umówiona z Mateuszem, tak? – Magda spojrzała jej głęboko w oczy, poszukując załączków kłamstwa. Wiedziała, że siostra dostała ostatnio bzika na punkcie kolegi ze szkoły, ale przez to zrobiła się jeszcze bardziej tajemnicza. Magda widziała go tylko raz, lecz miała złe przeczucia co do tego chłopaka.

– Nie, no coś ty. Po co miałyby jechać taki kawał drogi? – Ucieła wzrokiem po porośniętej bluszczem ścianie domu.

– Ściemniaro! Mama nie puści cię na dłużej niż pół godziny. Wiesz o tym? Idę z tobą albo nagadam jej o Mateuszu.

– Okej, weź tylko jakąś wodę. Jest gorąco.

– Dobra. Jeszcze skoczę do toalety. – Magda obróciła się na pięcie, a sukienka zafalowała, odsłaniając jej uda.

W trzech susach pokonała schody na ganek. Skorzystała z toalety, a ze spiżarki wyciągnęła dwie małe butelki wody mineralnej, które wpakowała do materiałowej torby na ramię. Dorzuciła portfel, telefon i uznała, że jest gotowa do wyjścia.

– Wika? – zawołała, wychodząc z powrotem do ogrodu.

Młodszej siostry nigdzie nie było. Musiała wejść do domu z drugiej strony. Pewnie zgarniała ze stołu prowiant. Wiktoria zawsze miała apetyt nie tylko na życie.

– Magda, chodź, właśnie wyjmuję kaczkę z piekarnika. – Matka dziewcząt ucieszyła się, widząc córkę zaglądnącą do salonu. – I znajdź Wiktorię.

– Później, mamo.

– Ale jak to później? Przecież to wszystko wystygnie!

Magda już nie słyszała. Pędziła do ogrodu, zbiegając po schodach na ganek.

– Wiedziałam! – wykrzyknęła, kiedy zdała sobie sprawę, że została wystrychnięta na dudka. Wiktorii nie było ani w ogrodzie, ani na chodniku przed domem. – To gówniara.

Ze schowka na narzędzia wyciągnęła stary rower dziadka, na którym czasem mama jeździła na targ. Wskoczyła na siodło, napała na pedały i ze skrzypieniem łańcucha pognęła przed siebie. Domyślała się, dokąd poszła jej siostra. Widziała przecież, w którym kierunku tak tęsknie spoglądała z jabłonki.

Zjechała w stronę dworca PKP w Oliwie, ale nie natknęła się na nią. Ulice o tej porze były niemal puste. Panujący upał skutecznie wygnał wszystkich do domów. Dojechała do Grunwaldzkiej, którą Wiktoria – jeśli faktycznie chciała dojść do dworca – musiała przeciąć. Magda nie dostrzegła jej ani na tym, ani na następnym przejściu dla pieszych i zaczęła wątpić w swoją intuicję. Na wszelki wypadek postanowiła jednak sprawdzić.

Charakterystyczny budynek zobaczyła już z daleka. Zmierzały w jego kierunku dwie osoby, ale żadna z nich nie nosiła błękitnej sukienki. Oparła rower o ścianę i weszła do chłodnego wnętrza dworca. Niestety i tutaj nie było śladu po Wiktorii.

Przedostała się na peron Szybkiej Kolei Miejskiej. Z tego, co Magda wiedziała, chłopak siostry mieszkał gdzieś w okolicach Świętego Wojciecha. Wnioski nasuwały się same. Jeśli Mateusz miał przyjechać do Oliwy, to pewnie zrobiłby to pociągiem SKM. Peron był jednak pusty. W oddali zobaczyła czerwone światła oddalającego się taboru. A więc to Wiktoria mogła pojechać do niego.

To nawet miało sens. Rodzinna impreza zapewne potrwa do wieczora. Kiedy dziadek Edek i jego córki zebrali się już całym gronem, biesiadowali długo.

Westchnęła i zrezygnowana zaczęła przechadzać się po peronie. Zadaszenie rzucało przyjemny cień i nie chciała spod niego wychodzić. Musiała wrócić, uznając swoją porażkę. Przecież nie będzie jechała za siostrą i jak wariatka szukała jej Bóg wie gdzie.

Oparła się o barierkę na końcu peronu i obserwowała wolno nadjeżdżający pociąg towarowy. Brudna lokomotywa z rdzawymi naciekami na bokach minęła ją leniwie, ciągnąc za sobą zestaw przeróżnych wagonów. Wtedy to zobaczyła.

Błysk błękitnej sukienki na jednej z pustych platform.

– Wiki! – Magda wrzasnęła na całe gardło. – Wiktoria!

Siostra usłyszała ją. Siedziała razem z trzema chłopakami na deskach wagonu. Wśród nich Magda zobaczyła rudawą czuprynę Mateusza. Więc jednak intuicja jej nie zawodziła. Kiedy platforma ją mijiała, Wiktoria pomachała siostrze beztrzesko. Gest jedynie spotęgował wściekłość starszej z sióstr. Co za nieodpowiedzialna smarkula!

To tylko potwierdziło spostrzeżenia Magdy co do Mateusza. Był bogatym, ale rozwydrzonym do granic możliwości gówniarzem. I pewnie właśnie z obu tych powodów imponował Wiktorii, która mogła przy nim rozwinąć skrzydła. Dobrali się jak w korcu maku, pomyślała.

Magda obejrzała się, słysząc sygnał nadjeżdżającej eskaemki. Kiedy tylko pociąg się zatrzymał, a drzwi rozsunęły ze zgrzytem, wskoczyła do środka i dopadła do okna od strony torów. Skład ruszył leniwie i powoli przyspieszał. Magda wiedziała, gdzie Wiktoria i jej towarzysze wyskoczą. Za przystankiem Gdańsk Politechnika pociągi zwalniały. Kiedyś Wiki o tym wspominała, ale Magda nie zwracała na te opowieści szczególnej uwagi.

– Dzień dobry – usłyszała głos za sobą. – Bilet do kontroli poproszę.

– O rany – westchnęła, zdając sobie sprawę, że właśnie znalazła się w tarapatkach. – Zapomniałam kupić, ale mogę zrobić to teraz.

– Teraz to ja poproszę dokument ze zdjęciem.

Dalszą część drogi spędziła na obserwowaniu, jak kontroler wypełnia rubryczki w mandacie. Co jakiś czas zerkała przez okno w nadziei, że zobaczy błękitną sukienkę siostry. Wysiadła na Politechnice i przez jakiś czas chodziła po peronie, uważnie przyglądając się każdemu przejeżdżającemu pociągowi. W końcu kupiła bilet i ruszyła w drogę powrotną.

– Gdzie Wiktoria? – spytała Barbara Wolska, kiedy tylko Magda przekroczyła próg domu dziadka. Zrobiło się dosyć późno, ale impreza trwała.

– Nie wiem, zgubiłyśmy się w pociągu.

– W pociągu? A dokąd wy jechałyście?

– Nooo... do centrum – skłamała, ale wiedziała, że mama tak łatwo nie zrezygnuje. – Chciałyśmy się przejść po Jarmarku Dominikańskim.

– Magda, do cholery, ona ma piętnaście lat i głowę pełną szalonych pomysłów. Jestem w stanie zrozumieć, że coś takiego wpadło jej do głowy, ale ty? Jesteś dorosła!

– Nie krzycz na mnie. To nie moja wina. Był straszny tłok, a Wiki wyrwała do przodu.

Matka zasypała ją gradem pytań i dopiero Wiktor odciągnął ją od starszej córki. Wiktoria wróciła po trzech godzinach, w uwalanej smarem kolejowym sukience, kiedy wszyscy odchodzili już od zmysłów. Nawet wtedy nie dostała takiej bury jak Magda.

Miesiąc później musiała się równie gęsto tłumaczyć z mandatu, o którym najzwyczajniej w świecie zapomniała.

KL Buchenwald, 1943 rok

– *Die Polacken*³⁸. – Niemiecka kapo Hilda Vogel przechadzała się pomiędzy rzędami równo ustawionych więźniarek, które od godziny marzły na deszczu. Przemoczone pasiaki przylepiły się do skóry, potęgując uczucie zimna. – Jesteście bezużyteczne jak karaluchy, ale my zrobimy z was mrówki.

Porównania do zwierząt były o tyle zabawne, że panna Vogel³⁹ bardziej niż ptaka przypominała słońcę, a w najlepszym razie hipopotama. Niemka miała metr dziewięćdziesiąt wzrostu i dobre sto trzydzieści kilo wagi. Pałka w jej dłoni wyglądała jak wykałaczka. Klara Bury-Steinke widziała Niemkę w akcji już nieraz. Potrafiła zabić więźniarkę jednym ciosem, ale rzadko uciekała się do tak szybkiej metody. O nie, Hildegarda Vogel lubiła zadawać cierpienie w najdłuższy możliwy sposób. Jak choćby wtedy, gdy po wielogodzinnym staniu w pełnym słońcu na placu apelowym wracały do baraków, a jedna z Polek umoczyła dłoń w beczce z deszczówką i zaczęła ssać wilgotne palce.

– *Halt!* – Kapo dmuchnęła w gwizdek, ale było to zupełnie niepotrzebne. Miała głos, który mógł kruszyć lodowce.

Maszerujące kobiety zatrzymały się. Hildegarda podeszła do Polki, której głowę zdobił ledwie odrośnięty od skóry rudy meszek. Chwyciła więźniarkę za kark i pociągnęła w stronę beczki.

– Pozwoliłam ci pić, głupia krowo? Pozwoliłam?! – wrzasnęła i nie czekając na odpowiedź, wepchnęła jej głowę pod wodę.

Więźniarki w milczeniu obserwowały, jak rudowłosa walczy o życie. Spod powierzchni wody wypłynęło kilka bąbli powietrza, a ręce kobiety próbowały bezskutecznie odepchnąć się od krawędzi beczki. Był to próżny trud. Niemra miała ramiona przypominające sążniste dęby. Spod fałd tłuszczu przebijały mięśnie. Klara niejednokrotnie zastanawiała się, w jaki sposób Hildegarda zyskała tak uprzywilejowaną pozycję. Wprawdzie kapo wciąż byli więźniami, ale ich egzystencja w obozie koncentracyjnym nie mogła równać się z katorgą, jaką codziennie przeżywali zwykli więźniowie. Poza tym Klara miała wrażenie, że panna Vogel nie tylko nie chudła na obozowym wikcie, ale wręcz przybierała na wadze. Teraz jej olbrzymie ramiona mogły z łatwością złamać kark szczupłej Polce, ale to nie byłoby w stylu Hildegardy.

Niemka pozwoliła więźniarce wynurzyć się na chwilę i zaczerpnąć tchu. Dziewczyna rozkaszała się i zwymiotowała do beczki. Nie było tego wiele. Zawartość żołądka stanowiły głównie kwasy i pustka. Kilka czekających kobiet skrzywiło się, wiedząc, że będą musiały to później wypić. Klarze było wszystko jedno. Woda cuchnęła tak bardzo, że nie zdziwiłaby się, gdyby Niemcy do niej szczali. Nadzorczy prześcigali się w wymyślaniu upokorzeń dla osadzonych.

– Napiłaś się?

– Tak.

– Chyba jeszcze za mało. Wciąż wyglądasz na spragnioną. – Vogel roześmiała się i ponownie zanurzyła głowę Polki w beczce.

Podtapianie trwało może kwadrans. W końcu zabawa znudziła się Hildegardzie. Zanurzyła więźniarkę znacznie głębiej i dłużej niż dotychczas. Z lubością przyglądała się, jak dziewczyna wierzga nogami i drapie beczkę, pozostawiając ślady na ciemnym drewnie. Kilka paznokci obłamało się, a na deskach pojawiła się krew. Zanim katowana kobieta umarła, wypróżniła się. Luźny stolec spłynął jej po nogach, powodując u nadzorkzyni grymas obrzydzenia. Niemka zostawiła zwłoki w połowie zanurzone w wodzie i podeszła do reszty kobiet.

– Niech to będzie nauczka dla was wszystkich. Macie jeść, pić i srać na komendę. Idziemy.

Poprowadziła kobiece komando do bramy obozowej. Teraz wyraźnie można było odczytać umieszczony nad nią napis. „Každemu to, co mu się należy”. Klara wzdrygnęła się na myśl o tym, jak bardzo niesprawiedliwe są wykute w metalu słowa.

Po kilku tygodniach łamania woli więźniów i pozbawiania ich godności oraz odruchów

człowieczeństwa nadzorcy uznali, że osadzeni są gotowi do pracy. Każdy odziany w pasiak mężczyzna i każda kobieta wiedzieli, że za najmniejsze nieposłuszeństwo grozi śmierć lub ciężkie kalectwo, a czasami wystarczyło krzywe spojrzenie lub chwila ociągania, by posypał się grad ciosów.

Klara wędła każdego dnia. Głodowe racje żywnościowe, nieustanne bicie i szerzące się choroby wykańczały ją, ale najbardziej martwiło ją, że przez cały ten czas nie widziała Henryka. Rozdzielono ich tuż po przybyciu i pognano na selekcję, gdzie zostali przydzieleni do swoich komand. Potem nastąpił kolejny etap ich odczłowieczania. Niemcy kazali rozebrać się do naga, po czym głowy nowo przybyłych więźniów ogolono na łyso i wysłano pod zimny prysznic. Wśród zapędzonych do łaźni kobiet podniósł się krzyk, że zamiast wody z rur popłynię gaz, ale kiedy trysnął lodowaty strumień, wszystkie przyjęły to jak dar niebios. Po wyjściu dano wszystkim jednakowe pasiaki, luźne i niechroniące przed chłodem. Trójkąt z literą P i numer 9191. Oto czym Niemcy chcieli, by się stała.

Już pierwszego dnia po założeniu pasiaka Klara wyczuła, że uwiera ją szew pod pachą. Kiedy wieczorem zaległa na swojej pryczy, podrapała podrażnioną skórę i sprawdziła, co ją drażni. Spomiędzy nitek wyciągnęła rulonik cienkiego papieru. Był wielkości zapałki, zapisany krzywym pismem.

Nazywam się Maria Gottlieb. Jestem Żydówką z Lipska. Czuję, że to moje ostatnie godziny tutaj. Jestem w [zamazane] i Niemcy wstrzykują mi codziennie coś innego. Raz potwornie piecze, raz drętwieją mi członki. Każda godzina tutaj jest udręką. Chciałabym, aby śmierć wreszcie mnie wyzwoliła. Mam tylko nadzieję, że nie wrzucą mnie żywcem do pieca. Kominy nowego krematorium dymią dzień i noc. Jeśli to znajdziesz, przekaz moim bliskim, że ich kocham.

Klara poczuła, jak cierpnie jej skóra na karku. Skoro dostała ten pasiak, to znaczy, że Maria już go nie potrzebowała, a być może trzymała w palcach jej ostatnie słowa. Starannie zwinęła liścik w rulon i wsunęła go między nitki. Pod pachą był względnie bezpieczny od deszczu, a nisko umieszczony szew chronił go też od potu.

Po tym, jak Vogel utopiła rudowłosą Polkę, reszta komanda została zawieziona do fabryki amunicji, gdzie wraz z innymi więźniami KL Buchenwald na dwie zmiany wykonywano niewolniczą, często przekraczającą ludzkie siły pracę.

* * *

Henryk Steinke miał szczęście, o ile o jakimkolwiek szczęściu może mówić człowiek, który został uwięziony w niemieckim obozie koncentracyjnym. *Oberkapo*⁴⁰, który zawiadywał jego blokiem, robił to jednak inaczej niż reszta sadystycznie usposobionych nadzorców, ponieważ rozumiał istotę osadzenia w takim miejscu. Tobias Schneider był pragmatykiem i nie widział sensu w katowaniu siły roboczej. Został kapo głównie dlatego, że choć wprawdzie powinęła mu się noga i popełnił przestępstwa skarbowe, to wciąż wierzył w dzieło Hitlera i widział zasadność działania obozów pracy przymusowej. W garażu, za stertą desek, miał dobrze ukryty przedwojenny motocykl, który w doskonałym stanie służył mu do czasu aresztowania. Tobias wiedział, że tylko dzięki dbaniu o maszynę, mieszaniu paliwa z odpowiednim olejem, smarowaniu piast i łańcucha mógł do samego końca cieszyć się bezproblemową jazdą. Tęsknił za swoim motocyklem i wierzył, że wkrótce zostanie zwolniony i będzie mógł wrócić do domu.

Schneider wiedział, że podobnie jak łożyska, koła zębate, korbowody i cięgła stanowią o sprawności silnika i skrzyni biegów w jego *zündappie*⁴¹, tak więźniowie obozów koncentracyjnych, przysyłani transportami z podbitych ziem, stanowią o sile roboczej okolicznych fabryk. Przemysł wojenny Trzeciej Rzeszy działał pełną parą i potrzeba było rąk do pracy. Więźniowie stanowili doskonale – tanie i względnie wydajne – ich źródło. Tyle że wielu nadzorców, a także ludzi z wyższej kadry obozowej wołało osiągać wysoką produktywność za pomocą znęcania się i terroru. Tobias wiedział zaś, że zamiast katować osła batem, należy go podkarmić. Wtedy zwierzę odwdzięczy się ciężką pracą. Dokładnie tak samo, jak z jego motocyklem i osłami, było z Żydami, Polakami, Cyganami i innym tałatajstwem, które zwożono do Buchenwaldu całymi wagonami.

Nie żeby był aniołem. Nie wahał się przyłożyć pałką jednemu czy też drugiemu leniowi, ale przed bezsensownym okaleczaniem sprawnej siły roboczej najwyczajniej się wzbraniał. Z domu rodzinnego wyniósł przekonanie, że marnotrawstwo to grzech, i z powodzeniem stosował tę zasadę wobec

podległych sobie kapo. Wymagał, by utrzymywali dyscyplinę, nie doprowadzając więźniów na skraj fizycznego wyczerpania. Dopiero kiedy osadzeni wykazywali objawy znacznego wycieńczenia pracą lub chorobami, decydował o odesłaniu ich do eksterminacji i zastąpieniu świeżą siłą roboczą. Ta metoda miała jeszcze jedną zaletę – doświadczeni więźniowie doskonale znali swoje obowiązki na fabrycznych stanowiskach i nie musieli się przyuczać. Kiedy Tobias Schneider zebrał wszystko powyższe do kupy, wyjaśniła się tajemnica najwyższej wydajności jego komanda. Tyle że nikt z zarządu obozu nie chciał go słuchać. W końcu był tylko funkcyjnym osadzonym. Poza tym większość esesmanów i podległych im kapo zwyczajnie lubowała się w zadawaniu niewyobrażalnego cierpienia więźniom.

– Steinke, Novákový, Feldman. – Schneider nie miał pamięci do numerów, za to łatwo kojarzył nazwiska z twarzami. Przynajmniej dopóki więźniowie nie wyglądali jak żywe trupy. Potem przestawali go obchodzić. – Będziecie pracowali przy zapalnikach. Markovitz wszystko wam pokaże. Wyrobienie normy równa się norma żywieniowa. Połowa normy to połowa żarcia. Zaczynacie o szóstej, kończycie o osiemnastej. Jest przerwa na śniadanie i obiad. Jedna skarga od brygadzysty i czeka was tydzień głodówki. *Alles klar?*⁴²

Więźniowie pokiwali głowami i na gwizdek kapo ustawili się dwójkami, by ruszyć do miejsca, gdzie przez kolejnych dwanaście godzin mieli wykonywać swoje obowiązki.

– Nie wiesz, czy można się tu jakoś skontaktować z żeńskim komandem? – spytał Henryk współwięźnia podczas marszu do fabryki. Markovitz był Niemcem o niejasnym pochodzeniu i jasnych, niewygodnych dla władzy poglądach. – Tam jest moja żona.

– A jak się nazywa?

– Klara. Klara Bury-Steinke.

– Wiesz chociaż, do którego komanda trafiła? – Markovitz zdjął pasiastą czapkę i podrapał się po rzadkich włosach, wyłuskując dorodną wesz. Rozgniół ją między paznokciami, wytrzepał dłonią nakrycie głowy i założył je z powrotem.

– Nie mam pojęcia – stropił się Steinke i wyrównał krok, gdy komando przechodziło obok kwater SS. Wprawdzie Schneider miał to gdzieś, ale dla innego kapo czy esesmana mogło to stanowić powód do skatowania go. – Nie widziałem jej od czasu przyjazdu.

– To nie pomogę. Może zostanie skierowana do pracy w tej samej fabryce.

Przez następne tygodnie Henryk Steinke wypatrywał swojej żony w każdej wolnej chwili. Kiedy nie montował zapalników w pociskach artyleryjskich, rozglądał się wśród kobiet, które czasami widywał, gdy ciągnęły przez hale fabryczne wózki wypełnione materiałami do produkcji lżejszej amunicji. Z odległości jego stanowiska pracy rozpoznanie żony wśród wielu wyglądających podobnie kobiet, odzianych w takie same pasiaki i chusty, graniczyło z cudem.

Powoli zaczynał tracić nadzieję, a zyskiwać wiarę w jedną z wielu koszmarnych opowieści o tym, co działo się w innych komandach KL Buchenwald.

* * *

– A, polska księżna, co? Zaniemogła? – Vogel popchnęła Klarę końcem pałki. Z jakiegoś powodu esesmani zabronili ją zabijać, co nie oznaczało, że kapo nie mogła od czasu do czasu dać jej szturchańca.

– Mam pęknięty chodak. Wczoraj najechał mi na niego...

– A gównu mnie to interesuje. Rusz dupę, bo cię na kopach zatargam do fabryki.

Vogel uderzyła Polkę w kręgosłup, tam gdzie znad wycięcia pasiaka wystawał kręg szyjny. Z sobie znanego powodu Niemka nie znosiła tej wyniosłej kwoki. Choć ta nie stawiała się, wzorowo wykonywała polecenia, to w jej wzroku czaiło się coś, co do tej pory zarezerwowane było wyłącznie dla nadzorczyńni – pogarda. Wiedziała, że gdyby tylko Polka mogła, roześmiałaby się jej w twarz, a może nawet napluła. Chociaż nie. Była podobno jakąś polską szlachcianką, a takim zapewne nie przystoi plucie. Kiedy jednak Hildegarda Vogel przypomniała sobie, jak Klara kuca nad kloacznym dołem albo jak defekuje pod siebie po wielogodzinnym oczekiwaniu na placu apelowym, sama roześmiała się w głos. Szlacheckie gównu śmierdziało dokładnie tak samo jak pospolite. Więźniarki obejrzały się, ale zgromiła je wzrokiem. Hrabianka, czy kim tam Bury-Steinke się tytułowała, mogła być panią u siebie, ale tu, w Rzeszy Wielkoniemieckiej, znaczyła tyle, co karaluch, którym zresztą się stała, kiedy Niemcy

zajęli jej parszywy krak.

Klara westchnęła w duchu i pomaszerowała, utykając lekko. Poprzedniego dnia wózek z amunicją strzaskał jej chodak, a stopa ocalała tylko cudem. Wprawdzie spuchła nieznacznie i bolała, kiedy kobieta stawiała krok, ale na szczęście nie była złamana. Złamanie mogło oznaczać coś bardzo niedobrego, a w najlepszym przypadku zepchnięcie na koniec obozowego łańcucha pokarmowego. Racje żywnościowe i tak ledwie wystarczały na zagłuszenie burczenia w brzuchu, ale było to lepsze niż stanie na końcu kolejki. Zdarzało się, że dla ostatnich brakło zupy albo zostawały najmniejsze kawałki chleba.

Całe komando zaczęło nocną zmianę, wykonując automatycznie czynności, które poznały zaledwie tydzień wcześniej. Dwunastogodzinne, wyczerpujące szychty powodowały jednak, że monotonna praca wchodziła w krew, a człowiek zaczynał działać jak maszyna.

– Koniec łusek! 9191 idzie do magazynu – zakomenderowała brygadzistka, a Klara wytarła ręce. Musiało być dobrze po północy, ale Polka wołała nie spoglądać na wiszący na ścianie zegar. Czasami spotykało ją rozczarowanie. Brygadzistka smagnęła nahajką o taśmę produkcyjną. – Jak nie wrócisz za dziesięć minut, to wygarbuję ci skórę, polska łajzo!

Więźniarka wzięła dwukołowy wózek i pociągnęła go za sobą. Przy drzwiach magazynu siedziało dwóch esesmanów, pilnując Żydów, którzy przekładali ciężkie skrzynie z materiałami produkcyjnymi. Niemcy rozparli się leniwie na krzesłach, na oparciach których przewieszane były pistolety maszynowe MP-40. Jeden z żołnierzy obierał jabłko. Spiralna obierka w końcu oderwała się od noża i spadła mu na kolana.

– Komando siódme, łuski *schweres Spitzgeschosß*⁴³. Sześć skrzyń.

Popatrzyli na nią, jakby była przezroczysta. Podoficer skroił jabłko na ćwiartki i położył je na kawałku gazety. Obierkę rzucił pod ścianę. Odchylił się na krzesło i wydał żydowskiemu pracownikom odpowiednie polecenia. Klara czekała, aż załadują wózek skrzynkami z brzęczącą zawartością. Obejrzała się przez ramię. Skórka od jabłka wyglądała niezwykle apetycznie.

– Chcesz? – zapytał drugi z żołnierzy, wychwytyjąc jej spojrzenie. Podniósł się i podszedł do obierki, po czym rozpiął rozporek. Strumień moczu przesunął skórkę w sam narożnik, gdzie utworzyła się niewielka kałuża. – Weź.

Bała się odmówić. Za mniejsze rzeczy karano tutaj śmiercią. Podniosła mokrą i cuchnącą moczem skórkę.

– Smacznego – odezwał się ten, który obrał jabłko. Właśnie skończył nadzorowanie załadunku wózka. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

Zamknęła oczy i wsunęła obierkę do ust, starając się ignorować słony smak moczu. Niemieccy żołnierze zarechotali. Choć cała sytuacja uwłaczała ludzkiej godności, to skórka okazała się soczysta i grubo obrana. Klara dawno nie miała w ustach nic tak dobrego, nawet jeśli wcześniej zostało to obsikane przez tego szwaba. Chwyciła za rękojęść wózka, który okazał się zaskakująco ciężki, i powoli żując obierkę, tak by jak najdłużej mogła cieszyć się jej smakiem, pociągnęła go za sobą.

O tej porze fabryka wprawdzie pracowała, ale wydawała się opustoszała. Pilnujący więźniów żołnierze snuli się leniwie, ziewając co chwilę, a oficerowie pili sznapsa gdzieś w pomieszczeniach biurowych. Usłyszała za sobą kroki, ale nie miała odwagi, by się odwrócić. To mogło się źle skończyć. Weszła w wąski korytarz między halami. Ktokolwiek szedł za nią, musiał ją śledzić.

– Hej, poczekaj! – usłyszała i drgnęła. To mogło oznaczać coś bardzo złego lub wręcz przeciwnie. Ktoś w ciężkich butach zbliżał się powolnym krokiem. Przygotowała się na uderzenie pałką. Przez czas spędzony w obozie nauczyła się, by w każdej chwili spodziewać się ciosu. Nawet jeśli zupełnie nie zawiniła. – Klara? Klara, to ty?

Obejrzała się i zakryła usta dłonią. Kilka metrów za nią stał jej Henryk. Jej oczy momentalnie wypełniły się łzami, które zaraz spłynęły po policzkach. Zamarła oniemiała, nie będąc pewna, czy rzeczywiście widzi przed sobą męża, czy ma już halucynacje z niedożywienia. Musiała to sprawdzić.

– Heniu, to naprawdę ty? – spytała szeptem, gdy tylko zbliżyła się o kilka kroków. Wyjrzała z korytarza na halę, ale w miejscu, gdzie stali, byli praktycznie niewidoczni. Rzuciła się mężowi na szyję i rozplakała na dobre. – Myślałam, że cię już nigdy nie zobaczę.

– Ja też tak myślałem. Podobno macie wstrętną kapo? – Steinke przez kilka tygodni zdążył już dowiedzieć się co nieco o komandzie, w którym była jego żona, i długo czekał na sposobność, by się z nią spotkać. Kiedy jednak zobaczył ją ciągnącą ciężki wózek, znacznie chudsza, niż pamiętał, i z ogoloną głową, też nie mógł powstrzymać łez. Wylał twarz rękawem i pociągnął nosem.

– Wstrętną? To mało powiedziane. To prawdziwy potwór. A tobie jak?

– Nie jest źle. Słyszałem, że inni mają tutaj gorzej.

– W którym jesteś komandzie?

– W jedenastym. Mieszkam w baraku o tym samym numerze. Szybko, ktoś idzie – powiedział i chwycił swój wózek, by pojechać po brakujące zapalniki. Zanim odszedł, wcisnął żonie w dłoń niewielkie zawiniątko. Gdyby nie ono, nadal nie byłaby pewna, czy rzeczywiście stał przed nią jej Henryk.

Kiedy zniknął, Klara odpakowała natłuszczony papier i zobaczyła dwie kostki czekolady. Miała jeszcze minutę, może dwie, zanim brygadzistka zwróci uwagę, że jej nie ma. Wsunęła czekoladę do ust i płacząc z radości, że Henryk żyje i ma się nieźle, rozkoszowała się jej smakiem.

* * *

Trzy lata spędzone w obozie koncentracyjnym Buchenwald czyniło z nich weteranów tego miejsca. Niewiele osób, które przyjechały transportem wraz z Henrykiem i Klarą, utrzymało się przy życiu tyle czasu. Prawie wszystkich wyniszczyły głód, mordercze warunki pracy i zakwaterowania, a przede wszystkim sadystycznie usposobieni nadzorcy.

Przez cały ten czas jakoś sobie radzili. Klara dzięki swojemu opanowaniu i zdolności do łagodzenia konfliktów między więźniarkami zyskała autorytet wśród współosadzonych. Na tyle, na ile mogła, matkowała nowo przybyłym kobietom, z których większość stanowiły młode dziewczęta różnego pochodzenia.

Co kilka tygodni widywała się z Henrykiem, kiedy ich komanda spotykały się na nocnej lub dziennej zmianie w fabryce amunicji. Od kiedy wiedziała, gdzie go przydzielono, wypatrywała możliwości, by spotkać się z mężem. Czasami było to kilka chwil bliskości za wielką maszyną do wybijania łusek armatnich, która pracowała z ogłuszającym hukiem i nikt nie chciał się do niej zbliżyć, jeśli nie było to absolutnie konieczne. Innym razem znajdowała niewielki pakunek w umówionym miejscu. W paczce znajdowało się zwykle coś do jedzenia, a kilkakrotnie tabletki witaminowe, które jakimś cudem udało się Henrykowi zdobyć. Chciała się z nim tym dzielić, ale solennie ją zapewniał, że on swoją porcję już dawno przyjął. Wierzyłaby mu, gdyby nie to, że w ostatnim czasie bardzo schudł, a jego cera przybrała ziemisty, niezdrowy odcień.

Nadszedł zimny październik 1943 roku. Wiatr wciskał się do baraków przez każdą szparę, a pasiak na ciele pozbawionym warstwy tłuszczu przed nim nie chronił. Klara w żaden sposób nie mogła się rozgrzać, nawet kiedy wchodziła pod koc i przytulała się do innych więźniarek. Wszystkie były tak samo skostniałe.

– Numer 9191 to tu? – W drzwiach baraku pojawił się esesman, którego kojarzyła z widzenia. Jeden z tych zadziwiająco ludzkich, którzy bez powodu nie podnosili ręki na więźniów, a jeśli już, to kończyli ich cierpienia strzałem w potylicę. Marne to było pocieszenie, a jednak lepsze od widoku kości gruchotanych pałką.

– Tutaj! – Podniosła się z posłania i stanęła na baczność w nadziei, że niczym nie uchybiła żołnierzowi.

Mężczyzna zbliżył się i rzucił jej krótkie spojrzenie. Po trzech latach w obozie nie różniła się od reszty wychudzonych i posiniaczonych więźniarek, pozbawionych włosów, zębów i godności. Odciągnął ją na bok, choć nie wiedziała dlaczego. Większość kobiet w bloku już spała albo chciała, by esesman tak myślał. Żadna nie odważyła się spojrzeć na mężczyznę w mundurze i czapce ozdobionej trupią główką.

– Macie syna Brunona, tak?

– Tak! – wykrzyknęła z nadzieją. Myślała o nim niemal codziennie, zastanawiając się, gdzie jest i co robi. – Jest tutaj?

– Nie, ale mam wieści o nim. Niestety niepomyślne. Walczył ku chwale Rzeszy Wielkoniemieckiej i Führera, Niestety został zestrzelony przez bolszewików niedaleko Leningradu.

– Co? – odezwała się głuchym głosem, ale zaraz się zmitygowała, bojąc się reakcji esesmana. Ten jednak udawał, że tego nie zauważył. – To pewne?

– To wojna. Niczego nie można być pewnym – powiedział i ściszył głos. – Uważajcie, bo parasol ochronny roztoczony nad wami właśnie się zamknął. Już nie macie asa myśliwskiego w Luftwaffe.

– Dziękuję – wyszeptała i przysiadła na pryczy.

Nie powiedział nic więcej, tylko odwrócił się na pięcie i wyszedł. Wieści, które przekazał, zmiażdżyły jej matczyne serce. Przez całą noc nie zmrużyła oka, płacząc i wycierając smarki rękawem. Rankiem na sienniku widniała mokra plama.

Spodziewała się najgorszego, szczególnie tego, że Hilda zatłucze ją, gdy tylko otrzyma przyzwolenie od esesmanów. Widocznie jednak Klara i Henryk znaczyli dla Niemców tak mało, że nikogo nie obeszała ich osobista tragedia. Nędzna egzystencja obojga bowiem trwała. Co prawda praca w fabryce przychodziła im z coraz większym trudem, ale jeszcze jakoś dawali radę.

Henryk zniósł śmierć syna znacznie gorzej niż ona. Nie dziwiła się, Bruno był zawsze bliższy ojcu. W ciągu tygodnia wymizerniał jeszcze bardziej, jego oczy zapadły się i zmętniały, a na głowie nie było już niemal czego golić. Został tylko wianuszek rzadkich włosów za uszami. Prawie umarła z niepokoju, kiedy przy następnej wspólnej zmianie ich komand nie spotkała Henryka. Nieco uspokoiła się, gdy jeden z jego kompanów powiedział, że Steinke poczuł się gorzej i został odesłany do sprzątnia latryn.

Pod koniec roku normy produkcji zaczęły być coraz bardziej wyśrubowane, a racje żywnościowe mniejsze. W zaciszu baraków zaczęto szeptać, że Niemcy przegrywają wojnę, ale Klara wiedziała, że najgorsze, co może się teraz stać, to wiara i nadzieja na szybkie wyzwolenie.

Miska znacznie bardziej rozwodnionej zupy była teraz zalewana tylko do połowy, a chleb miał w sobie same trociny, otręby i Bóg wie, co jeszcze. Smakował jak kawałek drewna upieczony w piecu. Dwudziestego grudnia Klara upuściła na podłogę skrzynkę z amunicją. Naboje z łoskotem potoczyły się po całej podłodze.

– Wy, łajzy! – Brygadzistka wpadła pomiędzy kobiety z komanda Klary i na oślep zaczęła rozdawać razy grubym kijem. – Już dawno mówiłam, że na was czas. Nie nadajecie się nawet do pasania krów, a co dopiero do takiej roboty. Ja wam dam!

Biła długo, aż kilka kobiet z połamanymi kośćmi, rozkwaszonymi nosami i rozbitymi głowami upadło na podłogę. Najbardziej oberwało się Klarze, na której brygadzistka ostatecznie strzaskała kij. Polka czuła, że jest jednym wielkim kłębkim bólu. Przyzwyczaiła się do bicia, ale to było coś innego. Jeszcze kilka uderzeń i wyzionęłaby ducha. Tylko dzięki współosadzonym dotarła do swojego baraku. Litościwe kobiety więcej ją niosły, niż sama szła.

Opadła na pryczę i jęcząc z bólu, przetrwała noc. Kiedy rankiem kapo wpadła do baraku, gwizdkiem ogłaszając pobudkę, miała wrażenie, że nie zmrużyła oka.

* * *

Henryk Steinke pogodził się ze śmiercią. Od pewnego czasu jego organizm trawiły gorączka i biegunka, która zdawała się wylewać z organizmu niesłabnącym strumieniem. Tylko dzięki temu, że jakoś udało mu się zdobyć majtki i kilka bandaży, które prał pod prysznicem, gdy nikt nie widział, dawał radę zamaskować ten stan. Chorych zakaźnie leczono tu natychmiastowo – kulą w potylicę. Podejrzał cholera, ale nie był pewien. W obozowych warunkach mogło to być cokolwiek.

Przestał nadawać się do pracy w fabryce. Był zbyt słaby i wychudzony, a ręce drżały mu tak bardzo, że nie był w stanie zamocować zapalnika w pocisku. Schneider ulitował się nad nim i odesłał do czyszczenia latryn, co było o tyle wygodne, że nikt ich właściwie nie kontrolował. Niemcy nie wchodzili do tych pomieszczeń w obawie przed zarażeniem się jakimś paskudztwem, a jeśli gdzieś wybuchło ognisko choroby, likwidowano całe komando, a potem dezynfekowano blok. Oczywiście rękoma więźniów.

Wyjrzał przez okno i zobaczył, że główną alejką są pędzeni więźniowie, których przywieziono

zaledwie kilka tygodni temu. Z zazdrością obserwował dobrze odżywione ciała, wprawdzie pokryte wieloma siniakami i mniej lub bardziej dotkliwymi ranami, ale ciała, które nie zaznały jeszcze wielomiesięcznego głodu i wycieńczającej pracy. Gnani przez kapo mężczyźni zostali relokowani dwa baraki dalej. Niedawno zlikwidowano tam całe komando, zbyt wycieńczone pracą w pobliskim kamieniołomie.

Kiedy skończył czyścić latryny, przyprowadził pod barak dwukołowy wózek, taki sam jak ten, którym w fabryce woził materiały do produkcji amunicji. Spojrzał na prycze i policzył ciała. Ich usuwanie także należało do jego obowiązków. Dziś było tylko siedem trupów, postanowił więc, że zrobi dwa kursy. Cztery ciała na początek i trzy na drugi, lżejszy kurs.

Ściągnął zwłoki z dolnych prycz i zawłókł je do wózka. Ważyły trzydzieści, może czterdzieści kilogramów i były w zasadzie kośćmi obciążniętymi skórą. Najcięższe były głowy, w których siedziały mózgi, do niedawna pełne wspomnień, a może nawet marzeń i nadziei. Załadował ostatnie ciało i pociągnął wózek w stronę budynku krematorium.

Był w połowie drogi, kiedy zobaczył kolumnę kobiet ciągnących z drugiej strony obozu. Strażnik otworzył bramę i wraz z kapo pognął więźniarki w stronę, w którą zmierzał Henryk. Jego strażnicy przepuścili bez słowa. Znali go dobrze i wiedzieli, czym się zajmuje. Na końcu drogi znajdował się budynek krematorium, z kominami nieustająco wypływającymi czarny dym, a po jego prawej stronie komory, w których truto ludzi gazem. Choć Henrykowi przyszło to z trudem, przyspieszył kroku.

– Heinrich! – krzyknął ktoś zza ogrodzenia. Grupa mężczyzn czekała właśnie na kapo, który wszedł na inspekcję gotowego do zasiedlenia baraku, by sprawdzić, czy nie ma w nim czegoś, co mogłoby posłużyć więźniom do ucieczki. Poprzednich mieszkańców wysłano do komory gazowej, gdyż okazali się zbyt nieprzydatni dla systemu. – Heinrich!

Zwolnił, ale nie zatrzymał się. Dopiero po chwili rozpoznał swojego brata. Jakim cudem Konrad rozpoznał jego, pozostawało tajemnicą. Henryk zdawał sobie sprawę, że dawnego siebie musiał przypominać jedynie w minimalnym stopniu. A może stało się to za sprawą pokrewieństwa? Zawsze byli ze sobą blisko. Przez chwilę walczył z pokusą, by się zatrzymać i podejść do ogrodzenia, dzielącego go od brata, ale wiedział, czym to się może dla obu skończyć. Skinął mu głową i posłał długie spojrzenie.

– Heinrich, to ja, Konrad! – krzyknął jeszcze raz, a chwilę później oberwał pałką w głowę. Henryk słyszał jęki brata, niemiłosiernie okładanego przez kapo. Nie mógł mu pomóc. Najlepsze, co mógł teraz zrobić, to ruszyć dalej, by nie ściągać uwagi strażników. Chwycił za wózek i pociągnął go za sobą.

Niemal zrównał się z kolumną idących kobiet, lecz w ostatnim momencie odbiły w prawo, na spory plac przed „łaźniami”. Tam czekało kilkadziesiąt innych kobiet i kilku uzbrojonych Niemców. Zrobiło się zamieszanie, któraś zaczęła wrzeszczeć, ale uciszył ją jeden wystrzał. Henryk skorzystał z tumultu, porzucił wózek i przepchnął się w ich stronę.

– Rozbierać się! *Schneller!* – krzyknęła kapo. Zawtórowały jej głosy żołnierzy. Oporne poganiano uderzeniami. Rozległy się pisk i szloch, ale na esesmanach nie zrobiło to wrażenia. Henryk dobrze znał potężną kobietę, która rozdawała razy na lewo i prawo. Klara opowiadała o niej wielokrotnie.

Przepchnął się do przodu, roztrącając chude jak tyczki więźniarki. Kiedy zrzucił swój pasiak, nie różnił się wiele od otaczających go kobiet. W większości przypadków na chudych ciałach nie został nawet ślad po piersiach, a wszystkie ogolone głowy wyglądały tak samo. Włosy łonowe dobrze skrywały i tak skurczone z zimna przyrodzenie Henryka, zresztą w tej kotłownianinie nikt nie zwróciłby na nie uwagi. Wreszcie przepchnął się do tej, którą starał się wypatrzeć całą drogę.

– Klarcu, to ja – powiedział po polsku. Obejrzała się zaskoczona. Jej wzrok był nieprzytomny ze strachu.

– Henryk? Co ty tu robisz? Idź, jeszcze możesz się uratować!

– Nie, *meine Liebe*. Tam musimy iść razem.

Spojrzała na niego z miłością tak wielką, jak jeszcze nigdy w życiu. W jej wielkich oczach zalśniły łzy, ale kiedy Henryk ujął jej dłoń, przestała się bać.

Tłum został wpędzony do wielkiego pomieszczenia, ukrytego pod porośniętym trawą nasypem

z ziemi. Wewnątrz znajdowały się jedynie rury pryszniców i wentylatory, a całość wykafelkowano po sam sufit. Kiedy drzwi zostały zaryglowane, pisk i płacz stały się nie do zniesienia. Młde światło słabych żarówek ledwie docierało do ścian. Henryk i Klara zostali wtłoczeni w sam środek. Stanęli pod jednym z wylotów w suficie, który po chwili został otwarty od góry. Oboje widzieli przez niego kawałek nieba, po którym sunęły białe obłoki.

– Nasi chłopcy już tam na nas czekają, Heniu – powiedziała spokojnym głosem. Kiedy pogodziła się z losem, poczuła ulgę.

Widok przesłoniła im głowa żołnierza. Jego twarz była ukryta pod maską gazową. Wsypał do wnętrza komory białe granulki, które wyleciały także z pozostałych otworów. Zanim pokrywa rury zamknęła się na powrót, małżonkowie jeszcze raz spojrzeli w piękne, błękitne niebo. Myśl, że za chwilę się tam znajdują, była krzepiąca. Henryk ścisnął mocno rękę małżonki.

– Niech dobry Bóg ma nas w opiece.

Baronowa Klara Bury-Steinke pomimo spływających łez uśmiechnęła się i przytuliła do męża. Razem zaczęli odmawiać *Ojciec nasz*. To była ich ulubiona modlitwa. Synowie baronostwa potrafili odmówić ją po polsku i po niemiecku. W końcu dobry Bóg rozumiał wszystkie języki.

Jej chłopcy uwielbiali niebo, a ona z czasem zrozumiała tę miłość. Od spotkania z nimi dzieliła ją już tylko chwila. Po drugiej stronie piekła mogło być jedynie niebo.

Hamburg, kwiecień 1944 roku

Dwoje niebieskich oczu, skrzących się niczym szafiry, wpatrywało się w Brunona. Po raz pierwszy trzymał w rękach tak małe dziecko. Swoje dziecko. Klara urodziła się tuż po północy, trzynastego kwietnia 1944 roku, ale zobaczył ją dopiero wtedy, gdy lekarze uznali, że wraz z Gretą mogą opuścić szpital. Wzruszenie ścisnęło mu żołądek tak bardzo, że niewiele pamiętał z kolejnych godzin. Wraz z gratulacjami z dowództwa przysłała także informacja, że przyznano mu trzy dni urlopu. Mógł całkowicie poświęcić uwagę dochodzącej do siebie żonie, malutkiej córeczce i odnaleźć się w nowej rzeczywistości.

Klara rosła szybko, a Bruno poświęcał jej każdą wolną chwilę. Dostał przydziałowe mieszkanie na obrzeżach Hamburga, do którego przenieśli się tuż przed narodzinami córki. Było nieduże i wymagało odświeżenia, ale Bruno z pomocą kilku szeregowych żołnierzy dokonał cudu w czasie, gdy Greta trafiła do szpitala. Efektami remontu nie cieszyli się jednak długo. Po kilku miesiącach nalotów mieszkanie było nie do poznania. Choć żadna bomba nie trafiła w ich kamienicę, to i tak ściany popękały, a tynk odpadł w kilku miejscach, podobnie jak kafelki w łazience. Nawet to nie zmąciło im rodzinnego szczęścia, a przynajmniej tak sądził Bruno.

– Coś cię trapi, Gretchen? – spytał, gdy wreszcie mieli wieczór dla siebie. Klara spała spokojnie za ścianą, a od kafłowego pieca było przyjemne ciepło. Od kilku dni żona wydawała mu się nieswoja, jakby nieobecna i smutna.

– Nie kłopotz się tym, Bruno. Zresztą i tak, niewiele możemy z tym zrobić.

– Powiedz mi, kochanie. Chcę znać nawet twoją najmniejszą troskę. Tylko wtedy będę mógł jej zaradzić.

Poruszyła się niespokojnie i upiła łyk słabej kawy zbożowej. Nic więcej nie mieli. Skończyła się nawet herbata, której do tej pory nie brakowało.

– Po prostu... Ja po prostu umieram ze strachu zawsze, gdy wychodzisz na służbę. Za każdym razem boję się, że widzę cię po raz ostatni. Nie możesz poprosić o przeniesienie?

– Gdzie, Gretchen? Teraz wszędzie jest niebezpiecznie. Poza tym, co miałbym robić poza lataniem? W zasadzie to nic innego nie potrafię.

Usiadł blisko żony i objął ją ramieniem. Pachniała matczynym mlekiem i mimo że była przyjemnie ciepła, drżała na całym ciele.

– Nie wiem, Bruno. Po prostu wariuję ze strachu. Wuj Kurt mówi, że wojna już długo nie potrwa i lada moment szalał przechyli się na naszą korzyść.

Bruno nachylił się do żony i ściszył głos.

– Kurt jest zaślepiiony swoją wiarą w Führera. Albo głupi, jeśli wierzy, że Niemcy mogą tę wojnę wygrać. Jeśli cokolwiek możemy na niej ugrać, to tyle, żeby wojenna zawierucha nie zmiotła nas całkowicie z powierzchni ziemi. Tylko tyle. Dach nad głową dla naszej córki i promień nadziei na lepszą przyszłość dla niej. Dla wszystkich, których kocham. To jedyny powód, dla którego wsiałam do samolotu. Gdyby nie to, sam umarłbym ze strachu.

Następnego dnia wyszedł na służbę, ale tym razem patrzył na swój samolot inaczej. Za każdym razem gdy wzbijał się w powietrze, miał przed oczami zmartwioną twarz Gretchen.

Wciąż dziwił się, jak szybko ją pokochał. Na dobrą sprawę nie wiedział, kiedy to się stało. Z dnia na dzień stawała mu się bliższa, a w jego sercu rosło do niej prawdziwe uczucie. Pamiętał Sarę, jakże mógłby o niej zapomnieć, ale wydawało się, że ich czas minął wieki temu. Wojna powodowała, że wszystko, czego doświadczał, smakowało jak pierwszy i ostatni raz. To była miłość, która nie mogła się udać.

Otrząsnął się z rozmyślań, kiedy w samolocie zatrzeszczało radio. Pogoda była niepewna, a silny wiatr rzucał samolotem jak zabawką. Bruno miał nadzieję, że żaden z żółtodziobów nie popełni błędu,

który będzie kosztował ich życie.

– Sierżancie Steinke, skierujcie swoją grupę w okolice Bremy. Spodziewany jest nalot dużej grupy bombowców na fabrykę Focke-Wulf. Meldujcie o kontakcie z wrogiem i czekajcie na dalsze rozkazy.

Bruno odmeldował się i obrał kurs na Bremę. Obejrzał się na swoich ludzi i upewniwszy się, że wszystko jest w najlepszym porządku, przyspieszył. Zadanie było ważne, jeśli bowiem fabryka samolotów zostałaby całkowicie zniszczona, oznaczałoby to odcięcie lotnictwa od dostawy nowych maszyn. W ostatnim czasie Luftwaffe ponosiła coraz większe straty.

Gęste chmury pokrywały niebo aż po horyzont i dopiero kiedy zostawili za sobą zabudowania miasta, dostrzegli samoloty nieprzyjaciela. W pierwszym momencie Bruno pomyślał, że widzi klucze przelatujących wysoko ptaków. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to ogromna formacja bombowców.

Pierwsza zagrała artyleria przeciwlotnicza. Pióropusze czarnego dymu wykwitwały na niebie raz po raz i wkrótce pierwsze bombowce zaczęły spadać, ciągnąc za sobą ogony ognia i dymu. Kilku lotnikom udało się wyskoczyć z płonących maszyn i otworzyć spadochrony. Bruno wydał rozkazy swoim podkomendnym i uruchomił przepustnicę na pełny ciąg. Messerschmitt żwawo skoczył w kierunku nieprzyjaciela.

Amerykańskie bombowce B-17 należały do największych i najlepiej uzbrojonych maszyn w powietrzu. Latające fortece potrafiły zasypać myśliwce gradem pocisków i nie należało ich lekceważyć, ale Bruno wiedział, jak je podejść.

Kwadrans później niebo przypominało wyrojony ul. Niemieckie myśliwce wściekle atakowały bombowce, które odgryzały się ogniem karabinów. Kilka strąconych maszyn jednocześnie pikowało w dół, lecąc na spotkanie śmiercionośnej ziemi. W końcu bombowce otworzyły luki i wypuściły z nich tysiące bomb. Choć nie było na to czasu, to Bruno i tak zerkał w stronę ziemi. Eksplozje widziane z takiej wysokości fascynowały go i przerażały jednocześnie. Przypominały zabawę dziecka, które wrzuca kamień do wody. Tyle że tam na dole ginęli ludzie i waliły się budynki. Zawrócił przez skrzydło i obrał na cel kolejny bombowiec.

Wraz ze swoim skrzydłowym strącili dwie latające fortece i młodszy rangą pilot zameldował brak amunicji. Bruno odesłał go na lotnisko. Pozostał sam, wierząc, że reszta jego ludzi wciąż walczy. Zawrócił w stronę nieprzyjaciela. Nie pałał chęcią zemsty, ale kierował się chłodną kalkulacją, że maszyna, której nie zestrzeli, może następnym razem zrzucić ładunek na jego dom.

Nalot dobiegł końca jakiś czas temu i większość bombowców zdążyła już nawrócić, kierując się ku Wielkiej Brytanii. Stanowiły tylko niewielkie punkty na tle szarego nieba, ale Bruno wiedział, że z łatwością dogonią ciężkie i powolne samoloty. Znacznie niżej dostrzegł jeszcze jeden bombowiec, który ciągnął za sobą długi ogon czarnego dymu. Sierżant Steinke skierował maszynę w jego stronę. Nie zrobił tego z miłości do Rzeszy, ale dlatego że tak należało, a Bruno uważał się za przyzwoitego człowieka.

* * *

Dowódca latającej fortecy B-17, podporucznik Jack Williams, był prostym człowiekiem, co nie mogło dziwić, skoro wywodził się z farmerskiej rodziny w Kentucky, gdzie wykształcenie traktowano jako niepotrzebną fanaberię. Na filozofię rodziny Williamsów składały się codzienna ciężka praca, niedzielna msza i popołudniowe piwo. A jednak, kiedy mały Jack po raz pierwszy zobaczył z bliska samolot wojskowy, postanowił złamać rodzinną tradycję. Wbrew prośbom i groźbom rodziców zaciągnął się do armii Stanów Zjednoczonych. Pracowitość, sumiennosc i odwaga pomogły mu w szybkiej karierze.

Podporucznik Williams był przekonany, że taka służba będzie prawdziwą przygodą. Poza tym ów głęboko religijny potomek farmerskiej rodziny ufał, że dobry Bóg, w którego wierzył bezgranicznie, nie pozwoli go skrzywdzić. Dlatego pilotując boeinga B-17 o dźwięcznej nazwie „Jolly Jane”, należącego do 8. Armii Powietrznej Stanów Zjednoczonych, nie mógł zrozumieć, dlaczego spośród stu piętnastu bombowców najciężej oberwało się właśnie jemu. No, może nie licząc tych, których maszyny

już rozbiły się o ziemię. Dwieście pięćdziesiąt dział przeciwlotniczych ustawionych wokół Bremy i fabryki samolotów Focke-Wulf skutecznie przetrzebiło równe formacje amerykańskich bombowców, a kiedy obskoczyły ich niemieckie myśliwce, Williams był przekonany, że to koniec.

Złe przeczucia ogarnęły go już wtedy, gdy wokół maszyny zaczęły wybuchać pociski dział przeciwlotniczych. Okazały się słuszne, gdy po kilku minutach oberwali. Pociski przeciwlotnicze najpierw uderzyły w dziób maszyny, dewastując go doszczętnie. Williams prawie się porzygał, kiedy wyciągnięto bombardiera. Lotnik miał poparzoną eksplozją twarz, wybuch w okolicach przedniej osłony zerwał mu z głowy skalp, a prawą rękę urwał w łokciu. Młody bombardier, chłopak z Wisconsin, był ciężko ranny, ale żył. Potem wypadki potoczyły się w takim tempie, że podporucznik nie był pewien, w jakiej nastąpiły kolejności.

Zanim otworzyli luki bombowe i uwolnili się od ładunku, dostał jeden z czterech silników maszyny, który zapalił się żywym ogniem i tylko dzięki szybkiej interwencji drugiego pilota udało się go wyłączyć bez uszczerbku dla maszyny. Podczas nawrotu w stronę Wielkiej Brytanii oberwał drugi silnik i Williams poczuł, jak bombowiec zwalnia. Uszkodzoną maszynę wściekle obsiadły niemieckie myśliwce, zasypując ją gradem pocisków. To wtedy Williams pomyślał, że jedyną szansą na ratunek jest oszukanie Niemców.

Chwilę później „Jolly Jane” zaczęła pikować w stronę ziemi. Jeszcze przez chwilę pociski karabinów maszynowych dziurawiły kadłub. Fortel odniósł skutek. Niemcy, widząc bombowiec, który już w powietrzu przypominał wrak i ciągnął za sobą długi warkocz dymu, odpuścili.

Williams wyrównał lot na niedużej wysokości i oddał stery w ręce drugiego pilota. Sam udał się na tyły maszyny. Widok, który zastał, znów ścisnął mu żołądek. Całe wnętrze pokrywała krew należąca do bocznego strzelca. Pocisk wyrwał mu potężną dziurę w boku i załogant siedział teraz na śliskiej od krwi podłodze, a drugi z bocznych strzelców go opatrywał. Górna wieżyczka strzelnicza wprawdzie ocalała, ale pociski tej samej serii dosięgły również jej operatora. Strzelec był ranny w nogę, na szczęście niegroźnie.

Pilot doszedł do ogona i zamarł. Wieżyczka tylnego strzelca została odstrzelona. Kapitan maszyny nie wiedział, czy zrobiły to pociski artylerii przeciwlotniczej, czy może któryś z myśliwców tak go urządził. Przez ziejący w ogonie otwór wpadało lodowate powietrze. Ale była jeszcze gorsza wiadomość. Jack Williams wyraźnie widział przez niego sylwetkę messerschmitta, który zbliżał się z każdą sekundą.

– O kurwa... – zaklął pod nosem i puścił się biegiem do kabiny pilotów. – Chłopaki, mamy towarzystwo.

Nikt nie zareagował, wszyscy zajęci byli bowiem ratowaniem swojego lub czyjś życia. Williams wyminął strzelców, poślizgnął się na mokrej podłodze i wyrznął głową o wręgę kadłuba. Krew od razu zalała mu oczy, ale wytarł ją rękawem i chwilę później opadł na fotel.

– Jezu, wszystko w porządku? – Drugi pilot spojrzał na jego głowę z przerażeniem. Czoło dowódcy przypominało miazgę. – Co z twoją głową?

– Nic mi nie będzie – odpowiedział i syknął z bólu, gdy oderwał kawałek luźnej skóry, który przeszkadzał mu w widzeniu. – Gorzej z chłopakami z tyłu. Fosters sprzątnięty z całą wieżyczką, Cake ma urwaną rękę, a dwóch pozostałych też jest rannych.

– Ja pierdołę. Myślisz, że powinniśmy lądować?

– Nie na terytorium wroga. Jest jeszcze jedna, zła wiadomość. Mamy na ogonie messerschmitta.

Ledwie dokończył, a niemiecka maszyna zrównała się z bombowcem. Kabiny pilotów dzieliło jedynie kilka metrów. Widzieli twarz niemieckiego pilota, który najwyraźniej z ciekawością przyglądał się zmasakrowanemu samolotowi. Ku jego zaskoczeniu pilot Luftwaffe skinął i odleciał.

Boże, użycz mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić, i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego, Williams powtarzał w myślach słowa modlitwy. Jedynej, jaką w tej chwili pamiętał. Nauczył się jej od ojca, który w pewnym momencie życia został zmuszony do uczestnictwa w mityngach anonimowych alkoholików, gdzie była notorycznie odmawiana.

– Cholera, zniknął! – krzyknął drugi pilot. – Gdzie on, do cholery, jest? Pewnie zaraz zacznie do

nas pruć. Lipkovsky, możesz wziąć boczny karabin?

Boczny strzelec nie odpowiedział i raczej nie było szans, by sięgnął po broń.

– Czekaj – syknął Williams, który dopiero odzyskał głos. – Ten Niemiec jest pod nami.

Przez odstrzelony dziób widział, jak messerschmitt ustawił się z przodu, a potem zwolnił i wleciał pod bombowiec.

– Co on, kurwa, robi? – Drugi pilot wychylał się ze swojego miejsca, by upewnić się, że dowódca nie żartuje. Faktycznie, szara sylwetka myśliwca odcinała się na tle ciemnozielonych łąk, nad którymi przelatywali.

– On nam ratuje życie, Robercie.

Z niewielkiej wysokości, na której się znajdowali, wyraźnie widzieli stanowiska niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. Lufy śmiertelnych flaków⁴⁴ skierowane były prosto w niebo i gotowe, by zakończyć ich lot. A jednak nikt nie strzelał.

Kiedy dolecieli nad wybrzeże, lotnik Luftwaffe ponownie zrównał się z kabiną pilotów, zsalutował im i pomachał skrzydłami myśliwca, po czym odleciał.

Jack Williams nigdy nie dowiedział się, jak nazywał się pilot, który ocalił ich od pewnej śmierci. Dopóki trwała wojna, dowództwo zakazało załodze mówić komukolwiek o szlachetnym postępku Niemca, bojąc się, że piloci zaczną okazywać litość lotnikom Luftwaffe. Z oczywistych względów niemiecki pilot nie złożył stosownego raportu i po całym wydarzeniu nie został ślad. Gdyby nie pozostali członkowie załogi, Williams pomyślałby, że wszystko to było wytworem jego bujnej wyobraźni.

Hrabstwo Kent, Anglia, luty 1944 roku

Teodor wychylił do dna szklanekę jednej z lepszych whisky, jaką było mu dane kiedykolwiek pić. Grymas na twarzy swojego teścia, generała RAF Howarda Millwarda, uważającego to za marnotrawstwo doskonałego trunku, zupełnie zignorował. Był już lekko wstawiony i takie teatrzyki nie robiły na nim wrażenia.

– Znudziło ci się już pewnie siedzenie w domu, co? – zagaił teść, a Teodor zrozumiał, że starszy mężczyzna najwyraźniej o niczym nie wie. O jego wypadkach do kasyna, nocnych eskapadach za kanał i londyńskich kurwach. Po raz pierwszy od dawna pomyślał o swojej żonie inaczej niż jak o rozpieszczonej Angielce o ograniczonych horyzontach. Przez chwilę był jej nawet wdzięczny, że nie pisnęła słowem o tym, co działo się w ich domu. – Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Będziesz znowu latał.

– Naprawdę? – Polak ożywił się i poprawił na krześle, czując ekscytację. – Gdzie i kiedy mam zacząć? Wracam do swojego dywizjonu?

– Hola, hola. Nie tak prędko. – Millward uspokoił go gestem ręki. – To nie takie proste, aby przywrócić cię do służby po... Po tym wszystkim. Ale jakoś się udało. Wciąż potrzebujemy dobrych pilotów. Nawet tych, którym wojna nieco nadszarpnęła nerwy.

– Nic mi nie nadszarpnęła, do cholery. Ja tylko chcę latać i rąbać tych przeklętych szwabów.

– Uspokój się, synu. Przecież powiedziałem, że będziesz miał możliwość latania. Może nawet spotkasz na swojej drodze jakiegoś Niemca. Na razie będziesz latał jako *ferry pilot*⁴⁵ dla Royal Auxiliary Air Force⁴⁶.

– Co? RAuxAF? Przecież to nie jest służba frontowa, tylko jakieś pieprzone powietrzne wycieczki.

– Nie chcesz, nie bierz. – Generał wstał od stołu i wyjął ze stojącego na komodzie pudełka dwa cygara, ale Teo odmówił ruchem głowy. Nie był w nastroju na cygaro. – Zawsze możesz poszukać innego zajęcia.

– Tego nie powiedziałem.

– Przemyśl sobie sprawę na spokojnie. A zmieniając temat, jak wam się układa z Rosie?

– Nie najgorzej – skłamał gładko. W rzeczywistości kłócili się coraz częściej, co jeszcze bardziej zniechęcało go do przebywania w domu. Na szczęście ukojenie znajdowało się zaledwie kilkadziesiąt mil dalej. – Docieramy się.

– To dobrze. A kiedy będą z tego docierania wnuki? – Teść roześmiał się, wypuszczając chmurę dymu, i uniósł znacząco brwi.

Gdyby to pytanie zadała Rosie, rozpętałyby się kolejna awantura. Współżyli, gdy wracał do domu pod wpływem alkoholu i nie robiło mu różnicy, z kim sypia. Zresztą nawet wtedy gasił światło. Przesadziłby mówiąc, że była potwornie brzydka, ale w zestawieniu z Glorią, Margaret i Camillą po prostu... nieapetyczna.

Rosie nalegała na dziecko i w końcu pomyślał, że to nie jest zły pomysł. Jeśli będzie miała zajęcie, to może wreszcie da mu spokój. Przestanie wypatrywać jego powrotów, wypytywać o bzdury i ciągać do rodziców na niedzielne obiady, których szczerze nie znosił. Jeśli Anglicy byli uważani za nudnych, to jego teściowie musieli być najnudniejszymi z nich. W kółko zagadywali go o pogodę, sąsiadów i wnuki. Im także dobrze zrobiłoby powiększenie drzewa genealogicznego o nowych członków. Tyle że jak na złość Rosie nie zachodziła w ciążę.

* * *

– Pieprzone pomocnicze siły powietrzne, słyszałaś? – Teodor po raz kolejny uderzył dłonią w schowek przed fotelem pasażera. – Będę cholernym dostawcą samolotów dla prawdziwych pilotów.

Prawdziwych, rozumiesz?

– Teo, nie denerwuj się. Przecież wiesz, że do RAuxAF nie biorą byle kogo. Tato mówi, że latają tam piloci, których umiejętności nawigacyjne znacznie przewyższają te, którymi dysponują żółtodzioby z dywizjonów myśliwskich. A może to tylko chwilowe? Może niedługo wrócisz do tego swojego trzysta czternaście?

– Patrz, jak jedziesz, do diabła. – Chwycił za kierownicę i ominął wielką dziurę w jezdni. O umiejętnościach swojej żony za kółkiem nie miał najlepszego zdania, ale dziś jej powolna i nieuważna zarazem jazda wyjątkowo go irytowała.

– Gdybyś nie pił, to sam mógłbyś pojechać – odgryzła się, mając dosyć jego ciągłych uwag.

Zerkała ukradkiem na męża. Widziała, jak zaciska szczęki, jak nerwowo bębni palcami o boczek drzwi. Propozycja jej ojca ewidentnie go rozsierdziła.

– Byliśmy dobrzy, kiedy trzeba było bronić Londynu przed niemieckimi bombami, a teraz odstawiacie nas na boczny tor?

– My? O kim ty mówisz?

– Wy, Brytole. Wykorzystaliście nas, polskich lotników, do czarnej roboty, a teraz, kiedy moglibyśmy z waszymi żołnierzami zacząć odbijać Europę z rąk szkopów, odprawiacie nas z kwitkiem.

– Teo, a co ja mam do tego? W domu nikt cię nie odstawia na boczny tor – powiedziała zalotnie, ale zignorował jej awanse.

Resztę drogi przebyli w milczeniu i trwali tak aż do wieczora. Nawet dwie butelki zimnego piwa nie poprawiły Teodorowi humoru. Wszystko szło nie tak. Nie mógł walczyć z Niemcami, jego pomysł na powrót do służby przez łóżko córki generała RAF też okazał się nietrafiony, a w dodatku czuł się coraz bardziej samotny. Bruno zginął gdzieś na wschodzie, rodzice być może nie przeżyli w obozie pracy przymusowej, a listy od wuja Konrada dawno przestały przychodzić. Teo przypuszczał, że jemu też stało się coś złego. W tym gnieździe szerszeni nie było jednego bezpiecznego miejsca. Przez cholernego Hitlera i jego chorą ideologię stracił całą rodzinę i nie miał zamiaru odpuszczać szwabom, choćby miał przepłacić to życiem.

– Przyjdiesz do łóżka?

– Po co? – spytał, nie odrywając wzroku od książki. Zagłębił się w lekturze dzieła jednego z angielskich komediopisarzy, ale i to nie pomagało w polepszeniu nastroju.

– Moglibyśmy, no wiesz. No chyba, że nie możesz...

– Nie dacie mi spokoju, co? Jesteście tacy nudni i monotematyczni. – Zerwał się z kanapy i niedbale rzucił książkę. – A może ty nie możesz mieć dzieci, cholerna jałówko? Co wtedy zrobisz?

Rosie poczerwieniała i zacisnęła pięści. Stali naprzeciwko siebie, mierząc się spojrzeniami. W jej oczach dostrzegł coś, czego do tej pory tam nie było – zuchwałość, choć równie dobrze mógł ją pomylić z desperacją.

– Skąd wiesz, że ty nie jesteś bezpłodny? Pomyślałeś o tym? Może twoje jaja nie produkują nasienia, tylko nienawiść do Niemców, co?

Wymierzył Rosie siarczysty policzek, aż sam się przeląkł, że tak silny. Ściągnął z wieszaka kurtkę i zabrał kluczyk od samochodu.

– Wychodzę. I nie wiem, kiedy wrócę.

– Tak, jedź do tych swoich londyńskich dziwek! – krzyknęła za nim wściekła. – Możesz w ogóle nie wracać, ty bezużyteczny polski chamie!

* * *

Służba jako *ferry pilot* okazała się zaskakująco wymagająca. O ile pilotowanie myśliwców Hurricane czy Spitfire nie stanowiło dla Teodora większego wyzwania, o tyle siadanie za sterami maszyn, z którymi nie zetknął się do tej pory, powodowało pewne komplikacje. Aby latać bezpiecznie, musiał dokładnie znać możliwości i charakterystykę różnych typów samolotów.

Niemal całe tygodnie spędzał w drodze, powietrznej lub – wracając po kolejny samolot – kolejowej, co nie przeszkadzało mu zbytnio. Pomyślał, że odpoczynek od Rosie i jej upierdliwych rodziców może wszystkim wyjść na dobre.

– Szykuje się coś dużego – powiedział drugi pilot, Amerykanin z Georgii. Teodor leciał z nim już któryś raz i coraz bardziej lubił gadatliwego jankesa. Sierżant Kozłowski miał polskie korzenie, ale w języku swoich przodków znał tylko kilka podstawowych słów. Tym razem musiał mówić głośno, bo nawet słuchawki nie tłumili ryku potężnych silników bombowca.

– Co masz na myśli?

– To zależy, gdzie ucho przyłożysz. Jedni mówią, że latem uderzymy na Niemcy, inni, że tylko na Francję. Jedno jest pewne: będziemy po drugiej stronie kanału, jeszcze zanim przestanie padać ten cholerny deszcz.

– Ale on tu pada prawie cały rok. – Teo roześmiał się i podał sierżantowi piersiówkę, lecz ten odmówił. – Cały pieprzony rok.

– Wiesz, co mam na myśli. Wszystkich żołnierzy szkoli się na potęgę, niektórych pilotów także do obsługi wielkich szybowców. Podobno mają służyć do desantu z powietrza.

– To dlatego każą nam przerzucać tyle tego złomu?

– Będzie jeszcze więcej. Wiem, bo mam szwagra w sztabie. – Kozłowski posłał mu szelmowski uśmiech. – Wprawdzie jest tylko łącznościowcem, ale swoje wie. Podobno całe dowództwo sra po gaciach, żeby utrzymać tajność operacji i zamydląć szwabom oczy.

– Przecież takiej operacji nie da się utrzymać w tajemnicy.

– Też tak sędzę. Ale w sztabie siedzą mądrzejsi od nas i dlatego to oni są od myślenia, a my od sadzania tych gratów w taką paskudną pogodę.

Od kanału wiał silny wiatr, skorygowali więc kurs i posadzili maszynę tak delikatnie, jak tylko się dało, co przy tej pogodzie i tak równało się solidnemu przyziemieniu. Odstawili samolot na wskazane przez obsługę naziemną miejsce i opuścili go po drabince.

– Idziesz do kasyna? Moglibyśmy wypić kolejkę z kolegami po skrzydle.

– Dzięki, ale padam z nóg. – Teodor wyciągnął rękę na pożegnanie, a jankes uściśnął ją mocno.

– Zaszycę się w hotelu z jakąś książką.

Wiedział, że „książka” czeka już w jego łóżku. Nosiła intrygujący tytuł: Rita.

* * *

Lato 1944 roku przyniosło Teodorowi więcej goryczy, niż miał w sobie tonik, który zwykł dolewać do ginu w upalne dni. Ostatnio proporcje zostały znacznie zachwiane na korzyść tego drugiego.

– Zejdz mi z oczu. – Spojrzał na żonę i machnął dłonią jak na natrętą muchę. Nie ruszyła się. Przez ostatni rok całkiem dobrze nauczyła się żyć z mężczyzną owładniętym alkoholizmem i chorym z nienawiści. – Won, słyszysz?

Pokręciła głową i ze współczuciem spojrzała na męża. Choć jego rany były niewidoczne, bez wątpienia był jedną z ofiar tej wojny. Mogła odejść w każdej chwili. W przenośni i dosłownie. Nawet piechotą doszłaby w kilka godzin do domu rodziców, gdzie czekał na nią jej pokój, opiekuńcza matka i ojciec, który własnoręcznie rozprawiłby się z Teodorem. Nie chciała jednak tego robić, wiedziała bowiem, że gdzieś głęboko w polskim lotniku kryje się dobro. Ostatnio widywała je co prawda rzadko, ale wierzyła, że będzie w stanie mu pomóc.

– Powiesz mi, co się stało?

Westchnął ciężko i rozparł się w fotelu ze szklanką ginu. Gdy Rosie usiadła naprzeciwko, spojrzał na nią swoimi przekrwionymi oczami, jakby pierwszy raz ją widział.

– Pominęli mnie, rozumiesz? Dziś rano ruszyła ofensywa w Normandii i wojska alianckie uderzyły na Francję. Wiesz, co mi w tym czasie kazali robić? Wiesz, kurwa?

– Nie mam pojęcia. Ostatnio prawie w ogóle nie widuję się z ojcem, bo cały czas jest w sztabie. A ty ze mną nie rozmawiasz.

– Latać cholernymi transportowcami z zaopatrzeniem. Wożę im jedzenie i papier do podcierania tyłka.

– Teo, nie znam się na wojnie tak dobrze, ale ona chyba działa jak wszystko inne, prawda?

– Co to znaczy? – Wychylił gin i odstawił szklankę na stolik.

– Tyle że małe tryby poruszają wielkie. Każdy jest ważny. Co zrobią żołnierze bez zaopatrzenia?

Czy ofensywa ruszy dalej?

Ziewnął, zmęczony tą rozmową, i przetaił twarz spoconą od panującej w pomieszczeniu temperatury. Z niechęcią przyznał, że miała rację. Może nie była taka głupia, jak zwykł o niej myśleć, co nie zmieniało faktu, że wciąż był wściekły na jej ojca, bo rozkazy musiały pochodzić od niego.

Znalazł się w matni, z której nie potrafił wyjść. Polscy lotnicy mu nie ufali, zresztą od kiedy Niemcy nie stanowili bezpośredniego zagrożenia dla wyspy, Polacy przestali być niezbędni i nie mieli już nic do gadania. Wprawdzie wciąż wykonywali ciężkie i niebezpieczne zadania, ale z dnia na dzień tracili swoją pozycję. Bohaterowie nieba przestali być noszeni na rękach i zapraszani na obiady do Brytyjczyków, a oczy angielskich pańienek zwróciły się ku Amerykanom. Przez kilka głupich incydentów jego szanse na powrót do czynnej służby w charakterze pilota myśliwskiego zmalały niemal do zera. RAF chętnie przyjął nie tylko amerykańskie samoloty, ale także oddał pole jankeskim lotnikom. Wesołym, zawsze zadowolonym chłoptasiom, z przyklejonymi do gęb nienagannymi uśmiechami. I co najważniejsze, skorym do umierania za Brytyjczyków.

Piloci spod znaku biało-czerwonej szachownicy, choć od początku wojny nadstawiali karku na równi z Brytyjczykami, a może nawet bardziej niż oni, zostali zepchnięci z piedestału. Kiedy tylko powiał wiatr zwycięstwa, pojawiły się narzekania, jak wiele kosztuje aliantów utrzymanie polskich żołnierzy, i nie umilkły jeszcze działa i silniki, a już chciano odsyłać ich do domu.

Myśl o tym, że został wykorzystany, jak wielu innych polskich żołnierzy, tylko potęgowała w Teodorze uczucie gorczy, którą napełniła go wojna.

Powoli docierało do niego, że na brytyjskiej ziemi został sam. W głowie kielkowała mu jeszcze jedna myśl. Próbował z nią walczyć, ale z dnia na dzień głębiej zapuszczała korzenie i rozrastała się. Jeszcze kilka lat temu byłaby absurdalna i zepchnąłby ją na samo dno swoich rozterek.

Teodor tęsknił za Brunonem.

Choć byli tak różni, to teraz brakowało mu brata bliźniaka. Tęsknił za jego flegmatycznymi, ale precyzyjnymi ruchami. Za lekko utykającym krokiem. Za oszczędnymi wypowiedziami, które Bruno zawsze poprzedzał długim rozmyśleniem.

Nie zawsze się kłócili, choć kiedy dochodziło do starcia, w ruch szły zęby i pazury. Potrafili się pobić o byle drobiazg, ale im byli starsi, tym więz między nimi była silniejsza. Być może jeszcze kilka lat i doszliby do jako takiego porozumienia.

Już prawie zapomniał, o co najczęściej się sprzeczali. Nawet kiedy próbował sięgnąć pamięcią do tych wydarzeń, na powierzchnię wydostawały się inne. To, jak robili łódki z kory drzew, by puszczać je na stawie. Co prawda Bruno zrobił znacznie lepszą, bardziej stabilną i solidną łódkę, ale za to Teo doskonale rzucał kamieniami i posłał ją na dno, zanim zdążyła dobić do brzegu. Albo kiedy ścigali się na rowerach. Bruno prawie za każdym razem dawał się nabrać na tę samą sztuczkę – Teodor zostawał z tyłu i kiedy wydawało się, że przegra wyścig, skręcał w jedną ze swoich tajnych ścieżek, która była skrótem. Dzięki temu wpadał na metę pierwszy.

– Tak się nie godzi – mówił Bruno swoim spokojnym głosem. Nawet to nie było go w stanie wyprowadzić z równowagi. – Takie łamanie zasad wyścigu jest niehonorowe.

Teodor prychał wtedy jak kot i to on złościł się na brata za jego spokój i opanowanie. Po prawdzie to zawsze mu tego zazdrościł.

Ostatnie wspomnienie było gorzkie, ale musiało minąć tyle czasu, by Teo je zrozumiał. Wrócił myślami do dnia swoich osiemnastych urodzin. Wprawdzie od małego bili się często, ale tym razem Bruno solidnie przefasonował mu facjatę.

– On mnie nie próbował ukarać, tylko zatrzymać – powiedział do siebie Teo i zwrócił zapijaczone oczy na żonę. Był pewien, że gdyby jego brat widział, jak ją traktuje, znów doszłoby do rękoczynów. – Zatrzymać, rozumiesz?

Najbardziej bolesna była świadomość, że Bruno nie może tego zrobić. Zaginął gdzieś na froncie wschodnim, a stamtąd niewiele wracało. Musiałby się wydarzyć jakiś cud, aby przeżył sowieckie piekło. Coś jednak podpowiadało Teodorowi, że jego brat żyje. Bliźnięta wiedziały takie rzeczy.

– Tak, kochanie. Chodź, zdrzemniesz się na ganku. – Rosie ujęła go pod ramię i odprowadziła na werandę, gdzie znajdował się wygodny, bujany fotel. Nie stawiał się, tylko potulnie dał odprowadzić na

miejsce. Na zewnątrz było przyjemnie i chłodno, a od morza wiał lekki wiatr, niosąc jego zapach. – Jutro będzie lepszy dzień.

Rzeczywiście, był lepszy. Rano świeżo ogolony i pachnący dobrą wodą toaletową Teodor wyszedł z domu, a kiedy do niego wrócił, miał w rękach wielki bukiet czerwonych róż. Rosie przyjęła je i odetchnęła z ulgą, wiedziała bowiem, że następny miesiąc będzie – jak lubiła to nazywać w myślach – miodowy.

– Jak to aresztowana?! – Magda krzyknęła do słuchawki tak, że telefon niemal wypadł jej z dłoni.
– Powiedz mi, proszę, wszystko od początku, bo zwariuję.

– Zgarnęli ją na lotnisku podczas kontroli. Przyszli strażnicy z psami i te od razu skoczyły do jej bagażu.

– Przecież ona nie jest przestępcą. Nie wierzę, żeby zajmowała się przemytem narkotyków.

Rozmówczyni po drugiej stronie globu westchnęła. Kamila była jedną z trzech kobiet uczestniczących w wyprawie. Magda zdążyła już ją sprawdzić w internecie. Opalona i ładnie umięśniona instruktorka skoków ze spadochronem. Uśmiechała się na każdym zdjęciu i budziła sympatię od pierwszego spojrzenia.

– Obie to wiemy. Zdążyłam poznać Wiki przez te kilka tygodni wyprawy. Jest szalona, ale nie naiwna. Na pewno nie dałaby się wpuścić w takie gówno.

– Przyleciałaś już do Polski?

– Nie, uciekłam z lotniska, jak zobaczyłam, co się dzieje. Mieliśmy jeszcze chwilę do odprawy i poszłam poszukać pamiątek. Jak wróciłam, to właśnie zwiłali Wiktorię. Wystraszyłam się, że mi także podrzucili coś do bagażu.

– Dlaczego jej nie pomogłaś?

– Nie pomogłam? – W głosie instruktorki zabrzmiała nuta irytacji. – Wiesz, jak skorumpowana i skora do przemocy jest tutaj policja? Jak już zrozumiałam, co widzę, byłam przerażona. Moja pierwsza myśl była taka, że zwiną całą naszą ekipę. Zresztą chyba tak się stało, ale resztę wypuścili, bo byli czysti.

– Kiedy wracasz?

– Mam lot jutro wieczorem, więc w Polsce będę we wtorek.

– Możemy się spotkać? Musisz mi wszystko opowiedzieć i zorganizujemy pomoc dla Wiktorii.

– Pewnie, dam znać, jak wyląduję w Warszawie.

Magda rozłączyła się i zadzwoniła do rodziców. Byli z dziadkiem w domu w Oliwie, więc poprosiła Jakuba, by ją tam odwiózł. W samochodzie panowała niezręczna cisza, a każde z nich na swój sposób przeżywało wydarzenia poprzedniej nocy. Choć wiadomość o Wiktorii wstrząsnęła Jakubem tak samo, jak Magdą, to większy ciężar odczuwał, patrząc na zasępienie oblicze swojej towarzyszki. Wszystko poszło zupełnie nie tak i znów schrzanił coś w relacji z kobietą.

– Co z nią? – Barbara Wolska dopadła do córki niczym sęp, jeszcze zanim ta zdążyła ściągnąć w korytarzu kurtkę. – Co to za afera, w którą ta dziewczucha znowu się wplątała? Gdzie ona jest? W areszcie, w więzieniu?

– Mamo, dasz mi się rozebrać? – fuknęła Magda i zrobiła miejsce, by Jakub mógł wejść. Wciąż była na niego wściekła i rozżalona, ale nie miała teraz w sobie dość siły, by go odesłać do domu. – Opowiem ci wszystko, jak tylko dasz mi dojść do słowa.

– Zwariuję przez tę dziewczuchę. – Matka Magdy wzniosła oczy do nieba. Z jej twarzy można było bezbłędnie wyczytać, co w tej chwili myśli o Wiktorii.

Weszli do salonu, w którym było przyjemnie ciepło. Zarówno Magda, jak i Jakub przemarli podczas nieudanego biwaku, chętnie więc usiedli na fotelach bliżej kominka. Ojciec właśnie dołożył do ognia kilka polan, które zaczęły natychmiast lizać języki ognia.

– Magda, powiedz nam wreszcie, o co chodzi z tym przemytem – poprosił ojciec, który chadzał po salonie w tę i w tę. Zwykle był oazą spokoju, ale tym razem nie krył zdenerwowania.

Zacząła w zwięzłych słowach relacjonować, czego się dowiedziała. W połowie opowieści dziadek chrząknął znacząco i niespodziewanie włączył się do rozmowy:

– Głupia baba, że tak dała się złapać. Przemycać to trzeba umieć. Znasz ją w ogóle?

– Dziadku, to chodzi o Wiktorię.

– To nie na moje nerwy – powiedziała Barbara Wolska. – Idę zaparzyć dzbanek melisy. Nie rozmawiajcie o tym beze mnie.

Poszła do kuchni, skąd oprócz dźwięku gotującej się wody słychać było jej ciężkie westchnięcia.

Wszyscy wymienili się znaczącymi spojrzeniami, ale nikt nie powiedział ani słowa. Kiedy na stole pojawiły się gorąca herbata i napar z melisy, Magda dokończyła to, co usłyszała od Kamili. Wolscy poznali więc znacznie więcej szczegółów, niż podawały serwisy informacyjne. Niestety nie było w nich nic, co mogłoby ich uspokoić.

– Musimy coś zrobić, i to natychmiast. – Barbara Wolska nie mogła usiedzieć na miejscu. Magda widziała, ile kosztowała ją ta sytuacja. Pojawił się w niej nawet cień współczucia. – Trzeba zadzwonić do kogoś, nie wiem, do ambasadora albo rzecznika praw obywatelskich, jak nie, to do samego prezydenta.

– Basiu, uspokój się. Emocje tylko pogorszą sprawę. – Ojciec Magdy na szczęście odnalazł zdrowy rozsądek i chłodną głowę. Wiktor Wolski był uosobieniem spokoju, co czasem Magdę irytowało, a czasem zwyczajnie mu zazdrościła. – Myślę, że sprawę trzeba poprowadzić dwutorowo. Tu, w Polsce, zrobić, co można, by zmobilizować służby dyplomatyczne. Mam kolegę, którego żona kiedyś pracowała w konsulacie. Może coś podpowie.

– A dlaczego ty jeszcze do niego nie dzwoniłeś? Bierz telefon i...

– Nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana. Muszę się zastanowić, o co ja w ogóle chcę ich zapytać. Nawet nie wiem, czy Mirek jeszcze żyje, a co dopiero jego żona.

– Nie wytrzymam twojego guzdrania się, Wiktor.

Wolski poprawił okulary na nosie, napił się herbaty i zignorował uwagę żony. Przez czterdzieści lat małżeństwa nauczył się, kiedy trzeba ją wygaszać. Ostatnią rzeczą, której potrzebowali, było emocjonalne i chaotyczne działanie.

– Równolegle należy zadziałać na miejscu, czyli w Ekwadorze. Poczekamy na tę dziewczynę, Kamilę, a ona wszystko nam opowie od początku do końca, poda jakieś namiary i wszystkie informacje, które mogą być użyteczne.

– To brzmi rozsądnie – powiedział dotychczas milczący Jakub.

– Tak, musimy wziąć gotówkę i pojechać do Quito, żeby pilotować sprawę na miejscu. Przypuszczam, że dolary mogą tam zdziałać więcej niż ambasador. Czeka nas wycieczka do Ekwadoru, kochanie.

Magda zakrztusiła się herbatą, słysząc te słowa. Przez chwilę Jakub opukiwał ją po plecach, zanim doszła do siebie.

– Suchoty. Ma suchoty jak nic – zawyrokował dziadek. – Dobrze, że doktor Kawka jest z nami.

– Jak to pojechać do Ekwadoru, tato?! Kto?! Wy?! – wykrzyknęła, gdy już odzyskała głos. – Przepraszam za to stwierdzenie, ale ty chyba zwariowałaś?

– Tak, my. Co w tym złego?

– To, że nie nadajecie się na wojaże po Ameryce Południowej, tylko na turnus w Ciechocinku. Choćby ze względu na wasz wiek i stan zdrowia. Cukrzyca i nadciśnienie mamy są wręcz legendarne, a tobie nie będę wypominała wszystkiego, co mówisz o swoim reumatyzmie i astmie. W dodatku nie znacie ani słowa po hiszpańsku czy choćby po angielsku. Nie ma mowy, nigdzie nie pojedziecie.

– Hola, hola. Trochę się zagalopowałaś, młoda damo. – Barbara Wolska nerwowo postukiwała palcami w stół, co nie sprzyjało uspokojeniu atmosfery. – Nie rób z nas takich wraków i nie zamykaj jeszcze wieka trumny. Mamy tu lekarza, spytajmy go o zdanie. No, panie Jakubie, co pan myśli?

– W zasadzie to Magda ma rację. Z tyloma chorobami przewlekłymi powinno się unikać tak forsownych podróży, szczególnie że ta jest związana z wieloma zmianami: klimatu, żywienia i tak dalej.

– To ja już nie wiem... Kto ma pojechać w takim razie?

– No jak to kto? Ja pojedę. Myślałam, że to oczywiste.

Wiktor Wolski westchnął ciężko. Choć nauczył się „instrukcji obsługi” wszystkich kobiet w swojej rodzinie, to nie lubił takich rozmów. Wolskie były nieco bardziej... temperamentne niż on. Najspokojniejsza z nich była Magda, choć kiedy już nabrała rozpędu, trudno było ją zatrzymać. Była też najbardziej przewidywalna, podczas gdy pozostałe dwie szybko wybuchały i równie szybko się wypalały w swoich pomysłach i zapędach.

– Madziu, nie obraż się, ale ostatnio miałaś trudny czas i nie mam pewności, czy jesteś gotowa, by unieść taką odpowiedzialność. Będzie trzeba zabrać dużo gotówki, a ty, no... sama wiesz.

– Boicie się, że ją przepiję, tak? – Magda roześmiała się szyderczo, ale było jej przykro, że to właśnie od ojca usłyszała taką uwagę. – Wiki siedzi w jakimś paskudnym pierdłu na drugim końcu świata, a wy się boicie, że przeleję przez gardło całą kasę. No, pięknie. Dziękuję za zaufanie.

Wolski nakrył jej dłoń swoją. Różnica w jego postawie była teraz przytłaczająca. Zawsze była zaskoczona, że mężczyzna o takich gabarytach może być tak spokojny i delikatny. Jako oficer marynarki handlowej był wymagający dla podwładnych, ale kiedy trzeba było ich bronić, robił to bez wahania.

– To nie tak, córuś. Boimy się o twoje bezpieczeństwo. Na samotnie podróżującą młodą dziewczynę czeka dużo niebezpieczeństw. Wiki od zawsze była stworzona do podróży i świetnie sobie radziła, ale miała też kilka niebezpiecznych przygód. Pamiętasz?

– Jakoś zawsze opowiadała je z wypiekami na twarzy jako najciekawszy element swoich wypraw.

– Niech jedzie. – Dziadek odwrócił się do nich. Tym razem wzrok miał przytomny i najwyraźniej wrócił do rzeczywistości. – Jedź, dziewucho. I pokaż wszystkim, że dasz radę. To twoja siostra, a o rodzinę trzeba walczyć.

– Dziadek ma rację. – Uśmiechnęła się triumfalnie. Kamiński rzadko stawał po czyjejś stronie. Zwykle był przeciwko całemu światu. – Muszę powalczyć o swoją siostrę.

Edward Kamiński zacisnął kościste palce na poręczy fotela, a przez jego twarz przebiegł grymas. Blizna na policzku zafalowała, a w oku zakreśliła mu się łza, którą wytarł wierzchem dłoni. Wszyscy wyczuli, że mierzy się z jakimiś wyjątkowo trudnymi wspomnieniami, ale nikt nie miał odwagi zapytać.

– Ja o swoją rodzinę walczyłem za słabo. Gdybym tylko miał drugą szansę...

Na długą chwilę w salonie zaległa cisza, przerywana jedynie trzaskaniem drewna w kominku. Czekali, czy senior powie coś jeszcze, ale milczał i wpatrywał się w nich. Po trzęsącej się brodzie można było poznać, że wewnątrz toczy walkę z emocjami.

– Ja pojadę z Magdą – odezwał się nagle Jakub, obracając telefon w palcach. – To znaczy jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu.

Po raz pierwszy tego dnia oblicze Barbary Wolskiej rozpromieniło się.

– Mógłby pan? Naprawdę?

– Naprawdę. I tak mam dużo zaległego urlopu, więc mogę z niego skorzystać. Tym bardziej że sprawa jest wyjątkowej wagi. I mówię trochę po hiszpańsku.

– Oczywiście pokryjemy wszystkie koszty.

– Proszę się tym nie kłopotać. Martwi mnie tylko jedna rzecz – paszport. Nie mam ważnego paszportu.

– Ja też nie. – Magda wstała od stołu i zaczęła chodzić po salonie, układając w głowie plan. – Ile się teraz czeka na paszport?

Wolski spojrział na córkę. Był głęboko zamyślony i chwilę trwało, zanim przetworzył pytanie.

– Chyba około miesiąca, ale może da radę jakoś to przyspieszyć w wyjątkowych przypadkach.

– Znam kogoś, kto być może będzie w stanie nam pomóc. – Jakub odblokował telefon i otworzył książkę numerów.

Po chwili wahania zrobił coś, co do tej pory traktował jako ostateczność. Zadzwoił do swojego ojca.

* * *

Plan był prosty, a Bóg tylko śmiał się głośno. Magda miała wrażenie, że wszędzie tam, gdzie mogą napotkać kłopoty, te pojawiały się w podwójnej ilości. Umocowanie ojca Jakuba okazało się nieaktualne, a większość dawnych wpływowych znajomych odwróciła się od niego po aferze z pieniędzmi wyprowadzonymi z NFZ. Wprawdzie doktor Iwański opuścił zakład karny już kilka lat temu i założył firmę farmaceutyczną, jednak w sferze polityki wciąż był *persona non grata*.

Złożyli wnioski paszportowe tak szybko, jak się dało, ale dokumenty były gotowe dopiero po trzech tygodniach, co Magdzie wydawało się wiecznością. Spędziła je na przygotowaniach do wyjazdu, intensywnym kursie języka hiszpańskiego i zagłębianiu się w artykuły o przemytnikach narkotyków w Ameryce Południowej. Nie były to budujące historie. Skorumpowane rządy i policja na usługach

gangów nie były skore do współpracy z przedstawicielami innych państw, a próby przemytu narkotyków karano tam z wyjątkową surowością. W końcu nie można było pozwolić, by „bogactwo naturalne” wypływało z kraju bez ich kontroli. Opowieści o rzeczywistości południowoamerykańskich więzień odpuściła szybko. Były tak przerażające, że na samą myśl o tym, co może przeżywać w tej chwili Wiktoria, Magda dostawała gęziej skórki.

Najbardziej irytowała ją bezsilność. Nie mogła nawet poskarżyć się ambasadzie w Ekwadorze, bo Rzeczpospolita nie miała tam placówki dyplomatycznej. Ekwador podlegał kompetencji terytorialnej Ambasady RP w Peru. Rozmowa z jej pracownikiem rozmontowała ją jeszcze bardziej, choć musiała uczciwie przyznać, że zastępca pani ambasador robił, co mógł, by uniknąć panicznego tonu.

Najbardziej pomocny okazał się Dariusz Hinz – konsul honorowy w Ekwadorze. Miał ciepły, uspokajający głos i był na miejscu, co miało niebagatelne znaczenie.

– Widziałem się z pani siostrą, pani Magdaleno.

– O matko, naprawdę? Jak ona się czuje? Kiedy będzie mogła rozmawiać przez telefon? Kiedy będzie coś wiadomo o jej sprawie?

– Spokojnie, pani Magdo. Nie chcę pani oszukiwać. Wiktoria Wolska, cóż... żyje i to jest najważniejsze. Jej stan zdrowia nie jest jednak najlepszy.

– Co się dzieje? Proszę mi powiedzieć prawdę. Jestem... byłam pielęgniarką i wiem, że nawet najgorsza prawda, no, wie pan.

– Rozumiem. Pani siostra zdążyła sporo przejść przez ten miesiąc. Na początku sprawdzono ją dokładnie pod kątem przemytu narkotyków w organizmie. Oczywiście zrobiono to z pogwałceniem wszystkich możliwych praw człowieka, ale tam nikt się tym nie przejmuje.

– A państwo nie możecie temu zapobiec? Jest tam jakiś rzecznik praw obywatelskich czy coś?

Słyszała, jak mężczyzna wciągnął powietrze. Pewnie gdyby był mniej uprzejmy, roześmiałby się do słuchawki. Magda wiedziała, jak absurdalnie brzmią jej pytania. Mimo wszystko musiała spróbować.

– W porozumieniu z Ambasadą RP w Peru wysłaliśmy już do władz więzienia i rządu ekwadorskiego pisma z naszym stanowiskiem, ale wie pani, to nie jest Europa. Miną kolejne tygodnie, zanim ktoś z administracji w ogóle spojrzy na nasze pismo. I zapewne kolejne, nim ktoś odpowie. O ile w ogóle to zrobi.

– Kiedy Wiki będzie mogła zadzwonić? Chyba przysługuje jej prawo do kontaktu z rodziną albo adwokatem? Ten słynny jeden telefon.

– Za dużo naoglądała się pani filmów o USA, pani Magdo. Musi pani zrozumieć, że więzienie w Ekwadorze to jakby państwo w państwie. Tam, gdzie zaczyna się jego teren, kończy się prawo. Wpływ administracji państwowej na zakłady karne jest bardzo ograniczony, a co dopiero administracji obcego państwa.

Magda niemal słyszała, jak urzędnik bezradnie rozkłada ręce. Ostatni tydzień przed wyjazdem siedziała jak na szpilkach, czując, że każda minuta ciągnie się w nieskończoność.

Z Jakubem widywali się w tym czasie rzadko. Ze względu na jego napięty grafik kilka razy zajęła się Kaszlem, a jedyną okazją, aby chwilę porozmawiać, była jego wizyta u dziadka. Edward Kamiński miał się dobrze i Kuba nie musiał już tak często do niego zaglądać. Wściekłość Magdy za nieudany biwak stygła z każdym dniem i powoli zmieniała się w dobrze znane uczucie zawodu. Nie miała zamiaru gniewać się na niego wiecznie, w końcu mieli niedługo wyjechać na drugi koniec świata i być zdani wyłącznie na siebie. Wypadało mieć przynajmniej poprawne relacje.

– Jesteś gotowa, masz wszystko? – Matka Magdy po raz setny okrążyła ustawione w korytarzu bagaże i spojrzała na córkę z niepokojem.

– Tak, mam. Pakuję się od tygodnia i wolę już nie myśleć, czego mogłam zapomnieć. Niech już ten czas leci szybciej, bo zwariuję.

– Kuba jutro po ciebie przyjedzie, tak?

– Tak, ma być o piątej. Weźmiemy bagaże i pojedziemy na dworzec w Oliwie. Za kwadrans szósta mamy pociąg do Warszawy.

– Przygotuj sobie ubrania, żebyś nie trzaskała szufladami w środku nocy. Tata obudzi cię rano.

– Mam, mam budzik w telefonie.

– To tylko urządzenie. One czasami zawodzą, a tata nigdy.

Zjedli razem kolację, którą Magda nazwała w myślach „ostatnią wieczerzą”. Atmosfera była nieciekawa, a w powietrzu wyczuwało się napięcie i niepewność, co przyniesie przyszłość. Kwadrans przed dwudziestą rodzice pożegnali się i poszli na górę do sypialni. Magda czuła, że nie będzie mogła zasnąć. Usiadła w salonie i przez chwilę wpatrywała się w wypalający żar. W końcu włączyła telewizję, ale nie mogła się skupić na jej oglądaniu. Skakała po kanałach, a jej myśli co chwilę odpływały w stronę zbliżającej się podróży. Przed północą zgłodniała i zaczęła przeszukiwać kuchnię w nadziei na znalezienie czegoś do przegryzienia. Problem w tym, że jak to zwykle bywa, nie wiedziała, co to może być.

Rodzice mieli zostać z dziadkiem na czas jej nieobecności, więc ojciec zrobił już zapasy, jakby miało to trwać wieki. W szafkach ciasno upchane stały produkty spożywcze. Przewróciła oczami, nazywając ojca w duchu „preppersem”. Gdyby nadeszła apokalipsa, byłby najlepiej przygotowanym człowiekiem na świecie. Za makaronami i ryżem trafiła na niespodziewane znalezisko: pudełko czekoladek i butelkę wina. Była zbyt pochłonięta wyjazdem, by skojarzyć, że rodzice mają świętować trzydziestą piątą rocznicę ślubu, a ojciec zaplanował romantyczny wieczór przy kominku.

Wina nie wolno jej było tknąć, więc odsunęła butelkę na bok i sięgnęła po czekoladki. Zaparzyła kubek melisy i wróciła do salonu pod ciepły koc. Denerwowała się wyjazdem tak bardzo, że pomimo skakania po kanałach nie mogła skupić na niczym uwagi. Trochę bezwiednie rozpakowała czekoladki, starając się nie szeleścić za bardzo. Wsunęła jedną do ust i rozgryzła. Gdy ze środka wylał się rum, poczuła niepokój, ale ciepło, które nadzienie ze sobą niosło, było tak rozkoszne, że sięgnęła po kolejną czekoladkę. Tego było jej potrzeba. Po szóstej poczuła, że ma dosyć słodczy, ale alkohol nie tylko przyjemnie rozgrzewał, lecz także wyraźnie rozluźniał spięte mięśnie.

– Magda, wstawaj. – Ojciec potrząsnął ją delikatnie za ramię. Odwróciła się i wymruczała coś bez sensu. Widocznie zaniepokoił się, bo tym razem ruch był bardziej zdecydowany. – Madzia, źle się czujesz?

Otworzyła oczy, a świat zawirował. Wiedziała, że zawałiła. Wstając z łóżka, potrafiła pustą butelkę po winie.

Kieleccyzna, 1942/1943 rok

Pamiętała ciężkie wojskowe buty, które widziała z bardzo bliska, kiedy została otoczona przez żołnierzy. Leżała, przyciskając policzek do mokrego mchu, i czuła wszechogarniające zmęczenie. Jakby mało przeszła w ciągu ostatnich dni, ci okrutni ludzie dźwignęli ją i ciągnęli za sobą przez wiele kilometrów. A może niesli? Nie pamiętała, wspomnienia, głosy i obrazy zlały się bowiem w jedną szarą plamę.

Sara Rozenberg ocknęła się w niedużej izbie i pierwsze, co zapamiętała, to grube belki stropowe i zapach – tak, zapach! (czuła go bardzo wyraźnie) – pościeli. Gruba pierzyna przyjemnie grzała całe ciało, a głowa głęboko zapadała się w miękkiej poduszce.

– Jadzia! – krzyknął ktoś zza wezgłowia łóżka, a Sara aż podskoczyła. – Obudziła się! Chodź no tu.

Obróciła głowę i zobaczyła siedzącą na drewnianym zydelku staruszkę w szarej spódnicy, takiej samej bluzce i bajecznie kolorowej chuście. Soczysta czerwień przeplatała się z niebieskimi i zielonymi wzorami. Starowinka uśmiechnęła się, odsłaniając bezzębne dziąsła, i wróciła do robienia na drutach, z których zwisała okazałych rozmiarów skarpeta.

Do pomieszczenia weszła korpulentna kobieta o zażywnych i pewnych ruchach. Nie ulegało wątpliwości, że jest gospodynią tego domu.

– Dzień dobry. Obudziłaś się – powiedziała i otworzyła okno, wpuszczając rześkie powietrze. – Rozumiesz po polsku?

Sara skinęła głową.

– Jak się nazywasz, dziecko?

– Gdzie ja jestem?

– We wsi Górka.

– Nic mi to nie mówi.

– Nie dziwię się. Nic tu nie ma i pewnie dlatego Niemcy rzadko do nas zagląдают. Zrabowali, co mogli, ale przynajmniej nikogo nie zabili. Według szkopów to Generalne Gubernatorstwo, ale dla nas zawsze to była i będzie Kieleccyzna. To co, powiesz mi, jak się nazywasz?

– Helena. Helena Reszkowska – wymyśliła naprędce. Nawet ładnie brzmiało.

– Posłuchaj. – Gospodyni przysunęła krzesło do łóżka, usiadła i nachyliła się w stronę Sary. – Udzieliliśmy ci schronienia, więc liczę na to, że nie będziesz nas okłamywała. Nie musisz się bać. To porządny polski dom. Ja nazywam się Jadwiga Zielińska.

– Sara Rozenberg – powiedziała i odwróciła wzrok. Było jej wstyd, że znajomość z gospodynią zaczęła od bezczelnego kłamstwa, a jednak Zielińska nie wyglądała na urażoną.

– Skąd uciekłaś?

– Z getta w Łodzi.

– No, no. – Gwizdnęła z podziwem kobieta. – Jak ty uszłaś taki kawał drogi? I to w takim stanie.

– Nie wiem. Nie pamiętam zbyt...

Urwała, do izby wszedł bowiem mężczyzna z wydatnym brzuchem, wylewającym się spomiędzy szelek. Nosił żołnierską kurtkę i czapkę nasuniętą mocno na czoło.

– Coś ty za jedna? – warknął, krzyżując ręce na brzuchu. Sara podciągnęła kołdrę pod brodę, chowając się przed groźnym wzrokiem mężczyzny.

– Stachu! Nie widzisz, jaka wystrachana? Czego tak warczysz? Kto cię tu prosił w ogóle? – Zielińska spiorunowała go wzrokiem. Oblicze mężczyzny nieco złagodniało, choć krzaczaste brwi i broda jak u zbója powodowały, że wciąż wyglądał groźnie. – Idź no, nadój mleka, zamiast się tu pałętać. Ja ją wypytam.

Ku zdziwieniu Sary brodacz sapnął, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pomieszczenia.

– To Staszek, mój mąż i gospodarz. Dobry człowiek, choć jak wszystkie chłopy wycucia nie ma za grosz. Kim byli ci dwaj, co cię tak zostawili na pastwę losu?

– Uciekli ze mną z getta. A raczej ja z nimi.

– Łapserdaki. Jak można zostawić dziewczynę w takim stanie samą w lesie. Moi chłopcy gonili ich jeszcze jakiś czas, ale to cwane sztuki. Zaraz wrócę, a ty odpoczywaj.

Sara opadła na poduszkę, a z oczu popłynęły łzy. Bała się, że to sen, który zaraz się skończy, a ona wciąż będzie na placu Strażackim wysłuchiwała, jak Żydzi mają oddać swoje dzieci do obozu śmierci. Albo na jednej z tych ulic, które musiała minąć, by dojść do mieszkania Józefa. Wzdłuż kilku z nich postawiono szubienice, na których kołysali się ludzie powieszani za rozmaite przestępstwa. Zbliżyła nos do pościeli i raz jeszcze wciągnęła jej zapach, modląc się, by to nie był sen.

Gospodyni wróciła z talerzem pełnym gęstej zupy, obok którego leżały dwie pajdy wielkiego wiejskiego chleba. Położyła tacę na kolanach dziewczyny.

– No, nie rycz. Znajdziemy ich. Tu lasy wielkie, ale chłopcy znają je jak własną kieszeń. Znajdą ich.

– To nie dlatego. – Sara pociągnęła nosem i wytarła smarki w rękaw, zanim gospodyni zdążyła wyjąć z komody haftowaną chusteczkę. – Po prostu... Myślałam, że to koniec.

Zanim wsunęła pierwszą łyżkę do ust, rozbeczała się na dobre. Jadwiga usiadła na krawędzi łóżka i położyła dłoń na ramieniu Sary. W tym ruchu było tyle ciepła, że Żydówka poddała się mu i dała przytulić.

– Jezusie Nazareński. – Tym razem to Zielińska wytarła mokre oczy i przeżegnała się wolną ręką.

– Toż to same kości obciążnięte skórą. Cud, że brzuch się utrzymał. A teraz jedz, tylko powoli. Nie wyjdiesz z łóżka, dopóki wszystko nie zniknie, a potem napijesz się mleka od naszej krasuli.

Kiedy Jadwiga wyszła, Sara rzuciła się na jedzenie. Nie bacząc na przestrogę gospodyni, przelykała w pośpiechu kęs za kęsem, bojąc się, że czar pryśnie, a ona obudzi się głodna w samym środku getta. Przestała dopiero, kiedy wyskrobała ostatnią łyżkę zupy. Zanim gospodarz przyniósł mleko, zasnęła, czując, jak ciepło rozchodzi się po całym jej ciele.

* * *

– Lepiej?

Tym razem pierwsze, co zobaczyła Sara, były brązowe oczy Jadwigi Zielińskiej. Gospodyni kołysała się powoli w bujanym fotelu, bardzo podobnym do tego, jaki ongiś stał w jednym z pokoi w Dębieńcu. Myśl o rodzinnej miejscowości wydała się jej nagle odległa jak historia, której uczono w szkołach.

– Tak, dziękuję. O wiele lepiej. – Sara podniosła się z poduszki i rozprostowała ręce. Wątle mięśnie całego ciała wciąż były obolałe. – Chyba długo spałam?

– Od wczoraj, jak głaz. Gdyby nie chrapanie, myślelibyśmy, że umarłaś. Oj, trzeba zrobić z tym porządek.

Gospodyni wskazała na poduszkę, na której znajdowało się kilka dorodnych wszy. Na śnieżnobiałej poszewce były doskonale widoczne. Sara podrapała się. Czasem swędzenie przybierało na sile i drapała skórę do krwi, a czasami była tak znieczulona bólem, że zupełnie jej nie przeszkadzało.

– Możesz wstać?

– Chyba tak.

Jadwiga pomogła Sarze i podsunęła skórzane kapcie. Zaprowadziła ją do sąsiedniej izby, w której znajdowały się wielka drewniana balia i wiadra z wodą. Dopiero teraz Sara mogła rozejrzeć się po domu. Był dość duży, cały drewniany i utrzymany w nienaganej czystości. Na westfalcie stało kilka garnków, z których unosił się smakowity zapach obiadu. Meble były proste, skromne. Wciąż nie mogła uwierzyć, że wewnątrz może być tak ciepło.

W pokoju, w którym czekała kąpiel, było jeszcze bardziej nagrzone niż w pozostałych. Zapewne była to zasługa małego okna z zamkniętymi okiennicami, przez które nie uciekało ciepło, i wielkiego pieca kaflowego, który wychodził aż na dwie izby, a w tej zajmował niemal połowę ściany.

– Musimy się tego pozbyć. – Zielińska spojrzała na głowę Sary i potarła podbródek

w zamyśleniu.

– Wszy?

– Nie, wszystkiego. Rozbieraj się, a ja zaraz wrócę.

Sara powoli zaczęła zdejmować wszystkie warstwy ubrań, które miała na sobie. Kiedy została w samej bieliźnie, odważyła się spojrzeć w niewielkie lustro. Prawie krzyknęła, widząc w odbiciu żywego trupa. Pani Jadwiga miała rację. Wyglądała jak kości obciążone skórą. Jedynym miejscem, gdzie zachowały się resztki życia, był jej nieduży, choć wyraźnie zaokrąglony brzuch.

– Matko Boska! – Gospodyni o mało nie upuściła gara wrzątku, z którym weszła do łazienki. Wlała wszystko do wody, która już znajdowała się w balii, i wymieszała. – Ależ ty wyglądasz.

– Przepraszam, pani Jadwigo – powiedziała, czując, że zaraz znowu wybuchnie płaczem.

– Za co przepraszasz, głupia? I nie pani Jadwigo, tylko ciociu Jadziu. Jesteś moją daleką krewną ze Wschodu. Uciekłaś przed bolszewikami, a całą twoją rodzinę zamordowano. Znasz trochę rosyjski?

– Ani słowa.

– To przed Niemcami, rozumiesz?

– Rozumiem, ciociu.

– No, jeszcze będziesz miała czas, żeby się wszystkiego nauczyć. Siadaj.

Podstawiła niewielki stółek i posadziła na nim Sarę tak, by nie musiała oglądać się w lustrze. Dziewczyna posłusznie poddawała się jej pewnym ruchom. Zadrzała dopiero, gdy starsza kobieta odwinęła materiał, na którym leżało kilka akcesoriów.

– Co to?

– Nożyce do strzyżenia owiec. Stachu niedawno naostrzył, powinny dać sobie radę z tym kołtunem.

– Macie owce?

– Mieliliśmy, zanim szkopy nie zasmakowały w baraninie. Teraz została nam pusta owczarnia. Widziałaś kiedyś owcę, dziecko?

– Widziałam. Mój ojciec znał się na zwierzętach.

– Znał? – spytała, ale wnet pojęła, że to błąd. – Głupia jestem, że pytam. Masz tu chusteczkę.

Chwyliła nożyce i wsunęła ostrze w skorupę płataniny włosów, brudu, zaschłej krwi i Bóg wie, czego jeszcze. Pasma po pasmie odcinała niemal czarne włosy dziewczyny. Kiedyś były lśniące i sprężyste, teraz żałośnie posklejane. Kiedy Jadwiga odcięła ostatnie trzymające się skóry pasmo, Sara poczuła ulgę, jakby zdjęto z jej głowy ogromny ciężar. Gospodyni przeżegnała się, co nie było dobrym znakiem.

Kiedy Sara przejechała palcami po ostrzyżonych do skóry włosach, poczuła świeże rany i wiele starych blizn. Nawet teraz zdjęła z głowy żywe, dobrze upasione okazy wszy, a na opuszkach czuła mnóstwo gnid. Kiedy pasożyty zaległy się na jej głowie, lubiła rozgniatać ich jaja między paznokciami. Odgłos pękających skorup przynosił niewielką, ale jednak, ulgę.

– Ściśnij chusteczkę, jak będzie bolało. – Jadwiga odkręciła butelkę, pełną przezroczystej cieczy. – I zamknij oczy. To bimber mojego starego.

Kiedy tylko Sara zamknęła powieki, poczuła, jakby całe piekło zważyło się jej na głowę. Skóra przypominała jedną żywą ranę, do której ktoś wsypał sól, a teraz po niej skakał.

– Aaaa!!! – wrzasnęła i nie przestawała krzyżeć. Ścisnęła chusteczkę z całej siły, ale to nie pomagało. Ból był paraliżujący. – To strasznie boli! Dość, dość!

– Jeszcze nie. Muszę polać wszędzie.

Spirytus, niczym żywy ogień wypalał rany, powodując ból, jakiego nigdy w życiu nie doświadczyła. Dziewczyna zawyla i rozsłochała się, nie mogąc wytrzymać.

– Proszę, dość już!

– Prawie koniec, wytrzymaj jeszcze chwilę – powiedziała i polała potylicę dziewczyny.

– Dziecko. Dziecko! – wrzasnęła Sara, czując ruchy w podbrzuszu. Wyraźne i zdecydowane, którym towarzyszył ból.

Kobieta odstawiła pustą butelkę i przyklękła przy dziewczynie.

– Ciiii... Już dobrze. Jeszcze nie czas na ciebie, małeństwo – powiedziała, gładząc zaokrąglenie.

Przeniosła wzrok na Sarę i uśmiechnęła się lekko. – Uspokój się. Weź kilka głębokich wdechów. Już skończyliśmy. Teraz będzie tylko lepiej.

Posłuchała bardziej doświadczonej kobiety i wkrótce dziecko w jej łonie też się uspokoiło.

– Dobrze. A teraz wskakuj do wody, a ja przyniosę więcej wrzątku, żebyś nie zmarzła.

Gorąca kąpiel trwała godzinę i była niezwykle przyjemna. Gromadzony przez miesiące pobytu w getcie brud powoli odmiękał i dawał się zmyć szarym mydłem. Kiedy Sara wyszła z balii, poczuła ulgę. Kąpiel działała cuda dla jej ciała, ale też dla duszy. W lustro wołała nie patrzeć.

Jadwiga przyniosła Sarze świeże ubrania. Prostą spódnicę, wełniane rajtuzy, bluzkę i ciepły sweter. Na wątlym ciele wszystko wyglądało na zbyt obszerne, ale i tak Sara wiedziała, że odzież nie należała do gospodyni. Wołała nie pytać. Zielińska zebrała jej włosy i łachmany do metalowego wiadra, a kapciem rozgniotła pozostałe na podłodze wszy.

– Spalimy to i damy ci nowe imię, dziewczyno. Lubisz jakieś zwierzęta?

– Sowy – powiedziała po namyśle. – I gołębie. Mieliliśmy gołębie.

– Dobrze. To będziesz Elżbieta, Ela Gołębiewska. Mam taką daleką kuzynkę, to się nie pomyłę.

A ty przyzwyczajaj się do tego imienia, jeśli chcesz tu zostać.

– Dobrze, ciociu Jadziu.

Zielińska zamknęła drzwiczki piecyka kuchennego i obdarzyła dziewczynę ciepłym uśmiechem.

– Dobrze mieć taką mądrą krewniaczkę. Chodź, pokażę ci gospodarstwo.

* * *

Przez pewien czas Sara-Ela nie mogła uwierzyć, że to nie sen. W nocy budziło ją tykanie zegara w głównej izbie, które do złudzenia przypominało krok maszerujących żołnierzy Wehrmachtu widywanych przez nią czasem w Łodzi. Zrywała się wtedy z łóżka i zastygła w oczekiwaniu, że zaraz wywałą drzwi, a ją rozstrzelają albo wsadzą do wagonu i wywiozą do Kulmhofu. Śniły się jej pociągi pełne żydowskich dzieci, wisielcy, których wiatr kołysał jednostajnym rytmem, i zamrażnięte zwłoki, tak powszechne w getcie w Litzmannstadt. Na szczęście rankiem okazywało się, że wszystko to tylko złe sny, które zniknęły wraz z nadejściem świtu i piania koguta.

– Jedz, dziewczyno, to nam urodzisz zdrowego wojaka. – Stach Zieliński nałożył Sarze na talerz dokładkę jajecznicy. Gorącej, tłustej i pożywnej. – Takiego, że sam pogoni stąd szwabów.

– Za dużo, wujku – zaoponowała, ale zbyt późno. – To przecież dla wszystkich. Nie mogę się tak sama objadać.

– Dają, to bierz, biją, to uciekaj. Jakbym nie miał, tobym ci nie dawał.

– Lepiej by mi było, jakbym wiedziała, że wszyscy mogą się tym podzielić. Może to niegrzeczne, ale wiem, że jest gorzej, niż było. Widzę, co macie w garnkach.

– Przeżyliśmy już tu niejedną głód, przeżyjemy i następny. Na razie mamy co do gara włożyć. Ale to prawda, że jest gorzej. Ci bandyci znów zwiększyli obowiązkowe dostawy żywności. U nas gospodarstwo małe, ledwie udaje się coś ponad kontyngent wyhodować.

– Właśnie dlatego nie powinniście mnie traktować wyjątkowo. Ja bym chciała więcej pomagać.

Od kilku tygodni czuła się znacznie lepiej, a gruźlica w znacznym stopniu się cofnęła. Zaufany lekarz, którego pewnej nocy gospodarz przywiózł z Kielc, orzekł, że choroba nie jest bardzo zaawansowana i odpowiednia dieta oraz zmiana klimatu powinny pomóc. W ciągu kolejnych tygodni kaszel zmniejszał się i choć nie ustąpił całkowicie, to zmiana była znacząca. Sara była wdzięczna Zielińskiemu, że pomimo świadomości jej choroby i tak ją przygarnęli. „Jakbyś miała nas zarazić, to dawno by się to stało”, powtarzała Jadwiga. Sara przekonała się z ulgą, że do tego nie doszło.

– Ty? Przecież brzuch już duży. I tak pomagasz, dziewczyno. Jajka wybierasz, izbę ogarniasz. To aż nadto. Lada moment berbec zapragnie na świat, więc lepiej oszczędzaj siły.

– To nic, na razie jeszcze mogę się przydać. Przecież na gospodarce roboty dużo.

– Nie zwracaj sobie tym głowy. – Gospodarz przejechał szorstką dłonią po krótkich odrostkach włosów Sary. Od samego początku były myte w wywarze z rumianku, przez co odrastały nieco jaśniejsze niż zwykle. – Na szczęście mamy bimber, co go pędzimy z chłopakami w lesie. To lepsze niż każda waluta. Można go wymienić na żywność, broń, złoto, co chcesz.

– Z partyzantami, tak?

– Szczerze, to nie wiem. Jest mi obojętne, kto i po co kupuje mój samogon, byle moja rodzina miała co do gara włożyć. Ten cały Szymon to podejrzany typ i może bimber sprzedawać równie dobrze Ruskim, co Niemcom. Więcej nie gadam, bo jak cię wezmą na przesłuchanie, to narobisz wszystkim bigosu.

Sara zadrżała na samą myśl o spotkaniu z Niemcami. Choć widmo okupacji wisiało w powietrzu cały czas, to bywały chwile, że zapominała o tym wszystkim. Jak wtedy, gdy cieleła się krowa, gdy klucze ptaków odlatywały na zimę, tworząc w powietrzu niezwykle konstelacje. Na krótki moment świat wydawał się zupełnie jak w Dębience. Pomyślała o Brunonie i żal ścisnął jej serce. Nie dlatego, że nie dotrzymał obietnicy o wyciągnięciu jej z getta. Wtedy była na siebie zła, bo zapłonęła w niej iskierka nadziei. Płonnej i głupiej. Czula żal, że już nigdy go nie zobaczy. Służba na froncie, niezależnie od strony, po której się walczyło, dawała raczej nikłe szanse na przeżycie. Sara widziała po drodze zbyt wiele wraków samolotów i zbyt wiele razy obserwowała na niebie maszyny, ciągnące za sobą pióropusz ognia, by mogła sądzić, że w jego przypadku mogłoby być inaczej.

– Jak Boga kocham, za dużo miałem ozorem. – Zieliński zmiotygotował się i zakręcił swoje sumiaste wąsiska. Obserwując, jak szorstko traktuje swoich synów, dziwiła się, że potrafi być tak serdeczny i ciepły dla niej. – Nikt cię nie będzie przesłuchiwał. Jak przyjadą szwaby, to wiesz przecież, gdzie się chować. Na szczęście szkoda im paliwa, by jechać na to zadupie.

Górka była niewielką i ubogą wsią, a Zielińscy prowadzili największe gospodarstwo w okolicy, co oznaczało dokładnie tyle, że mieli kilka krów, prosiąt, kurnik i zagon lichego, kamienistego pola. Gospodarze wciąż rozpamiętywali okazałe stado owiec, po którym została jedynie ziejąca pustka owczarnia. Rozrzuconą na płaskim pagórku wieś zamieszkiwało jeszcze osiem rodzin, którym podobnie jak Zielińskim zrabowano niemal wszystko, co mieli. Obecny w gospodarstwie inwentarz.

– Może to już nie potrwa długo... – Stach założył ręce na wielkim brzuchu, którego nie były w stanie zmniejszyć nawet wojna i ograniczone zasoby. – Ludzie gadają, że będzie jakieś powstanie przeciwko Niemcom.

Sara poczuła, że coś w niej pęka.

– Zaczęło się, wujku! – krzyknęła, aż podskoczyła. – Już się zaczęło!

– Powstanie? – Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Nie, ja rodzę!

Gospodarz zerwał się żwawiej, niż sugerowałyby to jego wspomniane gabaryty. Pod stołem widniała sporych rozmiarów kałuża, która powiększała się z każdą chwilą. Zieliński wybiegł z kuchni i krzycząc coś do pozostałych domowników, wsiał na rower i pojechał po starą Maciakową, jedyną „babkę” w okolicy.

Pół godziny później dom wypełnił się głosami i parą z garnków, w których na polecenie Wandy Maciak gotowała się woda. Stara akuszerka była pomarszczona jak suszona śliwka, a grube żyły przebijały się przez skórę tak wyraźnie, jakby zaraz miały ją przebić. Przyszła z wnuczką, ledwie kilkunastoletnią dziewczyną, która miała asystować jej przy porodzie i wprawiać się w arkana sztuki położniczej. Wprawdzie Maciakowa miała córkę Bożenę, ale tej, kiedy Rosjanie wkroczyli na Lubelszczyznę, pomieszało się w głowie i tylko cudem uszła z życiem z miasteczka, w którym dotąd żyła szczęśliwie z mężem.

Kiedy pewnego dnia Zieliński zobaczył Bożenę na drodze, w pierwszej chwili jej nie poznał. Wyglądała na trzydzieści lat starszą niż w rzeczywistości. W porwanym ubraniu, jednym bucie i z twarzą pokrytą zaschniętą krwią szła przed siebie. Kiedy Stachu słuchał później tego, co udało się z niej wyciągnąć, nie dowierzał własnym uszom.

Uciekła spod Lublina po tym, jak jej męża zastrzelili żołnierze Armii Czerwonej, a ją zgwałcił oficer i dwóch cuchnących brudem i spirytusem żołdaków. I tak miała szczęście. Widziała, jak jej sąsiadkę gwałciła cała zgraja Rosjan, jeszcze długo po tym, jak zakłuli ją bagnietami. Początkowo Zieliński uznał, że dziewczyna jest w szoku i wyolbrzymia, ale potem napłynęła większa liczba uchodźców ze Wschodu, a wraz z nimi opowieści o Armii Czerwonej, od których słuchania jeżyły się włosy na głowie.

Choć Bożena za młodu również pomagała matce w odbieraniu porodów, to teraz zupełnie się do tego nie nadawała. Była stale nieobecna i zamyślona, a ręce drżały jej jak u alkoholika u krańca swojej choroby. Dodatkowo wybuchała płaczem z byle powodu, co zupełnie nie pomagało położnicom i samej „babce”. To dlatego Maciakowa zaczęła przyuczać do akuszerki wnuczkę.

– Jak taka chudzina mogła taki brzuch dorodny wyhodować? – „Babka” uśmiechnęła się i poklepała Sarę po udzie. Rozwinęła tłumok z narzędziami do porodu i poleciła wnuczce, by ta wymieniła je z nazwy i zastosowania. – Pierwsze dziecko zawsze musi przeciskać się na ten świat. Toruje drogę następnym. Potem będzie już lepiej. Wiem po sobie, urodziłam sześcioro.

– Sześcioro – powtórzyła automatycznie Sara, której ból nie pozwalał skupić się na słowach akuszerki.

– Tak, sześcioro. Dwoje Pan Bóg zabrał od razu do siebie. Chodź. – Machnęła na nią ręką. – Trzeba zadośćuczynić starym zwyczajom, żeby i o twoje się nie upomniał. – Akuszerka pomogła rodzącej podnieść się z łóżka i ujęła ją pod ramię. – Lepiej nie kusić licha.

Choć Sara nie miała pojęcia, co starsza kobieta zamierza zrobić, była posłuszna. Nie miała wyboru i musiała jej zaufać. Obeszły dom, zatrzymując się na każdym progu, gdzie Sara musiała tupać piętami. Potem obeszły dookoła każdy stół w gospodarstwie. Podobno to przynosiło szczęście, a choć młodej Żydówce wydało się to zabobonne i pogańskie, to na wszelki wypadek wypełniła prośby akuszerki.

– Okadź dom białą szafwią, Marysiu. – Maciakowa po raz kolejny zwróciła się do wnuczki, a potem przeniosła wzrok na zgromadzonych w pomieszczeniu domowników. – A wy módlcie się do świętego Ignacego i świętej Filomeny. A najlepiej jeszcze do Bonawentury. Mam nadzieję, że nie nagrzyszyliscie ostatnio i święci się nie obrazili.

Zielińscy przyklęknęli przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, który od zawsze wisiał w tej izbie, i zaczęli mrużyć modlitwy. Co jakiś czas wykonywali znak krzyża.

– A teraz zobaczymy, co tam się dzieje. – Akuszerka podwinęła spódnicę położnicy i ściągnęła majtki mokre od wód płodowych. – Chodź no, wnusiu. Zobacz.

Dziewczyna zbliżyła się i spojrzała pomiędzy nogi rodzącej.

– Mam umyć ręce?

– No, a jak? – zdziwiła się babka i zmarszczyła brwi. Uważała, że wnuczka już nie powinna pytać o takie rzeczy. – Z brudnych rąk to ino kłopoty mogą być. I tak możemy mieć ich tu od groma. Ile palców dasz radę włożyć do środka? Muszą zmieścić się wszystkie, wtedy dzieciak będzie mógł pchać się na ten świat.

Sara poczuła w kroczu dotyk zimnych palców młodej Maciakówny. Była wdzięczna, że jest tak delikatny, miała bowiem pod dostatkiem bólów porodowych, wywołanych skurczami, które według słów akuszerki i tak były na razie niewystarczające do urodzenia dziecka.

– Pięć palców, babciu.

Maciakowa obrzuciła wyciągniętą dłoń wnuczki krytycznym spojrzeniem. Sara zauważyła, że końcówki jej palców są ubrudzone krwią i śluzem.

– Cztery. Masz palce cienkie jak patyki, dziewucho. Ale nie martw się, jeszcze zgrubieją. Licz na grubość moich palców, nie swoich. Rozumiesz?

– Rozumiem, babciu.

– Aaaa... – zajęczała Sara, kiedy nadeszła kolejna fala skurczów. – To boli...

– To? – Akuszerka roześmiała się głośno i machnęła ręką. – To dopiero będzie bolało, kiedy dzieciak będzie opuszczał twoje łono. Ale nie martw się tym na zapas. Weź kilka głębokich oddechów.

Wydawało się, że czas ciągnie się w nieskończoność. Kobiety co jakiś czas sprawdzały postęp porodu, a bóle raz przybierały na sile, raz malały.

– No, zmówiliście już wszystko? – Maciakowa obrzuciła spojrzeniem domowników, a kiedy potwierdzili skinieniem głowy, wydawała się zadowolona. – Nagotujcie więcej wrzątku. Może się przydać.

– Dobrze. – Jadwiga niemal potknęła się o swoje nogi i biegiem ruszyła do kuchni.

– Macie bimber? Będzie potrzebny do odkażenia narzędzi – zwróciła się do gospodarza, a ten

skinął głową. – Trzeba też trochę wódki z cynamonem, żeby złagodzić jej bóle. Aha! I pootwierajcie wszystkie kufry, skrzynie i beczki. To pomaga dziecku wydostać się na ten świat.

– Z cynamonem? – zdziwił się, unosząc krzaczaste brwi. – Skąd ja wam, babko, wytrzasnę cynamon? Może przed wojną...

– Dobra, dobra, kumie. Wiem przecież.

Zieliński podrapał się po głowie, przyswajając słowa akuszerki, po czym nacisnął beret na głowę i zniknął w głębi domu. Wrócił z kieliszkiem wódki. Podał Sarze, która wypiała bez protestu. Wódka zapiekła ją w gardło i dziewczyna zaniosła się kaszlem.

– Widać główkę, babciu! – wykrzyknęła Marysia Maciak, a Sara poczuła, jak jej podbrzusze zalewa kolejna fala bólu.

– Ano widać, choć ino czubek. Przy następnym kurczu masz przecć, dziewucho, rozumiesz? Weź tyle powietrza, ile umiesz, i przyj.

– Aaaa... – Krzyk Żydówki poniósł się pod sufit, a Zieliński się przeżegnał, niosąc sagan swojego samogonu. Rzucił speszone spojrzenie i zniknął w sąsiednim pomieszczeniu.

– Jeszcze raz.

Rytm wyznaczany przez akuszerkę zdawał się nie mieć końca i ciągnął godzinami. Sara robiła, co mogła, ale potworny ból niemal ją obezwładniał. Dałaby wszystko, żeby ktoś mógł choćby potrzymać ją za rękę, jednak ciocia Jadwiga była zajęta spełnianiem poleceń akuszerki, zaś przejęty Stachu kręcił się po domu, choć zapewne widział już niejednego poród. Może zwyczajnie nie chciał jej zawstydząć. Odwróciła się od zegara z kukułką, a jej czas zaczęły wyznaczać kolejne skurcze.

– Jest kłopot – powiedziała akuszerka po długim czasie ponaglania położnicy do parcia. Minę miała zatroskaną, co zmartwiło Sarę okropnie. Woląa już rubaszne żarty Maciakowej. – Jesteś za ciasna, dziewczyno. Dziecko nie może przejść.

– I co... – Sara złapała oddech. Czowała się słaba i obolała. – I co teraz?

– Musimy spróbować je wydostać. Marysiu, przynieś kleszcze. Tylko ich nie upuść. To jedyne w okolicy, przywiezione przez wuja z samego Gdańska.

– Wiem, babciu. Opowiadałaś mi tę historię...

– Nie pyskuj mi tu, dziewucho. Niepotrzebne mi tu twoje mędrkowanie. Wlej bimber do miednicy i zanurz w nim kleszcze. Weź jeszcze nożyce. Te najostrzejsze, od krawca Hawranka.

– Co pani chce zrobić? – spytała Sara, przerażona widokiem dezynfekowanego narzędzia.

– Trzeba złapać dziecko i naciąć ci krocze. Inaczej nie przejdzie.

To, że może wyjść w kawałkach albo martwe, Maciakowa zachowała dla siebie. I tak chuda Żydówka miała pod dostatkiem zmartwień. Nie było potrzeby dokładać jej kolejnych. Co będzie, to będzie. To nie ona, lecz Pan Bóg wydawał wyroki. Chwyciła podane przez wnuczkę kleszcze, a w nozdrza uderzył ją mocny zapach bimbrowy Zielińskiego. Rozłożyła je, wsunęła ostrożnie do kanału rodnego i objęła nimi główkę dziecka.

– Wygotuj igły i nici. – Obróciła się przez ramię do wnuczki. – Ale najpierw podaj mi nożyczki.

Kiedy nożyce trafiły do pokrytej plamami wątrobowymi dłoni, „babka” sprawdziła ich ostrość i pokiwała z uznaniem głową. Chwilę później Sara poczuła ból silniejszy niż kiedykolwiek w życiu. Krocze zapłonęło żywym ogniem, a jej samej pociemniało w oczach. Ostatkiem sił zaczęła krzyczeć i nie przestała, aż straciła głos. Opadła ciężko na poduszkę, a Jadwiga wytarła czoło pokryte kroplami potu. Nacięte krocze pulsowało bólem, który przyćmił skurcze. Sara czuła, jak ciepła krew spływa po pośladkach.

– Długo jeszcze będziecie ją męczyć? – Do izby zajązwał Zieliński, dla którego było to stanowczo zbyt wiele. Nie mógł sobie znaleźć miejsca. To wychodził z izby, to wchodził do niej z powrotem, co denerwowało akuszerkę. Porody jego żony przebiegały znacznie łatwiej, a poza tym zwykle był już całkiem pijany, kiedy dziecko przychodziło na świat. Tym razem krzyki rodzącej szarpały jego nerwy. W gospodarstwie nie było miejsca, do którego by nie docierały.

– Tyle, ile trzeba, panie sąsiedzie – powiedziała ze spokojem akuszerka i sięgnęła po wykrochmalony ręcznik. – Bóg jeden raczy wiedzieć. I lepiej znów zacznijcie się modlić, bo dziewczyna zaczyna tracić dużo krwi. Omdlała?

- Nie. – Marysia była u wezglowia i odgarniała zlepione potem włosy Sary.
- Czujesz skurcz? – Wychyliła się z za rozłożonych nóg. Ręce miała mokre od krwi.
- Tak, czuję.
- To przyj ile sił, dziewczyno.

Sara nie miała ich już wiele. Czuła, że za chwilę jej ciało się podda. Była słaba i jedyne, na co miała ochotę, to zasnąć. Minęło wiele godzin, od kiedy odeszły jej wody. Wiedziała, że jeśli poród potrwa kolejne, to ktoś umrze. Ona, dziecko, a w najgorszym wypadku oboje. Po raz ostatni zacisnęła palce na prześcieradle i naparła z całych sił.

- Dobrze, dobrze, jeszcze mocniej!

Sara wrzasnęła, ale nagle poczuła, jak akuszerka wyciąga z niej dziecko. Ciemne mroczki znów zatańczyły przed jej oczami. Maciakowa wprawnym ruchem chwyciła noworodka, a wnuczce kazała przeciąć pępowinę. Odwróciła maleństwo i dała mu klapsa w pośladki. Rozległ się płacz, który wzmógł się, gdy obie kobiety obmywały maleństwo w miednicy z wodą. Po wszystkim zawinęły je w becik zrobiony z czystego prześcieradła i podały matce. Maciakowa w międzyczasie kazała jej urodzić łożysko, a potem zaczęła szyc krocze, przysparzając Sarze kolejnego bólu. Płaczące zawiniątko spowodowało jednak, że stał się bardziej znośny.

– Dzielnie się spisałaś, chudzino. Święci wysłuchali naszych modłów, jak widać. To zdrowy chłopak. Masz już dla niego imię?

– Emmanuel – wyszeptała wymęczona porodem Sara. Otoczyła synka ramieniem i poczuła jego ciepło. Noworodek od razu się uspokoił. Kiedy spojrzała na jego jasne włosy, przez długą chwilę nie docierało do niej, czyje dziecko trzyma w ramionach. Pochyliła się i pocałowała małą główkę okoloną pszenicznej barwy puchem. Włosy nie mogły kłamać.

Pomyślała o ojcu Emmanuelu, a potem po raz pierwszy od dawna, pomimo spływających po policzkach łez, uśmiechnęła się.

Hamburg, kwiecień 1945 roku

Greta Steinke była szczęśliwa, w co trudno było uwierzyć, zważywszy na okoliczności. Nawet ona, będąc tak daleko od frontu, wiedziała, że Trzecia Rzesza przegrywa wojnę i kapitulacja jest kwestią tygodni, jeśli nie dni.

Amerykanie przekroczyli Ren i parli dalej na wschód, zaś z drugiego kierunku nadciągali Rosjanie. Każdego dnia szpitale wypełniały się nowymi rannymi i wkrótce trzeba było ich kłaść w korytarzach, piwnicach, a nawet na strychach, gdzie jedno bombardowanie mogło spowodować setki ofiar. Wojna odcisnęła swoje piętno także na ulicach, które były pełne okaleczonych żołnierzy, pozbawionych kończyn, zmysłów i ducha. Nagle okazało się, że wiara w potęgę Hitlera i niezwyciężonej niemieckiej armii zmaląła. Z okien i fasad zaczęły znikać flagi ze swastyką, a kartki żywnościowe pozwalały kupować tylko śmiesznie małe ilości produktów. Zresztą dostanie czegokolwiek w sklepach graniczyło z cudem. Greta nawet nie chciała myśleć o tym, jak by żyli, gdyby nie Bruno i jego wojskowe przydziały. Z tego, co przynosił, można było wyżywić ich trójkę, a jeszcze zostawało coś dla jej rodziców i brata.

Ale teraz nie myślała o tym. Kwiecień był w tym roku naprawdę piękny i pierwszego ciepłego dnia skorzystali z pogody oraz obecności Brunona w domu. Zabrali koc, trochę jedzenia i wyjechali za miasto. Sięgnęła po aparat i zrobiła zdjęcie właśnie wtedy, kiedy Bruno przebiegł obok, trzymając Klarę na rękach.

– Wrrrr... – Mężczyzna naśladował odgłos przelatującego samolotu. Klara śmiała się głośno i rozkładała ręce. Była kopią ojca. Te same włosy, te same oczy. – Robimy opylanie ogromnego pola. Ziuuuuu!

Od samego początku Greta wiedziała, że jej mąż będzie świetnym ojcem. Kiedy ona po kolejnej godzinie płaczu Klary odchodziła od zmysłów, Bruno ze stoickim spokojem chodził po mieszkaniu, kołysał ją, śpiewał raz kołysanki, raz zabawne piosenki. Nawet jeśli nie przynosiły efektu, nie zniechęcał się i córka w końcu zasypiała. To on cierpliwie masował obolałe dźiąsła córeczki, gdy wychodziły pierwsze zęby. Greta zastanawiała się, czy w całych Niemczech znajdzie się drugi taki ojciec. Świadomość, że mogła na niego liczyć, działała kojąco, pod warunkiem że był obok, co ostatnio zdarzało się coraz rzadziej. Takie pikniki, jak ten, należały do rzadkości.

Wyciągnęła się w kwietniowym słońcu i obserwowała ich zabawy. Wiedziała, że taka okazja szybko się nie powtórzy. Brała nawet pod uwagę, że może się nie powtórzyć nigdy.

* * *

– Mają te piekielne mustangi od jankesów – powiedział któregoś wieczora, kiedy ciężko opadł na kanapę. Po dwóch dobach ciągłej służby był wykończony. Dopiero kiedy ściągnął kurtkę, zobaczyła, że jest ranny. Gruby bandaż opasał jego ramię.

– Co to za partacz zakładał? – zatroskała się i wyciągnęła z apteczki zestaw do opatrunków. Kiedy rozcinała bandaże, przypomniały mu się pierwsze tygodnie w szpitalu, kiedy robiła to niemal codziennie.

– Ja... – uśmiechnął się słabo – ...trafili mnie i odłamek przeszedł przez kabinę. Na szczęście tylko mnie drasnął. Musiałem...

– Bruno, nie. – Wsunęła palce w jego jasne włosy i przywarła do niego, nie zważając na świeżą krew na palcach. – Nie chcę wiedzieć, co musiałeś zrobić, by przeżyć. Inaczej następnym razem zwariuję.

Opatrzyła go do końca i pozwoliła mu odpocząć. Zapadł w krótki, niespokojny sen, a Greta nakryła go kocem. Obudził się po godzinie, obmył twarz i ogolił zarost, po czym poszedł sprawdzić, czy córeczka śpi spokojnie. Przyszedł do łóżka pachnący wodą kolońską i samolotem. Tego charakterystycznego zapachu nie dało się zmyć żadnym mydłem. Choć Greta miała ochotę na seks, to

zostawiła męża w spokoju, widząc jego potworne zmęczenie. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, usłyszała chrapanie. Na szczęście cały następny dzień i noc miał być z nimi.

– Klarcia, daj tacie spokój! – ofuknęła córeczkę, gdy ta uparcie nagniała wypukłości na policzku Brunona. Blizny na twarzy ojca były dla niej zupełnie naturalne. Nie bała się ich, tak jak inne dzieci, które uciekały z podwórka, gdy tylko wychodził z klatki schodowej. – To nie jest zabawka.

– W porządku, nic się nie stało. – Przyciągnął dziewczynkę, odsłonił jej brzuch i połaskotał go. Perlisty śmiech wypełnił pomieszczenie. – To taka nasza zabawa. Wiecie co? Chodźmy na spacer.

Zgodziła się, choć pogoda nie była taka piękna, jak wtedy, gdy pojechali na piknik. Niebo było pochmurne, a od morza wiał chłodny wiatr. Hamburg sprawiał ponure wrażenie. Wielu budynków wciąż nie podniesiono z gruzów po alianckich bombardowaniach. Widok okopconych okiennic, samotnych ścian, ledwie trzymających pion, i zwałów cegieł stanowił przygnębiające piętno wojny.

– Papa, papa! – Klara, którą Bruno niósł na barana, radośnie klepała go po głowie. Greta zmarszczyła czoło z dezaprobatą. Córka owinęła sobie ojca wokół małego palca.

– Chodźcie. Wiem, gdzie wciąż sprzedają lody.

– Lody? Ty wiesz, że gdzieś w tym mieście są lody?

– Tak się składa, że wiem. To jedna z tajemnic Trzeciej Rzeszy. Wykradłem ją samemu Adolfowi. – Bruno roześmiał się triumfalnie i pociągnął żonę za rękę. Obejrzała się strwożona, ale nikt nie zwrócił na nich uwagi.

Zaprowadził rodzinę do restauracji, gdzie chadzali głównie oficerowie. Choć nie należał do stałych bywalców, to jednak obsługa widywała go od czasu do czasu, gdy przychodził świętować czyjeś urodziny, ślub lub nadanie odznaczenia wojskowego. Sam zaprosił tutaj kolegów po śmigle, kiedy otrzymał od dowództwa Krzyż Żelazny I klasy.

Obsługa rozpoznała go bez trudu i wkrótce cała trójka zjadała się lodami waniliowymi. Greta nie pamiętała, kiedy jadła je po raz ostatni. Miała nadzieję, że wojna wkrótce się skończy i jedzenie lodów nie będzie urastało do rangi święta.

* * *

Przeraziła się na dobre, gdy Bruno wpadł do mieszkania i zaczął przetrząsać szuflady. Jeszcze nigdy nie widziała go tak zdenerwowanego. To był bardzo zły, wręcz katastrofalny znak. On nigdy nie tracił panowania nad sobą.

– Trzeba uciekać – powiedział, nie odwracając się do niej. Znalazł wreszcie plan miasta, który kupił, gdy zaczęła mu przeszkadzać jego nieznajomość. – I tak już może być za późno.

– Bruno, możesz powiedzieć mi, co się stało?

– To koniec. Armia feldmarszałka Modela skapitulowała przed Amerykanami. Rosjanie okrążają Berlin i zdobędą go lada chwila. Znaleźliśmy się w potrzasku.

– Jak wszyscy w tym mieście.

– Tak, ale nie wszyscy służą w Luftwaffe i są odznaczeni Krzyżem Żelaznym. Nie wiadomo, czy miasto się podda, czy przygotowuje do obrony. Tak czy inaczej, będę pierwszy do odstrzału, a wy być może razem ze mną. Nie mogę ryzykować waszego życia.

– Co zamierzasz zrobić, Bruno? – Spojrzała na niego zaniepokojona. Klara wyciągała do ojca rączki, ale ten po raz pierwszy w życiu odtrącił je.

– Uciec do Anglii, a tam oddać się w ręce Brytyjczyków. To najbardziej cywilizowany z walczących narodów. Nie jestem pierwszy i pewnie nie ostatni, który tak robi. Mogą mnie nawet wsadzić do więzienia, ale wy będziecie bezpieczne, dopóki to szaleństwo się nie skończy.

– Wiedziałaś wcześniej, prawda? Starannie to wszystko zaplanowałaś – stwierdziła, a w odpowiedzi otrzymała tylko skinienie głową. W oczach Greta pojawiły się łzy.

Rozpląkała się dopiero wtedy, gdy opowiedział jej, co planuje. To było szaleństwo. Tak wiele rzeczy mogło pójść nie po jego myśli. Widziała ból na jego twarzy, kiedy opowiadał jej, co dokładnie zamierza.

– Dasz radę, Gretchen? Poradzicie sobie jakoś?

– Tak, ale czy na pewno trzeba podejmować takie ryzyko? Nie wiesz, czy Anglicy cię nie zabiją,

kiedy wylądujesz na ich ziemi, prawda?

– Wiesz, gdzie są wszystkie kosztowności?

– Tak, Bruno – powiedziała, kiedy złożył mapę i schował ją do szuflady. – Obiecuj mi jedno. Że nie będziesz niepotrzebnie ryzykował, nawet jeśli będzie to oznaczało, że trzeba będzie zostać tutaj.

Przez chwilę się wahał, a potem wziął od Greta córeczkę i ucałował ją w głowę. Jej włoski były miękkie i pachniały rumiankiem, a oczy skrzyły się blaskiem i radością ze spotkania z ojcem. Jeśli do tej pory było mu ciężko, to kiedy wziął córeczkę na ręce, był bliski zrezygnowania ze swojego planu.

– Papa, papa – rozszczebiotała się dziewczynka, zadowolona, że wreszcie poświęcił jej uwagę. Schylił się do jej główki i z lubością wciągnął dziecięco-mleczny zapach. Greta miała rację. Nie warto było uciekać za wszelką cenę.

– Dobrze, Gretchen. Obiecuję.

Do swojej skórzanej, przewieszanej przez ramię torby spakował kilka osobistych rzeczy i dokumentów. Na samym końcu sięgnął do ostatniej szuflady i wyjął coś, co szybko schował, jednak nie umknęło to uwadze Greta. Niewielkie, związane sznurkiem zawiniątko zawierało listy od Sary. Kiedyś nie oparła się pokusie i otworzyła jedną z kopert. Z dołączonego do listu zdjęcia spoglądała na nią prześliczna ciemnowłosa dziewczyna, która mogła zawrócić w głowie każdemu mężczyźnie. Greta próbowała cokolwiek zrozumieć z listu, ale równie dobrze mógł on zostać napisany po chińsku. W końcu uznała, że to lepiej. Choć nie mogła nic zarzucić swojemu mężowi, wiedziała, że największa miłość jego życia zginęła gdzieś tam, za murami getta. Nie było powodu, aby obawiać się upiórów przeszłości.

Znacznie bardziej bała się planu, który urodził się w głowie jej męża.

* * *

Na lotnisku panował bałagan nie do opisania, co Bruno uznał za wyjątkowo pomyślny zbieg okoliczności. Większość dowódców czuła już zaciskające się kleszcze Amerykanów i Rosjan. Oficerowie podzielili się na tych, którzy kalkulowali, co spotka ich po przegranej wojnie i zapewne okupacji przez wojska alianckie, oraz tych, którzy wciąż tkwili głęboko w swoich fantazjach o Wielkiej Rzeszy i nieomylnym Führerze. Z równym zapałem, co na początku wojny, opowiadali o *Wunderwaffe*⁴⁷, którą Hitler trzyma do samego końca, by zmiażdżyć aliantów na własnym terenie.

Bruno słuchał tych bredni i śmiał się w duchu. Nieraz zdarzało mu się w zaufanym gronie rozmawiać ze starszymi stopniem oficerami i doskonale zdawał sobie sprawę, że wojna nie została przegrana, tylko przegrał ją sam Hitler.

Przed budynkiem dowództwa rozpalono wielkie ognisko, w którym płonęły stopy dokumentów mogących potwierdzać dokonania Luftwaffe. Należało zniszczyć wszystko na wypadek, gdyby nadciągający nieprzyjaciel miał okazać się surowym sędzią. Bruno wiedział, że musiało się w nich znajdować mnóstwo dowodów obciążających niemieckie lotnictwo. Nie każdy pilot zachowywał się w powietrzu zgodnie z kodeksem honorowym, który tak wpajał mu do głowy von Berensdorff. Pamiętał wszystko, co ojciec opowiadał mu o samolotach, spadających na cywilną ludność niczym jastrzębie. O ciałach rozerwanych przez pociski dużego kalibru. O drogach usłanych trupami uchodźców, którzy stłoczeni stanowili łakomy kąsek dla najeźdźcy.

Teraz uśmiechnął się w duchu, wiedząc, że ostrze miecza sprawiedliwości jest blisko.

Bruno brzydził się tym, co miał zrobić. Po raz kolejny obiecał komuś ucieczkę z piekła i ponownie miał nie dotrzymać złożonej obietnicy. Z ponurymi myślami przebrał się w kombinezon pilota i udał na odprawę. W pomieszczeniu panował półmrok. Przez okna wpadały resztki światła dogasającego dnia, ale mimo to nikt się nie kwapił, by zapalić lampy. Zaciemnienie także nie miało już sensu. Alianci doskonale wiedzieli, gdzie znajduje się każdy budynek w mieście. Zgromadzeni piloci siedzieli niedbale, palili papierosy i popijali z kubków gorącą kawę. Ostatnio jedynym miejscem, gdzie można było napić się prawdziwej kawy, była kantyna na lotnisku.

– Kto dowodzi? – spytał, wieszając na oparciu krzesła spadochron i czapkę pilotkę. Zapanowała konsternacja, a lotnicy wymienili zdziwione spojrzenia.

– Chyba pan, *Herr Steinke* – odpowiedział jeden z najmłodszych stażem i wiekiem. Chłopak nie miał jeszcze dwudziestu lat, o czym mógł świadczyć młodzieńczy meszek pod nosem. – Powiedziano

nam, że mamy czekać, aż przyjdzie podoficer. Siedzimy tu już od godziny.

– No dobrze. W tym bałaganie to i tak cud, że jesteście wszyscy w jednym miejscu.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do kwatery dowództwa. Ktoś odebrał dopiero po piątym razie, ale rozkazy były tak enigmatyczne, że równie dobrze eskadra mogłaby w ogóle nie wznieść się w powietrze i nikt by się nie zorientował.

– Mamy zrobić wypad na zachód i patrolować obszar pomiędzy Bremą, Hanowerem a Bielefeld. Z racji tego, że alianci są już bardzo blisko, możemy spodziewać się kontaktu z wrogiem. Lecimy taką formacją jak zawsze. Czy wszyscy mają swoich skrzydłowych?

– Ja nie mam – odezwało się kilka głosów naraz. *Feldwebel* Steinke sparował pilotów według swojego uznania i objaśnił szczegóły operacji.

– I jeszcze jedno – powiedział na koniec. Wiedział, że jest im to winien, i nie sądził, żeby teraz ktokolwiek miał na niego donieść. – Nie dajcie się zabić. Jeśli będzie trzeba, oddajcie się w ręce nieprzyjaciela. Ta wojna jest już przegrana, a gra toczy się o to, by ujść z niej z życiem.

Podniósł się pomruk aprobaty. Wielu młodych pilotów po raz pierwszy słyszało, jak podoficer Luftwaffe otwarcie mówi o klęsce.

Kwadrans później wzbili się w powietrze. Została może godzina do całkowitych ciemności, kiedy niebo przejmą nocne myśliwce. Bez przeszkód dotarli do Bremy i oblecieli miasto szerokim łukiem. Bruno zarządził kurs na Hanower, ale zanim zobaczyli pierwsze zabudowania, na horyzoncie pojawiły się czarne punkty, rosnące z każdą chwilą.

– Kontakt na trzeciej. – Bruno zapiął maskę tlenową i upewnił się, że jego skrzydłowy jest tam, gdzie powinien być. – Znacie rozkazy.

Batalia trwała krótko. Kiedy Amerykanie zestrzelili szóstą maszynę, Bruno rozkazał odwrót. Do lotniska doleciało jednak tylko pięć maszyn, bowiem jeden z niedoświadczonych pilotów rozbił się tuż przed lądowaniem. Kiedy Bruno wysiadł z myśliwca, miał jeszcze gorszy nastrój niż wtedy, gdy myślał tylko o tym, co musi dziś zrobić. Miał na sumieniu siedem istnień ludzkich, które zostały poświęcone zupełnie bez sensu.

– Wszystko gotowe? – spytał, kiedy do jego maszyny podjechał *Feldwebel* Mauer, aby zatankować samolot.

– *Jawohl, Herr Feldwebel!* – Mechanik zasalutował regulaminowo. Dobrze wyuczył się swojej roli, co uspokoiło Brunona. – Nie rozmyślił się pan?

– Wszystko aktualne.

Załączek jego planu pojawił się tydzień wcześniej, kiedy po kolejnym bombardowaniu lotniska przypadkowo natrafił na Mauera, który był niemal odrętwiały ze strachu. Bruno musiał przyznać, że tym razem bomby spadły bardzo blisko hangarów, a eksplozje były tak wielkie, że jeden z nich złożył się jak domek z kart. Mechanik długo nie chciał opuścić schronu, a kiedy to zrobił, ze wstydem przykrywał płamę moczu na spodniach. Ku jego uldze tylko Bruno zwrócił na nią uwagę i nie zawstydził go w żaden sposób.

– Mauer, uczycie się angielskiego czy rosyjskiego? – spytał mimochodem, kiedy kilka dni później zostali sami podczas lądowania amunicji do jego myśliwca.

– Co pan ma na myśli? – Mechanik rzucił podoficerowi szybkie spojrzenie. Był jednym z tych, których przerażała poparzona twarz Brunona. Być może z powodu dystansu i małomówności Brunona wciąż jeszcze nie byli po imieniu. Mauer najwyraźniej nie miał śmiałości, a Steinke nie zaproponował.

– Wojna się kończy, kolego. W zależności od tego, kto dotrze do Hamburga pierwszy, warto nauczyć się kilku słów w języku wroga. Mogę wam pomóc.

– Niby jak?

– Po angielsku musicie powiedzieć: *please, don't kill me*⁴⁸, a po rosyjsku...

– *Oh, mein Gott*⁴⁹. Pan żartuje, prawda? – Mauer zbłądł, a jego dłonie zaczęły się trząść. – Niech pan powie, że tak, sierżancie.

– Bynajmniej. Na pewno słyszeliście, co Luftwaffe wyprawiała w Polsce, we Francji i w Anglii, prawda? Nie mówiąc już o Związku Radzieckim. Rosjanie będą chcieli się zemścić. Zresztą wystarczy spojrzeć na naszych oficerów. Jak myślicie, co palą w tym wielkim ognisku?

– Dokumenty, prawda? Wszystko to, co chcą ukryć.

Bruno przytaknął i zatrzasnął kasetę amunicyjną.

– Chyba wiecie, co nas czeka? Sąd i czapa, a w najlepszym wypadku wywózka do jednego z tych obozów pracy na Syberii, skąd już pewnie nie wrócimy żywi. Pod Leningradem sam widziałem, co bolszewicy robią z niemieckimi żołnierzami, i uwierzcie mi, że nie chcecie wiedzieć.

– Przecież nasza armia jest jeszcze w stanie rozbić tych zawszonych Rosjan i tchórzliwych aliantów. Nasz Führer musi mieć jakiś plan!

Bruno nie odpowiedział, a jedynie pokręcił głową. Resztę pozostawił wyobraźni młodego mechanika.

– *Mein Gott* – powtórzył mechanik, pocierając nerwowo brodę. Na skroni pojawiły się krople potu. – To niemożliwe. Tak wierzyliśmy w jego geniusz, w potęgę Trzeciej Rzeszy, a teraz przyjdzie nam zapłacić za to głową.

Zawahał się przez chwilę, ważąc ryzyko, jakie podejmuje. Z jednej strony miał przed sobą swojego rówieśnika, który zapewne był wpatrzony w Wielkiego Kanclerza jak w obrazek i wierzył w jego strategię. Z drugiej obserwował właśnie przerażonego do granic możliwości żołnierza, który powoli pozbywał się złudzeń. Strach tego młodego Niemca przyniósł mu więcej satysfakcji niż wszystkie niepomysłne dla Rzeszy wieści z frontu.

– To nie musi się tak skończyć, Rudi – powiedział łagodnym głosem.

– Nie? A co można zrobić, skoro wrogie wojska stoją praktycznie za progiem? Okrążą nas i zabiją!

– Wiecie, że Szwajcaria jest neutralna, prawda? Niektórzy udają się tam samolotami, żeby przeczekać koniec wojny i dożyć lepszych czasów.

– Myśli pan, *Herr Feldwebel*, że moglibyśmy tak zrobić? – Bruno czekał, aż padnie takie pytanie lub propozycja. W ten sposób to Mauer stawał się autorem planu, dzięki czemu mógł liczyć na jego dyskrecję.

– Cóż, to wy powiedzieliście. Ale to niegłupi pomysł. Poczekamy, aż to wszystko się uspokoi.

– Jest tylko pewien problem. Ja nie potrafię latać, a pana myśliwiec ma tylko jedno miejsce.

– Myślę, że coś na to poradzimy, Mauer. Wiesz, gdzie stoją junkersy przy końcu pasa startowego?

– Stukasy?

– Tak. Jeszcze kilka tygodni temu nasi chłopcy nimi latali, więc powinny być sprawne. Co najwyżej pozbawione amunicji, ale to bez znaczenia. Mają dwumiejscowe kabiny. Wystarczy, że zatankujemy jeden i uruchomimy. Resztą zajmę się ja, a wy będziecie mieli wystarczająco dużo czasu na zastanowienie się, który szwajcarski ser lubicie najbardziej. Jasne?

– *Jawohl, Herr Steinke!* – Mauer zasalutował i Bruno zobaczył wdzięczność w jego oczach. Plan był ryzykowny, a młody mechanik stanowił najsłabsze jego ogniwo, jednak podoficer doskonale wiedział, jak motywujący potrafi być strach o własne życie.

Umówili się, że uciekną w pierwszym dogodnym momencie. Do tego czasu musieli przygotować w tajemnicy kilka rzeczy. W bałaganie, jaki w ostatnich dniach nastał w szeregach żołnierzy niemieckich, okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczali. Cierpliwie czekali na chwilę, kiedy można było opuścić lotnisko bez ściągania na siebie zainteresowania.

Pod osłoną nocy przekradli się koło koszar, budynków administracji i dowództwa. Ominęli trzy stanowiska ogniowe, w których lufy działek przeciwlotniczych Flak 18 skierowane były w niebo i gotowe zasypać ogniem wrogie bombowce. Koniec pasa startowego był zapomnianym i mało uczęszczanym miejscem, które stanowiło składowisko nieużywanego sprzętu. Znajdowało się tu kilkanaście maszyn będących dawcami części i kilka mało przydatnych w tej fazie wojny samolotów. Stukasy, które niegdyś siały grozę, spadając z wyciem syren na swoje ofiary, teraz okazały się zbyt wolne, mało zwrotne i trudne w pilotażu, by Luftwaffe mogła z nich zrobić użytek. Na potrzeby dwójki uciekinierów jedna z tych maszyn była w zupełności wystarczająca.

Otworzyli osłony, a Bruno usiadł za sterami. Długo nieuruchamiany silnik nie zaskoczył od razu. Motor dławiał się i prychał, ale wreszcie wypluł z siebie chmurę siwego dymu i zapalił. Przez chwilę chodził nierówno i obaj mieli wrażenie, że odmówi posłuszeństwa. Kiedy olej zaczął krążyć w całym

układzie, dźwięk silnika stał się równy i miarowy, co dawało nadzieję na opuszczenie lotniska.

– Wygląda dobrze – powiedział Mauer, kiedy Bruno zeskoczył ze skrzydła i pomógł mu wyjmować kliny spod kół maszyny. – Nie wierzyłem w to, panie sierżancie, ale teraz widzę, że może nam się udać.

– Mnie na pewno – odpowiedział Bruno i rąbnął mechanika w potylicę ciężkim kluczem owiniętym szmatą. Mężczyzna stracił przytomność i osunął się na trawę. Bruno sprawdził, czy żyje, a kiedy wyczuł puls, odetchnął z ulgą. W końcu nie chciał go zabić. – Wybacz mi, kolego. Nie miałem wyboru.

Ruszył biegiem do ogrodzenia, a kiedy do niego dotarł, wyciągnął cęgi i zaczął ciąć gruby drut. Spojrzał na zegarek. Dobiegała północ, a po drugiej stronie płotu nie było nikogo. Odgiął rozcięty fragment i wychylił się na zewnątrz.

Po chodniku biegła Greta, trzymając na rękach ich córeczkę.

Gdańsk, 2004 rok

– Wychodzę do Matiego. – Wiktoria założyła krótką skórzaną kurtkę i przejrzała się w lustrze. Zadowolona oceniła swoje odbicie. Magda stała w drzwiach swojego pokoju i z rozbawieniem przyglądała się młodszej siostrze, przeczuwając, co się za chwilę wydarzy.

Z kuchni wychylił się jej ojciec. Miał zakasane rękawy i naprawiał właśnie cieknące kolanko pod zlewem. Kiedy wracał z rejsu i nacieszył się rodziną, zabierał się do drobnych domowych napraw. Uszczelka pod kranem, ciekące kolanko, wyrwane ze ściany gniazdko. W awaryjnych sytuacjach jego żona wzywała fachowca, ale takie drobiazgi zostawiała Wiktorowi. On zaś bardzo je lubił – dawało mu to poczucie dbania o dom pomimo kilkutygodniowych nieobecności.

– Na pewno nie w takim makijażu. – Mężczyzna spojrział na córkę krytycznie. – Nie idziecie chyba na dyskotekę, co?

– Oj, tato! Teraz wszystkie nastolatki taki noszą.

– Nie wszystkie. Magda nie maluje się wcale albo robi to delikatnie. Masz go zmasać.

– Zmasać?! – oburzyła się dziewczyna i przybrała wojowniczą pozę. – To nie literówka w zeszyście, żebym mogła coś zmasać, tylko efekt wielu godzin pracy.

– Godzin? – Wiktor Wolski mimo powagi sytuacji roześmiał się. – Chyba raczej sekund, i to w jadącym po wertepach samochodzie. Tak nigdzie nie wyjdiesz.

Nastolatka prychnęła i obróciła się na pięcie. Z obrażoną miną pomaszzerowała do łazienki, gdzie zmyła grubą warstwę tuszu, pstrokaty cień do powiek i pomadkę, która pewnie najbardziej rzuciła się ojcu w oczy. Jak śmiał porównywać ją z Magdą, która o makijażu i współczesnych trendach nie wiedziała nic? Siedziała z nosem w książkach i uczyła się do matury i swojej wymarzonej medycyny.

– Głupia kujonka. – Wiktoria minęła starszą siostrę i pokazała jej język. – Co się gapisz?

– Może trzeba powiedzieć Matiemu, jak potrafisz się zachowywać. Ma jeszcze chłopak szansę uniknąć największej pomyłki swojego życia.

– Ty jesteś największą pomyłką życia swoich rodziców.

– Dziewczyno! – huknął Wolski z przedpokoju. Zwykle był oazą spokoju, ale w drugim tygodniu obcowania z ciągłymi kłótniami, przytykami i wyzwiskami zaczynał mieć dość. – Spokój.

Wiktoria sięgnęła po torbę i zarzuciła ją na ramię. Poprawiła włosy i spojrzała na ojca. Tym razem uzyskała milczącą akceptację. I tak zamierzała poprawić makijaż w autobusie.

– Będę jak zwykle – rzuciła, wychodząc z domu.

– Zwariować można z tymi babami – mruknął Wiktor Wolski i wrócił do naprawiania hydrauliki.

– Wolałbyś mieć syna? – Magda wyrosła niespodziewanie za jego plecami. Wstawiła wodę w czajniku i wrzuciła torebkę herbaty do dużego kubka.

– Nie. Kocham was bardzo i nie zamieniłbym się na syna. Tylko czasami jestem zmęczony. – Wytarł ręce w ścierkę i spojrział na córkę. Nie wiadomo, kiedy stała się dorosłą kobietą. Wprawdzie rozłąka z rodziną była wpisana w zawód marynarza, ale ostatnio miał wrażenie, że tam, na morzu, czas przyspieszał i uciekał między palcami. – Nie zrozum mnie źle, zawsze byłem dumny ze swoich córek i nadal tak jest. Po prostu czasami wydaje mi się, że nie potrafię dotrzeć do Wiki.

– Chyba nikt nie potrafi. To taki wiek.

– Ty jakoś przesłaś przez niego spokojniej. A Wiktoria to prawdziwa furiatka. Charakterek to ona ma po Kamińskich, bez dwóch zdań. Jedno niewłaściwe słowo i wybucha jak beczka prochu. Mamy czasami młodych chłopaków na stażu i wydaje się, że z nimi jest łatwiej.

– Pewnie jest. Mężczyźni rozwijają się do szóstego roku życia. Potem tylko rosną.

– Ej! Nie wymądrzaj się. To, że chcesz iść na medycynę, jeszcze nic nie oznacza. Lepiej zrób mi herbatę.

Magda roześmiała się, ale rozumiała rozterki ojca. Wiktoria zawsze była temperamentna, ale

ostatnio przechodziła samą siebie. Stała się drażliwa, wybuchowa i w jej życiu liczyła się tylko jedna osoba. Mateusz. Mati. Mat. Magda miała po dziurki w nosie wszystkich odmian tego imienia. Młodsza siostra opowiadała o swoim chłopaku non stop, godzinami rozmawiała przez telefon albo spędzała czas u niego. Rzadziej przyprawiała Mateusza do domu Wolskich, szczególnie kiedy ojciec był w domu. Wyczuwało się wtedy pewne napięcie i skrępowanie.

Magda widziała chłopaka Wiktorii tylko kilka razy. Sprawiał wrażenie sympatycznego, ale ona szybko przekonała się, że to tylko poza. Był zarozumiały i rozwydrzony, ale najwyraźniej Wiki dostrzegała w nim coś innego. Opowiadała, że pochodził z zamożnego domu. Rodzice mieli wobec niego wysokie wymagania, ale dawali mu też dużo swobody. Często wyjeżdżali w delegacje lub na zagraniczne wczasy, a wtedy Mateusz zostawał sam. To dlatego Wikтория wołała spotykać się z nim w jego domu, jednak nie przyznawała się do tego rodzicom. Wiedziała, że wtedy nie puściliby jej do Mateusza. Magda odkryła prawdę trochę przypadkiem, ale nic nie powiedziała. Gdyby puściła parę z ust, zrobiłaby z Wiktorii swojego największego wroga.

Próbowała kilka razy rozmawiać z młodszą siostrą, uświadamiać ją i hamować, ale Wikтория pozostawała głucha na jej argumenty. Najczęściej obrażała się już na samym początku rozmowy. Magda nie mogła jednak odmówić jej zaangażowania w ten związek.

* * *

– Ty piszesz wiersze?

– Co? Nie! – Wikтория speszona nakryła rękoma stos zagryzmołonych kartek, ale Magda swoje widziała. – Nie umiesz pukać?

– Ciężko usłyszeć pukanie w słuchawkach – odpowiedziała z uśmiechem. Nie chciała drażnić siostry, widząc, że ta sytuacja ją krępuje. – A pisanie wierszy to nic złego.

Przez chwilę Wikтория spoglądała na nią podejrzliwie, węsząc podstęp. Ale kiedy nic takiego nie nastąpiło, westchnęła i zdjęła dłonie z zapisanych kartek.

– Tylko że ja nie potrafię tego robić...

– Pokaż. – Magda ostrożnie zbliżyła się do biurka i przejrzała zapiski. – „Jakich wiele” zamień na „przyjaciele” i ta zwrotka będzie super.

Wiki wprowadziła poprawkę i przeczytała wiersz jeszcze raz. Magda zasugerowała jeszcze kilka zmian i po kwadransie powstał bardzo zgrabny wiersz, który spokojnie mógłby wygrać szkolny konkurs poezji.

– Dzięki, sis! – Wiki cmoknęła siostrę w policzek. Taki gest zdarzał się bardzo rzadko, więc naprawdę musiała być wdzięczna.

Magda z przyjemnością i zaciekawieniem obserwowała, jak Wikтория się zmieniała. Powoli przestawała być skaczącą po drzewach chłopczycą z obtartymi kolanami, a stawała się kobieca i delikatna. Co prawda wciąż jeszcze miała ognisty temperament i nikt nie oczekiwał, że to się zmieni, a jednak z dnia na dzień ewoluowała w zupełnie inną osobę. Kilka razy przyszła po Magdę na uczelnię, by po wykładach przeciągnąć ją po sklepach w poszukiwaniu idealnej sukienki na urodziny Mateusza, wyjście na miasto czy zrobić coś razem zupełnie bez okazji.

Magda żałowała, że teraz, kiedy układało się jej z siostrą lepiej niż kiedykolwiek, musiała tak dużo czasu przeznaczać na naukę. Pierwszy rok medycyny był dla niej koszmarnie trudny i czasami miała wrażenie, że nic innego niż nauka nie istnieje w jej życiu.

Po latach wyrzucała sobie, że przez naukę przegapiła coś jeszcze. Coś o wiele ważniejszego.

* * *

– Wika, otwórz! Ile można siedzieć w łazience? – Starsza z sióstr załomotała w drzwi. – Siku mi się chce.

Nie doczekała się odpowiedzi, ale wyraźnie słyszała za drzwiami jakieś poruszenie. Rodziców akurat nie było w domu. Pojechali w odwiedziny do dziadka Edka i przy okazji chcieli zrobić mu jakieś większe zakupy spożywcze. Kiedy Magda wróciła z zajęć, w całym domu było ciemno. Paliło się tylko światło w łazience.

– Co ty tam, do cholery, robisz?

Była zmęczona i nie miała ochoty kłócić się z Wiką. Znała jej bzika na punkcie makijażu i wiedziała, że siostra mogłaby siedzieć przed lustrem godzinami. Był tylko jeden sposób, by dostać się do łazienki.

Sięgnęła po brelok od kluczy. Był płaski i doskonale pasował do szczeliny w zamku drzwi łazienkowych. Przekręciła i zapadka ustąpiła. Magda rzuciła klucze na komodę w przedpokoju i wściekła wparowała do łazienki. To, co zobaczyła, sprawiło, że stanęła jak wryta.

Wiktorija stała przed umywalką, wypełnioną po brzegi jej długimi jasnymi włosami. Te na głowie były obcięte nierówno i krótko, niemal przy samej skórze. W kilku miejscach nożyczki zostawiły płytkie rany. Nastolatka miała rozmazane od płaczu oczy, ale najgorsze były ręce. Wiktorija ponacinała sobie przedramiona. Tym razem ostrza nożyczek pocięły skórę głębiej niż na głowie. Na szczęście nie na tyle głęboko, by przeciąć żyły.

– Jezus Maria, Wiktorija! Coś ty narobiła?! – Magda przypadła do siostry i wyrwała jej nożyczki z ręki. Wykrzywiona płaczem i emocjami twarz przypominała maskę. Pełną bólu, cierpienia i strachu. – Co się stało?

Wiktorija milczała. Wylała łzy, rozcierając tusz po całym policzku.

– Coś z Matim? Mów do mnie, Wiki.

Siostra nie odpowiedziała, lecz rozsłochała się, opierając dłońmi o umywalkę. Magda przytuliła ją, pomimo oporu, jaki stawiała Wiktorija. W końcu poddała się i długo płakała wtulona w ciepły sweter starszej siostry.

Przez następną godzinę Magda zajmowała się nią jak małym dzieckiem. Opatrzyła jej rany, ubrała ją w piżamę i szlafrok, a potem przygotowała gorące kakao. Szybko wysprzątała całą łazienkę. Cały czas nie spuszczała oka z Wiktorii, bojąc się, że znów zrobi sobie krzywdę. Najbardziej jednak martwił ją stupor, w jaki wpadła siostra. Nic nie mówiła, miała nieobecny wzrok, a dłonie jej drżały.

– Co się stało? Dlaczego to zrobiłaś? – zaczęła ostrożnie.

Po spuchniętej twarzy Wiktorii popłynęły łzy. Przez długą chwilę siedziały w milczeniu, każda pochłonięta swoimi myślami. Obie rozważały, co powinny zrobić. Pierwsza odezwała się Wiktorija. Głos miała zachrypnięty od płaczu.

– Zerwaliśmy.

– Wiem, że...

– Nie! Nic nie wiesz, do cholery!

Nic więcej nie była w stanie powiedzieć, bo szloch wstrząsnął jej ciałem. Magda przytuliła ją i tym razem dziewczyna poddała się temu bez protestów.

– O rany, przykro mi – powiedziała, głaszcząc ją po krótko ostrzyżonych włosach. – Chcesz o tym pogadać?

Wiktorija pokręciła głową, więc Magda nie drażyła.

– Wiesz, że nie znam się za bardzo na związkach i pewnie moje zdanie nie ma tutaj znaczenia. Teraz wydaje ci się, że to koniec świata, ale zapewniam cię, że tak nie jest. Wiesz, ile osób przeżywa właśnie zawód miłosny? Całe mnóstwo, ale życie trwa dalej. Spotkasz jeszcze na swojej drodze tego jedyne.

Młodsza z sióstr nie odpowiedziała, zaszuchana w spokojny, kojący ton Magdy. Pozwoliła też odwinąć bandażę i obejrzeć rany, które na szczęście okazały się powierzchowne i przypominały raczej głębokie zadrapania.

– Rodzice i tak zobaczą, w jakim jesteś stanie. Najlepiej, jak sama im wszystko opowiesz.

Została z Wiktorią tak długo, aż ta zasnęła. Potem wzięła notatki z wykładów i zaczęła się uczyć. Nie miała wyjścia. Na jutrzejszym kolokwium nikogo nie obeszłyby wydarzenia w domu Wolskich. Nawet nie wiedziała, kiedy zmorzył ją sen. Rano obudził ją dźwięk młynka do kawy. Zerwała się, bo Wiktorii nie było w łóżku. Spanikowana wybiegła z pokoju, ale nastolatka siedziała przy stole kuchennym ze spuszczonego wzrokiem i haładą zużytych chusteczek higienicznych. Rodzice rozmawiali z nią przyciszonymi głosami, więc wycofała się do pokoju. Zebrała swoje rzeczy i poszła się wykapać. Od poprzedniego wieczora nawet nie umyła zębów.

– Już się ogarnęłam. – Wiktoria zajrzała do jej pokoju, kiedy Magda chodziła po nim z turbanem z ręcznika na głowie. – Dzięki za wczoraj.
– Powiedziałaś rodzicom?
– Tak.
– O wszystkim? – Magda wymownie spojrzała na długie rękawy bluzy z kapturem.
– Tyle, ile trzeba.
– Myślę, że powinnaś...
– Wiem, co powinnam – ucięła ostrym głosem. Przez chwilę siostry mierzyły się spojrzeniami. – Nie musisz się martwić. Nie zabiję się przez tego dupka.
* * *

Na krótki czas Wiktoria wróciła do swojego wizerunku chłopczycy, ale później skrzyła w zupełnie nieoczekiwanym kierunku. Kupiła glany, czerwone džinsy i nabijaną ćwiekami kurtkę. Pofarbowała krótkie włosy na zielono, ale ten kolor zmieniał się regularnie. W głośnikach wiekowego zestawu stereo zaczął królować punk.

Magda pamiętała punków ze swojego dzieciństwa. Chodzili w glanach, kolorowych spodniach, a na głowie nosili irokezy. Pamiętała bitwy ze skinheadami, które toczyły się na jej osiedlu. Niejeden chłopak wracał do domu z rozkwaszonym nosem lub limem pod okiem. Tyle że to było dawno temu i trwała w przekonaniu, że ta subkultura odeszła już do lamusa.

Tym bardziej zdziwiła się, słysząc puszczone w kółko utwór zespołu Brudne Dzieci Sida.
Benia, biedna Benia, już opinii dobrej nie ma

Trąbi cała jej dzielnica, że to kurwa, ladacznica:

„Pani słyszy?! Toż ta Beńka wstydu nie ma!”

Beni starzy na to: „Wypierdalaj z domu szmato!”

Krzywo patrzą się sąsiedzi i nie chodzisz do spowiedzi

Wypierdalaj i nie wracaj!” – mówi tato⁵⁰

– Po co się tym katujesz? – Magda zajrzała do pokoju Wiktorii i przeżyła szok. Pomieszczenie nie przypominało już tego, które znała z czasów, gdy zamieszkiwały je wspólnie. Wiktoria wyrzuciła wszystko, co kojarzyło się z delikatną kobiecą naturą. Ze ścian zniknęły umieszczone w antyramach fotografie z Mateuszem, a zastąpiły je zdjęcia z punkowych koncertów. Magda zdołała się dowiedzieć jedynie tyle, że w szkole jest niewielka grupka punków. Widocznie to był grunt, na który padło ziarno rozpacz, rozsiane po zerwaniu z Mateuszem.

– A co, zabronisz mi? – odburknęła dziewczyna, zgarniając swoje rzeczy do torby z naszywką „Punks Not Dead”. Włosy Wiktorii odrastały, ale regularnie goliła je po bokach, formując zielonego irokeza. – Widać mam swoje powody.

Magda chciała jeszcze coś powiedzieć, ale siostra demonstracyjnie pogłośniła grające stereo. Piosenka powtarzała się tak często, że starsza z sióstr Wolskich zaczynała rozpoznawać niektóre zwrotki nawet przez ścianę. A refren znała na pamięć i w kontekście tego, co się wydarzyło, bardzo ją niepokoił.

Miłość piękna jest

Każdy o tym wie

Ale czasem gorsza jest niż śmierć⁵¹

Wiktoria wyciągnęła spod łóżka glany, założyła je i zaczęła sznurować, zupełnie nie przejmując

się obecnością siostry. W sięgających do łydek butach, podartych rajstopach, na które naciągnęła czarne spodenki, i koszulce z emblematem Dezertera trudno było rozpoznać w niej dziewczynę, którą była jeszcze trzy miesiące wcześniej.

Kiedy po kilku latach Magda myślała o tamtych wydarzeniach, stwierdzenie Jakuba Gawrona wydawało się idealnie odzwierciedlać to, co się wtedy działo.

Wiktoria Wolska się przepoczwarzała.

Anglia, kwiecień 1945 roku

Teodor Bury-Steinke był rozgoryczony i zły. Wciąż nie mógł znieść myśli, że cała wojenna machina, pieczołowicie budowana przez aliantów, ruszyła z impetem na Rzeszę, a on latał na tyłach, dostarczając samoloty i zaopatrzenie. Oczywiście, ktoś musiał stanowić zaplecze tej ogromnej armii i Teo rozumiał to doskonale. Ogarniała go jednak wściekłość, kiedy pomyślał, że lada chwila mógłby zacząć rąbać Niemców na ich własnym terytorium. Z wielką chęcią puściłby z dymem kilka samolotów, a kto wie, może nawet rozwaliby kilku zwyczajnych szwabów. W końcu to dzięki nim ten wąsaty wariat doszedł do władzy i rozpętał prawdziwe piekło, które zabrało wszystko, co Teodor kochał. W jego oczach każdy Niemiec był tak samo winny. Liczył, że alianci obrócą ten kraj w perzynę, a przy okazji zrobią porządek z przekłętymi hitlerowcami.

– Blackbury! – Angielski podoficer RAF zajrzał do kantyny i wyszukał wzrokiem Teodora, który miał jeszcze dwie godziny do wylotu. Śmiertelną nudę zabijał graniem w pokera z kilkoma innymi lotnikami oczekującymi na swoje loty. – Kapitan Orchard chce cię zobaczyć.

– A co ja zrobiłem?

– Nie wiem, co, do cholery, zrobiłeś, a czego nie. Kazali mi cię wezwać.

Teo dźwignął się ciężko i dopił resztę rozwodnionego piwa, które przemycił pod kombinezonem. Orchard był jeszcze większym nudziarzem niż reszta Brytyjczyków i Teo podejrzewał, że może nie przeżyć długiego wykładu dotyczącego procedur, a w szczególności ich zaniechania lub przekroczenia, czego się często dopuszczał.

– *Flight sergeant*⁵² Bury, niech pan siada. – Oficer poprawił okulary, a Teodor skrzywił się, słysząc po raz kolejny rangę, której nie znośił.

Po zestrzeleniu dowódcy został zdegradowany do stopnia *corporal*, ale ostatnio dowództwo Royal Auxiliary Air Force spoglądało na niego przyjaźniejszym okiem i najwyraźniej wybaczyło mu dawne winy. Awansował do rangi sierżanta, potem starszego sierżanta. Gdyby nie to, że miesiąc wcześniej pobił się z szeregowcem z obsługi naziemnej, pewnie byłby już kolejny stopień lub dwa wyżej. Czyli wrócił do punktu wyjścia. Odsunął krzesło ze zgrzytem i opadł na nie ciężko.

– Mam dla pana nowe rozkazy. Za godzinę popilotuje pan dakotę i polecisz z ładunkiem do Kolonii.

– Do Kolonii? – Teodor ożywił się. Do tej pory przetrzącał sprzęt i żołnierzy tylko do Francji.

– Tak. Z lotniska przejmie pana oficer wywiadu i zabierze na spotkanie.

– Oficer wywiadu? Na jakie spotkanie?

– Nic więcej nie wiem. Dzwonił przed chwilą sam generał Millward, więc wierzę, że sprawa jest niezwyklej wagi.

Trzy kwadranse później Teodor siedział za sterami samolotu transportowego Douglas C-47, znanego jako Dakota. Choć największym uczuciem darzył samoloty myśliwskie, to ta maszyna również przypadła mu do gustu. Była praktyczna, łatwa w pilotażu i niezawodna. Przywitał się z drugim pilotem, którym okazał się małomówny Amerykanin. Odpowiadało to Teodorowi, który myślami dawno był na lotnisku w Kolonii. Zastanawiał się, czego mógł chcieć od niego brytyjski wywiad. Być może w jakiś sposób dowiedzieli się, że mówi płynnie po niemiecku, i potrzebowali tłumaczy? I co miał z tym wspólnego jego teść?

Wystartowali wczesnym popołudniem i od razu skierowali maszynę na Ipswich. Pomimo niezbyt sprzyjającej pogody dakota leciała pewnie i szybko osiągnęła zamierzoną wysokość. Gęste chmury rozwiały się dopiero nad Rotterdamem, a kiedy na wysokości Eindhoven zaczęli obniżać lot, Teodor uświadomił sobie, że po raz pierwszy przekroczy granicę Rzeszy. Czy raczej tego, co z niej zostało.

Nad Holandią latał już wcześniej, pilotując samoloty transportowe biorące udział w zrzutach żywności. W zimie ten kraj został odcięty od dostaw żywności, a między żołnierzami alianckimi krążyły

opowieści o straszliwym głodzie, jaki dotknął mieszkańców.

– Patrz tam. – Drugi pilot wskazał palcem na horyzont, na którym wyraźnie rysowały się smugi dymu. – Linia frontu za Renem.

– Jak daleko zamierzają dojść nasze wojska? Do Polski?

– To już chyba niemożliwe. Sowietci okrążyli Berlin i od kilku dni go szturmują. Podobno Adolf zaszył się w Führerbunker⁵³, ale kto wie, może jest już daleko od stolicy.

– Tchórzliwy pies, oby tam zdechł. – Teo splunął na podłogę. – Jak bolszewicy go dorwą, to pożałuje, że nie palnął sobie w łeb.

Posadzili dakotę gładko i ustawili w miejscu wskazanym przez obsługę naziemną. Zanim zdążyli opuścić samolot, do drzwi podjechała kryta brezentem terenówka, z której wysiadł żołnierz z wąsikami. Był postawny i nosił zawadiacko przekrzywiony beret. Nie tak Teodor wyobrażał sobie szpiega.

– Porucznik Holmes – przedstawił się z mocnym uściskiem ręki. Rozpoznał polskiego pilota bezbłędnie. – Mam rozkaz zawieźć pana do szpitala. Po drodze przekażę wszystkie informacje i żywię nadzieję, że uzupełni pan kilka luk.

– Do szpitala? A co ja mam tam robić?

– Nie powiedziano panu? – zdziwił się oficer i na chwilę oderwał wzrok od drogi, wzdłuż której ustawione były wojskowe ciężarówki. – Odnaleźliśmy pana wuja.

* * *

W pierwszej chwili nie rozpoznał wuja Konrada. Kiedy wszedł do jasnego pomieszczenia, zaadaptowanego na salę chorych, sądził, że zaszła pomyłka. Na łóżku leżała istota, która tylko w niewielkim stopniu przypominała człowieka. Pomyślał, że ktoś położył zwłoki do wykonania sekcji, a potem one się poruszyły. Pod cienką skórą każdej z kończyn wyraźnie było widać wszystkie kości i żyły. Pozbawioną włosów czaszkę znaczyły blizny, a wielkie, zapadnięte oczy wyglądały nienaturalnie, jakby pożyczono je od znacznie większego ssaka. Choć Holmes uprzedzał go, co może zobaczyć, szok był ogromny. Z postawnego mężczyzny, jakim był niegdyś Konrad Steinke, nie została nawet ćwierć.

– Wuju – powiedział Teodor po niemiecku. Przypadł do łóżka, klęknął i ujął dłoń Konrada. Była zimna, jak u nieboszczyka. – To ja, Teo.

– Teodor? – Z gardła wychudzonego mężczyzny wydobył się chrapliwy dźwięk. – Naprawdę to ty?

– Tak, wujku. Co ci ludzie z tobą zrobili?

– Nie ludzie, synku. Potwory. – Konrad Steinke przymknął oczy, a jego kościste policzki zadrżały. – Ja przeżyłem, ale to, co widziałem, jest gorsze niż najgorszy koszmar.

W drodze Holmes opowiedział Teodorowi, jak odnaleziono jego wuja. Był więźniem obozu koncentracyjnego Buchenwald. Na początku kwietnia jakiś Polak zbudował w warunkach obozowych radiostację, przez którą wezwał na pomoc Amerykanów. Podobno to, co za drutem kolczastym zastała Trzecia Armia, nie mieściło się w głowach ani zwykłych żołnierzy, ani starszych stopniem oficerów. Teodor był w stanie sobie wyobrazić, do jakich rzeczy mogli posunąć się naziści, ale to, co opowiadał Holmes, było wręcz niewiarygodne. A jednak widział to, co zostało z jego wuja.

Kiedy Konrad Steinke odnalazł mówiącego po niemiecku oficera, poprosił, aby odnalazł Teodora. Amerykański żołnierz nie był w stanie odmówić być może ostatniej prośbie tego zagłodzonego niemal na śmierć mężczyzny. Odnalezienie służącego w RAF bratanka, który wprawdzie nie zapisał się złotymi zgłoskami, ale za to wyraźnymi, nie nastęczało większych trudności. Nie amerykańskiemu wywiadowi.

– Zatrościmy się o ciebie. Teraz będzie już tylko lepiej. Widziałeś moich rodziców? Wiesz coś o nich?

Konrad westchnął i poczekał, aż jego oddech się uspokoi.

– Byli tam, kiedy przywieziono mnie do Buchenwaldu, ale szybko skierowano mnie do innego komanda...

– Może udało im się przeżyć, jak tobie? Muszę ich odnaleźć, a ci Amerykanie na pewno będą wiedzieli coś więcej.

– Teo, oni nie żyją – powiedział szeptem były więzień. Kościstą dłonią przykrył oczy i rozplakał się jak dziecko. – Ich komanda zlikwidowano.

– Ktoś musiał przeżyć! Uciec, ukryć się. Niemożliwe, by zlikwidowano wszystkich.

– Nie rozumiesz. Ty nic nie rozumiesz, Teo. Jest słowo, którym określało się pozbywanie się szkodników. Eksterminacja. Nie sądziłem, że dożyję czasów, kiedy będzie używano go w stosunku do ludzi. Widziałem stopy ciał wysokie jak dom, masowe egzekucje i potworności, o których się tobie nie śniło.

– Ale moi rodzice...

Koścista dłoń wuja spoczęła na dobrze odżywionej ręce Teodora. Kontrast był tak uderzający, że młodszy z mężczyzn aż się wzdrygnął.

– Twoi rodzice nie żyją, chłopcze. Widziałem, jak zabierali ich na ostatni spacer. Tak w obozie określaliśmy marsz do komór gazowych. Twój ojciec poszedł tam za matką i to był ostatni raz, kiedy ich widziałem. Stamtąd nie wracał nikt.

– Nie. Nie wierzę...

Nagle w pomieszczeniu zrobiło się duszno, a Teodor poczuł, że coś, co trudno było nazwać, chwyciło go za gardło. Wyszedł przed szpital i trzęsącymi się rękoma wydobyl papierosa, którego z trudem udało mu się zapalić. Wszędzie wokół pełno było amerykańskich żołnierzy i personelu medycznego. Łapczywie zaciągnął się dymem, ale nie poczuł ulgi. Pomyślał, że gdyby miał teraz przed sobą niemieckiego żołnierza, udusiłby go gołymi rękoma. A może nawet cywila. Zagoniłby tych pieprzonych nazistów do komór gazowych i...

– W porządku, kolego? – Holmes klepnął go w ramię, a Teodor podskoczył, gwałtownie wyrwany ze swoich ponurych myśli.

– Piekielnie daleko od „w porządku”.

– To straszne, co spotkało pana rodziców, ale chociaż wujowi udało się przeżyć. Nie wszystkie rodziny miały tyle, proszę wybaczyć niefortunne słowo, szczęścia. Niektóre zlikwidowano całe, do ostatniego członka.

Teodor przytaknął bez słowa. Wyciągnął zmiętą paczkę papierosów i poczęstował Amerykanina, ale ten odmówił.

– Mam dla pana depezę z dowództwa. – Holmes wręczył złożoną na cztery kartkę. Kiedy Teo rozwinął papier, odczytał rozkaz powrotu i skrzywił się. Oficer wywiadu wychwycił to i zrozumiał w lot.

– Niech się pan pójdzie pożegnać z wujem, a potem odwiozę pana na lotnisko. I jeszcze jedno. Proszę przygotować się na rozmowę z przełożonymi w sprawie pana niemieckich korzeni. Zwycięstwa w powietrzu mogą nie wystarczyć przed sądem wojennym za szpiegostwo.

Teodor podziękował skinieniem głowy. Wrócił do szpitala, w którym roilo się od rannych żołnierzy i zabieranego personelu. W kilku susach pokonał schody i wszedł do sali chorych. Stał jak wryty na widok lekarza, który nakrywał Konrada Steinke prześcieradłem. Na straszliwie wychudzonej twarzy wuja malowały się spokój i ulga.

– Przykro mi, odszedł chwilę temu. Organizm był zbyt wycieńczony. Nie dało się go uratować.

– Co? Nie może pan czegoś zrobić? Dlaczego go nie reanimujecie?!

– Bo to nie przynosi skutku. Ciała byłych więźniów obozów koncentracyjnych nie funkcjonują tak jak pana czy moje. Są po prostu ekstremalnie zniszczone, a kiedy serce stanie, to nic nie jest w stanie zmusić go do ponownej pracy. Jeśli potrzebuje pan...

– Niczego nie potrzebuję – powiedział głuchym głosem Teodor. Po raz ostatni spojrzął na oblicze wuja i wyszedł.

Przez całą drogę na lotnisko i lot do Calais, w którego okolicach zorganizowano punkt przerzutowy samolotów i innego sprzętu, targały nim sprzeczne emocje. Niemal w jednej chwili stracił wszystkich swoich bliskich, co do których miał nadzieję, że żyją. Dopiero bliżej celu zaczął rozróżniać w ciemności pojedyncze kontury, aż wreszcie zobaczył światła pasa startowego, kiedy samolot szukał ścieżki podejścia. Na wschodzie niebo robiło się granatowe, za jakąś godzinę miało zacząć świtać. Kiedy samolot przyziemił, wysiadł z niego i postanowił, że pójdzie prosto do kasyna. Musiał się napić. Rozpaczliwie potrzebował alkoholu. Ruszył wzdłuż pasa zieleni, na którym równo poustawiane były

alianckie maszyny. Kilka z nich miało uruchomione silniki, a ich basowy pomruk działał na niego kojąco.

– To nasz lotnik? – usłyszał znajomy głos w rodzimym języku.

– A niech mnie kule biją, przecież to pan Teo! – Kazimierz Friedman klepnął dłonią o udo. – Odpalaj tę maszynę, Władziu.

Pomocnik mechanika zakrzętnął się przy samolocie, który zdążył już urosnąć do rangi legendy, i chwilę później P-51 mustang dołączył do chóru pomrukujących maszyn. Mechanicy podeszli, by się przywitać, i mocno uścisnęli polskiego pilota.

– Wojna ma się ku końcowi i z pomocą Najświętszej Paniarki jakoś udało się nam ją przeżyć. – Friedman przeżegnał się zamazyście. Obejrzał się przez ramię i zobaczył zbliżającego się amerykańskiego lotnika. Chłopak mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat. Wskazał na niego ruchem głowy.

– Pan też na front? Będziecie wymiatać to, co zostało szwabom?

– Chciałbym, ale mi nie dają.

– Słyszeliśmy co nieco – powiedział Władek. – Głupi zbieg okoliczności, prawda, panie Bury?

Zanim Teodor zdążył odpowiedzieć, Kazimierz Friedman podszedł do lotnika, który mocował się z uprzężą spadochronu.

– Daj to, sieroto nieboża. – Chwycił za klamry i sprawnie zaczął wpinać je na miejsca. – Patrz, jak to się robi.

Od razu widać było, że pilot jest nowicjuszem, chociaż takie spadochrony musiał zapinać dziesiątki razy. Możliwe, że chłopak miał przed sobą pierwszy nocny lot, a może paraliżowała go świadomość, że mógł spotkać Niemców po raz pierwszy w swoim życiu. Luftwaffe broniła się resztkami sił, ale wciąż miała ostre pazury. Teo pomyślał, że to niewybaczalne marnotrawstwo, by wsadzać żółtodziobów do takich maszyn. Mógł się założyć o wszystko, że ten tu zostanie zrąbany przez pierwszego napotkanego messerschmitta.

Usłyszeli odległy warkot samolotu, ale nikt oprócz Teodora nie zwrócił na niego uwagi. Nad Calais latało ostatnio mnóstwo alianckich maszyn, a on znał dźwięk silników ich wszystkich. Tyle że ten na pewno nie należał do żadnego z nich.

– Co, do diabła? – Wytężył wzrok i dopiero po chwili na tle ciemnego, lecz już nie czarnego nieba dostrzegł sylwetkę, której nie mógł pomylić z niczym innym.

W trzech susach dopadł do skrzydła i wskoczył na nie wyćwiczonym ruchem. Amerykanin był już jedną nogą w kabinie, ale wystarczyło pociągnąć go za uprzęż, by stoczył się do tyłu po skrzydle i upadł na trawę.

– To szkop! – krzyknął Teodor do Friedmana i jego pomocnika. – Wykopcie kliny!

– Hej, to mój samolot! – Obciążony spadochronem Amerykanin próbował podnieść się i wdrapać na skrzydło, jednak szło mu to niezgrabnie. – Złaź!

– *Fuck off!*

Zatrzymał się na widok wycelowanej w niego lufy pistoletu. Polscy mechanicy wykonali polecenie Teodora. Co prawda nie do końca wierzyli w te wszystkie straszliwe historie, jakie o nim opowiadano, ale nie zamierzali dyskutować z wyciągniętym zza pazuchy lugerem.

Teo zajął miejsce za sterami i zaciągnął osłonę kabiny. Chwilę później silnik mustanga wszedł na pełne obroty, a maszyna zaczęła rozpędzać się po pasie startowym. Z lekkością wzbijała się w powietrze i od razu skręciła w stronę kanału.

Lecący w oddali samolot nie był dla Teodora żadnym przeciwnikiem, obojętnie, kto go pilotował. Wolna, niezgrabna maszyna rosła w oczach, a nie zdążył jeszcze nabrać pełnej prędkości. Nie mógł darować Niemcowi życia. Nie po tym, co się dzisiaj stało. Dostał prezent od losu. Być może była to ostatnia okazja, by dokonać zemsty na nieprzyjacielu, zanim ci durni politycy nie zaczną się dogadywać. Na razie byli z Niemcami w stanie wojny i zamierzał to wykorzystać.

Wzbił się na większą wysokość i odczekał, aż wlecą głęboko nad angielską ziemię. Nie miał zamiaru strącać szwaba do wody. Istniało ryzyko, że jakiś kuter rybacki albo inna jednostka dostrzeże spadochroniarza i uratuje go przed pewną śmiercią. To pozbawiłoby go całej przyjemności, jaką niosła ze sobą zemsta. Samolot machał skrzydłami i nie manewrował, co mogło być oznaką poddania się, ale

Teodor to zignorował. Oddał krótką serię, starając się trafić w ogon. W sytuacji gdy przeciwnik nie bronił się, było to dziecinnie łatwe. Posłał jeszcze kilka serii, starając się zmusić pilota do lądowania.

Samolot zaczął opadać i ciągnąć za sobą wstęgę dymu dopiero wtedy, gdy został trafiony w silnik. Teo poprawił lugera za pasem i podążył jego śladem.

Bombowiec nurkujący Junkers Ju 87 Stuka, pomimo uszkodzeń kadłuba i silnika jakoś przyziemił, żłobiąc głęboki ślad w błocie. Przejechał w nim dobre kilkadziesiąt metrów i zatrzymał się w bagnie, które powoli pochłaniało jego pogięty dziób. Krzywe śmigła wyglądały upiornie, podobne wrażenie robiło podziurawione kulami poszycie. Dziecko, tulone przez siedzącą na tylnym fotelu matkę, zakwiliło cicho. Daleko za nimi, na twardym podłożu, wylądował amerykański myśliwiec. Jego pilot odsunął osłonę i zeskoczył ze skrzydła.

Bruno stęknął i przytknął rękę do jednej z licznych ran. Krwawił obficie. Kiedy samolot zarył dziobem w ziemię, on uderzył głową w osłonę kabiny, a jeden z drążków przebił mu brzuch. Ból niemal pozbawił go przytomności. Spod żeber, dużej rany na głowie i rozciętego łuku brwiowego obficie lała się krew. Czuł, jak wsiąka w ubranie i zalewa mu oczy. Wytarł twarz wierzchem rękawa i odpiął pasy. Kręciło mu się w głowie, a świat wokół był nieostry. Dźwignął się z fotela i z największym trudem otworzyłabinę. Krzyknął, kiedy paraliżujący ból przeszył jego ciało. Miał nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone. Po drugiej stronie trzęsawiska znajdował się las, który mógł ocalić im życie.

– Gretchen, żyjesz? – spytał, gramoląc się na zewnątrz. Nie usłyszał odpowiedzi, ale miał nadzieję, że jego żona jest jedynie oszołomiona, a w najgorszym razie nieprzytomna. – Greto?

Wyszedł z kabiny i pośliznął się na mokrym skrzydle. Tylko cudem utrzymał równowagę. Dziura w brzuchu paliła żywym ogniem i wylewał się z niej strumień ciemnej, niemal czarnej krwi. Nogi miał miękkie jak z waty. Podniósł się i spróbował otworzyć tylną osłonę, ale w tym stanie okazało się to niemożliwe. Była zbyt ciężka, może nawet zablokowana podczas uderzenia. Przez brudną szybę widział żonę, której głowa opadła na pierś.

– Greto, obudź się! – Uderzył pięścią w szkło, ale jego żona nie poruszyła się. – Gretchen!

Mała Klara, zakutana w grube zimowe ubrania, wierciła się niespokojnie i to zmotywowało go do działania. Nie zważając na ból, szarpnął za kabinę, ale zaledwie ją uchylił.

– *Scheiße!* – zaklął i spróbował jeszcze raz, ale bez efektu. Nie zważając na ból, znów szarpnął, by sprawdzić puls Grety, jednak była za daleko. Dotknął córeczki, a Klara złapała jego palec swoją małą dłonią, osłoniętą rękawiczką. Musiał otworzyć tę cholerną puszkę!

Resztką pozostałych mu sił napał na zaciętą osłonę. W odbiciu szkła zobaczył zbliżającego się nieprzyjaciela. Nie widział Brytyjczyka wyraźnie, a jedynie kontur na tle jaśniejszego nieba. Raz po raz krew zalewała mu oczy, a świat wciąż był nieostry po zderzeniu z ziemią.

Pilot szedł wolnym krokiem. W ręce trzymał pistolet, którego lufa swobodnie się kołysała. Bruno chciał zejść i porozumieć się ze zbliżającym się pilotem, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Niemal bezwładnie zsunął się ze skrzydła, zostawiając na nim brunatną smugę.

Zrozumiał, że to koniec. Podniósł rękę do góry w geście poddania.

Być może aliancki pilot chciał wziąć go do niewoli, ale najpewniej miał do załatwienia jakieś porachunki. Nie dziwiło to Brunona. Wielu Anglików, Amerykanów i Polaków straciło w walce z siłami Luftwaffe swoich kolegów, braci, synów i ojców. Upadł na kolana, czując, jak zimna woda przesiąka przez spodnie i bieliznę. Nie miał siły wstać, nie miał jej nawet, by sięgnąć po pistolet. Opuścił ręce, nie mogąc dłużej trzymać ich w górze. Liczył na to, że przeciwnik widział jego gest.

Wytarł krew z czoła i klęknął, opierając się łokciami o krawędź skrzydła.

– Ojciec nasz, któryś jest w niebie. Świeć się imię Twoje... – Zakaszła i wypluł ślinę zmieszaną z krwią.

Pilot, który go zestrzelił, był coraz bliżej. Słyszał mlaskanie jego butów w błotnistym podłożu. Bruno modlił się, by okazał litość. Jeśli nie jemu, to jego rodzinie. Dla niego i tak było już za późno.

– *Dein Reich komme. Dein Wille geschehe, wie im Himmel so auf Erden*⁵⁴ – kontynuował modlitwę po niemiecku. Języki zaczynały zlewać się w jeden. Przecież Bóg i tak zrozumie, i wierzył, że spełni jego ostatnią prośbę.

Łapczywie zaczerpnął haust wilgotnego powietrza. W płucach zaczynało mu brakować tchu. Oddech stał się płytki, a przed oczami zatańczyły mroczki. Razem z krwią wypływało z niego życie.

Obejrzał się i poczuł, jak skurcz ściska mu żołądek. W jednej z bocznych szybek kabiny zobaczył główkę Klary. Wyraźnie widział jej wielkie, niebieskie oczy i niesforny lok, który wymknął się spod czapki. Dziewczynka ssła swój ukochany smoczek i ciągnęła za szalik swojej matki.

– Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj; i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom – wyszeptał.

Żałował, że tak wiele rzeczy go ominie. To, jak Klara będzie dorastała, jak z małego dziecka stanie się pełną werwy dziewczynką, jak odkryje i rozwinie swoje pasje, jak zacznie oglądać się za chłopcami. Jak stanie na ślubnym kobiercu, jak poda mu na ręce swoje pierwsze dziecko. To, jak zestarzeją się z Gretą. Nieważne gdzie, nieważne jak, ważne, że razem. Wojna dobiegała końca i gdyby nie spieszył sprawy, mógłby zobaczyć to wszystko. Czekał zbyt długo, by mieli szansę. Przeżyli tak wiele, a teraz, kiedy na horyzoncie majaczyło lepsze jutro, on umierał.

– *Und führe uns nicht in Versuchung, sondern erlöse uns von dem Bösen*⁵⁵.

Śmierć nadchodziła powoli, ale była już blisko. Wyraźnie czuł jej chłodny oddech. Za plecami usłyszał chlupot wody pod ciężkimi buciorami Brytyjczyka. Nie było sensu się oglądać. Jego los i tak już od niego nie zależał. Miał nadzieję, że ten człowiek zrobi to, co każdy przyzwoity na jego miejscu powinien.

Pilot RAF nie spieszył się. Najwyraźniej napawał się tą chwilą triumfu i Bruno nie mógł mieć mu tego za złe, choć uważał, że żołnierz nie powinien walczyć, bo nienawidzi przeciwnika, ale dlatego że kocha to, za co poświęca życie. Sam nigdy nie czuł nienawiści do tych po drugiej stronie.

Poprawił łokcie ześlizgujące się z mokrego od krwi skrzydła. Pod nosem urosła mu i pękła wielka, czerwona bańka. Po drugiej stronie bagna dostrzegł ruch. Zamrugał i pomiędzy drzewami zobaczył swoich rodziców. Heinrich miał na sobie swój ulubiony bordowy surdut i jasne bryczesy, a Klara piękną kremową suknię i kapelusz. Pomiedzy nimi stała Greta i uśmiechała się w ten swój ciepły sposób, który tak lubił. A więc jednak im się udało! Pomachali do niego wesoło, a Brunonowi popłynęły po policzkach łzy.

– Bo Twoje jest królestwo i potęga, i chwała na wieki – wymamrotał ostatkiem sił. Świat przed oczami dziwnie się zabarwił i pociemniał. Raz jeszcze spojrzął na las, ale zamiast niego widział ciemną plamę. Sylwetki rodziców i żony zniknęły bezpowrotnie. Usłyszał szcęk przeładowywanej broni. – Amen.

Lotnik gwałtownie ściągnął palec ze spustu lugera. Tylko dlatego, że wokół zapadła nienaturalna cisza, Teodor Bury-Steinke wyraźnie usłyszał szept, kończący modlitwę. Nie było mowy o pomyłce. Tylko jego brat akcentował „amen” w ten sposób. To było jak uderzenie pioruna. Doskoczył do Brunona i złapał go w ostatniej chwili, kiedy brat już się osuwał. Upadli do lodowatej wody.

– O Boże, Bruno! To ty? – Zapiekły go oczy, a ciepłe łzy zaczęły spływać po policzkach. – Co ja zrobiłem? Co ja zrobiłem...

Brat jeszcze żył. Teodor położył go na swoich kolanach i odgarnął z czoła zlepione krwią jasne włosy. Bruno spojrzął na niego i uśmiechnął się lekko. Na trupio bladej twarzy niebieskie oczy świeciły słabym blaskiem.

– Teo? Dobrze, że jesteś – wyszeptał z ogromnym trudem, walcząc o każdy oddech. – Widziałem tam mamę i tatę. A teraz ty. Nie chciałem być tu sam, kiedy...

Nie dokończył, tylko westchnął. Krwawa bańka pękła mu na ustach.

– Bruno! Proszę... – powiedział Teodor i przytulił do siebie ciało brata. Zakrył dłonią oczy i w milczeniu połykał łzy. Niemal słyszał, jak pęka jego serce. Pomyślał, że powinien tu umrzeć razem ze swoim bratem. Odrętwiały z rozpacz, klęczał w lodowatej wodzie niezdolny do jakiegokolwiek ruchu.

A potem usłyszał płacz dziecka dochodzący z kabiny. Wszedł na skrzydło i użył całej siły, by otworzyć osłonę. Metal zgrzytnął, ale ustąpił. Samolot zanurzył się w bagnie głębiej niż dotychczas. Na kolanach martwej Niemki siedziała dziewczynka. Nie wiedział, ile może mieć lat. Nie znał się na dzieciach. Zwróciła ku niemu czerwoną od płaczu twarz, wyraźnie kontrastującą z jasnymi lokami, wystającymi spod czapki.

Od autora

Podróż przez tytułowe piekło to jedna z najtrudniejszych literackich wycieczek, jakie było mi dane odbyć. Rozpisując pomysł na cykl *Po tamtej stronie*, spodziewałem się fascynującej przygody ale również trudności, bo to moje pierwsze doświadczenia z powieściami zawierającymi wątek historyczny. Rzeczywistość przerosła jednak moje oczekiwania. Nie przypuszczałem, że tak wiele godzin spędzę na szczegółowej analizie źródeł i że będę pisał tę powieść z wypiekami na twarzy. Część fabuły sniła mi się nawet po nocach.

Czułem emocje bohaterów i wraz z nimi przenosiłem się w kolejne miejsca akcji. Byłem w ciasnej kabinie samolotu myśliwskiego, którego piloci w każdej sekundzie walczyli o życie, wznosiłem się ponad chmury, przemykałem ulicami getta żydowskiego i uciekałem przed bombardowaniem Hamburga. Stałem tuż obok, gdy moich bohaterów wywożono do obozu koncentracyjnego, by posłać ich na śmierć. Miałem momenty zawahania, czy powinienem pisać tak obrazowo, ale uznałem, że wojnę należy przedstawić taką, jaka była. Zimną, bezlitosną i nieoszczędzającą nikogo. Mam nadzieję, że choć część emocji, które towarzyszyły mi podczas tworzenia, poczuliście i Wy.

Wiele przywołanych w książce miejsc i wydarzeń jest prawdziwych. Czuję się w obowiązku, by oddzielić fikcję literacką od faktów.

Choć postacie braci Bury-Steinke są wymyślone, to rodzaj samolotów, które pilotowali, umundurowanie, organizacja jednostek, szkolenia oraz służba w Luftwaffe, manewry i akrobacje powietrzne – to wszystko starałem się rzetelnie przedstawić.

Rozenbergowie powstali w mojej wyobraźni, ale już akcja wysiedlania Kraju Warty, pobyt w obozie przejściowym, a następnie w getcie łódzkim stanowiły traumatyczne doświadczenia wielu Żydówek i Żydów. Przemówienie Chaima Rumkowskiego, nawołujące do oddania dzieci i starców na pewną śmierć, jest faktem historycznym. Jego fragmenty zamieściłem w tekście, zachęcam do przeczytania go w całości. To niezwykle wstrząsająca lektura. Wyjątkowo silne uczucia towarzyszyły mi podczas tworzenia historii baronostwa Steinke i ich drogi przez piekło. W rozdziałach obozowych również starałem się należycie oddać realia tego miejsca. Istnieje na ten temat mnóstwo źródeł, nie będę ich wyszczególniał.

Pewne prawdziwe wydarzenia zapożyczyłem dla celów fabularnych. To nie Bruno Steinke uratował amerykański bombowiec B-17, ale zrobił to *Oberleutnant* Franz Stigler. Warto sięgnąć po książkę, która opowiada o tym incydencie (*Rycerze wojennego nieba* A. Makosa, L. Alexandra, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2014) albo chociaż skorzystać z dostępnych w internecie artykułów. To fascynująca historia, która pozwala budować wiarę w człowieka. Pokazuje także, że nawet w obliczu wszechobecnego zła można zachować człowieczeństwo i honor. Bruno Steinke dokonał w powieści akrobacyjnego przelotu nad lotniskiem, w czasie którego rozebrał się do rosołu. W rzeczywistości był to wyczyn podpułkownika Leopolda Pamuły, dowódcy z Dęblińskiej Szkoły Orłąt. Wspomina o tym Jan Zumbach, pilot Dywizjonu 303 w swojej autobiografii (*Ostatnia walka*, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2020).

Jeśli chodzi o Teodora, jego ucieczka przez ogarniętą wojną Polskę, podróż przez Rumunię do Francji, gdzie pilotów spotkało głównie rozczarowanie, aż po dotarcie do brzegów Wielkiej Brytanii odzwierciedla tułaczkę polskich żołnierzy po wybuchu wojny. W fabule osadzonej na Wyspach umieściłem wydarzenia historyczne, takie jak bitwa o Anglię czy niezwykle szarże polskich lotników na niemieckie samoloty, opisałem też podziwianą skuteczność polskich pilotów w walce. Ale także zaczerpnąłem z rzeczywistości te bardziej przyziemne sprawy: adorowanie przez Polaków angielskich dziewcząt, zazdrość brytyjskich pilotów i podziw Brytyjczyków. Jako że postępowanie Teodora urąga honorowi polskiego żołnierza, postanowiłem umieścić go w jednostce, która nie istniała. Wymyśliłem Dywizjon 314 – by nie kłaść pamięci bohaterskich Polaków, dzięki którym Wielka Brytania zwycięsko wyszła ze starcia z Luftwaffe. Zachęcam do sięgnięcia po książki, które opisują dokonania polskich pilotów, ot choćby słynny reportaż *Dywizjon 303* A. Fiedlera.

Współcześnie wciąż goją się rany po tym, czego doświadczyli nasi przodkowie w czasie II wojny światowej. Najczęściej są już niewidoczne, ale blizny po nich nosimy nadal, zapisane gdzieś w podświadomości. W wielu domach wojna to wciąż trudny temat. Z różnych względów. Są regiony Polski, gdzie mężczyźni siłą wcielano do wrogiej armii. Widzieli, a czasem robili, niejedną straszną rzecz. Koszmar wojny odcisnął się zarówno na nich, jak i na ludności cywilnej. A wszystko to, w mniej lub bardziej otwarty sposób, przekazano nam – kolejnym pokoleniom. Czasami ślad tych traum możemy zobaczyć w irracjonalnych z pozoru lękach czy wyborach życiowych. Tak jak w losach Magdy i Wiktorii, w których mocno rezonuje historia ich przodków.

Podziękowania

Ta książka nie powstałaby w takim kształcie, gdyby nie pomoc wielu osób. Nad tym, aby tekst był rzetelny, a przy tym atrakcyjny dla czytelników, czuwały redaktorki: Ewa Orzeszek-Szmytko, Kamila Sypniewska i Kamila Reclaw. Dziękuję serdecznie za profesjonalizm, czujne oko i otwartość w poszukiwaniu najlepszego rozwiązania.

W kwestiach historycznych, a szczególnie tych dotyczących lotnictwa, nieoceniony wkład miał dr Mariusz Niestrawski. Z niezwykłą cierpliwością i wyrozumiałością tłumaczył mi zawilosci historii lotnictwa, uzbrojenia, taktyki i strategii oraz stosunków panujących między pilotami poszczególnych sił powietrznych. Wszelkie odstępstwa od historii to tylko moja sprawka.

Podziękowania należą się także osobom, które spojrzały na tekst zaraz po tym, jak go ukończyłem, i udzieliły mi cennych wskazówek. Gdyby nie moja żona, mój tata i kilka innych wrażliwych osób, dostalibyście zakończenie, które mogłoby się Wam nie spodobać. Oni przekonali mnie, że po tak trudnej wspólnej drodze byłoby ono niesprawiedliwe dla moich bohaterów i czytelników.

Za pomoc w analizie źródeł i wyszukiwanie bardzo istotnych informacji dotyczących martyrologii Żydów, funkcjonowania gett i obozów koncentracyjnych dziękuję Basi Bisz. Poród Sary odebrałem w asyście Emilii Witek, która wprowadziła mnie także w tajniki pielęgniarstwa świata. Za utwierdzenie mnie w tym, że tekst jest dobry i „nadaje się”, dziękuję Oldze Olejniczak, Kasi Bożyczko, Angelice Miłosz i Joasi Cieszyńskiej. Za wyjątkowo czujne oko i celne spostrzeżenia podziękowania należą się mojej koleżance po piórze Annie Madejak. Wszystkich, których pominąłem, przepraszam – jak tylko mi się przypomni, to dziękuję Wam osobiście.

Podczas pisania korzystałem z bardzo wielu źródeł. Chciałbym przybliżyć te najważniejsze: *Dywizjon 303* A. Fiedlera, *Orły nad Europą* A. Zamoyskiego, *Ostatnia walka* J. Zumbacha, *Asy myśliwskie Luftwaffe II wojny światowej* P. Kaplana, *Jagdflieger: Pilot myśliwski Luftwaffe 1939-1945* R.F. Stedmana, *Dziennik z getta łódzkiego* R. Lipszyc, *Getto łódzkie/Litzmannstadt Getto. Warunki życia i sposoby przetrwania* A. Löw. Artykułów, stron internetowych, forów tematycznych i map nie jestem w stanie przytoczyć. Było ich zbyt wiele.

Tradycyjnie największe podziękowania składam Tobie, Czytelniczko i Czytelniku. To dzięki temu, że kupujecie moje książki z legalnych źródeł w formie papierowej lub elektronicznej, mogę dalej realizować swoją pasję i dostarczać wam kolejne powstałe w mojej głowie opowieści. A to, że często dzielicie się ze mną tym, jak podzielała na was moja książka, jest najlepszą motywacją, by tworzyć. W miarę możliwości staram się odpowiadać na każdą wiadomość i tak pozostanie. Już teraz zapraszam was do trzeciej części, w której będziemy mogli dokończyć tę historię. Do zobaczenia!

- ¹ *SS-Untersturmführer* – stopień oficera w SS. Odpowiednik polskiego stopnia podporucznika.
- ² *Jawohl* (niem.) – Tak jest!
- ³ *Arbeit macht frei* (niem.) – Praca czyni wolnym. Slogan wykuty w bramach części niemieckich obozów koncentracyjnych.
- ⁴ *Schließen!* (niem.) – Zamykać!
- ⁵ *Obergefreiter* – stopień w Wehrmachcie, odpowiednik polskiego kaprała.
- ⁶ *Schneller!* (niem.) – Szybciej!
- ⁷ *Wasser! Bitte!* (niem.) – Wody! Proszę!
- ⁸ *Raus! Raus! Schneller!* (niem.) – Ruszać się! Szybciej!
- ⁹ *Jedem das Seine* (niem.) – idiom będący tłumaczeniem łacińskiej frazy *Suum cuique*, na język polski można go przełożyć jako „każdemu, co mu się należy” (https://pl.wikipedia.org/wiki/Jedem_das_Seine, dostęp: 11.05.2022).
- ¹⁰ *Konzentrationslager Buchenwald* (niem.) – obóz koncentracyjny w Buchenwaldzie, KL Buchenwald.
- ¹¹ *Armée de l’air* – siły powietrzne Francji.
- ¹² Bloch MB.152 – francuski samolot myśliwski z 1938 roku.
- ¹³ Messerschmitt Bf-109 – najpopularniejszy niemiecki myśliwiec frontowy.
- ¹⁴ RAF – Royal Air Force, siły powietrzne Wielkiej Brytanii.
- ¹⁵ *English Channel* (ang.) – Kanał Angielski, kanał La Manche.
- ¹⁶ Hawker Hurricane – brytyjski samolot myśliwski.
- ¹⁷ *Wing commander* (ang.) – dowódca skrzydła.
- ¹⁸ *No Polish chit-chat over the radio!* (ang.) – Żadnych polskich pogawędek przez radio!
- ¹⁹ Stukas – Junkers Ju 87 Stuka, niemiecki bombowiec nurkujący z okresu II wojny światowej.
- ²⁰ W języku angielskim słowo *bury* oznacza „pogrzebać, pochować”. Black-Bury jest grą słowną, nawiązującą do koloru włosów Teodora i jego nazwiska, mogącą oznaczać zarówno „czarny pogrzeb”, jak i jeżynę (*blackberry*).
- ²¹ WAAF – Women’s Auxiliary Air Force, żeńska służba pomocnicza w siłach powietrznych RAF.
- ²² *Dispersal* (ang.) – barak, w którym lotnicy oczekiwali na alarm.
- ²³ Air Commodore (ang.) – wysoka ranga oficerska w RAF.
- ²⁴ Przy mnie jesteś piękna, pozwól mi wyjaśnić
Przy mnie jesteś piękna, co oznacza, że jesteś wspaniała
Przy mnie jesteś piękna, jeszcze raz wyjaśnię
To znaczy, że jesteś najpiękniejsza w kraju.
Bei Mir Bist Du Schön, J. Jacobs, S. Secuda, S. Cahn, S. Chaplin.
- ²⁵ *Oberst* – pułkownik.
- ²⁶ *Litzmannstadt* – Łódź.
- ²⁷ *Hauptmann* – odpowiednik polskiej rangi kapitana.
- ²⁸ *Feldwebel* – odpowiednik polskiej rangi sierżanta.
- ²⁹ *Jagdfliieger* – pilot myśliwski.
- ³⁰ Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei – Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników.
- ³¹ *Mature* (ang.) – dojrzała.
- ³² *Allgemeine Gehesperre* (niem.) – całkowity zakaz opuszczania domów.
- ³³ *Malditas perras* (hiszp.) – Pieprzone dziwki!
- ³⁴ *Circulo de la muerte* (hiszp.) – krąg śmierci.
- ³⁵ Kulmhof – Chełmno nad Nerem, wieś w województwie wielkopolskim.
- ³⁶ Fragmenty przemówienia Chaima Rumkowskiego, wygłoszonego w getcie łódzkim 4 września 1942 roku (A. Löw, *Getto łódzkie/Litzmannstadt Getto. Warunki życia i sposoby przetrwania*, Łódź 2012).
- ³⁷ *Sieg Heil!* (niem.) – Niech żyje zwycięstwo! Slogan propagandowy Trzeciej Rzeszy.

³⁸ *Die Polacken* (niem.) – Polaczki.

³⁹ *Vogel* (niem.) – ptak.

⁴⁰ *Oberkapo* – więzień funkcyjny sprawujący nadzór nad licznym komandem. Zwykle miał pod sobą kilku kapo.

⁴¹ *Zündapp* – marka przedwojennych motocykli.

⁴² *Alles klar?* (niem.) – Wszystko jasne?

⁴³ *Schweres Spitzgeschoß* – rodzaj łusek używanych do produkcji pocisków kalibru 7,92 mm.

⁴⁴ 8,8 cm Flak 18 – niemieckie działo przeciwlotnicze i przeciwpancerne z okresu II wojny światowej.

⁴⁵ *Ferry pilot* (ang.) – pilot dostarczający samoloty na miejsce przeznaczenia.

⁴⁶ *Royal Auxiliary Air Force* – Królewskie Pomocnicze Siły Powietrzne.

⁴⁷ *Wunderwaffe* (niem.) – cudowna broń.

⁴⁸ *Please, don't kill me* (ang.) – Proszę, nie zabijajcie mnie.

⁴⁹ *Oh, mein Gott!* (niem.) – O mój Boże!

⁵⁰ *Benia*, *Brudne Dzieci Sida*, tekst: Grzegorz Kmita „Patyczak”.

⁵¹ Tamże.

⁵² *Flight sergeant* – stopień podoficerski w Royal Air Force, odpowiednik polskiego starszego sierżanta.

⁵³ *Führerbunker* – kompleks dwóch schronów przeciwlotniczych, w których Adolf Hitler spędził ostatnie tygodnie życia i popełnił samobójstwo.

⁵⁴ *Dein Reich komme. Dein Wille geschehe, wie im Himmel so auf Erden* (niem.) – Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi.

⁵⁵ *Und führe uns nicht in Versuchung, sondern erlöse uns von dem Bösen* (niem.) – I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.